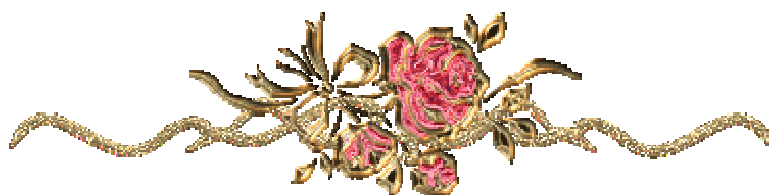


RONA JAFFE

Tylko rodzina

Tytuł oryginału *The Cousins*



Rozdział I

W mroźny, zimowy poranek Oliwia Okrent pospiesznie przemierzała hałaśliwe, zaśmiecone nowojorskie ulice, z zapalem gotowa rozpocząć nowy dzień. Była piękną, dojrzałą kobietą, mającą własny, zwracający uwagę styl. Mimo wysokiego wzrostu i szczupłej figury, którą regularnie, choć z niechęcią, doskonaliła na sali ćwiczeń, nie straciła ponętnych, krągłych kształtów. Nie wyglądała na swoje czterdzieści pięć lat. Kasztanowe włosy, mające w tym roku ciepły, złotorudy odcień, stanowiły tło dla dużych, orzechowych oczu, w których raz po raz zapalały się topazowe blaski, i dla radośnie dziecięcego uśmiechu. Mężczyźni twierdzili, że ów uśmiech rozjaśnia każde pomieszczenie, w którym pojawia się Oliwia.

Szła szybko, energicznie stawiając kroki, aż rozwiewały się miękkie poły jej obszernego, zielonego sztucznego futra, zabawnie nadrukowanego postaciami Myszki Miki.

Minęła kilka przecznic i niedługo potem wkroczyła do domu, w którym mieszkała z Rogerem Hawkwoodem. Z Rogerem byli ze sobą już od dziesięciu lat. Kochała ten dom i życie w nim. Kupili go wspólnie, by razem w nim mieszkać i pracować. Cały dół owej okazałej miejskiej posiadłości zajmowała prywatna

klinika, którą wspólnie prowadzili, na piętrze zaś znajdowały się ich pomieszczenia prywatne. Po męczącym, pełnym zajęć dniu Oliwia uwielbiała wejść na górę, do swojego ukochanego sanktuarium, by odpocząć i zapomnieć o problemach tego świata.

Atmosferę tworzyły tu jasnokremowe tapety, wschodnie ko-bierce, dobre obrazy i książki, muzyka, świeże kwiaty i błogi spokój. W eleganckiej, nowoczesnie wyposażonej kuchni mogła niestety gotować tylko w weekendy, gdy miała chwilę czasu, za to nie odmawiała sobie przyjemności codziennej kąpieli w łazience, wykładanej marmurem o piaskowym odcieniu, gdzie królowała wygodna, dwuosobowa wanna jacuzzi. Znaczną część sypialni zajmowało oczywiście ogromne łóżce, a także ogromny stereofoniczny telewizor z wideo. W sobotnie wieczory Oliwia z Rogerem zalegali w owym łóżce, każde ze swoim psem w nogach, i namiętnie oglądali filmy z wypożyczalni.

Oliwia uśmiechnęła się do rejestratorki.

- Gdzie jest doktor Hawkwood?
- Właśnie bada pacjenta.
- W porządku. Ja idę do operacyjnej.

Przebrała się w zielony kitel i umyła ręce. Niezmienny, szczegółowy rytuał zawsze ją uspokajał i pomagał wejść w swoją rolę. Po chwili wkroczyła do czystej, lśniącej sali operacyjnej, gdzie czekał już na nią Terry, jej asystent, oraz Carrie, nowa pacjentka w ich klinice, uśpiona już i przygotowana do operacji.

Oliwia wydała Terry'emu kilka rutynowych poleceń i ze skalpelem w ręku rozpoczęła operację. Pracowała szybko i sprawnie, spokojnym głosem objaśniając kolejne czynności. Lubiła przemawiać do pacjentów w czasie zabiegów, bo wiedziała, że ją słyszą, choć po wybudzeniu zapominali o tym.

- Nie martw się, Carrie - mówiła teraz. - Jesteś jeszcze młoda i masz przed sobą cudowne życie. Już niedługo będziesz mogła sobie poszaleć. - Z uśmiechem zerknęła na pysk uśpionej sukki owczarka alzackiego. - To jest mniej poważne, niż się здаwało...

Założyła ostatnie szwy i odeszła od stołu, resztę zostawiając Terry'emu. Dziś Carrie będzie spała w klatce, w pokoju dla rekonwalescentów na dole, jutro wyjdzie do ogrodu, a pojutrze wróci do domu.

Rodzina Oliwii uważała jej zawód za nietypowy i podejrzliwie podchodziła do prowadzonej przez nią praktyki, zwłaszcza zaś do tego, czy jest ona wystarczająco poważna i dochodowa. Ich zdaniem tylko Kenny, kuzyn Oliwii i kardiochirurg, godny był miana doktora, ją natomiast uparcie nazywali „wetką”.

Początkowo sądziła, że wynika to z tradycyjnego pojmowania roli kobiety, która mogła być ostatecznie dobrym pediatrą, może stomatologiem, lecz z pewnością nie weterynarzem, kiedy jednak związała się z Rogerem i otworzyli wspólną praktykę, jemu również odmówiono tytułu doktora. Podobnie jak ona, był dla nich zaledwie „końskim lekarzem”. Cóż, snobom z klanu Millerów profesja ta najwyraźniej kojarzyła się jedynie ze stajnią i oborą.

Prawdę mówiąc, Oliwii nie dziwiły te uprzedzenia. Jeszcze kiedy była dzieckiem, matka stale powtarzała, że zwierzęta są brudne i wstrętne, i nie pozwalała jej trzymać w domu żadnych ulubieńców. Tymczasem Oliwia kochała zwierzęta i zawsze była czuła na ich cierpienia. Jej zdaniem potrafiły kochać i wybaczać bardziej niż ludzie. Przez całe lata przyprawiała do domu każdą napotkaną znajdę, którą matka oczywiście natychmiast

wyrzucała. Kiedy zaś postanowiła zostać weterynarzem, rodzina nie kryła rozczarowania.

- Jak możesz mieć klinikę w domu? - Wciąż jeszcze pytała z dezaprobatą ciotka Myra, choć od czasu kiedy po długoletniej pracy w różnych przychodniach Oliwia zdecydowała się otworzyć wraz z Rogerem wspólną praktykę, minęło dobrych parę lat. - Przecież one szczekają i... muszą załatwiać tam swoje potrzeby.

- Tak, ciociu, jak wszystkie zwierzęta - odpowiadała niewinnie Oliwia. - A musisz też wiedzieć, że niektóre z nich nawet miauczą!

Zerknęła na zegarek, a potem do kalendarza, w którym zapisany miała plan zabiegów i przyjęć. Zostały jeszcze trzy operacje, a potem dyżur w gabinecie. Pewnie zejdzie się, jak zwykle, do wieczora. Większość pacjentów przychodzi przecież po południu, kiedy ich właściciele kończą pracę.

W holu dostrzegła Rogera. Mrugnęli do siebie z uśmiechem. Był równie zajęty i zapracowany, jak ona. Cóż, oboje pracowali ciężko, ich dni wypełnione były obowiązkami i zajęciami, podobnie jak dni lekarzy, leczących ludzi w szpitalach i klinikach, tyle że Oliwia i Roger jako weterynarze zarabiali dużo mniej. Oboje nie narzekali jednak nigdy na swój los. Jeśli nie zdarzą się żadne dodatkowe komplikacje, pomyślała Oliwia, może nawet uda się im spędzić ze sobą choć kawałek wieczoru - a to będzie wystarczająca nagroda za trudy dnia.

Rozprostowała obolałe ramiona, przeciągnęła się i z błogością pomyślała o ich dwojgu, zanurzonych w pianistej wodzie jacuzzi. Może będą się kochać, a potem zadzwonią do restauracji i zamówią jakieś chińskie dania... Tak, jako lekarz weterynarii,

partnerka Rogera Hawkwooda i czterdziestopięcioletnia, dojrzała kobieta Oliwia była naprawdę szczęśliwa.

Na to życiowe spełnienie musiała jednak trochę poczekać. Dopiero za trzecim razem udało jej się odnaleźć szczęście w związku z mężczyzną. Pierwszego męża, Howarda, poznała jeszcze w liceum. Wzięli ślub tuż po maturze, w Mandelay, letniej posiadłości rodzinnej. Zapowiadało się na to, że będą wspa- niałą, znakomicie dobraną parą. Wszystko było jak trzeba - panna młoda w długiej białej sukni i chuppah , szczęśliwa rodzinka, prezenty... Gdyby zostali ze sobą, tak jak to sobie przysięgali, teraz obchodziliby dwudziestą piątą rocznicę ślubu!

Oliwia nie była w stanie nawet sobie tego wyobrazić. Owszem, stanowili parę najlepszych przyjaciół i kochanków, ale po dwóch latach spostrzegli, że ich drogi nieubłaganie się roz- chodzą, że różni ich niemal wszystko i że coraz trudniej im my- śleć o wspólnej przyszłości. Na szczęście nie mieli dzieci.

Wówczas, w późnych latach sześćdziesiątych, ludzie za wszelką cenę próbowali „być sobą”. Oliwia chciała studiować weterynię, bo marzyła już o tym jako mała dziewczynka. Ho- ward natomiast pragnął zostać fotoreporterem i przemierzać świat, utrwalając przyspieszone tempo jego przemian. Ich życio- we wybory rozczarowały rodziców obojga, którzy woleliby wi- dzieć swe dzieci raczej jako studentów prawa czy zarządzania. Rozpad ich małżeństwa był dla rodziny kolejnym rozczarowa- niem i prawdę mówiąc bardziej zmartwił ją niż ich samych.

* rodzaj chusty, zasłony na głowie żydowskiej panny młodej, (przyp.tłum.)

Howard i Oliwia rozstawali się bowiem wprawdzie ze smutkiem, ale też wiedząc, że owo rozstanie jest nieuniknione. Uznali po prostu, że naprawili tylko swój błąd, unikając przy okazji jeszcze gorszych przeżyć.

Po rozwodzie spotykali się od czasu do czasu, przegadując całe noce przy winie i dymku, a potem kochali się tak, jakby robili to po raz pierwszy. Jednak po kilku latach i to się urwało. Potem Howard wysyłał jej już tylko kartki, aż wreszcie przestał i nawet nie wiedziała, gdzie jest. Podejrzewała, że gdyby chciał, mógłby z łatwością ją odnaleźć. Nawet w małżeństwie zachowała panięskie nazwisko, a poza tym wciąż mieszkała w Nowym Jorku. Howard jednak nie dał znaku życia. Pozostała jedynie ta dziwna świadomość, że gdzieś na świecie istnieje człowiek, z którym kiedyś było się tak blisko, a którego prawdopodobnie już nigdy się nie zobaczy.

Mąż numer dwa, Stuart, dobrze ustawiony prawnik, zyskał natychmiastową aprobatę całej rodziny. Pewnego dnia pojawił się zrozpaczony w jej gabinecie, niosąc ukochanego psa, którego potrafił samochód. Fakt, że wypadek zdarzył się tuż pod jej oknami, zdawał się wówczas zrzędzeniem losu. Psa wprawdzie nie udało się uratować, ale mężczyzna jeszcze tego samego wieczoru zaprosił ją na kolację, a Oliwia po raz pierwszy i ostatni poszła wtedy na randkę z klientem.

Małżeństwo trwało trzy lata, choć prawdę mówiąc powinno skończyć się zaraz po miesiącu miodowym, kiedy to Stuart zaczął się regularnie widywać z innymi kobietami. Zawsze były to jakieś zagraniczne modelki - taki miał gust. Oliwia wyobrażała sobie niekiedy, jak jej mąż wystaje na lotnisku, czekając cierpliwie, aż z samolotu wysiądzie kolejna chuda, niepewnie rozglą-

dająca się wokół Francuzka, spragniona egzotycznego romansu w Nowym Jorku, który on oczywiście jej zapewni. Rzeczywistość jednak była znacznie mniej niezwykła i romantyczna - ot, spotykał się z nimi na randkach, w czasie kiedy Oliwia pracowała. Zastanawiała się nawet, czy Stuart, zajęty seksualnymi podbojami, miał w ogóle czas na pracę.

Domyślała się, że w trakcie spotkań Stuart opowiada tym swoim modelkom, iż ma właśnie zamiar się rozwieść. Pewnego zaś dnia powiedział to wreszcie jej. Przyznał, że jest organicznie niezdolny do głębszych związków. Powiedział, że bardzo ją lubi, ale nie kocha, a gdyby jakimś cudem zdołał pokochać, to nie mógłby już uprawiać z nią seksu. Najlepiej bowiem udaje mu się to z kobietami, które zna słabo, zaledwie lubi, albo nawet lekceważy.

Działo się to wszystko w wyzwolonych latach siedemdziesiątych, kiedy to powszechnie uważano, iż udany, pozabwiony wszelkich ograniczeń seks jest jedną z głównych wartości i niemal podstawowym życiowym celem, więc owe bzdurne tłumaczenia Oliwia potraktowała poważnie. Zaczęła siebie obwiniać za taki stan rzeczy, a jako że nie chciała po raz kolejny się rozwodzić, postanowiła walczyć o swoje małżeństwo.

Próbowała dorównać owym modelkom. Udręczona ścisłą dietą i nie mijającymi zgryzotami, po jakimś czasie zaczęła nawet chudnąć, jednak obojętność Stuarta wciąż rosła. Pewnego wieczoru, spojrzawszy w lustro w sypialni, Oliwia po raz pierwszy przeraziła się swego odbicia - była chorobliwie chuda i przerażliwie zmęczona. Postanowiła z tym skończyć i już w następnym tygodniu podjęła kroki zmierzające do rozwodu. Wkrótce po raz drugi została rozwódką. Miała wówczas trzydzieści lat.

Nie był to wcale powód do dumy i ona doskonale o tym

wiedziała. Rodzina unikała wprawdzie w jej obecności tego tematu, lecz Oliwia świadoma była tego, jak bardzo wszyscy są zgorzeleni jej życiową sytuacją i jak plotkują za jej plecami.

Zanim ostatecznie spotkała Rogera, wiedziała już dokładnie, czego chce od mężczyzny. Przede wszystkim tego, by zapewnił jej spokój i poczucie bezpieczeństwa; ów psychiczny komfort, podobny do tego, jakiego doświadczała na początku związku z Howardem. Teraz jednak jej partner musiał być mężczyzną dojrzałym, takim który wie, czego chce od życia, i umie to osiągnąć. Oczywiście powinien też być atrakcyjny, również w łóżku, a jednocześnie stać się jej najlepszym przyjacielem.

I taki właśnie był Roger - ciepły, mądry, rozumiejący i czuły. Miał ciemnokasztanowe włosy, orzechowe oczy z topazowymi błyskami, zupełnie takie jak ona, i równie ujmujący uśmiech. Był trzy lata starszy od Oliwii, no i - co za szczęśliwy traf! - również był weterynarzem.

Poznali się w kinie, na nowej wersji „Dwojga na drodze”. Przyszli tam osobno, a wyszli już razem. Rodzicom powiedziała, że poznała go na randce w ciemno.

Roger nie nalegał na dziecko, choć zapytał, czemu ona go nie chce. Przyznała, że skrycie obawia się, iż nie sprawdzi się w roli matki, on zaś odparł, iż jego zdaniem będzie cudowną matką. Taktownie dodał jednak, że na razie dzieci nie są dla niego aż tak ważne. Nie nalegał również na zalegalizowanie związku, sam bowiem miał za sobą nieudane małżeństwo i uważał, że do wszystkiego trzeba dojrzeć, zwłaszcza jeśli już raz się sparzyło.

Starsi członkowie rodziny dawali czasem Oliwii do zrozumienia, że byłoby lepiej widziane, gdyby oficjalnie została żoną Rogera. Co prawda nie był Żydem, ale to skłonni byli mu wyba-

czyć. Namowy ucichły dopiero wtedy, gdy Oliwia i Roger kupili dom, zamieszkali w nim i założyli wspólną praktykę. Żyli od tej pory przykładowo jak mąż i żona, a od innych małżeństw różnił ich właściwie tylko brak formalnego potwierdzenia związku.

Kiedy wczesnym wieczorem wyszli wreszcie ostatni klienci, Oliwia poszła sprawdzić, jak się ma Carrie i inni rekonwalescenci po przebytych operacjach. Popołudniowe myśli o kochaniu się w wypełnionej pachnącą pianą wannie dawno już odpłynęły, ustępując miejsca fali zmęczenia. Będzie dobrze, jeśli nie zasną w tym jacuzzi, obstawieni chińskimi daniami.

Jakiś czas później siedzieli oboje, zanurzeni w gorącej, spienionej wodzie, która przyjemnie obmywała ich ciała. Roger masował sobie ramiona, Oliwia zaś, wsparta o jego tors, z błogim uśmiechem wdychała delikatny jaśminowy aromat, jaki unosił się sponad porozstawianych wokół świec zapachowych. Pomiedzy świecami piętrzyły się tacki z resztkami kurczaka po pekińsku i Przysmaku Buddy. Dwa psy wylegiwały się nieopodal na chłodnej kafelkowej podłodze - Wozzle Oliwii i Buster Rogera. Wozzle stanowiła owoc spontanicznego związku dwóch wolnych psich duchów, z których jeden musiał być sznaucerem olbrzymim. Świadczyła o tym czarna, jeżąca się grzywka na łbie Wozzle, nadająca jej komicznie zdziwiony wygląd. Buster natomiast był rodowodowym złotym retrieverem. W tle tej sielankowej sceny rozbrzmiewała z głośników muzyka The Modern Jazz Quartet

- Może jednak zmienisz zdanie i pojedziesz ze mną jutro na pogrzeb ciotki Julii? - zapytała Oliwia.

- Przecież jedno z nas musi doglądać zwierzaków.

- Nie przesadzaj, to raptem dwie godziny.

- Tak się tylko mówi. Z reguły wszystko się przeciąga. Pewnie w końcu i tak musiałbym wyjść w pośpiechu, nie pożegnawszy się nawet z nikim. Nie myśl tylko, że nie lubiłem twojej ciotki - zastrzegł. - Ale sam zaniedbuję swoją rodzinę, więc...

- A jednak byłoby lepiej, gdybyś pojawił się tam ze mną.# Ostatnio wszędzie jeżdżę sama. W rodzinie pewnie już plotkują, że coś jest z nami nie tak.

- Chyba za bardzo się przejmujesz - zbagatelizował jej obawy. - Pomyśl lepiej o tym, że zobaczysz wreszcie swoich ukochanych kuzynów.

Dobrze wiedział, jak bardzo Oliwia cieszy się z każdego rodzinnego spotkania. Wychowała się w dużej, zżytej rodzinie, gdzie wszystkie dzieci spędzały razem wakacje i tęskniły za sobą, nawet gdy dorosły i los rozrzucił je po kraju i świecie.

- O tak, nie mogę się tego doczekać - rozpromieniła się. Postanowiła nie drażnić więcej tego tematu. Nie chciała psuć sobie humoru, a poza tym wiedziała dobrze, że i tak nic nie wskóra prośbami i naleganiem.

- Kocham cię - powiedział Roger, masując jej plecy.

- Wiem. - Właściwie nie miała powodów, żeby narzekać na Rogera. - Ja też cię kocham. I nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Nie musisz się o to martwić.

Odprężyła się pod jego dotknięciem. Bezpieczeństwo, oto najważniejsza rzecz w życiu, pomyślała z uśmiechem. Dopiero gdy czujesz się bezpieczna, możesz myśleć o wszystkim innym. Nie rozumiała ludzi, którzy świadomie prowokowali los, szukając wciąż nowych doznań i podniet.

Uroczystość odbywała się w eleganckim ekumenicznym domu pogrzebowym Campbella przy Madison Avenue. Przed laty dziadkowie urządzali pogrzeby rodzinne w Riverside, zgodnie z miejscową żydowską tradycją, ale stopniowo przenieśli się do Campbella. Oliwia, szybko przyczesawszy wcześniej włosy w toalecie, cicho wsunęła się do małej salki, zastępującej kaplicę. Znajdował się w niej tylko katafalk z trumną oraz rzędy składowanych krzesel.

Na widok trumny łzy napłynęły jej do oczu. Zawsze kiedy umierał ktoś z bliskich, czuła się tak, jakby zabierał ze sobą kawałek jej życia. Julia Miller Silverstone miała osiemdziesiąt pięć lat i była najstarszym członkiem rodziny. Jej śmierć poprzedziła długa, ciężka choroba. Obowiązek zorganizowania pogrzebu spadł na wnuki, gdyż Julia nie tylko przeżyła swojego męża, ale, niestety, również i syna, Stana. Stary pracownik domu pogrzebowego dziwił się nieco, że to Grady i Taylor organizują pochówek swojej babci, gdyż obaj wnukowie w myśl żydowskich praw dziedziczenia nie byli Żydami. Dlatego też ciekaw był, jaką ceremonię wybiorą. Przede wszystkim wybrali kwiaty w kolorze niebieskim, tak bardzo lubianym przez Julię.

Z głośnika płynęły dźwięki charlestona. Na sali nie było nikogo z pokolenia ciotki - wielu już wcześniej umarło, a część nie zniosłaby trudów podróży, albo też bała się ostrzejszego klimatu. Biedactwo, pomyślała Oliwia z poczuciem winy, tak rzadko ją odwiedzałam. Julia jednak nigdy nie robiła wymówek z tego powodu. Och, mam nadzieję, pocieszała się w duchu Oliwia, że nie skończę tak jak ona - stara, schorowana, samotna, zmuszona opłacać obcych, obojętnych ludzi, by opiekowali się mną czy pchali mój wózek.

Dyskretnie rozejrzała się wokół. W pierwszym rzędzie siedział wuj Seymour, siwowłosy patriarcha rodziny Millerów, który nadal prowadził interesy, oraz jego żona, ciotka Iris, dawniej wielka piękność. Ich syn, którego najbliżsi Oliwii członkowie rodziny, a także ona sama, nazywali Charlie Idealny, kierował siecią sklepów wraz z ojcem i właśnie poleciał do Europy w interesach. Była za to ich córka, Anna Idealna, w nobliwym, obcisłym kostiumiku i krótkiej jak u matki fryzurze. Oliwia przypominała sobie, jak to wszystkie jej kuzynki miały serdecznie dosyć ciągłego stawiania im za wzór idealnej Ani.

- Anna bierze lekcje tańca i okazało się, że ma wybitny talent! - zachwycała się na przykład matka Oliwii, Lila.

- Mamo, przecież to tylko aerobik - odpowiadała Oliwia z rozdrażnieniem. W tej rodzinie nawet głupi aerobik stawał się Jeziorem Łabędzim.

Oliwia usiadła cicho w jednym z ostatnich rzędów krzeseł. Wuj Seymour odwrócił się i pozdrowił ją skinieniem głowy, dość ostentacyjnie wypatrując obok niej Rogera. Oczywiście małżonek jego córki, Anny Idealnej, jak zwykle towarzyszył przykładnie swojej żonie. Oliwia od lat widywała go na przeróżnych rodzinnych spędach, ale nie pamiętała, by kiedykolwiek zamieniła z nim choć jedno słowo.

Z drugiego rzędu krzeseł uśmiechnęła się do niej puciołowata twarz Kenny'ego, kardiochirurga z Santa Barbara. Dziwnie poważne oczy kontrastowały u niego z promienną twarzą dziecka - bo ten mężczyzna zdawał się w ogóle nie starzeć. Owszem, przy kolejnych spotkaniach dostrzegała rzadziejącą czuprynę czy jakąś nową zmarszczkę, ale wrażenie niezmienności jego urody pozostawało.

Oliwia odpowiedziała Kenny'emu ciepłym uśmiechem. Był najmilszym towarzyszem jej zabaw z dzieciństwa.

Pamiętała, jak na pogrzebie jej matki podszedł do niej i niespodziewanie uścisnął ją, mówiąc trzy proste słowa:

- Jesteś moją siostrą.

Bardzo poruszyło ją to oświadczenie. Była jedynaczką, podobnie zresztą jak on, i wiedziała, że po śmierci matki została sama. Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak bardzo braterski stosunek ma do niej Kenny. Teraz spotykali się jedynie z okazji różnych wydarzeń rodzinnych, czasami Kenny dzwonił do niej z Kalifornii. Skądinąd wiedziała, że bywa on w Nowym Jorku. Wcale nierzadko przyjeżdżał tu ze swoimi kolejnymi dziewczynami i narzeczonymi, by pokazać im teatry i muzea, a jednak wówczas nie odwiedzał jej i nie odezwał się do niej ani razu. Być może tak właśnie zachowują się bracia.,.

Pomimo wszystko Kenny znajdował jednak czas, by złożyć ceremonialną wizytę wujowi Seymourowi - stąd zresztą wiedziała o jego pobytach w Nowym Jorku.

W dalszych rzędach z radością i wzruszeniem rozpoznała ciemną głowę kuzynki Jenny. Uśmiechnęła się, widząc jej fryzurę, która przypominała jakąś szaloną chryzantemę. Kiedy Oliwia była młoda i zmagала się z dylematem: mieć dziecko czy nie, nosiła w portfelu dziecięce zdjęcie Jenny, udając, że to jej córka. Jednak ze względu na swój wiek Jenny mogłaby być raczej jej młodszą siostrą.

Sama, podobnie jak Oliwia i Kenny, nie miała rodzeństwa, za to w przeciwieństwie do swych kuzynów mogłaby uchodzić za wzór płodności i macierzyństwa. W rodzinie, w której dzieci rodziły się późno i rzadko, Jenny wielokrotnie przekroczyła normę,

rodząc piątkę pociech, z których żadne nie miało jeszcze dwunastu lat. Jenny Cooper była też jedyną kobietą w rodzinie, której udało się pogodzić karierę z wychowaniem dzieci. Na pogrzeb przyjechała z najstarszą dwójką i swoim mężem Paulem, profesorem z Cambridge w Massachusetts.

Muzyka przeszła na łagodne, klasyczne tony, a potem ucichła. Grady, wnuk ciotki Julii, wstał, by wygłosić mowę pożegnalną. Oliwia znała jego i jego siostrę Taylor od dzieciństwa, gdy co roku spędzali tłumnie rodzinne wakacje w Mandelay.

Grady Silverstone miał teraz trzydzieści cztery lata i był zawodowym kaskaderem, podobnie zresztą jak wcześniej jego ojciec, Stan. Tak jak Stan był też przystojny, dobrze zbudowany i nieprawdopodobnie sprawny. Na tym jednak podobieństwa między ojcem a synem się kończyły. Stan miał w sobie niewymuszoną swobodę, kowbojski luz, podczas gdy Grady wyglądał raczej jak komandos z piechoty morskiej, który ma za sobą twardą szkołę wojskowego drylu. Było w nim coś sztywnego, a jego powściągliwy uśmiech zdawał się kryć jakieś tajemnice.

- Kiedy Julia była jeszcze dzieckiem - wstał teraz i zaczął swą przemowę - matka ubierała ją zawsze w piękną, czystą sukienkę, wiązała jej kokardę we włosach, a wtedy Julia zniknęła gdzieś na całe godziny. Wracała potem brudna i obdarta. Nikt nie wiedział, gdzie przez ten czas się podziewała i co robiła; robiono jej nawet awantury, lecz ona następnym razem znów wyrywała się na wolność. Kiedy była starsza, najbardziej lubiła bawić się, tańczyć i śpiewać. Skrycie marzyła, by zostać aktorką, ale nigdy tego marzenia nie zrealizowała. Zawsze, od dzieciństwa po starość, była aktywna i pełna życia. Nie zmieniła tego nawet jej długa i ciężka choroba. Jej duch, jej umysł pozostał jasny

i sprawny do końca; to ciało ją zdradziło. Ale teraz wreszcie naprawdę jest wolna. Ciesz się więc, Julio! Ciesz się i już na zawsze bądź wolna i szczęśliwa! - zakończył z przejęciem i usiadł.

Oliwia była wzruszona, nie kryła łez. Tuż przed nią wuj Seymour, zmarszczywszy brwi, odwrócił się do ciotki Iris i szepnął:

- Co to za jakieś niepoważne gadanie o życiu po śmierci?

Iris nie zdążyła odpowiedzieć, bowiem gdy tylko Grady zakończył swoją mowę, wstała Taylor i wyszła przed zebranych.

Taylor była głucha od siódmego roku życia. Przez lata jej mowa nabrała charakterystycznych, nosowych tonów, do których wszyscy zdążyli już przywyknąć. Była prawdziwą pięknoscią o złotych włosach, kontrastujących z czarną czupryną Grady'ego. Jej włosy, a także specyficzna wymowa, powodowały, że obcy brali ją często za mieszkankę któregoś z krajów skandynawskich, mówiącą wprawdzie po angielsku, lecz z cudzoziemskim akcentem.

Większość ludzi głuchych, których widziała Oliwia, miała bardzo wyrazistą mimikę, mającą wspomagać porozumiewanie się - jednak twarz Taylor zawsze nosiła wyraz wymuszonego spokoju, a ożywiała się jedynie wtedy, gdy mówiła do swojego brata.

- Kocham cię, babciu - powiedziała zwyczajnie Taylor, zwracając się w stronę trumny. - Dbałaś o nas i zawsze miałaś dla nas czas. Będzie mi ciebie bardzo brakowało. Kocham cię - powtórzyła raz jeszcze i szybko wróciła na miejsce. Jej mąż, Tim, przytulił ją czule do siebie.

Właściwie było już po wszystkim. Ot, skromna, krótka ceremonia. Zgromadzeni goście zaczęli powoli wstawać z krzeseł

i przechodzić do przedsionka, gdzie rozpoczęto składanie kondolencji. Później wszyscy mieli przejechać na cmentarz, by dopełnić ceremonii i ostatecznie pożegnać zmarłą.

Idąc do samochodu, Oliwia dojrzała kobietę, która wydała jej się znajoma. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, skąd ją zna i kim jest owa tęga pani o włosach przetykanych siwizną i pełnej zmarszczek, obrzmiałej -jakby od alkoholu - twarzy, która niegdyś z całą pewnością musiała być piękna. Kobieta trzymała się z boku, wyraźnie lekceważona i wyraźnie świadoma, że nikt jej tutaj nie lubi.

W pewnym momencie, gdy z coraz większym zniecierpliwieniem po raz kolejny przeszukała zasoby swej pamięci, Oliwia przypomniała sobie - to była Earlene, Wielka Earl, jak za jej plecami nazywał matkę Grady. Wdowa po Stanie, synowa ciotki Julii. Oliwia słyszała, że mieszka teraz w Santa Fe, ale widywali się z nią tylko Grady i Taylor, podobno zresztą rzadko. Dziwne, że Earlene zdecydowała się na tak długą podróż, zwłaszcza że nie przepadała nigdy za Julią.

Kiedy wszyscy wsiedli do samochodów i ruszyli na cmentarz, Earlene znikła.

Oliwia od lat nie była na cmentarzu, był zbyt daleko, aż w Queens. Kiedy opuszczano trumnę Julii, spacerowała z boku, oglądając stare nagrobki należące do kolejnych członków rodu, jej przodków. Kątem oka dostrzegła swoją kuzynkę Melisę, która podobnie jak ona oderwała się od tłumu żałobników i szła teraz ku niej.

W każdej rodzinie znajdzie się zawsze jakaś rodzinna piękność. W klanie Millerów była nią najpierw Oliwia, a potem Me-

lissa. Kiedy Melissa dorastała, zdumiewająco przypominała starszą kuzynkę, lecz potem jej wygląd zmienił się, choć Melissa nadal pozostała piękną kobietą. Była bardzo szczupła, zawsze nerwowa i spięta. Patrząc na nią, mogło się zdawać, że ta niebanalnej urody dziewczyna w ogóle nie je. Teraz nazywała się Melissa Ardon i była dobrze ubraną, zadbaną, przemiłą panią domu, zamieszkującą w Teksasie, na przedmieściu Houston; miała trójkę dzieci i zapewne nigdy nie przyszłoby jej do głowy paradować w zielonym sztucznym futrze, ozdobionym podobiznami Myszki Miki.

- To musi być okropne - mieć rodziców pochowanych na dwóch różnych cmentarzach - zagadnęła współczująco do Oliwii.

- Owszem, okropne - przyznała Oliwia. Pamiętała, z jakim żalem chowała ojca w wielkim grobowcu. Zdawało jej się wówczas, że bez matki, spoczywającej na wieki gdzie indziej, będzie się czuł opuszczony i samotny. - Cóż, tak chciała Grace. Mówiła, że to było dla każdego z nich drugie małżeństwo, więc żadne nie powinno być chowane z pierwszym partnerem. Twierdziła, że takie jest prawo, które określa religia...

- Jakie znów prawo?

- Nie mam pojęcia. Zresztą sama nie wiem, czy wolałabym być pochowana z matką, czy z ojcem. Chyba w końcu wybiorę kremację. Każę rozrzucić swoje prochy nad oceanem.

- Może znów wyjdiesz za męża?

- Wątpię.

- Och, przecież jesteś z Rogerem dłużej niż z którymkolwiek z poprzednich mężów - stwierdziła pogodnie Melissa.

- Fakt. Dłużej niż z obydwojema - przyznała Oliwia i uśmiechnęła się lekko do siebie.

Przez chwilę szły obok siebie w milczeniu. Oliwia zatonała we wspomnieniach. Jej matka umarła na raka, gdy ojciec był już niemłody, więc ludzie zdumieni byli jego powtórny ożenkiem. Przez ostatnie lata choroby matka uczyła ojca, jak ugotować coś dla siebie i dla córki. Dobrze, że nie dożyła chwili, w której zaczął jadać w restauracjach w towarzystwie kobiety młodszej od siebie. Grace, która wyszła za ojca niedługo potem, natychmiast pozbyła się wszystkich mebli, których rodzice Oliwii używali od czterdziestu lat. Mało tego, próbowała wyrzucić wszystkie rodzinne fotografie.

- Przecież i tak nigdy ich nie oglądasz! - sarknęła, kiedy Oliwia stanowczo zaprotestowała i zabrała je do siebie.

Oliwia była oburzona na macochę i nie ukrywała tego. Jak można tak bezdusznie niszczyć rodzinną historię, nawet jeśli rodzina jest obca? Jak mogłaby pozwolić tej kobiecie, by zniszczyła zdjęcia matki, Lili, z czasów, gdy była jeszcze dzieckiem o poważnej twarzyczce, ubranym w strojne koronki; albo fotografie ciotki Julii z wielką kokardą we włosach? Przecież historia rodziny, pamięć o niej, to rzecz niemal święta. Oliwia czytała wówczas książkę o holocauście, w której opisywano, z jakim poświęceniem więźniowie obozów koncentracyjnych ratowali rodzinne pamiątki. Ci, którzy przeżyli, przenieśli przez obozy zdjęcia swoich bliskich ukryte w podeszwach butów czy innych trudnych do wyobrażenia miejscach.

Cóż, pamięć drugich żon nierzadko bywa krótka, a wtedy z okrutną łatwością skazują pierwsze żony swoich mężów na zagładę. Tak właśnie było z Grace, toteż nic dziwnego, że zaraz po śmierci męża wyprowadziła się ona do swoich dzieci z pierwszego małżeństwa i Oliwia od dwóch lat nie miała z nią żadnego kontaktu.

- Myślę, że wolałabym jednak być pochowana tutaj, z matką i z dziadkami - wróciła do rozmowy. - W ten sposób zachowane zostanie jakieś poczucie ciągłości. Będiesz pamiętała moje słowa?

- Daj spokój - obruszyła się Melissa - masz jeszcze czas na takie decyzje. Ale dobrze, zapamiętam, jeśli ci na tym zależy - dodała, uciekając spojrzeniem w bok.

Widocznie poczuła się przez moment nieswojo. Tu, na tym cmentarzu, pochowana była jej matka, a na ojca, wuja Davida, czekało miejsce obok niej. Mimo to David, który podobnie jak wielu innych w rodzinie wyniósł się z Nowego Jorku, pochowany miał zostać w przyszłości gdzieś u siebie. Melissa z mężem również wykupili już sobie miejsce na cmentarzu w swoim mieście. Podobnie zrobiła Jenny z mężem oraz Kenny.

Żałobnicy powoli rozchodzili się do samochodów. Melissa również odeszła, a Oliwia stała jeszcze chwilę, wpatrzona w równe rzędy nagrobków, ginące w zmroku i mgiełce zimowego popołudnia. Dawniej ten sam cmentarz służył wielu pokoleniom. Teraz ani ludzie, ani groby nie trzymają się jednego miejsca.

Dawniej jednak wszystko było dużo prostsze, pomyślała ze smutkiem.

W mieszkaniu ciotki Julii zgłodniali po pogrzebie goście tłumnie obiegli bufet. Oliwia nie miała apetytu. Rozejrzała się wokół. Dostrzegła srebrną paterę na słodczyce z Mandelaj i cztery antyczne krzeselka z koronkowymi pokrowcami na siedzeniach, na których, jak pamiętała, nie lubiły siadać dzieci, bo były bardzo niewygodne i uwierały w siedzenie. Obok telefonu stał

komputer z modemem, dzięki któremu Julia mogła łączyć się z Taylor i poprzez pocztę elektroniczną prowadzić z nią długie rozmowy.

W salonie obok siedziała ciotka Myra, matka Jenny i najmłodsza z ciotek, która po śmierci Julii straciła już wszystkie siostry. Towarzyszyli jej dwaj starsi bracia i szwagierka. Żeńska część rodziny rozprawiała o dzieciach i ich szkołach, a męska -o należącym do rodziny interesie (choć większość z nich wybrała inne zajęcia, nadal mieli udziały w przedsiębiorstwie).

Nikt nie mówił o zmarłej.

Grady'ego i Taylor dojrzała w kącie, gdzie tłumaczyli coś sobie, gwałtownie gestykułując w języku migowym. Twarze mieli rozjaśnione i ożywione - jak zwykle, gdy rozmawiali ze sobą. Smukłe dłonie trzepotały jak ptaki. Co mówili? Od dzieciństwa mieli zwyczaj używania języka migowego przy ludziach, jakby chcieli ukryć przed nimi swój własny, tajemny świat. Świat, w który nikt nawet nie próbował wnikać.

Oliwia pamiętała, jak w czasie długich letnich tygodni w Mandelay, po tym, co rodzina określiła jako Tragedię przez duże „T”, wszystkie dzieci zaczęły się uczyć języka migowego, by móc rozmawiać z Taylor. Jednak dziecięcy entuzjizm szybko wygasł, a potem, kiedy każde z nich dorosło i poszło swoją drogą, zapomnieli prawie wszystko, czego się nauczyli.

Taylor zawsze była ich ulubienicą, ich maskotką. Mimo upływu czasu Oliwia wciąż miała w pamięci czternastoletnią Jenny, cierpliwie nawijającą na wałki proste, jedwabiste włosy Taylor, Jenny cierpiała z powodu swojej niesfornej szopy kręcących się włosów i modliła się, by mieć je proste, tak jak Taylor. Z kolei Taylor marzyła o burzy loków, zazdroszcząc Jenny.

Jakby przywołana tym wspomnieniem, w drzwiach pokoju stanęła ta druga, Jenny, teraz w towarzystwie męża i dwóch starszych synów.

- Musimy zdążyć na samolot - oznajmiła. - Trzeba zwolnić pomoc do dzieci.

Kenny, żując jeszcze kanapkę, uścisnął Oliwię i powiedział:

- Ja też się już pożegnam. Jutro rano mam skomplikowane by-passy.

Lepiej przestań się objadać tymi wszystkimi gotowymi świąstwowami i zacznij normalne życie, bo będą musieli wstawić je tobie, pomyślała Oliwia.

- Odwiedź nas kiedyś. - Jenny z uśmiechem pomachała jej ręką.

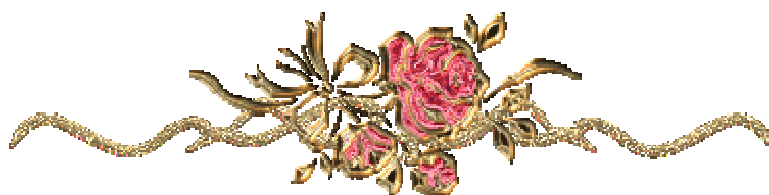
- Jeśli uda mi się oderwać od pacjentów.

- Zajrzyj też do mnie - rzucił na odchodnym Kenny, choć oboje wiedzieli, że to zaproszenie to jedynie formalność i że zapewne nigdy się nie odwiedzą.

Kiedy wyszli, Oliwia również zaczęła się żegnać. Wyściskała wszystkich po kolei, choć bez przesadnej serdeczności, a potem wsiadła samotnie do windy i zaczęła zjeżdżać na dół, do wyjścia.

I pomyśleć, że kiedyś była dla wszystkich tych ciotek i wujów śliczną, kochaną, rozpieszczaną na każdym kroku siostrzenicą. Teraz nie łączyło ich zbyt wiele. Ona była im prawie obojętna, a oni ją denerwowali.

Kto wie, może popełniła błąd, stając się dorosłą?



Rozdział 2

Oliwia była jeszcze bardzo młoda, kiedy jej kuzyn, Stanley Silverstone, skończył szkołę średnią i wyjechał do Hollywood. Później, gdy dorastała, stale dochodziły do niej jakieś niepokojące o nim wieści. Słyszała, że odstawa! od reszty rodziny, że nie lubił się uczyć, że był niesamowicie wysportowany i sprawny, wręcz dziki. Rodzina widziała w nim niemal wcielonego diabła. W tamtych spokojnych latach pięćdziesiątych ludzie nie lubili szaleństw i wyskoków. Było przecież tyle innych sposobów na życie. Rodzinny dom towarowy „JULIA” - nazwany tak od imienia matki Staną - był w stanie zapewnić intratną pracę wszystkim mężczyznom w rodzie i przyzwoity dochód ich siostrom. No a przecież gdyby tylko Stan zechciał, mógłby zostać prawnikiem, albo nawet lekarzem, jak jego ojciec, i cieszyć się podobnym statusem i poważaniem. On jednak od początku dawał wszystkim do zrozumienia, że nie interesuje go normalne, ustawkowane życie. Chciał zostać zawodowym kaskaderem.

Kto wtedy słyszał o czymś takim?

Zawodowi kaskaderzy wywodzą się z reguły z innych środowisk - kowboje z rodeo, cyrkowcy, pracownicy niższego rzędu w Hollywood. Objeżdżają kraj, ujeżdżając konie i ryczące

przeraźliwie motocykle; staczają pokazowe walki, skaczą z wysokich budynków, tłuką swoim ciałem szyby i rozbijają samochody, wyskakując z płonących wraków. Trudno było przypuszczać, że do tego specyficznego środowiska przebije się chłopak z zamożnej żydowskiej rodziny z Nowego Jorku, absolwent prywatnej szkoły.

Tymczasem Stan wynajął domek w Topanga Canyon, stojący wśród surowego, westernowego krajobrazu, suchych, kolczastych zarośli, skał i pojedynczych, wielkich drzew. Nieliczną garsstkę jego sąsiadów stanowili artyści, rozmaici kontestatorzy i młodzi szaleńcy w czarnych skórach, dosiadający całymi bandami swoich wielkich, czarnych harleyów. To, że mógł tam żyć, doskonalić swoje umiejętności i próbować wkupić się w to specyficzne środowisko, zawdzięczał Julii, a właściwie czekom, które mu regularnie przysyłała. Przesiadywał więc w barach Pa-lomino i River Bottom, gdzie wdawał się w bójki, pił, stawiał i zdobywał przyjaciół - aż wreszcie ktoś z zamkniętego klanu kaskaderów ułatwił mu zdobycie koncesji i Stan mógł zacząć pracę.

Trudno było ją jednak dostać. Los początkującego kaskadera przypominał do złudzenia los początkującego aktora. Kiedy już zostawał gwiazdą, mógł przebierać w propozycjach, lecz do tego czasu pozostawało jedynie zacisnąć zęby i nie tracić nadziei.

Stan ciągle ćwiczył, bezustannie się doskonalał. Miał talent, był lubiany i sprzyjało mu szczęście, na dodatek wciąż mógł liczyć na przysyłane przez matkę czeki. Dlatego w wieku dwudziestu pięciu lat, choć jeszcze nie był gwiazdą w swojej profesji, miał już na to wszelkie zadatki. W każdym razie zaczynał samodzielnie stawać na nogi, a Julia była z niego dumna.

Earlene Taylor spotkał na planie filmowym. Stała w tłumku, który śledził kręcenie pewnej kaskaderskiej sceny. Jak wiele jej podobnych marzyła o karierze aktorskiej, lecz na razie były to tylko marzenia. Była ładna, pochodziła z małego miasteczka w Missisipi, miała dwadzieścia trzy lata, blond włosy i niezmaconą nadzieję na to, że ktoś ją zauważy i da jakąś rolę; słowem -typowa prowincjuszka, która przybyła do Hollywood, by zdobyć sławę.

Stan wykonywał właśnie numer na motocyklu, który stał się ostatnio jego specjalnością - na pełnym gazie przejeżdżał pod wielką, osiemnastokołową ciężarówką. Gdy ogłoszono koniec ujęcia, Earlene rzuciła się do niego po autograf. Był wzruszony i dumny. Nikt jeszcze dotąd nie poprosił go o autograf.

Kiedy zabrał Earlene do Mandelay, by przedstawić rodzinie jako przyszłą narzeczoną, nie spodobała się im, choć wszyscy próbowali być dla niej mili. Uznano, że to typowe dla Stana -przyprować do porządnego żydowskiego domu nie żydowską prostą sikse, która w dodatku ciągnie alkohol jak mężczyzna. Z kolei Earlene była oszołomiona bogactwem, jakie stało przed jej oczami - połaciami łagodnych wzgórz o starannie przystrzyżonej trawie, kępami starych, zadbanych drzew, wypielęgnowanymi ogrodami w różnych stylach, basenem, kortem tenisowym oraz dwudziestosiedmiopokojową rezydencją w neogotyckim stylu, z windą, przypominającą ozdobną klatkę, wyłączoną akurat, gdyż dzieci urządzały sobie w niej niebezpieczne zabawy. Krótko mówiąc, bogactwo przyszłej rodziny poraziło Earlene i wywołało w niej obronny odruch niechęci.

Oliwia miała wówczas zaledwie dziesięć lat, lecz była bystrym obserwatorem i dobrze rozumiała, co się wokół dzieje.

Stana, idola swojego dzieciństwa, traktowała z nabożnym wręcz szacunkiem. Włosy miał dłuższe niż wszyscy znani jej mężczyźni, nosił niewielki wąsik i był opalony na brąz. Chętnie zakładał kowbojskie stroje, kowbojskie buty i turkusową bransoletkę. Nawet poruszał się inaczej niż inni, płynnie i szybko jak wąż. Lubił siadać pod drzewem i zwijać sobie skręty, które pachniały zupełnie inaczej niż papierosy wszystkich innych znanych jej dorosłych. Tak, w Stanleyu był jakiś magiczny urok, który przyciągał małą Oliwię. Nic więc dziwnego, że pamiętała z owych dni tak wiele.

- Dlaczego to miejsce nazywa się Mandelay? - zapytała Earlene. Siedziała ze Stanem na chłodnej werandzie, sącząc mrożoną herbatę, wzmocnioną bourbonem, który znalazła w barku. Z rozmarzeniem patrzyła na piękny krajobraz rozciągający się przed jej oczami.

- Nazwała je tak moja ciotka Lila. Ponieważ mama dała imię naszemu domowi towarowemu - nazywa się „JULIA” - dziadek uznał, że Lili też się coś należy i że ona ma prawo zdecydować o tej nazwie.

- Ale czemu Mandelay? Jak z tego wiersza Kiplinga „Droga do Mandalay”, z tą różnicą że zmieniono jedną literę?

- Nie sędzę. Zresztą, nie wiem. - Wzruszył ramionami.

- A może nie zmieniła jej świadomie, może zwyczajnie się pomyliła? - dociekała nie bez złośliwości.

Później Stan miał przekonać się, że wiele jeszcze rzeczy w jego rodzinie drażniło Earlene.

Kiedyś siedzieli przy długim stole w jadalni, a mała Oliwia zasypywała go pytaniami na temat jego pracy.

- Jak to jest, kiedy się skacze z wysokiego domu?

- Ustawiają na ziemi puste kartony, a na nich kładą maty z pianki, żeby złagodzić upadek. Nic się nie może stać.

- No przecież widzisz, że się nie rozbił, bo jest tu z nami

- zachichotała ciotka Myra, ale Oliwia nawet na nią nie spojrziała.

- Krzyczysz, jak spadasz? - dopytywała się.

- Jasne - odparł z uśmiechem Stan. - Wydaję najgłośniejszy wrzask, jaki kiedykolwiek słyszałaś.

- Wiesz, Stanley, naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak ryzykujesz - wtrąciła z dezaprobatą Lila.

- Chodzi o tę dawkę adrenaliny. To mnie podnieca.

Wujowie i ciotki popatrzyli z zakłopotaniem najpierw po sobie, a potem na dziadków, gdyż rozmowa zmierzała w coraz bardziej niepożądanym kierunku. Ale dziadkowie, pamiętający jeszcze przełom epok, widzieli niejedno szaleństwo, więc tylko wzruszyli ramionami, jakby nie wiedzieli, skąd to zgorszenie.

- Jakie numery są najbardziej przerażające? - drażyla tymczasem Oliwia, z przejściem przysuwając się do kuzyna.

- Nie numery, tylko gagi - sprostował. - Tak je nazywamy.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego, że to wszystko nie jest na poważnie.

- Jeszcze do tego niepoważne... - burknął wuj Eli, który nigdy nie aprobował wspomagania Staną czekami Julii.

- Hm, może najbardziej niebezpieczne są eksplozje i ogień

- zastanowił się Stan. - Na przykład kiedy musisz rozbić samochód i wyskoczyć z niego, zanim wybuchnie. Przedtem trzeba się upewnić, czy otworzą się drzwiczki, a potem zrobić kraksę, podpalić wóz i uciec. I uwaga: nigdy nie należy robić tego gagu na kacu.

- Kac! - ciotka Julia gwałtownie wciągnęła powietrze i znów rozpaczliwie zerknęła na rodziców.

- Och, byłabyś zdziwiona, gdybyś wiedziała, jak wiele wyczynów robi się po nocnej popijawie z kumplami - wyjaśnił swobodnie Stan.

- Nie denerwujcie się. On tylko próbuje was przestraszyć - pospieszyła z pomocą Earlene, która zdążyła już lepiej poznać Staną i jego przewrotny charakter. - Nosi specjalne ochronne ubranie, a wszędzie wokół czekają ludzie z gaśnicami. Poza tym w samochód wbudowana jest klatka z prętów, która go chroni. A zresztą, na razie i tak nie pozwalają mu tego robić. Jeszcze nie dojrzał do takiego numeru.

- I bardzo dobrze - stwierdziła Lila.

- Dobrze? Ile razy można skakać z dachów albo ujeżdżać motocykle? Z tego się nie wyżyje - zniecierpliwił się Stan. - Jeszcze trochę, a będę mógł robić wszystko.

Jeśli przedtem nie zginiesz, pomyśleli wszyscy, choć oczywiście nikt nie powiedział tego głośno.

Stan i Earlene nie chcieli, żeby ich ślub odbył się w Mandelaj. Twierdzili, że wolą po prostu dostać pieniądze, które miały być na niego przeznaczone. Ponadto Stan, ze względu na dzieci, przyjął katolicką wiarę żony, byłby więc z tego powodu dodatkowy kłopot. Kiedy więc wzięli cichy cywilny ślub w Las Vegas, rodzina odetchnęła. W rok później Earlene urodziła pierwsze dziecko - Grady'ego, któremu nadała imię po którymś ze swoich przodków, a po dwóch latach córkę, którą nazwała Taylor.

Każdego lata Stan wywoził Earlene i dzieci do Mandelaj na dwa najgorętsze miesiące kalifornijskiego lata. Przy okazji odwiedzał babcię Julię, która nadal przesyłała im czeki. Po kilku

dniach wracał do Hollywood, by pracować albo szukać pracy. Earlene w tym czasie stawiała się zrzędliva i nigdzie nie mogła sobie znaleźć miejsca.

- Nie rozumiem, dlaczego właśnie ja musiałam zrezygnować z kariery - utyskiwała przy każdej okazji.

Dom był pełen dzieci. Tylko wuj Seymour - najstarszy z wujów Oliwii, który miał z ciotką Iris własną posiadłość - pragnąc podkreślić swoją niezależność, nie wysyłał do Mandelay swoich dzieci, Charliego i Anny. Za to cała reszta rodziny zjeżdżała tłumnie na lato: wstydlivy Kenny, Jenny ze swoimi lalkami, żywa jak srebro Melissa, jej brat, czyli odważny Nick, a także Grady, Taylor, no i Oliwia, która była już nastolatką. Z powodu wieku zaczynały nudzić ją takie rodzinne spędy. Chętnie spędziłyby lato w inny sposób, bez towarzystwa gromady hałaśliwych dzieciaków, jednak jej matka była zbyt zaborcza i nieustępliwa i dziewczynka mogła tylko marzyć o samotności i samodzielności.

Później, kiedy wracała myślami do tego okresu, musiała jednak przyznać się do tego, że tak naprawdę Mandelay było jedynym miejscem, w którym czuła się bezpiecznie.

Grady i Taylor byli ślicznymi dziećmi i Oliwia kochała je do szaleństwa. Byli sprawni jak mali akrobaci, a ruchliwi i wszędybylscy jak małpki. Nie podobał się jej jednak sposób, w jaki traktowała ich Earlene. Oto na przykład pewnego popołudnia Grady i Taylor zaczęli bójkę w korytarzu na górze. Kiedy nadbiegła ich matka, żeby zobaczyć, co się stało, Taylor poskarżyła się, że brat ją uderzył. Oboje byli jeszcze wtedy mali i taka sprzeczka nie mogła być niczym niezwykłym czy niebezpiecznym. Mimo to Earlene chwyciła Grady'ego, przytrzymała, a na-

stepnie kazala Taylor, by uderzyla swego braciszka. Dziewczynka, drzac na calym ciele, wyjakala, ze nie chce go bic.

Oliwia, ktora stala obok i patrzyla na wszystko ni to z niesmakiem, ni z przerazeniem, uwiadomila sobie wowczas, ze mala wcale nie boi sie brata, a wlasnej matki.

- No! Bij go! - krzyknela Earlene, a Taylor zamachnela sie wreszcie i uderzyla.

Grady, placzac, uciekl do lazienki. Taylor pobiegla za nim, a za nia Oliwia. Chlopiec pochylal sie nad umywalka, zanoszac sie od placzu, siostra zas, rowniez lkajac, obejmowala go mocno chudymi ramionkami.

Podobne zachowania Earlene doprowadzily do tego, ze z czasem wszyscy goście Mandelay zaczęli stanowić jakby bufor między nią a jej dziećmi, co dodatkowo uwypuklało obcość tej kobiety w rodzinie Millerów. Związek Earlene ze Stanem szybko zresztą zaczął przeżywać kryzys. Kilka razy byli w separacji. Wówczas ona zostawała w domu z dziećmi, on zaś wyżalał się matce. Julia powtarzała to potem Lili, ta z kolei Oliwii.

Pewnego wieczoru, kiedy Grady miał zaledwie sześć lat, Earlene nie wpuściła go do domu. Był tylko w slipkach, bo wcześniej podlewał trawnik, co należało do jego obowiązków. Kiedy matka zawołała go na kolację, zwlekał zbyt długo. Zmrok w południowej Kalifornii zapada szybko, a noce są chłodne w porównaniu z upałem dnia. Earlene wściekła się i zamknęła przed nim drzwi, zostawiając go drżącego na zimnie, a sama spokojnie wróciła do swych zajęć: dała Taylor kolację, położyła ją do łóżka, pooglądała telewizję, wypila parę drinków i poszła spać. Grady musiał przejść bosy kilka mil do domu swojego ojca -i stąd rodzina dowiedziała się o incydencie.

- A czego mama oczekiwała? - Earlene tłumaczyła się później Julii. - Najpierw zostawia mnie z nimi samą, a potem się dziwi, że usiłuję nauczyć ich posłuszeństwa. Przecież to jest rola ojca.

Być może surowe traktowanie syna brało się stąd, że Grady tak bardzo przypominał swego tatę, był wręcz jak skóra zdjęta z ojca. Earlene znienawidziła i jednego, i drugiego. Wołała Taylor, która przynajmniej z wyglądu była do niej podobna.

Nie mogąc poradzić sobie z rodzinnym kryzysem, a może też i z innych powodów, Earlene piła coraz więcej. Wieści, które dochodziły z jej domu, musiały być zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Rodzina nie знаła i nigdy już zapewne nie miała dowiedzieć się całej prawdy.

Pewnego letniego popołudnia, kiedy Grady miał prawie osiem lat, Oliwia wróciła do Mandelay, korzystając z jakiejś przerwy w nauce. Od przyjazdu była w nie najlepszym humorze, kiedy więc nagle ogarnęła ją depresja, wyszła z bawialni, gdzie cała rodzina oglądała telewizję. Skuliła się w kącie w swoim pokoju, nie zapalając światła, i trwała tak, obejmując rękami kolana. Myślała o Grady. Nagle jakimś cudem znalazł się przy niej. Potrafił niepostrzeżenie wślizgiwać się do domu, zupełnie jak dzikie zwierzątko. Przycupnął obok, tuląc się do niej swym szczupłym ciałem i szukając jej ciepła. Objęła go czule ramieniem i zaczęła płakać.

Jemu dzieje się krzywda, myślała, a ja nie mogę nic na to poradzić. Biedny mały Grady, co się z nim stanie?

Zimą, gdy Taylor miała siedem lat, dostała zapalenia opon mózgowych. Gorączka była tak wysoka, że omal jej nie zabiła. Kiedy przyszło lato i miała przyjechać do Mandelay, uprzedzono dzieci, że będzie zmieniona. Była głucha.

Dla rodziny była to tragedia przez duże „T”, dla Earlene - „krzyż, który musi dźwigać”. Zachowywała się tak, jakby ona sama, a nie córka została upośledzona. Taylor zaczęła chodzić do specjalnej szkoły dla dzieci głuchych, by nie stracić umiejętności mówienia i nauczyć się czytać z warg. Musiała także opanować język migowy, a wraz z nią musieli się go nauczyć matka i brat.

Upośledzenie Taylor nie zmieniło jej temperamentu. Nadal śmigała po drzewach w towarzystwie brata, zbierała wraz z nim kartonowe pudła, by ułożyć je warstwami tak, żeby zamortyzowały upadek, a potem oboje skakali na nie z dachu domu, dodając sobie odwagi dzikim wrzaskiem. I Taylor, i Grady utrzymywali, że ten przejmujący, pierwotny wrzask „wyraża samą istotę duszy” - zwrot zaczerpnięty z relacji o kaskaderskich wyczynach ich ojca.

Potem zaczęły się lata siedemdziesiąte. Grady i Taylor wkroczyli w okres dojrzewania. Zdumiewająca więź między nimi nie tylko trwała, ale została jeszcze wzmocniona świadomością, że ich szybkie palce mogą kpić sobie z innych ludzi w migowej rozmowie i nikt nawet nie będzie o tym wiedział. W międzyczasie umarł ich dziadek, a Earlene przestała spędzać z nimi wakacje u coraz bardziej sklerotycznej babki. Twierdziła wszem i wobec, że ma już dosyć tego nudnego miejsca. Dzieci były tym oczywiście zachwycone.

Oliwia miała już wówczas za sobą pierwszy rozwód i zastanawiała się, kiedy wreszcie Stan zdecyduje się na swój, choć akurat chwilowo znów zamieszkał z Earlene. Jego przewidywania co do własnej kariery sprawdziły się: osiągnął perfekcję w swej profesji i zaczął być ceniony. Oliwia nie przepadała za filmami akcji, ale chodziła na wszystkie, w których grał, próbu-

jąc odgadnąć, w jakich scenach się pojawiał. Kiedy inni widzowie wychodzili po zakończonym seansie, ona siedziała jeszcze, śledząc końcowe napisy, dopóki z radością nie zobaczyła na ekranie jego nazwiska.

Kiedy wpadał na krótko do Mandelay, nadal lubił szokować rodzinę opowieściami o męskim życiu i nieustających hulankach. Opowiadał o mrozących krew w żyłach wypadkach, z których ledwo uszedł z życiem, i z lubością wymieniał całą listę swoich obrażeń. Zebrał już pokaźną kolekcję blizn - miał przecież prawie czterdziestkę.

W pewien zimowy wieczór, kiedy jego żona i dzieci dawno już spały, Stan wsiadł na jeden ze swoich motocykli i pojechał na słynną Mulholland Drive, niebezpieczną drogę o karkołomnych zakrętach, wiodącą nad zapierającymi dech w piersi przepaściami. Gdy wychodził, Earlene obudziła się na chwilę. Była przyzwyczajona, że Stan nie może spać i często aż do bladego świtu ogląda telewizję, ale po raz pierwszy postanowił zabić bezsenność nocną jazdą, do tego w deszczu. Nie pytała jednak, dokąd jedzie i dlaczego.

Oliwia pamiętała pytanie, które zadała mu kiedyś, gdy już była dorosła:

- Jakim cudem nie zabijesz się, kiedy pędzisz z góry na motorze?

- Dodaję gazu i jadę jeszcze szybciej - odpowiedział z przekornym uśmiechem.

Tym razem cud się nie zdarzył.

Ponieważ Stan był już dość znany w świecie filmu, sprawa trafiła do prasy. Policja przeprowadziła śledztwo i stwierdziła, że to musiało być samobójstwo. Skończyło się jednak tylko na

domniemaniach, gdyż ulewa zmyła wszystkie ślady i nie dało się dokładnie odtworzyć przebiegu wypadku, Stan nie zostawił też żadnego listu.

Jak zwykle w takich wypadkach pozostały wątpliwości. Jazda na motocyklu była jego specjalnością i był zbyt dobry, by wypaść z zakrętu na skutek zwykłego błędu, zwłaszcza że dobrze znał tę drogę. Poza tym, gdyby zauważył jakieś niebezpieczeństwo, z pewnością potrafiłby w porę zeskoczyć z motoru. Grady był przekonany, że ojciec popełnił samobójstwo, lecz Taylor uparcie mówiła o nieszczęśliwym wypadku. Rodzina Julii również uznała to za wypadek.

Po śmierci Stanleya Earlene zdecydowała, że Grady musi zostać odesłany do męskiej szkoły z internatem, by nie dorastał w domu kobiet. Wyjątkowo w tym przypadku jej opinia była zgodna z opinią rodziny i przekonaniem panującymi w owym czasie. Umieszczenie dorastającego chłopca w zamkniętym męskim świecie o niemal klasztornej regule miało go uchronić przed zniewieścieniem czy nawet popadnięciem w homoseksualizm.

Julia zgodziła się na ten plan i regularnie płaciła chesne. Earlene zaś zamieszkała z kobietą, swoją przyjaciółką, która tak jak ona lubiła zaglądać do butelki. Kobieta ta zajęła dawny pokój Grady'ego, kiedy więc chłopak przyjeżdżał na wakacje, musiał spać na kanapie w salonie.

Rozdzielenie z bratem zaraz po śmierci ojca było dla Taylor wielkim wstrząsem. Od tego właśnie czasu jej twarz zaczęła się układać w nieprzenikniętą maskę. Z drugiej strony cieszyła się, że Grady nie musi już znosić upokorzeń w domu, zaś ona nie musi cierpieć, patrząc, jak nieustannie gnębi go rodzona matka.

Z początku pisali do siebie, używając kodu, który wynaleźli na własny użytek. Grady był najwyraźniej szczęśliwy w nowej szkole. Za to Earlene wciąż była niezadowolona. Narastała w niej zazdrość, gdyż jej syn pisał o wiele częściej do siostry niż do niej. Gdy kiedyś miotła się w szale po domu, szukając listów, które przysyłał Grady, Taylor zniszczyła je, by zachować ich wspólny sekret. Wówczas Earlene przestała wypłacać jej kieszonkowe, za które Taylor kupowała do tej pory znaczki i koperty, i w każdej wolnej chwili goniła córkę do pracy.

Taylor dla świętego spokoju była posłuszna; uczyła się wzorowo, miała przyjaciół, stała się grzeczna i spokojna - i tylko Grady wiedział, co naprawdę myśli.

Kiedy Grady skończył swoją ekskluzywną szkołę, został kaskaderem, jak Stan. Start miał o wiele łatwiejszy, gdyż nazwisko ojca przetarło mu drogę. Taylor tymczasem skończyła swoją szkołę specjalną i została nauczycielką jogi. Od czasu wypadku ojca zrezygnowała z jakichkolwiek szaleństw. Zaraz po ukończeniu szkoły wyszła za Tima, rzemieślnika, który robił piękne meble i którego spotkała na balu maturalnym. Tim znał język migowy, gdyż jego rodzice również byli głusi. Sam miał słuch bez zarzutu. Natomiast Earlene wyprowadziła się do San Diego z inną przyjaciółką.

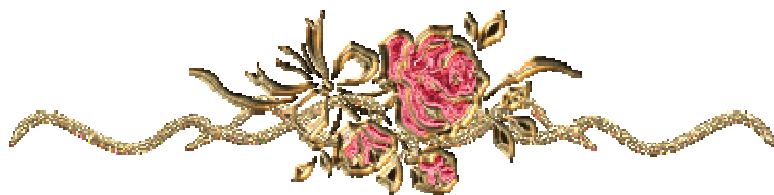
Z bliżej nieznanym powodów Taylor i Tim kupili dom w Topanga Canyon, tuż obok miejsca, z którym i ją, i Grady'ego wiązało tyle bolesnych wspomnień. Co ciekawe, Grady zrobił to samo i mieszkali teraz stosunkowo blisko siebie.

Jeszcze długo potem Oliwia wracała do tajemniczej śmierci wuja Stanleya. Rozmawiała o niej za każdym razem, kiedy spotykała się z kuzynką Jenny, próbowała wyobrazić sobie, jak na-

prawdę do niej doszło. Na ogół jednak nikt z rodziny nie lubił o tym wspominać, zapewne w myśl zasady, że „co się stało, to się nie odstanie”.

Kiedy Jenny ochrzciła swojego pierworodnego Samem, Oliwia natychmiast zapytała, czy to w myśl starego żydowskiego zwyczaju pierwsza litera imienia ma upamiętniać Stana, nawet jeśli ten się przechrcił i skończył życie samobójstwem. Jenny sprawiała wrażenie zaskoczonej i odpowiedziała, że po prostu podobało jej się takie imię. W końcu Stan był dla niej tylko kuzynem. Jeśli już, to raczej jego dzieci powinny podtrzymywać tradycję, ale Grady przecież się nie ożenił, a Taylor najwyraźniej nie chciała mieć dzieci.

Chociaż minęło dwadzieścia lat od czasu, gdy zdarzył się ów tajemniczy wypadek na Mulholland Drive, Oliwia nadal potrafiła budzić się w nocy, a potem leżeć długo i bezsenne, rozmyślając na ten temat.



Rozdział 3

Wiosna pojawiła się na krótko, a potem zniknęła, tak jak zawsze w Nowym Jorku, ustępując miejsca nadchodzącemu latu. Oliwia zastanawiała się, dlaczego z roku na rok czas zdaje się płynąć szybciej. Jej przyjaciele zresztą również to zauważali. Śmiejąc się nieco nerwowo, żartowali, że to objaw starzenia się, lecz widać było, iż nie chcą przyjąć tej prawdy do wiadomości.

Ciekawe, jak też spędzi letnie miesiące moja kochana rodzinka, zastanawiała się czasem. Jakiś czas temu dostała kartkę od Melissy, która spędzała właśnie urlop w Europie, z mężem i dziećmi. Od ciotki Myry natomiast słyszała, że Jenny i Paul wynajęli letni dom gdzieś nad jeziorem w Massachusetts, razem z całą piątką dzieciaków, i że jest im tam cudownie. O innych nie miała żadnych wieści i nie spodziewała się ich. Ci, którzy nie wyjechali, harowali tak samo ciężko, jak ona i nie mieli czasu, by się odezwać.

Oliwia lubiła letnie weekendy z Rogerem w Nowym Jorku. Kto mógł, uciekał z miasta, więc łatwo było znaleźć miejsce w restauracjach czy kinach, sklepy organizowały wyprzedaże. Tradycja rodzinna nakazywała robić zakupy w „JULII”, na rachunek właściciela, ponieważ obraz firmy zyskiwał w oczach

pracowników, gdy pojawiali się między nimi właściciele. A jednak, choć można było tam znaleźć kolekcje od najlepszych kreatorów mody, Oliwia wolała myszkować po małych butikach, gdzie mogła znaleźć swoje ukochane zwariowane ciuchy. Oczywiście, rodzina wiedziała o tym, lecz ona nie martwiła się tym zbyt.

Latem w Nowym Jorku było nieznośnie gorąco, a miejski smog niemal uniemożliwiał oddychanie, lecz w ich domu była porządna klimatyzacja. Ta trzypiętrowa rezydencja była cudowną oazą chłodu i spokoju. Ogród z tyłu podzielili płotem z palików na dwie części. Jedną stanowił wybieg dla psich pacjentów, starannie utrzymywany przez pracowników; druga zarezerwowana była wyłącznie dla nich oraz dla Wozzle i Bustera. Rosły tu drzewa i kwiaty, a wino oplatało ceglany mur. Na kamiennych płytach stał gazowy grill, a w cieniu wielkiego parasola mieścił się stół i krzeselka. Dawniej rozważali nawet pomysł kupienia letniego domku w ładnej okolicy, ale dotychczas wszystkie pieniądze pochłaniał dom i klinika. Poza tym drugi dom oznaczał podróżowanie, a zatem zakup samochodu i głowienie się, gdzie dobudować garaż - słowem, zbyt wiele zachodu.

Roger właśnie obchodził czterdzieste dziewiąte urodziny. Wprost trudno było uwierzyć, że za chwilę przekroczy groźną smugę cienia. Nalegał, by uczcić je skromnie, tylko kolacją we dwoje w dobrym lokalu. Kiedy zaś Oliwia napomknęła, że za rok urządzi mu wielkie przyjęcie, oświadczył stanowczo, że nawet nie chce o tym słyszeć. Niedawno byli na takiej imprezie u przyjaciela. Uroczystość zorganizowała mu żona, nie szczędząc kosztów, które musiały być duże, a wyszedł z tego kolejny nudny towarzyski spęd.

- Żony zawsze urządzają pięćdziesiąte urodziny swoim mę-

tom - zauważyła Oliwia. - Ale mężowie nigdy nie urządzają ich dla żon. Powiedz, dlaczego?

- Ponieważ kobiety nie chcą publicznie przyznawać się do swojego wieku, to oczywiste.

- Może ty nie chcesz. Ja tam nie mam oporów.

- Poczekaj, aż będziesz miała moje lata, a wtedy zobaczymy - powiedział z chytrym uśmiechem.

Ostatnio zaczął chodzić na siłownię cztery razy w tygodniu. Stwierdził, że niepokojąco zaczyna obrastać tłuszczem i w ogóle brak mu kondycji.

- Według mnie, wyglądasz zupełnie dobrze - stwierdziła Oliwia. - Nie zniosłabym męskiego anorektyka, który stale gada o diecie Pritkina i cholesterolu. Wolałabym również, żebyś nie wyglądał jak chodząca ilustracja z atlasu anatomicznego.

- Słowem, chcesz powiedzieć, że lubisz mnie grubego.

- Nie jesteś gruby, ale lubię cię!

Zresztą nawet po tak forsownych ćwiczeniach nie zauważyła większej różnicy w jego wyglądzie, co trochę ją dziwiło. Jednak nie wracała więcej do sprawy, wiedząc, że jest to temat drażliwy.

Zaplanowali dziesięć dni urlopu w październiku i chcieli je spędzić w Paryżu. Oliwia zarezerwowała już pokój w uroczym hotelu nad brzegiem Sekwany, gdzie zatrzymywali się już przedtem. Załatwiła też zastępstwo. Doktor, który miał pracować w klinice pod ich nieobecność, zgodził się również zaopiekować Wozzle i Busterem. W Paryżu mieli robić to samo, co w wolnym czasie w Nowym Jorku: spacerować, jeść i oglądać filmy - tyle że w innej scenerii i na większym luzie. Oliwia nie mogła doczekać się tego wyjazdu.

Na początku września, w porze kiedy dzieci wróciły już z wa-

kacji, ale jeszcze nie poszły do szkół, Kenny zaprosił ich do Santa Barbara na bar micwę* swego jedyne go syna Jasona. Zarezerwował na weekend pokoje dla całej rodziny w luksusowym hotelu „Four Seasons Biltmore”. Roger jak zwykle usiłował się wykręcić.

- Kochanie, nie wyobrażam sobie, że miałbym lecieć do Kalifornii na jeden weekend - zaprotestował nerwowo. - Dwa długie przeloty i do tego koszty, bo przecież wiesz, że nie lubię latać trzecią klasą... Nie, nie ma mowy, zwłaszcza że przecież bierzemy urlop w październiku.

- Ale Kenny'emu tak zależy na naszym przyjeździe - nalegała, czując wzrastającą irytację. - Napisał nawet twoje nazwisko na zaproszeniu i karcie hotelowej.

- Kochanie, nie mamy o czym dyskutować. Dobrze wiesz, że ktoś musi zostać z pacjentami. Jedź i ciesz się rodziną, a ja w tym czasie popracuję.

Jasne, pomyślała z rezygnacją. Znow postawił na swoim. Gdyby nawet jakimś cudem wyciągnęła go ze sobą, natychmiast stałby się zrzędlawy i przybrałby ten swój cierpiętniczy wyraz twarzy, jakby nie wiadomo jak się poświęcał. Oczywiście, wobec rodziny udawałby nadal miłego i szarmanckiego.

Oliwia nie rozumiała, jak można być do tego stopnia uczulonym na rodzinne ceremonie. Wszyscy inni mężowie w rodzinie grzecznie przestrzegali ustalonych reguł, przynajmniej na pokaz.

* bar micwa - uroczystość obchodzona przez wyznawców judaizmu, w trakcie której chłopiec staje się pełnowartościowym członkiem wspólnoty religijnej (przypada na pierwszy szabat po 13. urodzinach) - (przyp. red.)

Ona jedna miała stale kłopoty z tym swoim odmieńcem. Niedługo dojdzie do tego, że w ogóle przestaną go zapraszać.

Martwiła ją postawa Rogera, lecz cieszyła się perspektywą ponownego spotkania z Kennym i jego rodziną. Jasona, z którego powodu miało dojść do kolejnego rodzinnego zjazdu, nie widziała, odkąd miał cztery lata. Kenny i Gloria byli jeszcze wówczas małżeństwem i odwiedzili ją w Nowym Jorku z dzieckiem. Zastanawiała się teraz, czy w ogóle go poznał już przecież trzynaście lat. Trudno, pojedzie nawet bez Rogera. Musi ich wszystkich zobaczyć, przecież to jej rodzina, jej krew.

Kenny był na pierwszym roku studiów medycznych, kiedy przywiózł Glorię Weinstein do Mandelay. Oliwia wiedziała o niej wcześniej, bo sam się jej zwierzył.

- Jak ci z nią jest? - zapytała z życzliwą ciekawością. Kenny był tak wstydlivy, że wcześniej nikt nie słyszał, by chodził z jakąś dziewczyną.

- Ona nie jest zbyt dobra - odparł z rozbijającą szczerością.
- Aleja też nie jestem - przyznał samokrytycznie.

Ten młody mężczyzna był naiwny jak dziecko, być może dlatego, że pieniądze rodziców izolowały go zawsze od prawdziwego świata. Gloria okazała się pulchną blondyną z Bronksu, gadatliwą i tryskającą energią, oczywiście bez pieniędzy. Jak było do przewidzenia, rodzina nie- zaaprobowała jej i tylko Oliwia miała w tej sprawie inne zdanie. Byli jeszcze skłonni przyjąć to, że Gloria, jako sekretarka, nie miała żadnych zawodowych ambicji, ale ostatecznie naraziła im się swoim otwartym i bezceremonialnym traktowaniem spraw, które w ich rodzinie były sprawami tabu, na przykład takich jak seks. Potrafiła, jeszcze

jako narzeczona, przychodzić na noc do pokoju Kenny'ego, co naturalnie gorszyło wszystkich i spotykało się z jednoznacznym potępieniem. Poza tym była tak ekspansywna i zaborcza, że rodzice bali się, iż całkowicie zdominuje ich syna. Po ślubie jednak uspokoili się, przewidując najwyraźniej, że prędzej czy później tak dojdzie do rozwodu.

Tymczasem Kenny i Gloria sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych. On studiował, a ona pracowała. Kiedy po dyplomie postanowił, że przeniosą się do Kalifornii i tam rozpocznie praktykę, nie protestowała, choć musiała zostawić swoich licznych i ukochanych przyjaciół. Teraz jedynym jej przyjacielem został Kenny, ona zaś była jego najlepszą przyjaciółką, powiernikiem i towarzyszem. Rodzice Kenny'ego umarli szybko, jedno po drugim, a wówczas żona stała się dla niego całym światem.

Wbrew przewidywaniom rodziny Gloria okazała się znakomita w tej roli. Żona młodego, zdolnego kardiochirurga szybko stała się ponadto podporą lokalnej społeczności, opiekunką artystów, a przy tym osobą skromną i taktowną. Zbudowali wspólnie piękny, przeszklony dom nad oceanem, Gloria aktywnie działała w rozmaitych komitetach i nigdy nie narzekała na długie dyżury Kenny'ego. Zgromadziła wokół siebie nowy krąg przyjaciół i królowała w nim tak, że nikomu nie przyszłoby do głowy, jak bardzo jest nieśmiała.

Dwa razy w roku organizowali sobie wspaniałe podróże - do Europy, Ameryki Południowej, do Afryki, na Bliski Wschód; do amazońskiej dżungli, piramid czy innych historycznych ruin. Z czasem stali się całkiem niezłymi fotografami i po każdej podróży dekorowali puste ściany swojego nowoczesnego domu kolorowymi zdjęciami.

Później urodził się Jason. Bardzo wcześnie zaczęli zabierać go ze sobą w podróże, choć babcie i ciotki ostrzegały, że złapie jakąś egzotyczną chorobę. Teraz całe ściany pokrywały zdjęcia ich trojga, tak ciasno, że widać było tylko kalejdoskop krajobrazów z wakacji i błękit oceanu za szybą.

Wreszcie pewnego roku, gdy Jason miał sześć lat, cała trójka wybrała się na trekking w Himalaje. Kenny był jeszcze wtedy szczupły i miał świetną kondycję, wyrobioną w niezliczonych włóczęgach. Z całą pewnością nie był typem mężczyzny, od którego chciałaby odejść żona czy ukochana. Mimo to w dniu powrotu Gloria powiedziała do męża:

- Wracaj do domu z Jasonem. Ja zostanę, żeby odwiedzić mojego guru.

Kenny zdziwił się nieco, lecz zaraz potem uznał, że zgodnie z modą tamtych lat żona przechodzi okres fascynacji filozofią wschodu, więc potulnie sprowadził syna z Himalajów, podczas gdy Gloria odeszła z jakimś Szerpą.

Ów „incydent” wyjątkowo nie był komentowany przez rodzinę, zupełnie jakby został natychmiast wymazany z pamięci. Wkrótce Gloria i Kenny rozwiedli się. Syn został przy nim, a ona wyszła za mąż za Szerpę Tenzinga i wyjechała z nim do Indii. Z jeszcze większym ferworem i powodzeniem odnalazła się tam w życiu rodzinnym. Założyli z mężem agencję podróżniczą i zabierali turystów na wyprawy. Przy tej okazji poznała wiele znanych osobistości. Jason, kiedy już podrósł, przylatywał do niej czasem na wakacje, co, jako doświadczony podróżnik, uważał za zupełnie normalne.

Natomiast Kenny fatalnie zniósł rozstanie. Poświęcił się całkowicie wychowaniu Jasona i choć nadal uchodził za świetną partię

i spotykał się z wieloma kobietami, nie wykazywał najmniejszej ochoty na ponowny ożenek. Tył coraz bardziej, nie zważając na rodzinne skłonności do chorób serca. Nie wiedział, co zrobić z fotografiami z dawnych, szczęśliwych dni, więc w końcu zostawił je tam, gdzie były. Gloria była przecież matką Jasona.

Kiedy Oliwia po raz pierwszy usłyszała tę historię, pomyślała, że w jakiś osobliwy sposób pasuje ona do Glorii. Później przyszły także i inne refleksje.

Pewnego razu ośmieliła się zapytać o to Kenny'ego.

- Dlaczego Gloria odeszła z Tenzingiem? Czego właściwie szukała w życiu? Przygody?

- Czegoś w tym rodzaju - burknął, unikając jej spojrzenia. Był niezwykle zakłopotany jej dociekliwością. Oliwia natomiast zrozumiała, że Kenny wciąż nie pogodził się z utratą żony.

Podróż zajęła jej prawie dziewięć godzin: godzinę jazdy na lotnisko Kennedy'ego, pięć i pół godziny lotu oraz dwie godziny jazdy do Santa Barbara wynajętym wozem. Kiedy jednak dotarła do hotelu, na skutek różnicy czasu słońce świeciło jeszcze jasno. Hotel zbudowano w dawnym hiszpańskim, ozdobnym stylu. Otaczały go ogrody i kępy palm, a za nadmorską szosą ciągnęła się piękna oceaniczna plaża.

Oliwia była zmęczona, ale kiedy rozpakowała swoje kreacje, poczuła się znacznie lepiej. Sam pokój był bardzo przyjemny - utrzymany we francuskim, rustykalnym stylu, w pastelowych tonacjach, z ładnymi obiciami i widokiem na basen. Królewskie łóżko kusiło do drzemki, lecz radosne okrzyki z basenu sprawiły, że od razu przebrała się w kostium i wyszła, by poszukać rodziny nad wodą.

Gdy tylko zeszła na dół, Jenny i Melissa pomachały ku niej spod plażowego parasola. Podeszła do nich. Przywitały się radośnie i wyciąłowały.

Ktoś z hotelowej obsługi podał jej ręcznik i przyniósł zamówioną mrożoną herbatę. Nieopodal pluskali się i pokrzykiwali chłopcy, grający w piłkę wodną. Niebo miało głęboki kobaltowy odcień, rzeźka bryza chłodziła skórę; można się było wylegiwać na leżaku z książką i chłodnym drinkiem pod ręką - Roger naprawdę nie wiedział, co traci.

Maks, Sam, Abe i Jakie, mali chłopcy o poważnych imionach, pluskali się w wodzie zwinnie jak foki.

- A gdzie są dziewczynki? - zapytała Oliwia.

- Z ojcami, na plaży - odparła Melissa. - Czy Roger przyjechał z tobą?

- Nie:

Ani Jenny, ani Melissa nie wydawała się zdziwiona czy też oburzona tym faktem, choć z pewnością ucieszyłyby się, gdyby mogły zobaczyć Rogera. Oliwia postanowiła, że zadzwoni później do niego z hotelowego pokoju, żeby powiedzieć mu dobranoc, zanim zacznie się uroczysta kolacja.

- Czyż nie jest tu bosko? - zapytała Jenny, przeciągając się rozkosznie. Oliwia przyznała w duchu, że obie z Melissa świetnie wyglądają w kąpielowych kostiumach, pomimo wszystkich dzieci, które do tej pory musiały urodzić. Miała nadzieję, że sama wygląda nie gorzej od nich.

- Tak, cudownie - przyznała.

- Powinniśmy się spotykać właśnie w taki sposób, a nie ciągle tylko z okazji pogrzebów czy bar micw - stwierdziła Jenny.

- Słusznie.

- I koniecznie w miejscach takich jak to - dodała Melissa. - Billowi i mnie tak się spodobało, że zamierzamy tu spędzić urlop. A na jutro, po uroczystości, wynajęliśmy kort.

- Powinniśmy chyba założyć rodzinny klub - ciągnęła z rozmarzeniem Jenny. - Spotykałibyśmy się w jakimś wypoczynkowym hotelu, takim jak ten, tylko trochę bliżej położonym, powiedzmy, dwa razy do roku...

- Świetna myśl! - przyklasnęła Oliwia.

- Jak kiedyś w Mandelay - powiedziała cicho Melissa. Popatrzyły na siebie z Jenny i westchnęły jednocześnie.

- Brakuje wam Mandelay? - zapytała Jenny.

- Och, jeszcze jak! - skłamała Oliwia.

Nigdy nie podzielała sentymentu krewnych do tego miejsca. Może dlatego, że gdy inne dzieci mogły bawić się tam z zaproszonymi przyjaciółmi, jej matka tępiła wszystkie przyjaźnie, zaledwie Oliwia zdołała je nawiązać. Zaborczo pragnęła mieć cerkę tylko dla siebie.

- Nick był tam niedawno - powiedziała Melissa. - Przejeżdżał obok i wstąpił na chwilę. Powiedział tym ludziom, że kiedyś tu mieszkaliśmy, i zapytał, czy może się rozejrzeć. Byli dla niego bardzo mili i zgodzili się chętnie.

- No i jak tam teraz wszystko wygląda?

- Tak samo, przebudowali tylko kuchnię.

- Kuchnię w suterenie? - przypomniała sobie Jenny. - Pamiętam. Lubiałam ją. A jedzenie... Pamiętacie te cuda?

Oliwia wciąż miała w pamięci owo rytualne zasiadanie przy stole, uginającym się od przeróżnych wyrafinowanych potraw; pamiętała jednak również, jak przez kolejne spędzane tam wakacje marzyła, by wyrwać się wreszcie z Mandelay na swobodę, do

zakazanego świata, na zewnątrz. Obiecała sobie wtedy, że jak najszybciej wyjdzie za mąż, byle tylko odgradzić się od zaborczej miłości matki.

- Dlaczego właściwie oni to sprzedali? - zastanawiała się Jenny. - Nawet nas nie spytali.

- I tak nie mielibyśmy środków ani czasu, by utrzymać Man-delay - stwierdziła trzeźwo Oliwia.

- Ale powinni nas przynajmniej zapytać, co o tym myślimy.

- Słuchaj - zapytała Oliwię Jenny - ty zawsze byłaś w Man-delay sama, bez rodzeństwa. Jak właściwie się między nami czułaś?

- Nie dbałam o to - odpowiedziała z udawaną beztroską. - Zresztą, po co mnożyć małych neurotyków?

Ani jedna, ani druga nie zaprzeczyły, gdyż prawda o nieznośnej nadopiekuńczości Lili była aż nadto znana. Jednak Oliwia wiele razy zastanawiała się, jak to by było mieć brata czy siostrę, choćby nawet mieli być znerwicowani. Bardziej marzyła o bracie, takim, który stałby się jej najlepszym przyjacielem. Dla niej samej ideałem byłaby dwójka dzieci: chłopiec i dziewczynka, tworząca wraz z rodzicami idealny, ciepły i łatwy do ogarnięcia rodzinny układ.

- A ja nienawidziłam być jedynaczką - stwierdziła Jenny.

- Czy pamiętasz, jak przesiadywałam całe dni z lalkami na bujaku, udając, że to moje dzieci?

Oliwia skinęła głową.

- I dzieci to najważniejsza rzecz w moim życiu - dodała Jenny. - Idziesz do szpitala sama, a wychodzicie we dwoje. Nie zwykłe, prawda?

- O tak, ja też to czułam - przyświadczyła Melissa.

- No więc, ile jeszcze dzieci planujecie?

Melissa uśmiechnęła się tylko, a Jenny zrobiła wielkie oczy.

- Daj spokój, mnie już chyba wystarczy, no nie?

Pamięć podsunęła Oliwii obraz Jenny, trzymającej w ramionach niemowlaka - mógł to być Sam, jej pierworodny - na jakimś rodzinnym przyjęciu. Była jeszcze gruba po ciąży i twarz miała okrągłą. Malec przyssał się śmiesznie do jej policzka. Jaka wielka musiała mu się wydawać twarz matki!

- A ja bałam się mieć dzieci - wyznała. - Bałam się, że będę złą matką.

- Albo tylko tak sobie wmówiłaś- stwierdziła Jenny.

Oliwia nie po raz pierwszy słyszała uwagi w podobnym stylu.

Teraz spotkało mnie wszystko, przed czym tak ostrzegała mnie matka, dodała gorzko w myślach. Nie mam rodziców, rodzeństwa, męża ani dzieci... Mam za to Rogera, który jest mi mężem, bratem i całą rodziną. I choć to brzmi głupio, mamy nasze psy, które są dla nas jak dzieci.

- Gdzie są Grady i Taylor? - zapytała, chcąc zmienić temat. Choć rozglądała się już od pewnego czasu, nigdzie ich nie mogła dostrzec.

- Mają przyjechać jutro - poinformowała Jenny. - Uznali, że nie ma sensu wydawać pieniędzy na hotel.

- Mają tu kawał drogi - powiedziała Oliwia.

- Ty jechałaś długo - uśmiechnęła się Melissa - ale Grady zrobi tę trasę w czterdzieści pięć minut.

- Powiedzcie mi, czy Grady naprawdę jest gejem? -zapytała nieoczekiwanie Jenny.

Ten temat był często dyskutowany przez obie kuzynki. Oliwia

podejrzewała, że Jenny i Melissa regularnie spotykają się, by plotkować, a wtedy biorą na języki całą rodzinę, szczególnie zaś Grady'ego.

- Raz go kiedyś o to zapytałam. Zastrzegłam, że nie mam nic przeciw i chcę tylko, żeby był szczęśliwy, ale on uparcie zaprzeczał. Twierdził, że nie może związać się z kobietą ani ożenić, bo nie ufa nikomu.

- Nikt z nas nie miałby nic przeciw - poparła ją Jenny.
-Gorszy byłby sam fakt ukrywania czegoś takiego przed rodziną.

- No ale z drugiej strony - zastanawiała się Melissa - on ma już trzydzieści pięć lat i wciąż nie umawia się z kobietami. Zaś większość jego męskich przyjaciół jest kilkanaście lat młodsza od niego. Pamiętacie, jak wrócił kiedyś z podróży i pokazywał nam zdjęcia tego podejrzanego gościa?

- E, tam... Ciotka Julia mówiła, że znali się jeszcze ze szkoły
- wyjaśniła Oliwia, choć bez przekonania.

- Czy Taylor wie coś na ten temat?

- Jeśli coś jest na rzeczy, na pewno.

- Dobrze, ale on przecież żyje z Mirandą, czy jak jej tam, tą aktorką.

-Żył.

- Jak to? Zerwali?

- Podobno.

- Skąd wiadomo, czy ich coś łączyło?

- W każdym razie mieszkali ze sobą i uważana była za jego kobietę.

- Wiecie co? Przecież ciotka Julia wybaczyłaby mu, że jest homoseksualistą. Dlaczego on jest taki piekielnie skryty?

- Nie zapominaj, w jakim kręgu się obraca. Ci wszyscy ka-

skaderzy i wyczynowcy to babiarze, pozujący na prawdziwych macho. Wyobrażasz sobie geja na rodeo?

- Wszędzie znajdują się geje.

Oliwia z westchnieniem wzruszyła ramionami. Znow wy-
czerpały temat, nie dochodząc do żadnego wniosku.

- Trudno jest być w tej rodzinie, nie mając w sobie krwi
Millerów - zaczęła nowy Jenny.

- Kiedy się ją ma, też nie jest łatwo - powiedziała Melissa.
Spojrzały na siebie porozumiewawczo i pokiwały głowami.

- A jednak trudniej, kiedy się nie ma. - Melissa zwróciła się
do Oliwii. - Pamiętasz? Twoja matka nie lubiła mojej. Nigdy jej
nie akceptowała.

Oliwia była zaskoczona, że Melissa o tym wie. Nikt nie lubił
Hedy, matki Melissy, którą rodzina miała za pyską szwagierkę,
ale nigdy nie przypuszczała, że Hedy wyczuwała tę tak starannie
ukrywaną niechęć.

- Za moim ojcem też nie przepadano w tej rodzinie - dodała
Jenny. - Zawsze czuł się w niej obco, a ja się z nim identyfiko-
wałam. Sama też czułam się obco.

- Czemu?

- Wyznawałam inne wartości.

- Mhm, wiem coś o tym. Teraz ja zostałam wystawiona na
odstrzał - zaśmiała się Oliwia. - Mają mi za złe, że lecę zwie-
rzęta zamiast ludzi.

- Uważają po prostu, że jesteś zbyt niezależna - wyjaśniła
Jenny. - Niezależność ich przeraża. Ale mnie również nie apro-
bują, bo jestem złośliwa i zawsze mówię prawdę w oczy.

Nie tylko to zresztą drażniło rodzinę w sposobie życia Jenny.
Było powszechnie wiadomo, iż Jenny kupuje rzeczy dla dzieci

w sklepach organizacji charytatywnych. Oszczędzała też na fryzjerze i sama strzygła swe pociechy, ba, strzygła i czesała nawet siebie, i to z niezłym skutkiem, z czego była szczególnie dumna. Wszystkie jej dzieci chodziły do szkół publicznych, a czeki z dywidendami z „JULII” przeznaczala na cele dobroczynne albo umieszczala na długoterminowym koncie. W przeciwieństwie do reszty rodziny żyli oszczędnie i utrzymywali się razem z Pauliem wyłącznie ze swoich zarobków.

- Moja matka powiedziała, że jeśli nie zacznę wydawać pieniędzy i żyć na poziomie, nic mi nie zostawi - prychnęła Jenny.

- Teraz tak powiedziała?

- Tak, niedawno. Więc pociesz się, że nie ty jedna jesteś na widelcu.

- Aha...

- Ale nie zapominaj o jednym - ciągnęła Jenny. - Bez względu na wszystko, i tak będą cię kochać. Zawsze.

Dziewczynki z piskiem nadbiegły z plaży, całe utyłane w piasku, lecz szczęśliwe. Zmiana stref czasowych najwidoczniej szkodziła tylko dorosłym, co z kolei widać było po ich zmęczonych, ziewających tatusiach. Trzy dziewczynki Jenny - Didi, Klara i Belinda natychmiast obsiadły Oliwię, całując ją i ścisnąjąc. Za to Yael Melissy podeszła do ciotki z rezerwą, uciekając wzrokiem w bok. Amber Nicka udawała natomiast, że jest ponad to i nawet się nie przywitała.

Cóż, przynajmniej trzy z całej piątki dobrze się zapowiadają, pomyślała Oliwia.

- Naprawdę chcesz pójść z nami na pizzę? - upewniła się Jenny. - Nie zanudzisz się?

- Ależ skąd!

Kiedy wróciła do pokoju, żeby się przebrać, zastała wiadomość od Rogera: „Wychodzę coś przekąsić, będę spał, kiedy wrócisz, baw się dobrze, zadzwonię jutro”. Momentalnie poczuła ukłucie tęsknoty za nim i za domem. Żałowała, że nie wpadł na pomysł, żeby sprawdzono, czy nie ma jej nad basenem.

Zadzwonił za to następnego dnia rano i obudził ją.

- Obudziłem cię, prawda? Przepraszam, ale chciałem być pewien, że cię złapię. Wychodzę kupić parę rzeczy.

- Nie szkodzi, kochanie, i tak zaraz włączyłby się budzik.

- Oliwia na próżno starała się doszukać w jego głosie jakiejś miękkiej, stęsknionej nuty. Z drugiej strony w Nowym Jorku, przy trzech godzinach różnicy, była już prawie pora lunchu, więc miał prawo być zajęty i zaaferowany innymi sprawami.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytał uprzejmie.

- Zjem śniadanie, ubiorę się i pójdę na uroczystość. A potem z powrotem do hotelu, żeby odpocząć trochę, kiedy dziecko będzie liczyło pieniądze i prezenty. No a wieczorem wielkie przyjęcie w sali bankietowej. Mam nadzieję, że wszyscy będą się dobrze bawić. A co ty będziesz robić?

- Sobotnia normalka. Może pójdę sobie kupić koszule, a potem obejrzę jakiś mecz.

- W takim razie, jeśli masz kupować koszule, weź moją kartę do „JULII” - zaproponowała.

- A ty byś wzięła?

Zachichotali oboje, ciesząc się tym, że tak dobrze się rozumieją.

- Wiesz, stęskniłam się za tobą - powiedziała czule.

- Ja też, ale wiem, że już jutro wracasz.

- Wieczorem.
- W takim razie czekam. I kocham cię.
- Ja też cię kocham.

Odłożyła słuchawkę i zadzwoniła po kawę. Teraz, kiedy powiedział, że ją kocha, poczuła się wreszcie wolna i gotowa do tego radosnego dnia. Już nie musiała się martwić, czy Roger myśli o niej i czy się nie nudzi.

W bożnicy usiadła obok Grady'ego. Taylor, siedząca pomiędzy Grady'm a swoim mężem, Timem, miała na sobie długą, kwiecistą sukienkę w stylu „Domek na prerii” i wyglądała najwyżej na dwadzieścia parę lat, a nie na swoje trzydzieści trzy. Pochyliła się nerwowo ku Oliwii.

- Słuchaj, co ja właściwie mam robić? - zapytała niepewnie. Oliwia domyśliła się, że to pewnie jej pierwsza bar miewa.

- Nic - odpowiedziała z uśmiechem przeznaczonym również dla Grady'ego, który jak zwykle siedział ze swoją miłą i tajemniczą miną, a także dla Tima, który skinął jej głową, uśmiechając się w odpowiedzi i usiłując jednocześnie wyglądać poważnie, co nie było łatwe, zważywszy że jego gładko szesane i związane w koński ogon włosy nakryte były wypożyczoną na czas ceremonii jarmułką.

Taylor radosnym gestem rozłożyła ramiona ku Timowi i Grady'emu.

- Oto moi mężczyźni - oznajmiła.

Kenny siedział w pierwszym rzędzie. Oliwia rozpoznała tył jego głowy. Nagle wszyscy odwrócili się ku wejściu, gdyż na salę wpadła w pośpiechu nieco spóźniona para, wypatrując wokoło wolnych miejsc. Hinduskie sari, w które była ubrana kobieta, nie skrywało faktu, że w istocie była blond-Żydówką z Bronksu.

Obok niej szedł, błyskając w uśmiechu białymi zębami, niski, czarnowłosy mężczyzna, ubrany w mundurek w stylu Nehru i charakterystyczną haftowaną czapkę. Tenzing i Gloria, bo to oni zawitali do bożnicy jako ostatni, usiedli szybko w jednym z pierwszych rzędów, Oliwia zdążyła jednak zauważyć, że Gloria wygląda kwitnąco, o wiele lepiej niż kiedyś, i że ma rewelacyjną cerę. W tej samej chwili rozpoczęła się ceremonia.

Oliwia nigdy nie odebrała religijnej edukacji, gdyż nie chciała chodzić do niedzielnej szkółki, a rodzice, jako że była dziewczynką, nie namawiali jej do tego specjalnie. Spojrzała teraz na Jasona i pomyślała, że zapewne od dawna i do ostatniej chwili musiał przygotowywać się do tego wydarzenia. Ręce mu się trzęsły, był spięty, ale minę miał dumną. Choć Oliwia nie знаła hebrajskiego, miała głębokie poczucie uczestnictwa w tej uświęconej tradycją ceremonii, w trakcie której chłopiec stawał się mężczyzną, pełnoprawnym członkiem wspólnoty i z dzieciństwa przechodził do dojrzałości. Teraz zrozumiała, jak wyobcowani musieli się czuć Grady i Taylor, nie tylko wobec tej religii, ale i całej rodziny. Posmutniała nagle.

Jason tymczasem skończył właśnie modlitwy i zaczął wygłaszać mowę. Teraz, kiedy przeszedł na angielski, Tim zaczął tłumaczyć żonie kolejne zdania na język migowy.

- Mam korespondencyjnego przyjaciela - mówił Jason. - To Żyd z Rosji, który skorzystał z prawa do emigracji po pieriestrojce i wyjechał z rodzicami do Izraela. Pisujemy do siebie od roku. Rabin zakwalifikował to jako mój indywidualny program szkolny. Poprzez nasze listowne kontakty obaj nauczyliśmy się wiele o innych ludziach. I choć nasze życie jest zupełnie inne, w dużym stopniu jesteśmy podobni. Dlatego jedną trzecią pieniędzy,

które dzięki waszej łaskawości otrzymałem w darze, pozwolę sobie przeznaczyć na darowiznę, która pomoże przetrwać moim przyjaciółom w małym i bardzo potrzebującym wsparcia miasteczku w Izraelu.

Przez salę przeszedł szmer zaskoczenia i uznania. Ach, cóż za dojrzały, odpowiedzialny i wrażliwy młody człowiek! - zdawały się mówić usatysfakcjonowane spojrzenia zebranych. Grady również uniósł brew, zerknąwszy na Taylor.

- Kończąc tę przemowę - podsumował Jason - chciałbym podziękować mojemu ojcu i mojej matce, a także Tenzingowi, który był dla mnie jak drugi ojciec.

Ach, jak słodko, pomyślała Oliwia. Drugi ojciec. Poczowała ucisk w gardle i narastającą falę łez. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że przynajmniej część uczestników tamtego rodzinnego skandalu jest po prostu szczęśliwa.

Ceremonia bar micwy dobiegła końca i goście ruszyli ochoczo do sąsiedniej sali, gdzie na długich stołach rozstawiono małe kieliszki wina dla dorosłych, sok grapefruitowy dla dzieci i ciasteczka. Rodzinny tłumek kłębił się wokół stołów, a wśród nich królował promieniejący ojcowską dumą Kenny, który cały czas obejmował ramieniem plecy swego syna. Oliwia dostrzegła, że Gloria przepycha się ku niej przez tłum.

- Pamiętasz mnie jeszcze? Jestem Gloria. Była żona...

- Oczywiście, że pamiętam - przerwała jej z uśmiechem Oliwia. Trzeba przyznać, że ta kobieta jest dość niezwykła, pomyślała, zerkając na nią dyskretnie. Ciekawe, czy na te swoje trekkingi zakłada sari, czy dzinsy?

- Świetnie wyglądasz - skomplementowała ją Gloria.

- Ty też - Oliwia była równie uprzejma.

- Dawno się nie widziałyśmy.
- To prawda.
- Widzisz, nikt nigdy nie rozumiał, na czym naprawdę polega mój związek z Kennym - stwierdziła Gloria. - A jeśli już był ktoś taki, to jedynie ty.

- Może trochę...
- Byliśmy zawsze z Kennym bardzo bliskimi przyjaciółmi - ciągnęła Gloria. - I nadal jesteśmy. Kenny nie jest w stanie nic postanowić bez konsultacji ze mną. Ciągłe wisi na telefonie i pyta - co powinienem zrobić z tym, a co z tamtym, rozumiesz? Dlatego nie ożenił się po raz drugi. Jest zbyt uzależniony ode mnie.

Może gdyby się drugi raz ożenił, zniknęłaby wreszcie ta zależność, pomyślała Oliwia, ale kiwnęła tylko głową ze zrozumieniem.

- Wiem, że i tak nikt z rodziny nie wybaczy mi odejścia - dodała Gloria.
- Kenny i Jason ci wybaczyli, a to najważniejsze.
- Masz rację - rozpromieniła się Gloria. - Wiedziałam, że ty jedna to rozumiesz.

Stały jeszcze przez chwilę, patrząc na siebie uważnie. Obie miały poczucie, że nie mają już sobie nic więcej do powiedzenia. Narastało niezręczne milczenie.

- W każdym razie cieszę się, że miałam okazję cię zobaczyć - powiedziała w końcu Gloria.

- Ja też. - Zaledwie Oliwia wypowiedziała te słowa, Glorii już nie było.

- Czy to była Gloria? - zapytał Grady, który znalazł się po chwili obok niej. Taylor szła za nim krok w krok.

- Tak-potwierdziła Oliwia.
- Właśnie mówiliśmy sobie z Taylor - powiedział Grady -że powinnaś nas koniecznie odwiedzić.
- Spróbuję, jak tylko będę mogła. Przecież wiesz, że was lubię.
- Chciałbym, żebyś zobaczyła mój nowy dom. Jest piękny, cały otoczony drzewami. Dałbym ci pokój gościnny i zabrał na przejażdżkę na motocyklu.
- Trzymaj dla mnie ten pokój.
- On ma naprawdę piękny dom - powiedziała Taylor. -A zresztą mogłabyś zatrzymać się także i u nas.
- Też macie motocykle?
- Nie.
- To dobrze.
- Za to ja jeżdżę konno. Boisz się koni?
- Może trochę. Nie zajmuję się dużymi zwierzętami. - Oliwia wzdrygnęła się.
- W każdym razie czuj się zaproszona - powiedział Grady. - Poszalejemy sobie, jak przyjedziesz. - Mrugnął do niej z porozumiewawczym uśmiechem, który nagle przypomniał jej Stana.
- Czy widujecie się czasem z Kennym? - zapytała.
- Nie.
- Przecież mieszka całkiem blisko.
- Ale nie widujemy się.
- Ani z Kennym, ani z nikim - odezwała się Taylor. - Nikt z rodziny nie był jeszcze w moim nowym domu
- W moim też, choć wcale nie jest nowy - pocieszyła ją Oliwia.

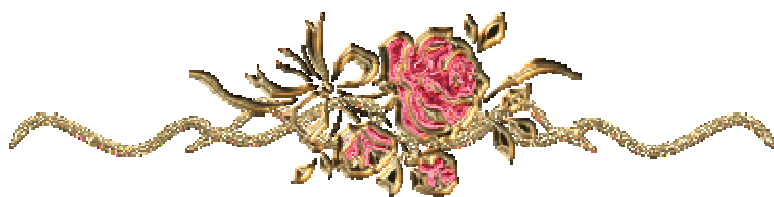
- I nikt się do mnie nie odzywa. Widocznie nikogo nie obchodzi jakiś półkrwi mieszaniec z Kalifornii.

Biedactwo, pomyślała Oliwia. Wolałaby, żeby Taylor tylko żartowała, oczy dziewczyny zdawały się jednak mówić coś innego.

- Nie odzywają się do ciebie, bo nie mają komputerów z modemem, takich jak miała babcia Julia - wyjaśniła bez przekonania. - A ty do nich nie piszesz. - Nagle przypomniała sobie zdanie Jenny: „Oni zawsze będą cię kochać”. - Może właśnie dlatego potrzebne są te wszystkie uroczystości rodzinne: żebyśmy się wszyscy spotykali.

- Dlatego tu przyjechałam.

- Nie martw się. Odwiedzę cię, jak tylko będę miała czas, obiecuję - powiedziała z powagą Oliwia. - A teraz dajmy już spokój problemom i bawmy się, skoro jest okazja.



Rozdział 4

Była piękna, wrześnie niedziela. Niebo nad Nowym Jorkiem było czyste i błękitne. Liście zaczynały nabierać jesiennych barw, a rześkie powietrze sprzyjało spacerom. W mieście rzadko zdarzały się takie dni i teraz zdawało się, że wszyscy wylegli, by się nimi cieszyć - turyści z aparatami, rodziny, trzymający się za ręce kochankowie, rozwiedzeni tatusiowie, prowadzący swoje dzieci do zoo. W takie właśnie cudowne sobotnie popołudnie Roger Hawkwood wszedł do prawie pustego kina i rozejrzawszy się po sali, usiadł w środkowym rzędzie.

Światła jeszcze nie przyciemniono, w tle dyskretnie sączyła się muzyka, a na ekranie wciąż wyświetlano ten sam quiz z gwiazdami filmowymi. Na widowni zasiadły głównie starsze pary; prócz nich był tylko on oraz trzy samotne kobiety. Już dawno zauważył, że kobiety, które siedzą same, zwykle coś czytają, przeważnie gazetę. Poza tym siadają zawsze tak, by wokół nich były wolne miejsca, zupełnie jakby chciały mieć jak najwięcej wolnej przestrzeni wokół siebie i bały się, że ktoś może ją naruszyć. Roger zawsze potrafił rozpoznać te, które samotne są także w życiu, a nie tylko w kinie. I teraz, kiedy wyjął gazetę, by dyskretnie obserwować salę, od razu zauważył

taką właśnie młodą kobietę, siedzącą o kilka miejsc dalej po jego prawej stronie.

Musiała mieć około trzydziestki, była ładna, na tle przyćmionych świateł wyraźnie rysował się klasyczny profil jej twarzy. Kiedy poruszała głową, jej brązoworude włosy przesypywały się miękką, jedwabistą falą. Wtedy zagłębiała w nie palce i odgarniała do tyłu szybkim, niecierpliwym ruchem nastolatki. Młodzieńczy wygląd tej kobiety podkreślał sweter i džinsy. Była wysoka, smukła jak modelka, miała kształtne, pełne piersi. Dziwne, że tak atrakcyjna kobieta nie ma z kim iść do kina w taki dzień, pomyślał Roger, zerkając na nią dyskretnie. I czemu w ogóle nie wybrała sobie ciekawszego miejsca niż to pustawe kino?

Właśnie skończyła czytać, schowała gazetę do torby i odwróciła się, by popatrzeć na mężczyznę, którego wzrok widocznie od dłuższej chwili czuła na sobie. Dzięki temu Roger zobaczył, że ma zdumiewająco niebieskie oczy.

Uśmiechnął się do niej. Popatrzyła uważnie, jakby oceniała go przez chwilę, a potem odwzajemniła uśmiech.

Na pewno nie wygląda na kogoś, kogo powinnam się wystrzegać, pomyślała. Miła, wesółka twarz, nowe džinsy dobrej marki, również markowa bawełniana koszulka i marynarka od Armaniego - wszystko to znamionowało klasę. Ciemnorude, jeszcze gęste włosy musiał strzyc i układać bardzo dobry fryzjer, właściwie już nie fryzjer nawet, a stylistka. Znowu się uśmiechnęła. Ten facet zdawał się równie nie na miejscu w tej pustawej salce, jak i ona.

- Może chce pani przejrzeć moją gazetę? - spytał, pochylając się ku niej. - Już ją przeczytałem.

- Dziękuję- wyciągnęła smukłą dłoń w jego stronę i wzięła gazę tę. Nie miała obrączki, podobnie zresztą, jak i on. - Och- uśmiechnęła

się uroczo, zerknąwszy na nagłówki - tę już też czytałam.

Mogliby właściwie zjeść razem lunch w jakiejś miłej knajpce z ogródkiem, ciesząc się wspólnie tym pięknym, jesiennym dniem, pomyślał Roger. Przypomniała mu się Oliwia. Przed laty tak właśnie się spotkali - w kinie; ale wtedy oboje naprawdę przyszli na film. Dziś znalazł się w tej salce tylko po to, by zrealizować swoje fantazje. Piękna, chętna nieznajoma i Cały weekend przed sobą. Podniecająca perspektywa.

- Znam cię z widzenia - powiedziała. - Masz złotego retrievera, prawda?

- Tak, nazywa się Buster. - Serce zabiło mu mocniej, gdy od razu przeszła na „ty”.

- Elegancko z nim wyglądasz.

- Bo jestem elegancki...

- Chociaż - zastanowiła się przez chwilę - do ciebie bardziej pasowałby seter irlandzki.

- Dlaczego?

- Macie podobny odcień włosów.

Przełknął ślinę przez ściśnięte z podniecenia gardło. Ona ze mną flirtuje! - pomyślał i zakreśliło mu się lekko w głowie. Mogę ją mieć!

- Skoro tak, powinienem ci odstąpić mojego retrievera- zrewanżował się wesoło. - Pasowałby do twoich włosów.

- Nie wiem, czy można ufać mężczyźnie, który tak łatwo pozbywa się swojego psa.

- Po prostu - wzruszył ramionami - miałbym wtedy wymówkę, żeby móc cię odwiedzać.

Popatrzyła na niego taksującym wzrokiem, przygryzła dolną wargę, jakby zastanawiała się, jakiż to rodzaj facetów podrywa kobiety w kinach. Ale przecież kobieta taka jak ona musi być podrywana wszędzie, gdziekolwiek się pojawia. Zresztą tak naprawdę to ona pierwsza dała mu jawny znak przyzwolenia.

- Chyba za daleko od siebie usiedliśmy. - Wymownym gestem wskazał puste fotele między nimi. - Słabo cię słyszę.

- Nie czekasz na kogoś?

- Owszem, czekam na ciebie.

- Skoro tak... - Lekko przeczesła włosy palcami i szybko przysiadła się do niego,

- Nazywam się Roger. - Lekko uniósł się w fotelu, wyciągając rękę na powitanie.

- A ja Wendy.

Uścisnęli sobie dłonie. Jej była chłodna, delikatna; jego - gorąca i zwilgotniała. Miał trudności z uspokojeniem oddechu. I nadzieję, że chociaż głos pozostał normalny.

- Popełniliśmy fatalny błąd... - stwierdził.

- O?

- .. przychodząc do tej ciemnej, dusznej nory w taki piękny, słoneczny dzień. Jutro może nie być już tak pięknie.

Światła przygasły, a na ekranie pokazała się puszką napoju i torebka prażonej kukurydzy.

- Zapraszamy do bufetu w holu - rozległ się z głośników miły głos.

- Nie wolałabyś raczej szampana, Wendy? - szepnął Roger.

- Tak - przyznała po chwili namysłu.

- W ogródku jakiejś miłej knajpki, niedaleko...

- Jasne, że tak.

Szybko idzie, pomyślał. Obawiał się, że gdy zacznie się film, Wendy zapatrzy się w ekran, a on będzie musiał czekać do końca seansu. A wtedy mogłaby zmienić zdanie.

Reklamę bufetu zastąpił obraz ust z przyłożonym do nich palcem w geście uciszania.

- Prosimy nie rozmawiać w czasie projekcji - upomniał ten sam głos.

- Rozmowa to zanikająca sztuka - skomentował Roger.

- Ale ty jesteś dobry w tej sztuce, czy tak?

- Przynajmniej usiłuję.

Wendy uśmiechnęła się w półmroku.

- Ciicho! - syknęła do nich jakaś starsza pani z przodu, od wracając się na moment, by spiorunować ich wzrokiem.

Jasny promień światła wyczarował na ekranie przed nimi rysunek zgniecionej puszki.

- Prosimy o wyrzucanie odpadków do pojemników...

Roger zgniótł w kulkę swój bilet.

- Takich jak ten? - zapytał cicho, a Wendy znów się uśmiechnęła. - Chodźmy - wyciągnął ku niej rękę. Odpowiedziała długim, uważnym spojrzeniem, które sprawiło, że serce zabiło mu jeszcze mocniej. Ogarnął go lęk przed odrzuceniem, pełne nerwowego na pięcia oczekiwanie, a jednocześnie słodka świadomość sukcesu.

Po chwili wahania Wendy pozwoliła, by ujął jej dłoń. Zaraz potem szybko wyslizgnęli się z sali na zalaną słońcem ulicę.

Zabrał ją do restauracji na Madison Avenue, gdzie na chodniku ustawiono małe, nakryte białym obrusem stoliki. Każdy z nich zdobił bukiet w wazoniku. Wszyscy wyglądali tu bardzo europejsko i palili papierosy. Roger zamówił szampana, który podano po chwili w smukłych, wydłużonych kieliszkach.

- Co myślisz o erotycznych fantazjach? - zagadnął.
- Nie ma w nich nic złego, dopóki nikomu nie szkodzą. Od-
ruchowo pomyślał o Oliwii, ale momentalnie wyrzucił jej
obraz z pamięci. Jest przecież w Kalifornii i o niczym się
nie dowie.
- Jesteś taka ładna - powiedział. - Nie mogę się napatrzeć.
- Dziękuję za komplement.
- Dlaczego mnie poderwałeś? - zapytał wprost.
- To ty mnie poderwałeś.
- Ale ty mi na to pozwoliłaś.
- Bo spodobała mi się twoja twarz - odpowiedziała powoli. -I
twoje ręce. Są takie subtelne.
- Jestem lekarzem.
- W takim razie, nie dziwię się.
- Weterynarii.
- Pewnie lubisz zwierzęta, a więc masz dobre serce, a to jest
dużo ważniejsze niż sztuka konwersacji.
- Czy ktoś ostatnio cię skrzywdził?
- Ach... - westchnęła i znacząco nie dokończyła. Sączyła
tylko dalej swojego szampana.
- Ja bym cię zawsze chronił - zapewnił i natychmiast święcie
w to uwierzył. Zaczął już marzyć, że się z nią kocha. W tej fanta-
zji nie było ani AIDS, ani innych zagrożeń. Zresztą, na realizację
fantazji też był przygotowany - w kieszeni miał paczkę prezer-
watyw.
- Powiedz to jeszcze raz - mruknęła rozkosznie.
- Ja bym cię zawsze chronił
- Podniecasz mnie, wiesz?
- Naprawdę?

- Ale jak! Często tak robisz, to znaczy podrywasz niezna-
me kobiety w kinie?

- Nigdy.

- A w innych miejscach publicznych?

- Nie. A ty?

- Też nie. Jestem maklerem, osobą uporządkowaną i do-
kładną aż do przesady. Pracuję bardzo ciężko i lubię być sama.
To pomaga mi się koncentrować wyłącznie na tym, co robię.
Tylko... spotkałam ciebie i coś się we mnie odblokowało. Sama
nie wiem, jak to się stało. Nigdy się tak nie zachowywałam.

- Ja też nie, ale zawsze o tym marzyłem. Choć raz w życiu.

- Może się teraz przejdziemy? - zaproponowała.

Poszli w górę Madison Avenue, trzymając się za ręce, a na
rogu, czekając na zmianę świateł, zaczęli się całować. Wiedział,
że Wendy czuje, jak jest podniecony.

- Dokąd idziemy? - zapytał, gdy zapaliło się zielone światło.

- Do mojego mieszkania.

Poczuł rozkoszne pulsowanie w podbrzuszu i zdumiał się,
że wzięło go aż do tego stopnia. Miał tylko nadzieję, że nie na-
tknie się na nikogo znajomego.

- Naprawdę tego chcesz? - upewnił się.

- Tak. A ty?

- Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo

Mieszkała w dużym, starym, białym budynku, gdzie w holu
urzędował odźwierny. Wkroczyli tam, z jesiennego słońca prze-
nosząc się w jasne, sztuczne światło.

- Witam, panno Wilton, witam, doktorze Hawkwood - po-
zdrowił ich uprzejmie portier.

- Jak się masz, Wiktorze - odpowiedzieli z uśmiechem, spiesząc na górę.

Zaledwie przekroczyli drzwi mieszkania, zaczęli zrzucać z siebie ubranie. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Roger wszedł w nią bez żadnej gry wstępnej. Nawet nie sięgnął po kondom, czekający w kieszeni. Wendy osiągnęła rozkosz niemal natychmiast, a on w chwilę później.

Romans z Wendy trwał sześć miesięcy. Był to pierwszy romans Rogera, odkąd jedenaście lat temu poznał Oliwię. Wendy była uwodzicielska i pełna fantazji. Zdumiewało go, że aż tak go lubi; zachwycało -jak bardzo była mądra, wrażliwa i pełna wyuczucia, jak potrafiła sięgnąć do tej części jego osobowości, którą sam przed sobą starannie skrywał.

Szybko zorientowali się, że są seksualnymi konspiratorami. Roger ograniczył swoje ćwiczenia do dwóch tygodniowo, jednocześnie mówiąc Oliwii, że odwiedza siłownię cztery razy w tygodniu. W ten sposób mógł się dwa razy spotykać i kochać z Wendy.

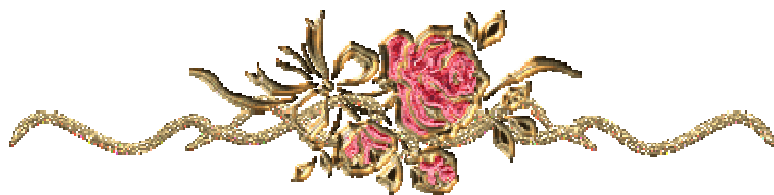
Fantazje, którymi obudował ten związek, podsuwały mu obraz siebie jako młodego, atrakcyjnego mężczyzny, któremu nie oprze się żadna kobieta. Tak jak w owych cudownych latach siedemdziesiątych, teraz znów życie jawiło mu się jako bombo-
nierka pełna smakowitych seksualnych okazji.

Z kolei Wendy w swoich fantazjach liczyła na to, że Roger będzie o nią dbał, wspierał ją i chronił. Jakaś cecha jej charakteru była przyczyną tego, że do tej pory nie spotkała żadnego mężczyzny, w którym naprawdę mogłaby znaleźć oparcie, choć Roger był pewien, że ze swoją aparycją mogłaby uwieść każdego. Sam

wciąż kochał Oliwię i wcale nie zamierzał rezygnować z układania sobie życia z nią. Zawsze bardzo się wystrzegał, by jej nie zranić. Oliwia i Wendy należały po prostu do dwóch wykluczających się światów - rzeczywistości i fantazji. Jednak po pół roku gorącego romansu, nadal zdumiewało go, że ktoś tak młody i piękny, jak Wendy mógł go nie tylko pragnąć, ale grać razem z nim w tę niebezpieczną grę.

Tak długo, jak fantazje nikomu nie szkodzą, nie dzieje się nie złego, myślał w takich sytuacjach i zagłuszał w ten sposób głos sumienia.

RS



Rozdział 5

Święto Dziękczynienia należało do ulubionych świąt Oliwii. Nie zmuszało do religijnego poczucia winy za grzechy ani do udawania, że się jest szczęśliwym, jak to często musiała robić w czasie Bożego Narodzenia czy swoich urodzin. W Dniu Dziękczynienia należało się tylko objadać i cieszyć, że oto minął szczęśliwie kolejny rok. Poza tym stanowił on dla Oliwii cudowną okazję do zaproszenia do własnego domu tych wszystkich przyjaciół, którzy nie mieli dokąd pójść - odrzuconych, samotnych i biednych. Święto Dziękczynienia było też jedynym świętem, które potrafiła sprawnie zorganizować.

Z powodu nawału pracy nie mogła przygotować wszystkiego sama, więc niektórzy z przyjaciół przynieśli swoje popisowe specjały - ciasta czy sałatki. Oliwia miała przygotować tylko indyka, nadzienie, słodziutki pudding kartoflany, sos żurawinowy, zimowe warzywa, pudding kukurydziany i mamałygę. Zajęło jej to cały dzień, choć pomagała jej Peggy, która normalnie miała za zadanie jedynie sprzątać. Kiedy więc ostatnie prace dobiegały jeszcze końca, goście już gromadzili się w ich dużej kuchni, rozmawiając i plotkując przy szampanie, czy też obser-

wując Oliwię, jak gdyby była gwiazdą jakiegoś szczególnie interesującego przedstawienia.

W jadalni, której z Rogerem rzadko używali na co dzień, nakryła stół odziedziczoną po matce zastawą, ozdabiając go świecami, kwiatami oraz udrapowanymi serwetkami. Wozzle i Buster, specjalnie na tę okazję wykapanane i wyczesane, łąsiły się do gości, dopraszając się o smakołyki.

Ciotka Myra, która pełniła rolę rodzinnej sekretarki, zadzwoniła wcześniej, by uprzedzić, że nie będzie mogła przybyć, gdyż wybiera się na święto do Cambridge, do Jenny i Paula. Oprócz niej Jenny miała jeszcze gościć rodzinę męża z trójką dzieci, a ciotkę zaprosiła na cały tydzień. Po doliczeniu jeszcze swojej piątki dzieciaków stwierdziła podobno, że chyba wyląduje w domu wariatów. Ciotka Myra śmiała się jednak, mówiąc, że głos Jenny brzmiał zbyt wesoło jak na osobę, która wkrótce ma zwariować. Ciotka doniosła również, że Melissa z mężem Billem i trójką dzieci spędzają Święto Dziękczynienia na Florydzie, u ojca, wujka Davida, i że będzie tam również Nick z żoną oraz dzieckiem.

Oliwia wiedziała, że wuj David już od dawna spotykał się na Florydzie z jakąś kobietą, która jednak pozostała podobno jedynie na etapie „dobrej przyjaciółki”. Melissa tłumaczyła to tym, że David nigdy tak naprawdę nie otrząsnął się po śmierci ciotki Hedy i dlatego nigdy nie zwiąże się z inną kobietą, lecz ojciec Oliwii miał na to o wiele bardziej życiowe wytłumaczenie. Jego zdaniem David nie chciał po prostu, by ktoś inny poza dziećmi odziedziczył jego majątek. Najwidoczniej owa „dobra przyjaciółka” spędzała święto wraz ze swoją rodziną, bo pewnie sama miała wnuki i prawnuki.

Dalszy ciąg relacji niezawodnej ciotki Myry obejmował Taylor i Grady'ego. Nie mogąc rozmawiać z tą pierwszą, ciotka zadzwoniła do jej brata. Grady wyjeżdżał właśnie na plan filmowy do Kanady. Taylor z Timem mieli podobno dołączyć do niego na święto.

Co się zaś tyczy reszty rodziniki, to Kenny zadzwonił osobiście do Oliwii z Kalifornii, życząc jej miłych świąt i informując przy okazji, że leci na jakąś zupełnie mu nie znaną wyspę razem z kobietą, z którą się ostatnio spotyka. Jego syn Jason pojechał na narty z kolegą z podstawówki i z jego rodzicami. Teraz, po ceremonii, czuje się już na tyle dorosły i dojrzały, że może zacząć decydować o sobie. Ponadto, jak domyślała się Oliwia, pewnie nie lubi nowej przyjaciółki ojca.

Wciąż pamiętała dawne święta u wujka Seymoura i ciotki Iris, gdy rodzina była jeszcze bardziej zżyta. Obszerne apartamenty przy Piątej Alei wypełniali tłumnie goście, a wszystko było dopięte na ostatni guzik i takie właśnie, jakie być powinno - jedzenie, kwiaty, nakrycie i przybranie stołu, a także śliczne, zręczne służące, dźwigające ogromne srebrne półmiski z krojonym w plastry pieczonym indykiem z dodatkami.

Po śmierci dziadków wuj Seymour naturalną kolejną rzeczą wszedł w rolę seniora rodziny. Co prawda ciotka Julia była starsza, ale nie miała ani chęci, ani talentów organizacyjnych, by podjąć się zorganizowania takiego uroczystego przyjęcia. Dawniej Oliwia była sadzana przy stole pomiędzy rodzicami, a po ślubie - obok męża. W przerwie między małżeństwami, a jeszcze przed Rogerem, znów sadzano ją pomiędzy rodzicami, jak gdyby tylko mariaże wyzwały ją od bycia wiecznym dzieckiem.

W dwa lata po pierwszym rozwodzie Oliwia po raz pierwszy nie zjawiała się na rodzinnym przyjęciu z okazji Święta Dziękczynienia. Przed następnym, któregoś ranka zadzwoniła do niej matka.

- Wuj Seymour i ja chcemy do ciebie wpaść, żeby porozmawiać o rodzinnym przyjęciu - oznajmiła Lila surowym, napiętym głosem, który Oliwia знаła aż za dobrze.

- A konkretnie o czym?

- Nieważne, wuj Seymour wyjaśni ci, jak przyjdzie. Czekaj na nas w środę wieczorem. - To było typowe dla Lili i wuja Seymoura - zasiewanie niepokoju już zawczasu, zanim sprawa została ujawniona.

Wuj zjawił się bez ciotki Iris, która jak zwykle wolała pozostać z dala od wszelkich niemiłych spraw rodzinnych. Grady był w tym czasie w Nowym Jorku, w odwiedzinach u prababci, i wpadł właśnie do Oliwii, by podłączyć jej nową wieżę stereo, którą kupiła po tym, jak jej eksmaż zabrał starą, bardzo dobrą.

Wraz z wujem Seymourem przyjechali rodzice, choć ojciec właściwie z powodzeniem mógł zostać w domu. Usiadł bowiem od razu w fotelu w najdalszym kącie i natychmiast zapadł w swoją ulubioną drzemkę, nie interesując się niczym. W tym akurat przypadku drzemka była świetną wymówką, gdyż ojciec nie znosił takich sytuacji. Grady natomiast sprawiał wrażenie kogoś, kto wślizgnął się na interesujący, zakazany seans. Zawsze zresztą miał taką minę, kiedy był w towarzystwie Oliwii.

Lila i wuj Seymour usiedli naprzeciwko niej, jakby mieli zamiar rozmawiać o interesach. Odmówili, kiedy zaproponowała im coś do picia. Wuj był tak podminowany i zły, że głos mu się łamał.

- W ogóle przestałaś się pojawiać na rodzinnym Świącie Dziękczynienia - zaczął. - Słyszałem, że nie przychodzisz, bo twierdzisz, że jest tam cholernie nudno.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam! - Oliwia była autentycznie zdziwiona Czyżby Lila coś mu podszeptała? Czy kiedyś powiedziała coś w tym stylu matce?

Lęk momentalnie ścisnął jej żołądek. Nastąpiło długie, nieznośne milczenie, w czasie którego dwójka rodzinnych egzekutorów patrzyła surowo na Oliwię, która z kolei myślała o tamtym strasznym Dniu Dziękczynienia, od którego być może zaczęła się niechęć do kolejnych tego typu spotkań.

- Przestałam przychodzić z powodu Hedy - wyjaśniła wreszcie. Surowe twarze nieco złagodniały. Oboje nie lubili Hedy.

- Pamiętacie? - mówiła dalej Oliwia. - Właśnie rozstałam się wtedy ze Stuartem... - zawiesiła głos, wspomnienia nadal były bolesne. - Moje drugie małżeństwo w gruzach... a Hedy pyta: „Kiedy wreszcie zaczniesz robić coś tak, bym nie musiała się za ciebie wstydzić, co?” Wówczas Anna, która siedziała obok nas, wstała i wyszła. Wybiegłam za nią, bo nie wiedziałam, o co jej może chodzić, a wtedy ona powiedziała mi: „Nie wyobrażam sobie, żebym mogła przebywać w tym samym pokoju z osobą taką jak ty”. To samo zresztą powiedziała ciotce Iris. Spytajcie ją, na pewno to potwierdzi.

Z ulgą dostrzegła, że twarz wuja Seymoura odpręży się. Wzmianka o Annie Idealnej natychmiast uwiarygodniła pełną urazy postawę Oliwii.

- Szkoda, że nam wcześniej tego nie powiedziałaś - stwierdził.

- Mówiłam mamie... - Oliwia spiorunowała wzrokiem Lilę.

- E, kto by się przejmował tym, co mówi Hedy - zbagatelizowała sprawę Lila.

- Następnym razem nie będziesz już musiała siedzieć obok niej - zapewnił wuj. - Na szczęście każdy problem daje się jakoś rozwiązać. Więc jak? Czy teraz będziesz spędzać z nami Święto Dziękczynienia? To bardzo ważne - kontynuował z namaszczeniem, nie czekając na jej odpowiedź - by rodzina trzymała się razem. W dzisiejszych czasach łatwo stać się obcymi sobie, nawet w rodzinie. Najlepiej więc przestrzegać tradycji i spotykać się z okazji różnych świąt. Święto Dziękczynienia, Wielkanoc...

Oliwia pamiętała święta wielkanocne swojej młodości. Zawsze w nich uczestniczyła, ale wtedy nie było na nich ani Charlie'ego Idealnego, ani Anny Idealnej. Ich rodzice nie życzyli sobie bowiem, by dzieci opuściły wiosenny turniej tańca w szkole. Tam sprawy Rodziny przez duże „R” były ważniejsze niż wszystkie inne, ale rodzina ograniczała się dla nich do czterech ścian własnego domu. W rezultacie Charlie i Anna byli o wiele bardziej związani ze swoimi rodzicami niż Oliwia.

- Takie świąteczne okazje służą jednoczeniu rodziny - wuj Seymour uważał widocznie, że musi jej to tłumaczyć jak dziecku. - Musimy się starać, byśmy się nie rozproszyli po świecie i nie utracili ze sobą kontaktu. Powinnaś się pojawiać przy takich okazjach.

- Dobrze, wujku - przytaknęła pokornie Oliwia. - Przyjdę. Lila kiwała się w bujanym fotelu, zacierając ręce z satysfakcją. Oliwia uznała, że matka wygląda jak czarownica.

- Odtąd rodzina jest na pierwszym miejscu - dodała.

- No, nie popadajmy w przesadę - zaznaczył wuj łagodnie.

Lila tymczasem rzuciła mu spojrzenie zdradzonego konspiratora.

- Powiedz jej o prawniku - przypomniała.

- A, właśnie. Nie wytłumaczyłaś jej tego wcześniej?

- Czy ja w ogóle mam okazję z nią rozmawiać? - zachnęła się Lila.

- Otóż cała nasza rodzina chce zatrudnić tego samego prawnika do spisania testamentów i w ogóle do prowadzenia naszych rodzinnych spraw - poinformował pogodnie wujek Seymour. - Zatrudnialiśmy już tego człowieka przy różnych interesach. Nie wiem, kto dla ciebie prowadził te sprawy wcześniej, Oliwio, ale teraz ten prawnik skontaktuje się z tobą i pomoże przeredagować wszystko.

- I w ten sposób ujednocimy testamenty - dodała Lila.

- Chcemy kogoś zaufanego - podkreślił wuj Seymour.

- Bo widzisz... Ty nie potrafisz dbać o swoje sprawy - oświadczyła autorytatywnie matka. - Pamiętasz, jak chciałaś zostawić coś dla swojej sprzątaczkii, ale na szczęście ci to wyperswadowałam?

- Ona i tak już umarła - powiedziała Oliwia.

- I jeszcze te zwierzęta - skrzywiła się Lila. - Czy wiesz, że ona wspiera jakieś schroniska i ciągle się gdzieś udziela?

- Jesteś Żydówką, Oliwio - powiedział wuj Seymour. - Nigdy o tym nie zapominaj. Musisz łożyć na Federację Żydów Amerykańskich. I to teraz, póki żyjesz, a nie później. Oczywiście jeśli masz ochotę na datki dobroczynne, możesz to zrobić w ramach organizacji, albo pozwolić, by robili to za ciebie.

- Przecież płacę na Federację - nieśmiało zaprotestowała Oliwia.

- W takim razie powinna to być najwyższa z twoich składek
- oświadczył wuj Seymour tonem nie znoszącym sprzeciwu.
- Nasza rodzina przez całe lata hojnie łożyła na Federację, ponieważ wiemy, kim jesteśmy i jakie są nasze korzenie. Musimy dbać o nasz naród. Kto zresztą ma to robić? Dlatego jest tak ważne, byś pamiętała, że wszyscy jesteśmy Żydami i że ty sama jesteś członkiem żydowskiej wspólnoty.

- Będę pamiętała - obiecała Oliwia.

- W takim razie sprawa jest załatwiona - podsumowała jej matka, wstając energicznie. - Obudź się wreszcie! - Trąciła drzemiącego ojca. - Idziemy. Wyśpisz się w domu.

Wuj Seymour również wstał. Kiedy podawała mu płaszcz, obdarzył Oliwię uszczęśliwionym uśmiechem,

- Dobranoc, Oliwio - powiedział. - Dobranoc, Grady.

Gdy tylko wyszli, Grady odwrócił się do Oliwii, robiąc komi-
czną minę.

- Niezła mówka! - mruknął.

- O co ci chodzi?

- Jak myślisz, co czuję, kiedy słyszę coś takiego?

Po raz pierwszy Oliwia uświadomiła sobie, że Grady w sprawach rodzinnych przyjął postawę outsidera. Wyteżyła pamięć, ale nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek on czy Taylor uczestniczyli w rodzinnych przyjęciach z okazji Święta Dziękczynienia. Nawet wtedy, gdy w Nowym Jorku mieszkała jeszcze ich babcia. Kiedyś tłumaczyła sobie ich nieobecność odległym miejscem zamieszkania i niezależnym stylem życia ich ojca.

- A jak myślisz, co ja czuję? - odpowiedziała pytaniem, tym samym tonem. - Teraz będą mieli kogoś, kto im doniesie, co

postanowiłam w swoim testamencie. Nie będzie już żadnych sekretów. Totalna kontrola, aż po grób.

Grady uśmiechnął się tylko swoim skrytym uśmiechem.

W następne Święto Dziękczynienia Oliwia znów znalazła się na salonach wuja Seymoura i ciotki Iris. Było tylu gości, że ledwie mieścili się w środku. Ciotka czujnie umieściła Oliwię i Hedy w osobnych pokojach, tak że ich kontakt ograniczył się jedynie do zdawkowego pozdrowienia przy wejściu.

Później Oliwia poznała Rogera i w następne święto pojawili się razem, by pokazać wszystkim, że są parą. Przyjęto ich miło, Oliwia uznała więc, że wymaganiom rodziny stało się zadość. Niedługo potem kupili dom i zapragnęła urządzić po raz pierwszy swoje własne przyjęcie - z indykiem, a jakże, oraz wszystkimi potrawami, jakie na ten dzień przewiduje amerykańska tradycja. Oliwia zastanawiała się nerwowo, jak odmówić rodzinie, nie pojawić się na kolacji u wuja, zaprosić do siebie rodziców, a jednocześnie nie obrazić nikogo.

Nieoczekiwanie zdjęła jej ten kłopot z głowy matka, uprzedzając jej zaproszenie prostym stwierdzeniem: „Chyba już wiesz, że muszę iść do rodziny”. Ostatnie słowo Lila wypowiedziała z naciskiem, jakby Oliwia do tejże rodziny się nie zaliczała. Pomimo afrontu doznała prawdziwej ulgi.

W roku, w którym umarła matka, Oliwia zaprosiła ojca na świąteczną kolację do siebie. W następnym, kiedy ożenił się z Grace i zaczął z nią objeżdżać świat, Oliwia i Roger ostatecznie ugruntowali swoją własną tradycję Święta Dziękczynienia. Tradycję nie zaakceptowaną niestety przez rodzinę, co dała Oliwii odczuć ciotka Iris, po raz pierwszy nie zapraszając jej wówczas oficjalnie.

W tym roku w Dniu Dziękczynienia pogoda była jak na zamówienie - słoneczna i ciepła. Roger kupił suszone kolby kukurydzy i Oliwia udekorowała nimi stół, dodając kwiaty i tworząc nieco zwariowaną, ale miłą kompozycję. Sama była ubrana w podobnie intrygującym stylu: czarne, obcisłe body przeświecało spod kolejnej wygrzebanej w butiku frywolnej szatki - rozciętej, półprzezroczystej sukienki w kolorach jesieni. Całości dopełniały baletowe pantofelki i wielkie, dziwaczne kolczyki.

W kuchni unosiły się smakowite zapachy, Roger rozlewał szampana. Na ich zaproszenie przyszło jakieś dwadzieścia osób, które widywali tylko kilka razy w roku, gdyż wszyscy byli zbyt zajęci, by się częściej spotykać. Wszyscy znakomicie się bawili i konwersowali ze sobą tak zajadle, że ledwo było słyszeć muzykę z płyt kompaktowych, które Oliwia z Rogerem starannie wybrali i ułożyli w podajniku. Większość chwaliła się, że pościła cały poprzedni dzień, by objeść się jak należy na świątecznej kolacji.

Alys - tak oryginalnie wymawiała swoje imię - przyjaciółka Oliwii jeszcze z czasów licealnych, pojawiła się solo, gdyż niedawno zerwała z niezbyt szczęśliwie wybranym przyjacielem. Teraz była już mocno wstawiona. Patrząc, jak zbliża się do niej tanecznym krokiem, Oliwia z żalem myślała, że tak bystra i miła dziewczyna zasługuje na jakiegoś porządnego mężczyznę, a tymczasem musi się zadawać byle jakimi podrywaczami.

- Cóż to za politycznie poprawna impreza! - stwierdziła Alys. - Parka gejów, samotna mamuśka, której ktoś zostawił dziecko na pamiątkę, czarna parka, czarny gej -jeszcze lepiej! Potem facet, którego ciężarna żona mogłaby robić za jego córkę, babka, której kochaś mógłby robić za jej syna, jakiś psychol,

czterej ludzie z AA, zapijający się wodą mineralną, jeden typek orientalny, bachory do wyboru - tylko jakoś nie widzę lesbijek...

- Ta mamuśka, o której mówiłaś, adoptowała cudze dziecko - sprostowała Oliwia.

- Dobra, niech jej będzie. Powiedz lepiej, skąd wytrzasnęłaś tę menażerię? Z Centralnej Kartoteki Statystów?

- Nie, stamtąd wzięłam tylko ciebie.

- Może to twoi pacjenci?

- Jeśli już, to klienci, tak o nich mówimy. Dla nas pacjentami są zwierzęta. Niektórzy rzeczywiście są klientami, a inni po prostu znajomymi, moimi i Rogera, z różnych lat.

- Czy wyobrażałaś sobie jeszcze w szkole, że będziesz znała tylu różnych dziwnych ludzi? I to w Nowym Jorku?

- Prawdę mówiąc, nie myślałam o tym - przyznała szczerze Oliwia.

- Bo ty nigdy o niczym nie myślałaś - stwierdziła Alys. - Ty od razu wszystko robiłaś i nie zastanawiałaś się niepotrzebnie.

- Westchnęła. - Szczęśliwa jesteś, że masz Rogera. Jest taki kochany...

- Też tak myślę - powiedziała miękko Oliwia.

Roger pokazywał właśnie komuś zdjęcia, które zrobił w czasie ich pobytu w Paryżu. Oczy Alys niespodziewanie zaszczyły łzami.

- O, Boże - szepnęła - kiedy ludzie pokazują zdjęcia ze swoich podróży, kraje mi się serce.

- Aż tak?

- Tak, bo to zawsze są jakieś cudowne, rodzinne, romantyczne chwile, których ja nigdy nie będę miała. Pamiętasz faceta, z którym spotykałam się przez cały zeszły rok? Tego żonatego?

Nie uwierzysz, ale jedyny komplement, na jaki się wobec mnie zdobył, dotyczył tego, że mam czysty grzebień! Ale przynajmniej powiedział mi to szczerze, za co mu chwała. Niestety, trzymało mnie przy nim tylko to, że był przystojny i dobry w łóżku. Dno, no nie?

- Daj spokój, ludziom często wystarczy jeszcze mniej.

Alys otarła oczy.

- Wiesz co? I tak bym z nim nie mogła zostać, nawet gdyby się rozwiódł. Dla niego kobieta sprowadza się do waginy, niestety. Jestem cholernie z siebie dumna, że go splawiłam! A nie było to dla mnie łatwe, wierz mi. Nie masz pojęcia, jak paskudnie jest być singlem bez żadnych perspektyw. Zazdroszczę ci, że masz Rogera, przyjaciół, ten dom i waszą wspólną pracę.

- Wiem - powiedziała łagodnie Oliwia. - Dziękuję. - Serdecznie uścisnęła Alys. - Znajdziesz sobie kogoś, staruszek, nie martw się. Ze mną też tak było. Moje samotne lata były tak nieszczęśliwe, że po prostu wymazałam je z pamięci. Wszystko będzie w porządku, zobaczysz. A teraz muszę iść, bo trzeba pokroić indyka. - Odeszła do kuchni. Wcale nie była pewna, czy jej odpowiedź się sprawdzi i czy Alys znajdzie sobie kogokolwiek.

Peggy pomogła Oliwii wyjąć ciężką brytfannę z wielkim indykiem i postawić ją na stole, by trochę ostygł przed pokrojeniem i ułożeniem na srebrnych półmiskach, które odziedziczyła po matce. Skórka była brązowa i chrupka, w środku więc powinien być smaczny i soczysty.

Oliwia spostrzegła, że woli koncentrować się na takich właśnie konkretnych, miłych sprawach: świątecznej uczcie, przyjaciółach, zabawie, domu i Rogerze, który był jej opoką. Smutne

życie Alys należało do innego świata. Wiedziała, że powrót do niego już jej nie grozi i była za to losowi bardzo wdzięczna.

W spontanicznym odruchu podeszła do Rogera i pocałowała go.

- Pomóc ci w czymś? - zapytał natychmiast.
- Nie, nie, dbaj, żeby goście byli szczęśliwi.
- Są szczęśliwi. Ja też.
- I ja.

Przyjęcia u Oliwii z okazji Święta Dziękczynienia zawsze były udane. Zanim jeszcze zaczęli jeść, Roger wstał i wygłosił toast, dziękując jej za przygotowanie wspaniałej uczy. Oliwia promieniała, gdy goście wiwatowali na jej cześć. Później wszyscy bratali się ze sobą, jedli i pili o wiele za dużo, ale i tak nie zdołali przejeść wszystkiego do końca, co dobrze świadczyło o hojności gospodyni. Wszystkie resztki Oliwia spakowała dla Peggy, bo nie mogła już patrzeć nawet na ukochane przysmaki. Psy, dopieszczane i dokarmiane przez wszystkich, już wcześniej padły z nadmiaru wrażeń i spały na swoich legowiskach.

Gdy wyszedł ostatni gość, Oliwia z Rogerem zdmuchnęli świece, zamknęli drzwi i poszli na górę, do sypialni.

Padli na łóżko, tuląc się do siebie, a potem leżeli długo w stanie całkowitego błogostanu. Oliwia leniwie sunęła palcami po gładkiej skórze Rogera, chłoneła tak dobrze jej znany, świeży zapach.

- Kocham cię - powiedział.
- Ja też cię kocham. - Zupełnie odprężona, głaskała powoli jego udo, aż natrafiła przypadkiem na ślad zadrapania. Zbadła je lekko opuszką palca.
- Co to jest?- zapytała.

- Co?
- To zadrapanie.
- Nie mam pojęcia - mruknął z wyraźną irytacją.
- Pewnie jakiś kociak cię podrapał - stwierdziła.
- Bzdury.
- Myślisz, że nie potrafię rozpoznać zadrapania kota?
- A tak, pewnie zadrapał mnie któryś z tych nerwowych pupilków, które nie cierpią zastrzyków.

- Nie pamiętasz tego?
- Dlaczego miałbym pamiętać takie głupstwo? - Roger odwrócił się na bok i naciągnął na siebie okrycie. - Spać mi się chce.

Tego się nie spodziewała. Nagle pozbawił ją swojego cudownego, podniecającego ciepła.

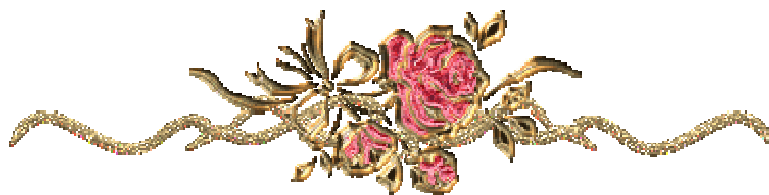
- Obejmij mnie - poprosiła.

Odwrócił się i popatrzył na nią przez chwilę, a potem uśmiechnął się i otoczył ją ramionami tak, że znowu mogła przytulić policzek do jego piersi. Lekko pocałował jej włosy.

- A teraz śpijmy już, dobrze? - szepnął. Serce biło mu szybko i gwałtownie.

Oliwia słuchała tych dzikich uderzeń, licząc je odruchowo. Pocieszała się, że nie zjadł i nie wypił aż tyle, by groził mu atak serca. Ze wszystkich lęków najbardziej dręczył ją ten, że Roger może zginać. Jednak po chwili rytm wyrównał się stopniowo i uspokoił. Kiedy zaś usłyszała, że Roger zaczyna oddychać głęboko i powoli, z westchnieniem ułożyła się do snu u jego boku.

Dobrze, że zadrapanie nie wygląda na zainfekowane, pomyślała jeszcze i zasnęła.



Rozdział 6

- Następnym razem, kiedy przyjdę, zamykaj swojego kota - powiedział Roger do Wendy. Dzwonił z biura, wiedząc, że Oliwia jest zajęta w gabinecie zabiegowym. - Zobaczyła, gdzie mnie zadrapał.

- Och, jak mi przykro - kajała się Wendy. - Gregory to naprawdę miły kot, ale trochę zazdrosny.

- Nie interesują mnie jego motywacje. Ona już prawie nabrała podejrzeń. - Od tamtej pory Oliwia nie wspominała o zadrapaniu, ale podejrzewał, że o nim nie zapomniła. Jeszcze jedna taka wpadka i mogą się zacząć kłopoty, myślał nerwowo. Dziwne, ale obawa i napięcie sprawiły, że był jeszcze bardziej podniecony tym wszystkim.

- O, Boże - jęknęła Wendy po drugiej stronie słuchawki.

- Spotkamy się jutro w JULII" - powiedział nagle.

- Ciekawy pomysł! - Ta perspektywa wyraźnie podnieciła Wendy. - Ale to mocno ryzykowne.

- W dziale kolekcji wieczorowych. Będiesz udawała modelkę, którą wynająłem, by pomogła mi kupić suknię dla żony.

- Bomba!

Ten jej cudowny, dziecięcy zapach zachwycał go i rozczulał tak

bardzo, że zaczął się zastanawiać, czy nie za mocno się zaangażował. Ta kobieta dostarczała mu dawki energii, dzięki której krew burzyła się w jego żyłach. Musiał się ostro napominać, żeby nie wziąć fantazji za rzeczywistość. Ale Wendy była piekielnie realna. Jak refren powracały w pamięci słowa starej piosenki Meat Loaf: „Chcę ciebie, pragnę, lecz nigdy nie zdołam pokochać...”

Tak, musi o tym pamiętać, bez względu na to, co jej powiedział. Roger zakochany w Wendy - to była część jej gry i jej fantazji, a nie jego.

„JULIA” była eleganckim domem towarowym. Nie widywało się tu tłumu spieszących się klientów, panował miły spokój i dyskretny luksus. Przestrzeń urządzone tak, że jej środek wypełniało atrium, ozdobione kaskadami zmienianych sezonowo roślin. Nastrój podkreślała łagodna muzyka w tle i stonowane kolory.

Oprócz stoisk do dyspozycji gości była restauracja, w której zamiast zdrowej żywności serwowano takie „kaloryczne” przysmaki, jak puchate bułeczki czy koreczki z sera. Ubrać można się było tu wytwornie, lecz nie dziwacznie, wyłącznie drogo i nie za modnie, raczej w ponadczasowym uniwersalnym stylu. Nawet dział młodzieżowy nie był wyjątkiem. Nigdy nie powstała tu noga amatora wyprzedaży, nigdy podniecony tłum nie rzucał się, by na wyścigi ściągać ciuchy z wieszaków. A jednak dom miał znakomite obroty, przyciągając stałą klientelę, która nie mogła sobie pozwolić na kupowanie tanich ubrań.

Kiedy Roger, niosąc swoją treningową torbę, wszedł do najelegantszego działu, było tam na szczęście zupełnie pusto -jeśli nie liczyć chudej jak tyczka kobiety, która przymierzała jakiś

ciuch, narzekając, że brzuch sterczy jej jak balon, bo dziś po raz pierwszy pozwoliła sobie na szaleństwo i zjadła lunch.

Od razu podeszła do niego elegancka sprzedawczyni, zadbaną pani w średnim wieku.

- Czym mogę panu służyć?

- Na razie chciałem się trochę rozejrzeć.

- Rozumiem. Proszę mnie zawołać, gdyby pan czegoś sobie życzył.

- Dziękuję.

Odsunęła się dyskretnie, lecz tak, by pozostać w zasięgu głosu. Roger rozejrzał się w poszukiwaniu Wendy. Dostrzegł ją od razu, przebierała wieczorowe suknie na stojaku. Miała na sobie właśnie króciutką „małą czarną” z dyndającą u dołu metką. Miejące się ciepłym połyskiem włosy były ciasno splecione we francuski warkoczyk.

Powitał ją miłym, neutralnym głosem, właśnie tak, jak witałby wynajętą modelkę.

- Czy zależy ci na czymś szczególnym? - zapytała.

Na tobie, pomyślał. Jesteś po prostu oszałamiająca!

- Myślałem o długiej, wieczorowej sukni, do samej ziemi, takiej bardzo seksy... - wyznał.

- Na pewno będzie uszczęśliwiona. - Jej głos stał się o ton cieplejszy.

Roger z uśmiechem zdjął jedną z sukienek ze stojaka.

- Czy będzie uszczęśliwiona, jeśli kupię to?

Wendy wyjęła mu sukienkę z ręki i przyłożyła do siebie. Suknia był długa, prosta, przylegająca do ciała i mocno wydektowana.

- Będzie uszczęśliwiona, że ma ciebie.

Roger zerknął na śmieszoną metkę z ceną, wyglądającą jak numer telefonu. -Tak myślę.

- Nie, nie z powodu prezentu. Dlatego że masz najmilszą twarz, jaką znam, i piękne, topazowe oczy. Nie mówiła ci tego?

- Nie.

- Powinna. Jesteś bardzo atrakcyjny.

- Dzięki za komplement.

- Chcesz, żebym to zmierzyła?

Sprzedawczyni rozejrzała się po sali. Takie pary już znała - starszy mężczyzna z młodszą kobietą, z zapalem przymierzającą co droższe kreacje, pewną, że jej towarzysz postanowił sprawić jej prezent i przeżyje każdą cenę. Dlatego uznała, że na razie może spokojnie zająć się chudą klientką, która utyla od jednego lunchu.

- Tak, chcę - powiedział Roger.

Wendy zniknęła w przymierzalni, a po chwili wyszła krokiem modelki, prezentując zmysłową suknię, która znakomicie leżała na jej zgrabnym ciele.

- To nie fair, wiesz?

- Co takiego?

- Nikt nie może lepiej wyglądać w tej sukni niż ty - oznajmił z zachwytem. - Żadna inna kobieta nie powinna jej nosić.

- Taki jest mój zawód - powiedziała lekko.

- A jak masz na imię?

- Nicole - odpowiedziała gładko, natychmiast wczuwając się w rolę.

- Ja jestem Roger.

- Hej, Roger.

- Hej... - Zafascynowani, nie spuszczała z siebie oczu.

- Może powinienem poszukać czegoś innego? - powiedział zduszonym z wrażenia głosem.

- Jasne, jak sobie życzysz. - Zdjęła inną sukienkę ze stojaka - z koronki, naszywanej czarnymi paciorkami. - Ta jest bardzo przyjemna. Mam przymierzyć?

Skinął głową i bez słowa ruszył za nią do przymierzalni. Pomieszczenie było duże, z trójskrzydłowym lustrem i niewielkim podium, które pozwalało na wygodne zaznaczenie ewentualnych poprawek wybranego przez klientki stroju. W kącie stała sofka z kwiecistym obiciem, a przy niej mały stolik z krzeselkiem. Drzwi miały zasuwkę i Roger nie omieszkał jej zamknąć.

Wendy powiesiła sukienkę z paciorkami i kazała mu usiąść. Posłusznie przycupnął na krzeselku. Patrzył, jak długa, prosta sukienka zsuwa się na ziemię, odsłaniając czarną, koronkową bieliznę, której jeszcze nie widział u Wendy. Pochyliła się z wdziękiem, podniosła suknię i starannie ją powiesiła. Potem włożyła drugą, która tak samo jak poprzednia leżała na niej jak druga skóra. Cały czas Wendy zachowywała wystudiowane ruchy i skupioną minę prawdziwej modelki.

- Podoba ci się? - zagadnęła. Głos miała wibrujący, niemal hipnotyczny.

- Bardzo... Wygląda tak... delikatnie. - Zaczął mówić tym samym tonem. Miał trudności z oddechem. Już zaczęli swój taniec, każde z nich swoim krokiem, ale zawsze kończyli go razem.

- Tak, jest delikatna - szepnęła Wendy.

- Boję się, że ją uszkodzę.

- Musisz bardzo uważać.

- Zawsze uważam.
- Do wszystkiego podchodzisz tak subtelnie?
- Bardzo subtelnie. Nigdy nie niszczę, tylko chronię i dbam.
- Stań tutaj, dobrze? - wskazała mu podium, ustawione przed lustrem.

Wstąpił na nie i poczuł, że już jest gotowy. Wendy uklękła przed nim, powoli rozpięła mu spodnie i zachłannie przylgnęła ustami do jego męskości. Roger patrzył na ich odbicie, powtarzające się w nieskończoność: on sam na piedestale i klęcząca przed nim kobieta, tak usilnie pracująca nad jego rozkoszą. Spojrzał w dół, na złocistą głowę, poruszającą się pomiędzy jego udami, poczuł ruchy szalonego języka, a potem już nie widział niczego. Spazm był tak silny, że musiał zacisnąć zęby, żeby nie wykrzyknąć swego szczęścia.

Wendy odrzuciła głowę do tyłu, spojrzała z satysfakcją błyszczącymi oczami spod półprzymkniętych powiek, a potem, błyskawicznie ściągnawszy majtki, osunęła się na kanapkę. Ostrożnie podwinęła cenną sukienkę z dyndającą metką. Tym razem to Roger ukląkł i zagłębił twarz między jej uda. Po niedługiej chwili jej ciało drgnęło i wyprężyło się w tak samo nieznośnej rozkoszy, zakończonej cichym okrzykiem.

Mogą nas za to zamknąć, pomyślał.

Wstali i szybko doprowadzili się do porządku. Wendy odwróciła się przed lustrem, sprawdzając, czy sukience nic się nie stało.

- Wychodzisz pierwszy - rzuciła.
- Kocham cię - odpowiedział. Ostrożnie otworzył drzwi, wyjrzał, a potem szybko wyszedł z przymierzalni.

Sprzedawczyni miała nową klientkę. Kiedy przechodził koło nich, kobieta odwróciła się. Zobaczył gęste, farbowane złote

loki, zbyt mały i zadarty nos - typowy rezultat niedoskonałych jeszcze operacji plastycznych z lat czterdziestych. Jasne oczy popatrzyły na niego z bystrym namysłem, usiłując skojarzyć go w tym otoczeniu. Sam też nie od razu rozpoznał jedną z ciotek Oliwii - Myrę.

- To ty, Rogerze? - zapytała Myra. Poczuł, że kolana robią mu się miękkie. Miał nadzieję, że Wendy usłyszy świdrujący głos starszej pani i nie ruszy się z tej cholernej przymierzami.

- Witaj, Myro - uścisnął ją z fałszywą serdecznością.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

- Pomyślałem sobie, że sprawię Oliwii niespodziankę! kupię jej coś eleganckiego - wyjaśnił. Czuł się głupio, źle i zaczęła go boleć głowa. - Za to wspaniałe przyjęcie, które wyprawiła na Święto Dziękczynienia.

- Dobrze się bawiliście?

- Fantastycznie.

- Kupujesz sukienkę?

A co innego miałbym kupować w tym dziale, tępa krowo, pomyślał z niezwykłą u siebie złością. Co ją tu przyniosło? Koszmarny niefort!

- Tak.

- Całkowicie popieram ten pomysł - pochwaliła Myra. - Ona uwielbia te dziwaczne ciuchy, ale dla mnie to zwykłe szmaty. Wreszcie przydałoby się jej coś klasycznego i gustownego. Tylko nie zapomnij o naszym rodzinnym rachunku, bo te kolekcje dzisiaj kosztują majątek.

Roger rozejrzał się dyskretnie. Wendy wyślizgnęła się już z przymierzalni, ubrana we własne rzeczy. Sukienki odwiesiła na stojak.

- Pan już wybrał? Zaraz przyjdę - powiedziała do niego starsza sprzedawczyni.

- Więc którą wybrałeś? - zapytała Myra.

Roger rzucił Wendy ostrzegawcze spojrzenie. Wendy z obojętną miną odeszła do następnego stojaka, a on sięgnął po sukienkę, którą miała przed chwilą na sobie, gdy kochali się po francusku.

- Tę - powiedział, prezentując ją Myrze.

Ciotka Oliwii uznała najwidoczniej, że Wendy należy do personelu i zignorowała ją.

- Bardzo ładna, chociaż może trochę zbyt oficjalna. Myślisz, że Oliwia zechce ją nosić?

- Mam nadzieję.

- Najwyraźniej obracacie się teraz w wytwornym towarzystwie.

- Czasami.

- Cóż, miło było cię widzieć.

- Mnie również, Myro. Do widzenia.

Starsza pani skierowała się do przymierzalni, a sprzedawczyni podeszła do Rogera, który stał z sukienką w ręku. Koszula lepiła mu się do pleców.

- Czy mamy przysłać panu rachunek? - zapytała.

- Nie, wypiszę czek.

Podeszli do lady, gdzie stała już Wendy z rozkoszną miną niewiniątka.

- Trzysta pięćdziesiąt dolarów, plus, oczywiście, podatek - oznajmiła sprzedawczyni, zerkając dyskretnie na Wendy. Najwidoczniej zastanawiała się, czy ta rudowłosa młoda kobieta jest Oliwią. W końcu uznała, że nie może być inaczej.

- Będzie pani z niej zadowolona - powiedziała, pakując sukienkę.

Trzysta pięćdziesiąt dolarów... Roger westchnął w duchu.

- Ona nie jest dla mnie - wyjaśniła Wendy ze słodkim uśmiechem. - Ja po prostu pomagam w zakupach. Sama pani wie, że mężczyźni nie mają za grosz gustu. I proszę nie mówić nic Myrze. Roger postanowił udawać, że sam wybrał żonie kreację.

- Naturalnie, rozumiem - przytaknęła sprzedawczyni, dając Rogerowi elegancko zapakowane pudło i biorąc od niego czek. Chwyił je niecierpliwie i pociągnął Wendy na ruchome schody.

- Dlaczego się wtrąciłaś? - syknął.

- Gdybym nie powiedziała, że nie jestem Oliwią, zaraz by zaczęła opowiadać Myrze, jaka jestem słodka.

- Fakt, masz rację - przyznał.

- Wierz mi, w tych sprawach mam lepsze wyczucie.

- Teraz wierzę.

Zjechali bezpiecznie do holu i już się uspokoił. Ogarnęła go fala ciepła i zadowolenia.

- Tak cię kocham, wiesz? Szkoda, że nie możemy razem iść na lunch.

- Ja też żałuję.

Popatrzyli na siebie i westchnęli jak na komendę.

- Niedługo będziemy mogli. - Roger przystanął i wręczył jej pakunek. - To dla ciebie, kochanie.

- Och, Roger... - Wendy aż zabłysły oczy. - Jesteś cudowny!

- Zawsze, kiedy ją włożysz, pomyśl o mnie i o dzisiejszym dniu.

- Od razu będę napalona!

- Tylko nie napalaj się na kogoś innego!
- Nie, przecież wiesz, że jestem tylko dla ciebie.
- Nie mogę uwierzyć, jaki cholerny ze mnie szczęściarz - powiedział jeszcze, kiedy każde wsiadało do swojej taksówki.

W domu natychmiast wrzucił nieużywane rzeczy z siłowni do pralki. Nazajutrz musiał naprawdę tam iść i wypocić się choć trochę, żeby utrzymać formę. Dwa dni w tygodniu to naprawdę minimum.

Zaraz po zajęciach pognął do jednego z ukochanych butików Oliwii i kupił jej tam najbardziej odlotową, wyzywającą i seksowną kreację, jaką mógł znaleźć. Sprzedawczyni z głową ogoaloną na zero, która znała Oliwię, zapewniała, że ciuch jest trafiony w dziesiątkę.

W czasie ich zwyczajowej chińskiej kolacji otworzył butelkę wina i wręczył Oliwii prezent.

- To dla ciebie, w podziękę za Dziękczynienie - powiedział. - I za to, że jesteś, jaka jesteś.

- Och, Roger! Dzięki, ta kiecka jest rewelacyjna!

- Tak naprawdę wczoraj kupiłem ci inną, w „JULII” - wyznał. - Ale była strasznie konwencjonalna i po namyśle ją zwróciłem. Głównie dzięki Myrze, bo natknąłem się tam na nią. Kiedy pochwaliła wybór, pomyślałem, że to pocałunek śmierci.

Oliwia wybuchnęła śmiechem.

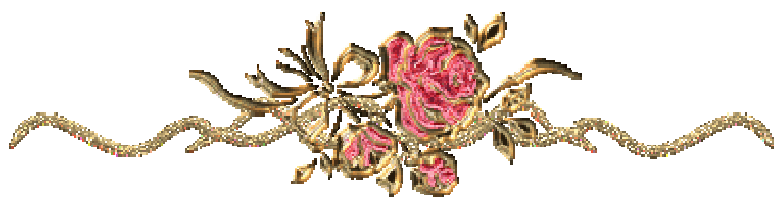
Roger uświadomił sobie, że nie kochał się z nią już od dwóch tygodni. Kiedy nieśmiało dała znać, że go pragnie, odpowiedział. Bał się, czy zdoła ją zadowolić, lecz udało się, choć potrzeba mu było więcej czasu niż zwykle. Kiedy później leżał koło niej, zmęczony i nasycony, myślał, jak jest piękna i ciepła i jak bezpiecznie się przy niej czuje. Zawsze była dla niego, zawsze

chętna, kiedy tylko jej zapragnął. Nawet gdyby chciał, nie miałby na co narzekać, nie byłby w stanie nic jej zarzucić. Poza tą jedną rzeczą...

Poza tym, że on, Roger, potrzebował nowych, świeżych przeżyć; dreszczu emocji, tak jak w początkach znajomości.

Ale nawet kiedy po latach spędzonych z Oliwią tęsknił za tamtym czasem, nie zapominał też, jak bardzo był wtedy spięty, jak histerycznie bał się ujawnić swoją wrażliwość, by nie zostać odrzuconym. I jaką odczuł ulgę, gdy zniknął wreszcie ów dręczący go niepokój. Udało mu się zamienić lęki na harmonię i szczęście, ale po drodze, w czasie tej transakcji, układ zgubił swoją podniecającą atrakcyjność.

Dlaczego spokój kosztuje tak piekielnie drogo?



Rozdział 7

Raz w miesiącu, zwykle w niedzielę, Oliwia towarzyszyła Rogerowi, gdy odwiedzał swoją matkę w domu opieki. Zmuszony był oddać ją tam po tym, jak po raz trzeci podpaliła mieszkanie, zapomniawszy wyłączyć piekarnik. Wcześniej już usunął z jej kuchni toster i ekspres do kawy. Nie mogąc jednak zabrać piekarnika, zabrał matkę i umieścił ją w dornu opieki, w związku z czym miał ogromne poczucie winy.

Roger był późnym dzieckiem i teraz jego matka miała już osiemdziesiąt lat, a ojciec nie żył od lat dziesięciu. Miał jeszcze starszego brata, który mieszkał w Nowym Jorku z żoną i dwójką dzieci, ale oboje nie znosili się wzajemnie i byli wiecznie ze sobą poróżnieni. Wizyty składali matce na zmianę i w tej jedynej sprawie porozumieli się szybko, by mieć pewność, że nie natkną się na siebie.

Dla Oliwii fakt, iż ludzie, których stać było na zapewnienie swoim rodzicom pobytu w ekskluzywnych domach opieki, decydowali się na to prawie zawsze, a później bardzo rzadko brali staruszków do siebie, był szczególnie smutny. Żałowała, że bezpowrotnie mijają czasy, gdy starzy ludzie dożywali swoich lat w wielkim rodzinnym domu, gdzie ciężar opieki nad nimi roz-

kłada się na liczną rodzinę. Z drugiej jednak strony odczuwała ulgę, że matka Rogera nie mieszka z nimi i że jej własny ojciec ożenił się po raz drugi po śmierci matki. Mężczyznom jest łatwiej niż kobietom, myślała. Jeśli nawet żona odejdzie pierwsza, nie muszą się bać o opiekę na starość, bo mogą sobie brać kolejne, coraz młodsze towarzyszkę życia.

Dom opieki znajdował się w Upper East Side i roztaczał się z niego widok na rzekę. Trzeba było tam czekać w kolejce na miejsce, gdyż był ładnie i dogodnie położony, co ułatwiało wizyty. Roger z Oliwią wybrali się w odwiedzinę wczesnym popołudniem, po drodze kupili kwiatek w doniczce i ciasteczka czekoladowe - takie jakie niegdyś sama piekła, a które obecnie kupowali w sklepie Fieldsa.

Matka Rogera - niska, drobna staruszka o miłej twarzy, krótko obciętych, przerzedzonych siwych włosach i spracowanych dłoniach, poznaczonych węzłami żył - była prostą kobietą. Przez całe życie nigdzie nie wyjeżdżała i zajmowała się domem. Miała nieporadnego męża, toteż stale brakowało pieniędzy. Wszystko, co zdołali odłożyć, zostało wydane na wykształcenie dwóch synów: prawnika i lekarza. Z obu matka była bardzo dumna.

Jedynym luksusem, na jaki pozwoliła sobie rodzina, była niewielka chata nad jeziorem Chandlewood. Każdego lata jeździli tam z dziećmi na dwa tygodnie, a później na weekendy. W miarę jak chłopcy dorastali, szukali wymówek, by nie przyjeżdżać w miejsce, które z czasem zaczęło wydawać im się nudne, i ostatecznie przestali. Rodzice jeździli od tej pory sami. Gdy umarł ojciec Rogera, wszyscy byli zdumieni, ile naprawdę był wart domek, który niegdyś tak tanio kupił.

Domek został jednak sprzedany, tak samo jak mieszkanie

pani Hawkwood. Teraz mieszkała w dwuosobowym pokoju, razem z inną pensjonariuszką. Stały w nim bliźniacze łóżka, przykryte dzierganymi narzutami, nocne stoliczki z obowiązkowymi fotografiami świętej pamięci małżonków obu pań, okrągły stolik z winylowym obrusem i ustawioną pośrodku doniczką oraz dwa krzesła. W kącie stał telewizor, który Roger kupił matce zaraz po przeprowadzce. Na nic więcej nie było już miejsca.

Gdy weszli do pokoju, staruszka siedziała na krawędzi łóżka z rękami splecionymi na podołku, tępo wpatrując się w przestrzeń. Gdy spojrzała na nich, już wiedzieli, że tym razem ich poznaje.

- To ty, Roger! - powiedziała uszczęśliwiona.

- Cześć, mateńko! - uściskał ją czule i dał jej ciasteczka.

- Dzień dobry - powiedziała Oliwia, stawiając na parapecie nową roślinkę obok całej kolekcji innych. Po tylu latach nie chciała się zwracać do matki Rogera po nazwisku, lecz wzdragała się też nazywać ją „mama”. Nie była przecież żoną Rogera. Z drugiej strony wydawało się jej nieuprzejmością mówić do starszej pani po imieniu, nawet jeśli do tej kobiety niewiele już docierało.

- Halo - powiedziała do niej matka Rogera z przyjaznym uśmiechem i miną, która świadczyła, że jednak jej nie poznaje. Widać nie miała najlepszego dnia.

- Przynieśliśmy ci twoje ukochane ciasteczka - oznajmił Roger.

- Jak miło! Siadajcie, proszę. - Oliwia usiadła na jednym z krzesełek, a Roger na łóżku przy matce. - A gdzie jest Wirginia?

- Nie ma jej tu, mamo.

- Dlaczego?

- Rozwiedliśmy się, mamó. Już dawno temu. Wiadomość wyraźnie ją zmartwiła.

- Dlaczego?

- Nie pasowaliśmy do siebie.

Pokiwała głową, zastanawiając się nad tym głęboko.

- Co było, to było. Nie martw się.

- Nie martwię się.

- Dobrze, synu. - Poklepała go po ręce.

- To jest Oliwia, mamó.

- Dzień dobry, Oliwio. - Pani Hawkwood sprawiała wrażenie, jakby widziała ją po raz pierwszy. Oliwia uśmiechnęła się do niej z przymusem. Starsza pani wstała nagle z łóżka, podtrzymywana przez Rogera, i ruszyła do okna. - Popatrzcie na ocean - powiedziała. W dole, w popołudniowym słońcu lśniła East River.

- Jest piękny. I co za wspaniały statek! Uwielbiam morskie podróże.

- A może pooglądamy sobie telewizję? - zaproponował Roger i sięgnął po pilota. Nadawano właśnie wiadomości z felietonem filmowym o dzieciach. Matka odwróciła się na chwilę do ekranu.

- Te dzieci... one są tutaj?

- Nie, mamó.

- Są tutaj - powiedziała stanowczo. - Na statku jest kącik dla dzieci i tam się bawią. - Straciła zainteresowanie tematem, dopóki na ekranie nie ukazał się reportaż z jakichś krwawych zamieszek.

- Och, och...! - wykrzyknęła z przestraszeniem, drżąc na całym ciele.

Roger natychmiast wyłączył odbiornik i błyskawicznie się uspokoiła.

- Chyba napijemy się herbaty - powiedziała, znów siadając na łóżku. - Obsługa jest tutaj wspaniała. Przyniosą ci wszystko, o co poprosisz. Cieszę się, że mamy taką cudowną podróż.

- Tak - przytaknął Roger z westchnieniem.

- Gdzie teraz jesteśmy?

- Jak to?

- Gdzie jest statek? Wiesz, że czasami zapominam różne rzeczy.

Roger milczał przez chwilę.

- W Wenecji - powiedział wreszcie.

- Ach, Wenecja! - wykrzyknęła rozradowana.

Przez chwilę trwali w milczeniu, każde zatopione w swoich myślach. Tak było coraz częściej - matka Rogera coraz więcej czasu spędzała w krainie swoich fantazji. Z początku Roger próbował przywrócić ją do rzeczywistości, gdy jednak zauważył, że w tamtym świecie czuje się lepiej, podjął grę i dołączył do niej. Oliwia miała nawet wrażenie, że całkiem dobrze się bawi - tak jak teraz, żeglując na zmianę to oceanem na transatlantyku, to po weneckich kanałach.

- Gdzie ojciec? - zapytała nagle jego matka.

- Na pokładzie.

- A Mike? - Michael był starszym bratem Rogera. - Trzeba uważać, żeby nie wpadł do wody.

- Tatuś go pilnuje.

- To dobrze. Kiedy dopłyniemy do portu?

- N-no...

- Jutro. - Uśmiechnęła się do Oliwii. - Zaproś swoją przyjaciółkę, niech przyjdzie do nas wieczorem.

- Dobrze, mam. Zgadnij, dokąd pojedziemy następnym razem?

- Och, nie wiem.

- Do Rzymu! Zawsze chciałaś zobaczyć Włochy, prawda?

Matka przytaknęła uprzejmie. Nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale oczy jej błyszczały.

- Ty też tam będziesz?

- Tak. I Oliwia.

- Cudownie, że możemy być razem. - Ujęła jego rękę chudą, zreumatyzowaną dłonią i ścisnęła ją lekko. A potem zaczęła śpiewać - słodkim, drżącym, wysokim głosem:

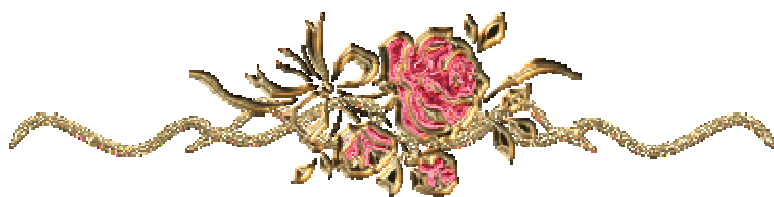
O, kraju wzgórz, rzek i dolin i łąk sianem pachnących!
Gdzie droga mnie wiedzie, tam idę, by spocząć razem ze słońcem...

- Ze słońcem... - zawtórował jej łagodnie Roger. Oliwia stłumiła łzy.

- Kiedyś byłam ładna - powiedziała mama Rogera.

- I ciągle jesteś.

- Oho! - stara kobieta mrugnęła do Oliwii. - Mali chłopcy kochają swoje mamusie.



Rozdział 8

Nastał smętny czas pomiędzy Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem. Drzewo na dziedzińcu domu Oliwii zgubiło liście, zniknęły kwiaty i zakątek, który tak lubiła, wyglądał teraz ponuro i nostalgicznie. Wiatr gwizdał w metalowych, lśniących od deszczu ogrodowych mebelkach.

Oliwia jeszcze nie zaczęła się rozglądać za świątecznymi prezentami. Każdego ranka, kiedy otwierała nowojorskiego „Ti-mesa”, natykała się na ogromną reklamę domu handlowego Bloomingdale z kalendarzem, na którym odliczano dni do Gwiazdki. W tym przypadku wyjątkowo chodziła na zakupy do rodzinnej, JULII”. Jeśli miała kupować coś dla kogoś, wołała nie robić tego na swój rachunek. Nie była aż tak bardzo nieracjonalna i zbuntowana, jak myślała rodzina.

Któregoś z tych paskudnych jesiennych dni zadzwonił Grady. Był w Nowym Jorku, zatrzymał się w mieszkaniu babci. Od roku nie mógł go sprzedać z powodu recesji. W końcu uznał, że trzeba zrobić remont, by wyglądało nowocześniej. Pomalował ściany na biało, zdarł spłowiałe tapety w kuchni i w łazienkach, zastępując je „czymś tańszym, ale bardziej znośnym”, jak się wyraził. Regularnie na spółkę z Taylor płacili czynsz, klnąc z te-

go powodu, bo żadne z nich nie zamierzało się przecież tam wprowadzić.

Kiedy Oliwia usłyszała głos kuzyna w słuchawce telefonu, przypomniała sobie, jak jeszcze w Mandelay uważała, że zna Grady'ego bardzo dobrze. Był fajnym, bystrym i żywym dzieckiem i wydawało się, że zawsze taki będzie. Ależ go wtedy uwielbiała! Życie wydawało jej się wtedy o wiele prostsze.

Teraz Oliwia zaprosiła go na niedzielny obiad i popołudnie.

- Zostawię was samych, żebyście mogli sobie spokojnie pogadać na rodzinne tematy - powiedział Roger.

- Ależ nie musisz, Grady bardzo cię lubi.

- Pójdę na siłownię, a potem rozejrzę się za prezentami, żeby potem nie robić tego w ostatniej chwili.

Z początku była rozżalona, lecz po chwili uświadomiła sobie, że właściwie Roger nie ma prawie czasu dla siebie, gdyż stale są razem - w tym samym budynku, w pracy i w domu. Może obojgu przydałoby się trochę swobody?

- Fajnie - powiedziała wesoło. - Jak wrócisz, będzie spaghetti i wielka micha sałatki. Podejrzewam, że Grady wzgardziłby befsztykiem.

- Nie sądzę, przecież jest z Kalifornii - uśmiechnął się Roger.

Grady przyjechał o wpół do dwunastej. Psy rzuciły się do drzwi z ujadaniem, lecz natychmiast zrozumiały, że przybysz jest przyjacielem, i zaczęły się do niego łąsić. Z roztargnieniem pogłaskał je po łbach.

- Leżeć!- skarciła je Oliwia.

- W porządku, są bardzo miłe.

Obciął włosy krótko, po wojskowemu, z czym nie było mu do

twarży. Sprawiał wrażenie napiętego i zmęczonego. Kiedy objęła go na przywitanie, wydał się jej większy, bardziej muskularny i twardszy niż pamiętała. Był przy tym tak sztywny i oficjalny, że miała wrażenie, jakby ścisnęła zimną kamienną statwę.

Przez chwilę tuliła się do niego, dając wyraz ciepłym uczuciom, jakie zawsze wobec niego żywiła. Dopiero wtedy odtajał i gdy Oliwia zobaczyła jego skryty uśmiezek, wiedziała już, że powrócił dawny Grady.

- Cześć! - powitał ją. - Nie widzę Rogera.

- Podobno kupuje mi prezent. Wejdz - wzięła od niego kożuszek. - Napijesz się czegoś?

- Krwawej Mary. Chcesz, żebym sam zmieszał?

- Tak, proszę.

- Dla ciebie też?

- Na razie nie. Do obiadu mam szampana. Nie słyszałam co prawda, żeby się go piło do spaghetti, ale teoretycznie szampan pasuje do wszystkiego.

- Też tak uważam - zgodził się Grady. Usiedli w kuchni.

- Od dawna jesteś w Nowym Jorku? - zapytała.

- Od dwóch tygodni. - Zauważył błysk zaskoczenia i urazy w jej wzroku. - Byłem cholernie zajęty - wyjaśnił. - Miałem mnóstwo roboty w mieszkaniu babci i różne inne sprawy do załatwienia. Musiałem się też spotkać z wujem Seymourem. Sądzę, że ktoś musi od czasu do czasu sprawdzić, jak oni prowadzą ten sklep.

- I właśnie ty to zrobiłeś?

- Słuchaj, przecież oni robią, co chcą, a nikogo z nas nic to nie obchodzi. Każdy tylko bierze czek.

- Na tych czekach są niemałe sumy - powiedziała Oliwia. Miała nadzieję, że Grady nie napytał sobie jakichś nowych kłopotów.

- Ja mam zamiar ich kontrolować i to był pierwszy krok - oświadczył. - Będę chciał przejrzeć księgi. Będę tu przyjeżdżał częściej i zadawał pytania.

Była zaskoczona twardym tonem jego głosu, jakąś wyraźnie słyszalną w nim goryczą. Grady skończył swoją Krwawą Mary i dolał sobie następną porcję z karafki, którą przygotował.

- Będiesz miał na to czas? - zapytała.

- Jasne, przecież w tym roku nie miałem żadnego zajęcia. Pewnie zaraz zapytasz o film w Kanadzie. Kłamałem. Po prostu Taylor, Tim i ja pojechaliśmy tam na wakacje.

- Myślałam, że jesteś stałym dublerem Harry'ego Hubbarda - zdziwiła się. Harry Hubbard był znanym, choć już nieco wyleniałym macho. Grywał w filmach akcji, na które Oliwia nie chodziła, chyba że występował w nich Grady, a ściślej mówiąc - ciało Grady 'ego, zwykle fruujące w powietrzu.

- Hm... Widzisz, Hubbard też nie miał w tym roku pracy.

- Czemu?

- Ludzie już nie przepadają za nim tak jak kiedyś. Jego ostatnie dwa filmy zrobiły klapę.

- Swoją drogą nie rozumiem, jak mogłeś go dublować, skoro w ogóle nie jesteście podobni - powiedziała.

- Owszem, jesteśmy. Podobna budowa, karnacja, kształt twarzy. Potrafię imitować jego ruchy, tylko jestem młodszy i dlatego robię to, czego on nie daje rady. Choć tak naprawdę, nie czuję się już młody i nie wszystko przychodzi mi tak łatwo, jak kiedyś. Mam już trzydzieści pięć lat i sztuczny staw biodrowy.

- To fatalne - Oliwia była szczerze przerażona. - Może powinienem rzucić to i przekwalifikować się jakoś.

Grady zamilkł i szybko dopił swoją Krwawą Mary. Odezwał się dopiero, kiedy nalał sobie następną.

- Niby jak? Nie wyobrażam sobie tego - powiedział.

- Dosyć... Jestem okropną gospodynią. Pewnie umierasz z głodu. - Oliwia zerwała się z miejsca, żeby wstawić wodę na grube spaghetti, które tak bardzo lubiła.

Miała nadzieję, że Grady nie zdąży się upić, zanim danie będzie gotowe. Nigdy nie myślała o nim jako o kimś, kto wylewa za kołnierz, ale w sumie wiedziała o nim teraz bardzo niewiele. Przez ostatnie lata głównie to, co mówiła jej ciotka Julia.

Szybko podała na stół ser feta, oliwki i bagietkę.

- Przegryź sobie coś na razie. Chcesz jeść w jadalni czy zostajemy-w kuchni?

- Obojętnie - włożył do ust oliwkę.

- Może jestem naiwna, ale wyobrażam sobie, że jeśli było się dublerem samego Harry'ego Hubbarda i ma się dobrą markę, nie powinno się narzekać na brak propozycji - wróciła do przerwanego wątku Oliwia.

- I nie narzekam - potwierdził - tylko szkoda mi zdrowia na takie zabawy. To nie są żadne wielkie pieniądze, a przy dochodzie, jaki mam z rodzinnych czeków, przekroczyłbym próg podatkowy i w sumie miałbym mniej, niż gdybym w ogóle nie pracował. Dlatego nie pracuję.

- Ale przecież chcesz coś zrobić?

- Jasne. Niedawno zadzwonił koordynator kaskaderów i pytał, czy przyjmę jeden numer. Miałbym jako żywa pochodnia spaść parę piętér w dół, wybiwszy przedtem okno. Zapropono-

wał mi cztery tysiące. Odpowiedziałem, że dla mnie ten numer wart jest siedem. Stwierdził, że za bardzo się cenię, że to nie fair w stosunku do innych ludzi z naszego związku i że weźmie kogoś innego. Dobra, niech bierze. Szykuje się inny film, mam dostać osiemnaście setek za tydzień i przerolować się w samochodzie. W takim gagu człowiek jest lepiej zabezpieczony, więc mówię „okay”, ale chcę trzy tysiące ekstra. Facet śmieje mi się w nos i daje robotę mojemu kumpłowi, który zrobił ją za tysiąc dwieście ekstra. I tak to jest. Wielu chłopaków sprzedaje się tanio, byle tylko przeżyć. A przecież to cholernie niebezpieczna robota. Może mi się coś stać, a wtedy cała kariera bierze w łeb. Dlatego muszę zrobić duże pieniądze, żeby się zabezpieczyć. No i widzisz, poszła plotka, że Grady Silverstone jest grymaśny. Mówią, że mam przerost ego, że cenię się jak gwiazda.

- Ta praca jest naprawdę niebezpieczna - powiedziała poważnie Oliwia. - Ja nie podjęłabym się czegoś takiego za żadną cenę.

- Ja kocham tę robotę, ale nie zamierzam do tego stopnia nadstawiać tyłka- stwierdził dosadnie Grady, pociągając solidny łyk. - Zwłaszcza jeśli mam jeszcze opłacać się Urzędowi Skarbowemu za przywilej ryzykowania życiem.

Rodzinne pieniądze, pomyślała od razu Oliwia. To one zdemoralizowały go i stępiły jego ambicję. Gdyby tak naprawdę pasjonował się swoją pracą, nie dbałby o progi podatkowe. Tu musiało chodzić o coś jeszcze, co na razie jedynie przeczuwała, a czego nie umiała wyraźnie określić.

- Dlatego właśnie nic nie robiłem przez cały rok - dodał.

- Może w takim razie powinieneś zostać koordynatorem kaskaderów?

- Nie da się zrobić, bo już mnie nie lubią - stwierdził gorzko.
- W tym interesie trzeba mieć dobre układy z ludźmi.
- Tak jak w każdym - wzruszyła ramionami - w moim również.

- Zresztą - ciągnął Grady - jak się ma taką funkcję, trzeba w ogóle zapomnieć o domu. A ja mam już dosyć siedzenia na walizkach, pokoi hotelowych i podłego bufetu na filmowym planie.

- Na szczęście dzisiaj ja cię żywię. - Wstała energicznie, wrzuciła makaron na wrzącą wodę i wyjęła sałatkę z lodówki.

- Co w takim razie robisz przez cały dzień, jeśli nie pracujesz?

- Och, zawsze jest coś do roboty. Robię przegląd moich motocykli, urządzam dom, czasem pomagam sąsiadom.

- Jasne - przytaknęła znad garnka z makaronem. - No, chodź. Zaraz siadamy do obiadu.

- Skoczę tylko na chwileczkę do łazienki, pozwolisz?
Grady wyszedł, a Oliwia uznała, że stworzy jednak uroczysty nastrój i nakryje w jadalni. W końcu co rodzina, to rodzina. Wyjęła nawet srebrną zastawę i porcelanę, by Grady poczuł się szczególnie uhonorowany. Miała dwie butelki szampana, chłodzące się w lodówce, aby Roger mógł się napić z nimi, gdy wróci. Na razie wyjęła dwa piękne, stare, rżnięte kryształowe kieliszki do szampana. Zostały jej po matce, która kupiła je dawno temu z przeznaczeniem na rodzinne przyjęcia w Mandelaj.

- Pomóc ci w czymś? - zawołał Grady z kuchni.
- Dam sobie radę.
- Odleję makaron - zaproponował. - Już zmiękł. Odruchowo chciała odkrzyknąć, żeby uważał, ale uznała, że

nie jest przecież dzieckiem. W tym momencie z kuchni dobiegł rozdzierający krzyk, a po chwili wyskoczył z niej Grady, wymachując płonącym rękawem.

- Aaaa! - jęczał, skręcając się z bólu.

Rzucił się do okna, jak gdyby w panice chciał ugasić płomień zasłonami, ale nagle zawrócił gwałtownie, pędząc wprost na Oliwię. Był pijany, oszalały i płonął. Oliwia na moment zamarła ze zgrozy.

- Chodź do zlewu! Szybko! - krzyknęła, usiłując wepchnąć go do kuchni tak, by samej się nie podpalić.

Nadbiegły psy i zaczęły plątać się pod nogami, ujadając histerycznie. Grady wyrwał się Oliwii i jednym skokiem sam dopadł kuchni. Usłyszała szum odkręconej wody. Za chwilę ukazał się w drzwiach jej ukochany kuzyn ze swoim słodkim uśmiechem i zbójczą miną. Przykrywał szerniawy rękaw koszuli wilgotnym ręcznikiem, który na oczach Oliwii odkrył zgrabnym ruchem mistrza ceremonii, odsłaniającego pokrywę półmiska z pokazowym daniem. Pod strzępami koszuli ukazała się normalna, zdrowa skóra.

- Ale dałaś się nabrać! - stwierdził z satysfakcją.

- Grady, ty draniu! - Oliwia omal nie zemdląła z poczucia nagłej ulgi.

- Spróbowałem spaghetti, zanim zapaliłem zapałkę- powiedział. - Już można je odlać.

- Jak to zrobiłeś, Grady?

- Zwyczajny Żel Gel. Zorganizowałem go sobie przy ostatnim filmie. To żel izolujący od płomienia. Posmarowałem nim ramię i dłoń, kiedy byłem w łazience. Potem włożyłem z powrotem koszulę, nasyciłem rękaw impregnacją i podpaliłem. Najadłaś się strachu, co?

Uśmiechnął się do niej filuternie i znów był jej słodkim, małym kuzynkiem Grady. Oliwia sama już nie wiedziała, czy ma go uściskać, czy sprać - choć na to drugie był chyba zbyt silny. W rezultacie przytuliła się do niego, pragnąc się uspokoić, jak małe dziecko.

- Tak, bardzo się bałam. Nigdy nie rób mi czegoś takiego - powiedziała ciągle jeszcze drżącym głosem.

Zaśmiał się i poklepał ją po ramieniu, a potem wspólnie przygotowali posiłek. Zasiedli w jadalni i otworzyli pierwszą butelkę szampana. W tle dyskretnie grał łagodny jazz. Mimo to wesoły nastrój Grady'ego nagle zniknął.

- Mój ojciec popełnił samobójstwo - oznajmił spokojnie, choć zupełnie nieoczekiwanie. - Nikt w mojej rodzinie nie powiedział tego głośno. Mówiło się o wypadku. Moja kochana mamusia, Wielka Earl, twierdziła, że przeszedł załamanie nerwowe i pojechał się sprawdzić. Taylor wymyśliła jakiś bzdurny scenariusz, że miał telefon w środku nocy i spieszył komuś na pomoc. Zrobiła z niego tragicznego bohatera. A ja zgadzam się z glinami.

Po raz pierwszy od tamtego czasu mówił przy niej o samobójstwie Stana. Oliwia była równie poruszona, co smutna.

- Czy domyślasz się, dlaczego to zrobił?

- Nie. Byliśmy jeszcze tacy młodzi, a on rzadko bywał w domu. Ale kiedy się zjawiał, potrafił być dla nas najcudowniejszym ojcem. Musiało to być dla niego coś bardzo ważnego, bo przecież inaczej by nas nie opuścił.

Oliwia pomyślała o czasach, kiedy byli dziećmi, i łzy napłynęły jej do oczu.

- W takich sprawach zawsze są ważne powody.

Grady gwałtownie zamrugał powiekami i uciekł w bok spojrzeniem, pociągając głośno nosem.

- Mam kłopoty z przegrodą nosową i zatokami - wyjaśnił. - Od czasu tamtego złamania ciągle mi dokuczają.

- Nos, biodro... ciężki ten twój zawód.

- To nie wina mojego zawodu, to stało się wcześniej, kiedy miałem siedemnaście lat. Wielka Earl schlała się i naskoczyła na mnie. Kopnęła mnie w twarz i złamała mi nos. Nigdy dobrze się nie zrosł.

- Twoja matka? - wyjąkała ze zgrozą Oliwia.

- Zgadza się.

- Pobiła cię? Kopnęła w twarz? O Boże, Grady, nie przypuszczałam, że było aż tak źle!

Biedny Grady. I biedna Taylor. Oliwia przypomniała sobie Earlene, silną i postawną kobietę o mocnych ramionach. Musiała być straszna w pijackim szale. Ale Grady już wtedy był zwinny i silny jak na swój wiek. Potrafił zrobić salto w tył na równoważni. Mógł się przynajmniej osłonić albo uskokczyć i uciec. Gdyby chciał, mógłby nawet oddać cios matce, a wtedy zastanowiłaby się dwa razy, zanim znów podniosłaby na niego rękę.

- Dlaczego dałeś się tak okrutnie pobić?

Grady popatrzył na nią w milczeniu i wzruszył ramionami. Dlatego, że była twoją matką, odpowiedziała za niego w myśli.

- Widujesz się z nią w ogóle?

- Tak - skrzywił się. - Od czasu do czasu upiera się, żeby nas odwiedzić. Chce odgrywać kochającą mamusię i udaje, że nie pamięta, jak było dawniej. Nie wpuszczam jej do swojego domu, więc zatrzymuje się u Taylor.

- Jak Taylor ją znosi?
- Nie znosi jej, tak jak i ja, ale usiłuje zachować pozory.
- A co w ogóle porabia Earlene?
- Nadal mieszka w Santa Fe. Ma wdowią rentę. Jest jeszcze szampan?

- Cała butelka. Co byś powiedział na kawę?
- Chętnie. Pomogę ci.

Zebrał naczynia ze stołu i zdążył otworzyć drugiego szampa-
na, gdy Oliwia nadeszła z kawą. Nie była nawet na rauszu, bo pił
głównie Grady. Zastanawiała się, czy jego picie wynika ze stre-
sującej pracy (jak wiadomo, kaskaderzy muszą odreagować swoje
karkołomne wyczyny), czy, co równie prawdopodobne, ze
skłonności odziedziczonych po matce. A może pił tylko dlatego,
że był nieszczęśliwy. Jego depresja była tak wyczuwalna, iż
zdawała się zagęszczać atmosferę w pokoju.

Oliwia postawiła na stole paterę z winogronami i biskopto-
we ciasteczka na deser. Grady natomiast wyciągnął z portfela
jakieś fotografie.

- Nie widziałaś mojego nowego domu - powiedział, ożywia-
jąc się na chwilę. - Postawiłem go w pobliżu starego, którego
zresztą też nie widziałaś. Ten jest większy.

Dom wyglądał jak ilustracja do magazynu architektów.
Utrzymany w luksusowym, lecz rustykalnym stylu, miał belko-
wane sklepienia i kominki. Wkomponowano go gustownie w za-
drzewioną działkę.

- Jest piękny - powiedziała Oliwia.
- Ściągnąłem tam trochę rzeczy od babci, widzisz?
- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego ty i Taylor chcieli-
ście zostać w Topandze po tak koszmarnym dzieciństwie.

- Bo lubimy te strony i tam się najlepiej czujemy. - Zanurzył swojego biskopka w szampanie. - Wiesz, miałem żal, że matka odstąpiła mój pokój tamtej kobiecie.

- Myślę, że zwyczajnie potrzebowała pieniędzy. Twoja szkoła z internatem sporo kosztowała.

- Hm, być może. Ten dom sprawia mi jednak masę kłopotów. Procesuję się z ludźmi, od których go kupiłem. Okłamali mnie, mówiąc, że nie będę miał trudności w uzyskaniu pozwolenia na budowę tarasu na zboczu góry. Okazało się, że nie ma nawet mowy o czymś takim. Szkoda, że dowiedziałem się o tym w trakcie robót, gdy taras został już w połowie ukończony. Odmówiłem rozbiórki i teraz sterczy tam jak złamany ząb. Ile razy na niego patrzę, krew mnie zalewa. Wydałem już majątek na prawników! - Podniósł ton, wyraźnie zdenerwowany.

Oliwia była zaskoczona tak emocjonalnym podejściem do tej sprawy, ale przypomniała sobie, jak ciotka Julia mówiła, że jeśli chodzi o dom, Grady jest pedantem i perfekcjonistą.

- Takie rzeczy potrafią ciągnąć się latami - zauważyła trzeźwo.

- Wiem, ale nie zamierzam popuścić.

Włożył zdjęcia do portfela tak pieczołowicie, jak inni fotografowie swoich małżonków i pociech. Słońce zaczęło zachodzić i w pokoju zagęszczał się mrok. Oliwia zastanawiała się, gdzie jest Roger. Minęło już sporo czasu, odkąd wyszedł.

- W zeszłym miesiącu pojechałem powłóczyć się z namiotem w Yosemitech - powiedział Grady. - Pięknie było.

- Byłeś sam? Oczy mu zabłyśły.

- Zawsze sobie kogoś przygadam - powiedział z dwuznacz-

nym uśmiechem. - Spotkałem młodego chłopaka, fajnie nam się gadało i wstąpiliśmy do baru na drinka. Dopiero kiedy zamówiliśmy swoje, okazało się, że on nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat - bo dopiero od tego wieku w Kalifornii sprzedaje się alkohol. Wcześniej nawet tego nie wiedziałem. Wobec tego zamawiałem sam i podsuwałem jemu. To było całkiem zabawne.

Nie widzę w tym nic zabawnego, pomyślała Oliwia. Chce mi opowiedzieć historyjkę pijacką czy homoseksualną? Pewnie jedno i drugie.

Nie miała zamiaru go pytać, czy jest gejem, bo już raz zapreczył, ale czuła, że Grady chce jej powiedzieć coś jeszcze tego dziwnego, pełnego wyznań popołudnia. Nawet wyglup z płonącym rękawem nie zdołał zatrzeć wrażenia, że siedzącego przed nią w tej chwili człowieka otacza aura rozpaczliwego smutku i osamotnienia. W tym wszystkim, co mówił jej dzisiaj, nie było odrobiny optymizmu, a przeciwnie - tylko gniew i żal. Ogarnęła ją nagła fala czułości i litości dla niego.

Grady uniósł do oczu pusty kieliszek i obracał go w palcach, podziwiając odbłysek światła w kryształach.

- Pamiętam te kieliszki z Mandelay.
- Tak.
- Wielkie rodzinne przyjęcia. Kenny był tak nieśmiały, że chował się w kuchni i musieliśmy go stamtąd wyciągać na siłę.
- Pamiętam - uśmiechnęła się Oliwia.
- Wesoło tam było. Uwielbiałem Mandelay.
- Wszystkie dzieci je lubiły.
- Ty nie?
- Przeważnie byłem tam nieszczęśliwa, ale jest parę rzeczy, za którymi tęsknię.

- Parę rzeczy nam zostało. Babcia zabrała zastawę, kiedy sprzedawała dom, i potem wszystko rozdzieliła - przypomniał Grady. - Teraz jest u Taylor i u mnie. Używam jej nawet, bo bardzo dużo znaczą dla mnie wspomnienia.

- Cieszę się. - Oliwia, ciągle na fali czułości, pomyślała, że również chciałaby zostawić mu jakąś znaczącą pamiątkę od siebie. - Podaruję ci coś z rzeczy po mojej matce - powiedziała. - Czy chciałbyś coś szczególnego?

- Jeśli można, coś z Mandelay.

Dopiero teraz zaczęła się gorączkowo zastanawiać, z czym mogłaby się rozstać. Z każdym przedmiotem związane były jakieś wspomnienia, niekoniecznie złe. Niektóre po latach stały się niepodziewanie znaczące. Oliwia pamiętała roześmiane twarze wokół długiego stołu, na którym królował urodzinowy tort...

Tak, podaruje Grady'emu kieliszki.

- Widzę, że spodobały ci się te kieliszki - powiedziała. - Chciałbyś dwa do pary?

Twarz mu się rozjaśniła.

- Nie potrzebujesz ich?

- Mam resztę kompletu.

- W takim razie dzięki. Zawsze chciałem mieć pamiątkę po ciotce Lili. Była dla mnie dobra.

Oliwia sięgnęła do serwantki, gdzie trzymała szkło, i wyjęła dwa kryształowe kieliszki. Refleksy rzuńniętego kryształu rozbłysły w padającym z kuchni świetle, wywołując jasne obrazy z mroków pamięci. Wyobrazila sobie młodą jeszcze Lile, która kupuje te kieliszki z myślą o letnich przyjęciach dla całej rodziny w Mandelay.

- Masz więc już swój gwiazdkowy prezent. - Z uśmiechem wręczyła Grady'emu torbę z kieliszkami owiniętymi w serwetki.

Uśmiechnął się lekko w odpowiedzi, ale nie odezwał się ani słowem. Przez chwilę milczeli, oboje mocno wzruszeni. Tę niezwykłą ciszę przerwał Roger, który pojawił się wreszcie, objuczony torbą treningową i przeróżnymi paczkami. Oliwia zerknęła na zegarek. Była szósta po południu.

- Witaj, Grady! - powiedział wesoło, wkraczając do jadalni.

- Jeszcze nie skończyliście lunchu?

- Lunch przeciągnął się do koktajlu - poinformował Grady.

- Ocaliliśmy dla ciebie resztkę szampana, Roger - zaśmiała się Oliwia. Kiedy nadstawiała policzek, by ją pocałował, poczuła, że też coś wypił. Mimo to przyniósł sobie z kuchni zwykły kieliszek i nalał to, co zostało w butelce.

- Jak ci minął dzień? - zapytała.

- Dobrze. A tobie?

- Też dobrze.

- Nie wiedziałem, że jest tak późno - rzucił nagle Grady.

- Muszę się jeszcze spotkać z przyjacielem. Będę leciał.

- U ciebie wszystko w porządku, Grady? - zagadnął Roger.

- Tak, dziękuję.

Oliwia odprowadziła kuzyna do przedpokoju i serdecznie uściskała na pożegnanie.

- Odezwij się, kiedy znowu będziesz w Nowym Jorku. Chciałabym cię częściej gościć.

- Odezwę się na pewno. Dzięki za wszystko.

Wyszedł, troskliwie przyciskając do piersi torbę z kieliszkami. Oliwia zastanawiała się, jak szybko znów go zobaczy, i cieszyła z tego, że wpadła na ten pomysł z prezentem.

- Co robimy z kolacją? - zapytał Roger, kiedy wróciła do jadalni i zaczęła uprzątać stół.

- Co? Ach, może gdzieś pójdziemy? Od rana tkwię w domu.

- Włożyła naczynia do zmywarki, a serwetki do pralki. - Daj mi

swoje rzeczy z siłowni - zawołała do Rogera. - Włożę je do brudów, a Peggy upierze je rano.

- Wiesz... - zawahał się na ułamek sekundy - dzisiaj darowałem sobie trening, bo był cholerny tłok, a nie lubię pocić się w tłumie.

- Szkoda. Co w takim razie robiłeś?

- Snułem się po sklepach i kupowałem prezenty.

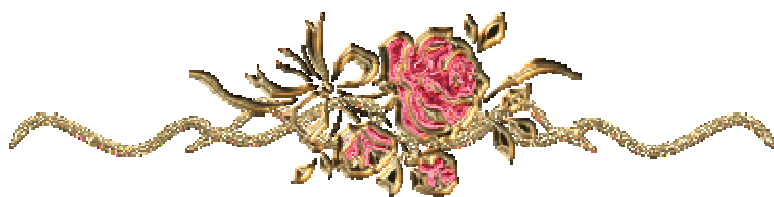
- Jadłeś z kimś lunch?

- Sam ze sobą.

Pomyślała o jego oddechu i wyraźnej woni wina, którą poczuła przy powitaniu. Cóż, Robert miał swoje upodobania i swoje pieniądze. Dlaczego nie miałyby zafundować sobie w niedzielę wystawnego obiadu z dobrym winem? Złapała się na tym, że zaczyna za wiele dociekać i zadawać zbyt wiele pytań, zupełnie jak jej matka. Powinna się raczej cieszyć, bo samotne popołudnie wyraźnie dobrze mu zrobiło. Wprost promieniał życzliwością i humorem, a to w końcu było najważniejsze.

- Przy kolacji opowiem ci o spotkaniu z Gradym - obiecała.

- Było naprawdę niesamowite.



Rozdział 9

Od czasu do czasu, zwłaszcza gdy zbliżały się dni wolne, Oliwia myślała o Jenny i Melissie, a wtedy tęskniła za nimi mocno. Były dla niej nieco tajemnicze - mieszkały gdzieś daleko i zajęte były swoimi sprawami, które jej póki co były zupełnie obce. Zastanawiała się, co robią, i czy ich dzieci bardzo podrosły od ostatniego widzenia. Traktowała tych małych kuzynków jak dzieci z najbliższej rodziny i miała dla nich wiele miejsca w swoim sercu, lecz ich zapracowane matki najwyraźniej nie miały czasu, żeby do niej zadzwonić, podobnie zresztą jak ona do nich. Myślała o Jenny, Paulu i ich dzieciach, bo kiedy była młoda, nosiła dziecięce zdjęcie Jenny w portfelu, pragnąc choć przez chwilę mieć złudzenie, że ma własne dziecko albo chociaż małą siostrzyczkę. Potem, kiedy Jenny była nastolatką, przychodziła się wypłakiwać do przyszywanej ciotki. Dlatego na tydzień przed Bożym Narodzeniem Oliwia zadzwoniła wreszcie do Jenny, do Cambridge.

- Jutro wyjeżdżamy na narty - oznajmiła Jenny.
- W takim razie cieszę się, że cię złapałam. Co u was?
- Młyn, jak zwykle. Wyobraź sobie, że czasami, kiedy wracam z pracy, wślizguję się potajemnie na górę, wpełzam do wan-

ny i moczę się tam przez dobre pół godziny, zanim ktoś odkryje, że jestem w domu. Dopiero po czymś takim mogę stawić im czoło.

- Nie dziwię się, przy piątce dzieci... - powiedziała ze współczuciem Oliwia. -I jeszcze ta twoja praca.

Była pełna podziwu dla Jenny, która jako prawnik rodzinny bezustannie miała do czynienia z nieszczęśliwymi, bitymi i zdradzonymi kobietami oraz dręczonymi dziećmi, lecz wszystkie te nieszczęścia zostawiała na progu swego domu, nigdy nie mówiąc o nich ani słowa. Jenny miała wspaniałego męża, który pomagał jej we wszystkim, i znakomitą pomoc do dzieci. Pomimo to Oliwia nie mogła pojąć, jak udaje się jej godzić pracę i życie rodzinne. Do tego robiła karierę, a dzieci były zdolne i świetnie wychowane.

- Wyobrażasz sobie, ile kosztuje abonament na wyciągi dla siedmiu osób? - zapytała Jenny.

Oliwia nie miała pojęcia, gdyż nigdy w życiu nie stanęła nawet na nartach. Dla niej - i oczywiście dla jej matki, bojącej się jak ognia wszystkiego - sport ten wiązał się wyłącznie ze straszliwymi wypadkami. Dlatego kiedyś uprawiała jedynie tenis i pływanie (lecz nie skakała ani nie nurkowała), a teraz tylko od czasu do czasu chodziła na siłownię.

- Wszyscy jeździe?

- Jasne. Kara i Belinda są jeszcze początkujące, ale stanęły na stoku, kiedy tylko zaczęły chodzić. Narciarstwo to świetny sport dla całej rodziny.

- Zazdroszczę wam.

- Moglibyście się jeszcze nauczyć z Rogerem. Albo przynajmniej spróbować pojeździć na łyżwach. Lodowiska są wszędzie.

- Może kiedyś... - Mówiąc o zazdrości, Oliwia miała na myśli rodzinne szczęście, a nie zimowe sporty. O tej porze roku woleli z Rogerem siedzieć w ciepłym, domowym zaciszu i oglądać filmy.

- Uwielbiam narty i całą tę atmosferę - mówiła tymczasem z podnieceniem Jenny. - Rytuał zakładania sprzętu, góry, powietrze, potem zjazd na obiad do knajpy...

- I błogie uczucie, że możesz się najeść do woli, bo i tak spalisz wszystkie kalorie - uzupełniła Oliwia.

- O, tak, to też!

- Co jeszcze nowego u was?

- Didi chce brać lekcje śpiewu, ale ja się waham. Ma dopiero dziewięć lat, a już uczyła się grać na pianinie, skrzypcach i gitarze, i wszystko szybko się jej znudziło. Szkoda pieniędzy.

- Może ona po prostu nie może się odnaleźć. Myślę, że powinnaś jej pozwolić na te lekcje.

- Zobaczymy.

- Mam nadzieję, że my niedługo się zobaczymy.

- Na pewno. Nie zapominaj, że w marcu przypada bar miewa Sama. Wyobrażasz sobie? Mamy już nastolatka!

- Nie, nie mogę sobie wyobrazić. - Oliwia ciągle pamiętała Sama jako słodkiego chłopczyka.

- Słuchaj, oni się strasznie tłuką tam w pokoju - powiedziała nerwowo Jenny. - Muszę iść i sprawdzić, czy nie narozrabiali. Baw się dobrze w święta.

- Ty też. Pozdrów wszystkich.

Rodzinny nastrój tak rozpierał Oliwię, że zaraz po odłożeniu słuchawki wystukała numer Melissy w Houston.

- O, Oliwia, heej! - ucieszyła się Melissa, jakby od razu

chciała jej przypomnieć, jak słodki ma głos i jak spontanicznie umie się cieszyć.

- Hej, dzwonię, żeby życzyć ci wesołych świąt i w ogóle wszystkiego, o czym sobie zamarzysz.

- Nie znoszę Gwiazdki - powiedziała Melissa. - To nie są moje święta. Jak można grać kolędy w miejscach publicznych, nie pytając, czy ktoś ma ochotę ich słuchać?

- Cóż, mamy wolność słowa i zgromadzeń - powiedziała Oliwia. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że Melissa jest aż tak ortodoksyjnie religijna. Innym Żydom w ich rodzinie nie przeszkadzało chrześcijańskie Boże Narodzenie, głęboko je nawet przeżywali, choć przecież w ich religii były inne święta. Melissa najwyraźniej zmieniła swój pogląd na tę sprawę. A może zawsze taka była, tyle że Oliwia dopiero teraz to zauważyła?

- Wyjeżdżacie gdzieś na ferie? - zapytała, pragnąc zmienić temat, zanim zdążą się pokłócić. Oliwia bowiem uwielbiała kolędy i słuchała ich z przyjemnością nie tylko w miejscach publicznych.

- Tak, na Hawaje. Nigdy tam nie byliśmy, a dzieciakom powinno się spodobać.

- Ja też nie byłam.

- To niech Roger cię zabierze. Albo ty zabierz jego.

- Owszem, mamy Hawaje na liście miejsc do odwiedzenia.

- Nie róbcie list, tylko jedźcie. Życie jest za krótkie, żeby się namyślać. Przekonasz się, kiedy będziecie mieli dzieci. Najpierw nie chcą się ruszyć na krok od mamy, a potem, nie wiadomo kiedy, idą na swoje, a ty za nimi płaczesz.

- Daj spokój. Jesteś jeszcze młoda.

- Abe i Jake pojechali sami na biwak.

- Przecież dopiero zaczęli liceum.

- Lepiej nie mówmy o tym liceum... - Melissa zaśmiała się nerwowo.

W jakiś sposób opowieści Jenny i Melissy o ich codziennym, pracowitym życiu podtrzymały Oliwię na duchu. Żałowała tylko, że tak rzadko mogą się spotykać. Od czasu bar micwy w Santa Barbara żadna nie podjęła pomysłu założenia Klubu Kuzynów.

Po rozmowie z Melissą nagle wróciło wspomnienie Grady'e-go. Nie dzwonił do niej od tamtego czasu i sama też nie zadzwoniła. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wkracza tym swoim kocim krokiem do biura wuja Seymoura i zaczyna zadawać kolejne pytania o rodzinne interesy. Podziwiała jego nerwy i tupet. Choć z drugiej strony Grady ujął być może wuja swoją uprzejmością i szczerym zainteresowaniem sprawą. I zapewne wuj Seymour z przyjemnością wtajemniczał siostrzeńca w zawile sprawy rodzinnego biznesu. Wystarczyło jednak lekko przesadzić, by czujny wuj poczuł się podpuszczany i oszukiwany - a wtedy marny byłby los Grady'ego.

Pobudzona pamięć podsunęła jej obraz kolacji, jaką wuj Seymour i ciotka Iris wydali kiedyś z okazji zaręczyn jej ojca z Grace. W sumie, choć przyjęcie to nie miało rangi i rozmachu przyjęcia zaręczynowego, potwierdzało akceptację Grace przez rodzinę. A przecież z początku nie było to wcale takie oczywiste. W końcu ojciec Oliwii był przez długie lata mężem niedawno zmarłej siostry Seymoura.

Ucztowali wówczas w bardzo drogiej francuskiej restauracji, zupełnie nie do polecenia tym, którzy dbają o poziom cholesterolu we krwi. Oliwia z Rogerem byli jedynymi zaproszonymi gośćmi. Grace miała na sobie piękną suknię ze słynnego domu

mody, którą kupił jej narzeczony, by godnie zaprezentowała się rodzinie. Ojciec Oliwii promieniał. Ona zaś siedziała obok wuja Seymoura, który bynajmniej nie promieniał wcale. Z ponurą miną nabierał łyżeczką zupę z porów, a kiedy ją skończył, odwrócił się dyskretnie do Oliwii.

- Mam do ciebie pewną sprawę - powiedział cicho, by inni nie usłyszeli. - Tu nie ma miejsca na dyskusję, więc przyjdź do mnie później.

- A nie możesz przynajmniej powiedzieć, o co chodzi - nalegała, zaciekawiona.

- Dobrze. Za chwilę - odpowiedział z naciskiem.

Oliwia z westchnieniem rezygnacji rozejrzała się, by sprawdzić, co się dzieje przy stole. Ciotka Iris, która z kolei zawsze doskonale wiedziała, co się dzieje, żywo wdała się w rozmowę z narzeczonymi. Roger jadł w milczeniu, obojętny na wszystko.

Wuj Seymour upił łyk wody mineralnej i osuszył usta elegancką serwetką.

- Jak rozumiem, twój testament nie został spisany przez naszego rodzinnego prawnika? - zapytał surowo.

Przytaknęła, dziwiąc się, skąd mógł wiedzieć takie rzeczy.

- Nie wiem, dlaczego brałaś sobie kogoś, skoro mamy na swoje usługi Bameya Pashkina. A jak brzmi nazwisko tego twojego?

- Ma dobrą opinię - podkreśliła. Z napięcia już zaczynała ją boleć głowa.

- Nie masz żadnego pojęcia o biznesie, a uparłaś się, żeby działać na własną rękę - powiedział z naganą wuj Seymour.

- Czemu wyobcowujesz się z rodziny?

- Myślę, że jestem z nią bardzo związana.

- Miałem ci polecić Bameya Pashkina, a ty zdążyłaś zaangażować tego głupka, Price'a Englisha. Znam go jeszcze ze szczeniackich czasów, z Brooklynu. Jego rodzina zmieniła nazwisko. Oczywiście był starszy ode mnie, co nie znaczy, że mądrzejszy.

Gdyby był starszy od ciebie, byłby już na emeryturze, pomyślała Oliwia, ignorując niewybredny epitet, jakim wuj określił Englisha.

- Na pewno nie był starszy, wuju. Ma sześćdziesiątkę, nie więcej.

- E, tam, odmładza się. Ale nieważne. Jednym słowem, masz swojego prawnika.

Nie odpowiedziała.

- A kogo ustanowiłaś wykonawcą testamentu?

- Charlie'ego.

Wówczas nie wiedzieli jeszcze z Rogerem, czy będą na tyle długo ze sobą, by wspólnie rozważyć sprawy swoich zapisów. Na wzmiankę o swoim synu, Charlie'm Doskonałym, wuj Seymour z uznaniem skinął głową.

- Czy on o tym wie? - zapytał poważnie.

- Powiem mu.

- Lepiej to zrób.

- Dobrze.

Odwrócił się do swoich gości, zwalniając ją tym samym z dalszej rozmowy. Była tak roztrzęsiona, że omal nie rozlała wina.

Później, kiedy zastanawiała się nad tym spokojnie, usiłowała dociec, o co naprawdę chodziło temu najbardziej wpływowemu człowiekowi w rodzinie, który stale chciał kontrolować życie kolejnych pokoleń, tak jak robił to jego ojciec, dziadek i pradziadek. Fakt, iż jej ojciec, lekceważony w rodzinie jako inna krew

i zaledwie mąż Millerówny, przyprowadził nową żonę, również outsiderkę, mógł skierować zainteresowanie wuja ku jego córce. Być może bał się, że Oliwia, której niezbyt układa się z mężczyznami, może scedować swoje udziały w „JULII” jakiemuś gojowi, z którym potem mogą być problemy. Choćby nawet Rogero-wi. A przecież nie mogła, nawet gdyby chciała.

Wiele, wiele lat temu Abe Miller stworzył rodzinny interes, w którego statucie umieszczono punkt mówiący, że nikt nie może oddać bądź odsprzedać swoich w nim udziałów nikomu spoza rodziny Millerów - co oczywiście obejmowało małżonków i dzieci. Nie można było nawet przekazać udziałów na rzecz akcji dobroczynnych, ponieważ instytucje i fundacje tego typu, nie nastawione na zysk, były zarządzane przez ludzi niezorientowanych, którzy mogliby popaść w zależność od akcjonariuszy. Gdyby więc Oliwia poślubiła Rogera, mogłaby zostawić mu udziały, gdyby natomiast do końca życia mieli pozostać bez ślubu, a ona umarłaby pierwsza, dostałby po niej tylko sumy, które uzyskała z dywidend. Jeśli nie wyznaczyłaby wcześniej kogoś z krewnych na wykonawcę swej ostatniej woli, wówczas jej aktywa byłyby rozdzielone pomiędzy rodzinę.

Oliwia pamiętała, jak przed laty matka mówiła jej: „Trzymaj się blisko rodziny, bo wszyscy jesteśmy związani interesami”. Wtedy była młodą idealistką i takie podejście wydawało się jej ohydnie pragmatyczne. Rodzina trzyma się razem, bo wszyscy się kochają, myślała. Na interesach nie znała się zaś wcale - była przecież weterynarzem.

Wuj Seymour chętnie przygarniał do rodzinnego łona czarne owce i buntowników, jeśli tylko się nawrócili. Pamiętała, jak był zadowolony, gdy Kenny, ten atrakcyjny rozwodnik i *bon vivant*

z Santa Barbara, zaczął regularnie odwiedzać go w Nowym Jorku.

- Myślę, że Kenny potrzebuje wsparcia rodziny - oznajmił i nagle wszyscy zaczęli współczuć rozwiedzionemu, osamotnionemu Kenny'emu i bardzo chcieli być dla niego mili.

Ona również miała szansę zostać czarną owcą. W rok później, w święto Paschy, w czasie rodzinnego przyjęcia w mieszkaniu Seymoura, została dyskretnie odciągnięta przez wujka na bok.

- Słyszałem, że chcesz sprzedać swoje udziały w ;JULII"
- powiedział.

- Skąd słyszałeś? - zdziwiła się.

- Zadzwoił do mnie twój księgowy. Chciał znać pewne liczby.

- Nic dziwnego, robił dla mnie rozliczenie podatkowe.

- Jeśli chcesz pozbyć się udziałów - ciągnął, jakby nie słyszał jej wyjaśnienia - my kupimy je od ciebie.

- Nie mam zamiaru ich sprzedawać!

- A myślałem, że masz. W każdym razie, gdybyś miała, zarezerwuj je dla nas.

- Przecież to dobra inwestycja. Najchętniej dokupiłabym ich jeszcze więcej.

- Ale gdybyś miała sprzedawać, zawiadom mnie, o każdej porze.

Oliwia odwróciła się i odeszła, urażona. Miała wrażenie, że rodzina na czele z wujem chciałyby się jej pozbyć.

- Dlaczego ja się tak jego boję? - pytała potem Rogera.

- Nie wiem. Nie powinnaś.

- Boję się, że nie będzie mnie kochał.

- A on się zapewne boi, że ty nie będziesz kochać jego

- podsumował Roger.

W Wigilię Bożego Narodzenia Oliwia i Roger zasiedli przed kominkiem, otworzyli butelkę szampana i wręczyli sobie prezenty. Ona kupiła mu bardzo drogi szlafrok kąpielowy Ralphi Lauren, a sama dostała jeszcze droższą bransoletkę od Cartiera. Była to rozrzutność, ale nie mieli nikogo z najbliższej rodziny, komu mogliby dawać prezenty, poza matką Rogera i psami, więc mogli sobie pozwolić na takie szaleństwo.

Pani Hawkwood po paru minutach zapomniała już, co dostała, a psy zjadły swoje smakowite podarki i poszły spać. Oni zaś odczytali jeszcze wzajemnie życzenia, które wypisali dla siebie na ozdobnych kartkach. Oliwia schowała swoją do kasetki, gdzie trzymała wszystko, co Roger do niej napisał.

W pierwszy dzień świąt wybrali się do kina, a potem na przyjęcie do przyjaciół. Na Sylwestra zostali w domu, tak jak lubili. Siedzieli przy kominku, delektując się wędzonym łososiem i szampanem. Potem, wyciągnięci leniwie na swoim łóżu, oglądali telewizję. Kiedy program się skończył, Roger zasnął błyskawicznie. Oliwia, podniecona błogą atmosferą i alkoholem, musiała z żalem słuchać jego chrapania. Postanowiła, że jej głównym zadaniem w nowym roku będzie przywrócenie Rogerowi chęci do fizycznej miłości.

Skończyły się wolne dni. Zima rozciągnęła nad miastem swoją ponurą, lodowatą zasłonę. Wcześniej zapadały ciemności, a po ulicach hulał przenikliwy wiatr. Któregoś dnia znów zadzwoniła niezawodna ciotka Myra, meldując, że jedzie na Florydę, by spędzić cały luty u swojego brata, wuja Davida. Zarówno Myra, jak i David późno zdecydowali się na małżeństwo, a wcześniej byli bardzo ze sobą związani i sporo razem podróżowali, nie

dziwiło więc nikogo to, że utrzymują stały kontakt. Wuj David miał o wiele łagodniejszy i weselszy charakter niż jego starszy brat, Seymour. Pracowali razem, choć to Seymour zawsze chciał samodzielnie podejmować wszystkie decyzje. David przez całe lata walczył o głos i należną mu rolę, aż wreszcie spasował i postanowił cieszyć się życiem, nie tracąc czasu na rodzinne kłótnie.

Ciotka Myra poinformowała również, że Grady miał niezwykle szczęście - znalazł bowiem kupca na apartamenty po ciotce Julii, co przy panującej recesji i zastoju na rynku mieszkań było dużym sukcesem. Uzyskał cenę niższą niż planował, ale i tak i on, i Taylor byli szczęśliwi, gdyż uwolnili się od odpowiedzialności i kłopotu. Poza tym nadal bezskutecznie próbuje uzyskać pozwolenie na budowę tarasu i podobno jest bardzo sfrustrowany całą sytuacją. Oliwia życzyła mu intratnego kontraktu, by mógł przynajmniej w pracy zapomnieć o kłopotach.

Pewnego dnia, przechodząc przypadkiem koło dawnego mieszkania Julii, spojrzała w jej okna. Nowi właściciele zdążyli już zrobić ścianę z luster i wstawili nowoczesne ramy. Była ciekawa, czy choć przez chwilę zastanawiali się, kto mieszkał tu wcześniej i jak potoczyły się jego losy, czy też po prostu cieszyli się, otwierając nowy rozdział swojego własnego życia? Pomyślała, że raczej to drugie, i zrobiło jej się smutno. Minął dopiero rok od śmierci Julii, a już odpływała w zapomnienie wraz ze swoimi spłowiałymi tapetami.

Noworoczne zobowiązanie na temat miłosnego pobudzenia Rogera nie bardzo dawało się zrealizować. Był czuły i chętny do pieszczot jak dawniej, ale nie było w nim pasji ani zaangażowania. Miała wrażenie, że kocha się z nią niemal odruchowo.;

Chciała z nim o tym porozmawiać, ale po namyśle zrezygnowała. Właściwie nie wiedziałyby, co powiedzieć. Mogłaby go łatwo skrzywdzić, a przecież był bardzo wrażliwy.

W nocy miał złe sny, kręcił się, rzucał na łóżku i mamrotał coś do siebie, jednak rano twierdził, że nic z nich nie pamięta. Przypisywała ten stan przygnębiającemu wpływowi zimy. Nawet psy, tak zwykle lubiące szaleć na dworze, uciekały do domu i krążyły po nim nerwowo, albo apatycznie wylegiwały się na posłaniach.

Sama za to spała aż za dobrze. Budziła się od czasu do czasu, patrząc z niepokojem na Rogera, a potem znów uciekała w sen, który pomagał jej przetrwać noc.

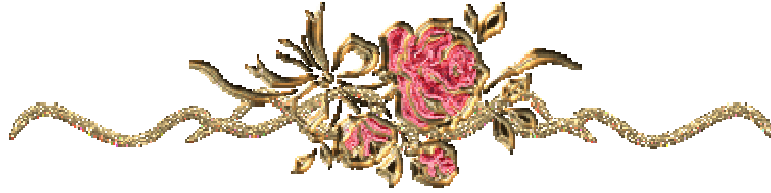
W pewne niedzielne popołudnie, kiedy układała włosy w łazience przed pójściem do kina, zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszała głos Tima, męża Taylor. Dzwonił z Kalifornii.

- Mam złą wiadomość, Oliwio.

Zamarła. Boże, coś się stało Taylor! - pomyślała ze strachem.

- Jaką? Mów!

- Grady się zabił.



Rozdział 10

Grady się zabił.

Oliwia miała wrażenie, że na chwilę straciła poczucie rzeczywistości. A jednocześnie, podświadomie, nie była zaskoczona tą informacją. Grady był najbardziej nieszczęśliwą osobą, jaką знаła. Nie myślała jednak, że może stać się coś podobnego. I tak wcześnie. Miał jeszcze całe życie przed sobą!

Miał...

To musiało w nim narastać, a nikt niczego nie podejrzewał.

- Kiedy? - zapytała. - Jak to się stało?

- Dziś rano. Wcześniej umawiał się z przyjaciółmi na wyścig motocyklowy, ale zadzwonił do jednego z nich i oznajmił, że nie ma ochoty. Był bardzo pijany. A potem powiedział: „Do widzenia”, ale takim tonem, że zaniepokojony przyjaciel natychmiast do niego pojechał. Grady'ego tam nie było. Zostawił list samobójczy. Rozbił się na motocyklu, zjeżdżając w dół Mulholland Drive.

Tak jak Stan... Oliwia zadrzała.

- Policja znalazła ciało... - ciągnął Tim. Jego powolny głos był poważny i spokojny. Oliwia dziękowała w myśli Bogu, że zesłał Taylor taką opokę jak ten człowiek.

- Co z Taylor?

- Jest na proszkach uspokajających. W szoku, ale jakoś funkcjonuje. Przykro jej, że nie może sama zawiadomić rodziny.

- To mi przykro, że nie mogę z nią porozmawiać. Co było w liście?

- Ma go policja, ale dali Taylor i mnie do przeczytania. Dziwna sprawa. Napisał, że chce się zabić, bo nie udało mu się zbudować tarasu. Że ten dom znaczył dla niego wszystko i był bezpiecznym schronieniem. Takich właśnie słów użył: „bezpieczne schronienie”.

- To nieprawda, że zabił się z powodu tarasu.

- W każdym razie było tam jeszcze parę stron oskarżeń i wymysłów pod adresem ludzi, którzy mu ten dom sprzedali. Twierdził, że powinni ponieść karę.

- Nawet w naszej rodzinie nikt nie byłby na tyle szalony, by popełniać samobójstwo z powodu braku pozwolenia na budowę - stwierdziła Oliwia. - To musiała być przysłowiowa ostatnia kropla.

- Możliwe - zgodził się Tim - ale w liście napisał tylko o tym. Tylko na końcu dodał, że na wypadek gdyby jego matka dziwiła się, czemu nie uwzględnił jej w swoim testamencie, powinna sobie przypomnieć, jak traktowała go, gdy był dzieckiem.

- Och, biedny Grady... - westchnęła Oliwia.

- Pogrzeb będzie w środę rano. Kremacja, tak sobie życzył, podobnie jak i Taylor. Taylor chce rozrzucić jego prochy w Meksyku, w pewnym pięknym miejscu nad Morzem Corteza. Kiedyś Grady kręcił tam film i lubił wracać do tego miejsca. Ale zrobimy to dopiero wtedy, kiedy Taylor ochłonie po jego śmierci, może na wiosnę. Będziesz na pogrzebie?

- Oczywiście, Tim. I powiedz Taylor, że bardzo, bardzo jej współczuję.

- Powiem.

Musiała zadać mu jeszcze jedno pytanie. Pytanie, które nie dawało jej spokoju.

- Powiedz mi jeszcze, Tim... czy myślisz, że on miał AIDS?

- Nie wiadomo. Też się nad tym zastanawialiśmy. Będą robić sekcję. Zobaczymy się na pogrzebie, to pogadamy. Muszę zawiadomić jeszcze parę osób.

Wyłączył się. Oliwia usiłowała płakać, ale oczy miała suche. Za to w sercu czuła szarpiący ból. Płakała na pogrzebie ciotki Julii i nawet na bar micwie Jasona; dławiło ją w gardle, kiedy musiała usypiać stare, schorowane zwierzęta - ale dziś łyzy nie chciały przyjść. Nie chciały, bo oprócz smutku i bólu czuła po prostu wściekłość.

Czego w końcu mógł się Grady po niej spodziewać? Czy zdawał sobie sprawę, jakie świństwo zrobił wszystkim, którzy go kochali? Jak to możliwe, że mógł odejść tak bez pożegnania, nie dając im nawet szansy, by spróbowali go zatrzymać?

Musiał być przerażająco samotny, ale przecież poza tamtym pamiętnym obiadem u Oliwii, kiedy to popił trochę, a potem wyszedł, wzruszony nostalgicznym prezentem-pamiątką z Mandelay, pokazywał wszystkim siebie w miłym, choć trochę sztywnym wcieleniu.

Dlaczego nigdy nie dał im poznać, jaki jest naprawdę? Przez te wszystkie lata nie ufał najbliższej rodzinie nawet na tyle, by przyznać się, że jest homoseksualistą. Przeciwnie, zaprzeczał temu i wypierał się, tak jak wtedy, gdy go o to pytała. A przecież nikt by go nie potępił. Ciotka Julia na pewno musiała się czegoś

domyślać; była przecież inteligentną kobietą. Mimo to przyjmowała bez zastrzeżeń te jego bajeczki o kolegach ze szkoły. Przyjmowała, bo tego chciał Grady, a ona miała na świecie tylko Taylor i jego.

Pamięć podsunęła jej obraz Grady'ego, kiedy był jeszcze malutki i z zachwytem odkrywał świat słów. To było latem, w Mandelay. Ojciec unosił go wysoko w ramionach, by mógł dotknąć liści na drzewie. Mała twarzyczka wyrażała pełne uporu skupienie.

- A to? - pytał raz po raz, wskazując na coraz to nowy obiekt, a Earlene, Julia, Oliwia i Lila stały obok, zachwycone dociekliwością małego chłopca. - A to?

- Listek - odpowiadał Stan.

- A to?

- Drzewo.

- A to?

- Dom.

- A to?

- Koszula taty. A kto to? Malec uśmiechnął się.

- Oliwia.

Był bystrym, żywym, ciekawym świata dzieckiem, rozwiniętym ponad swój wiek. Wydawało się, że ma wszelkie szanse, by stać się kimś i osiągnąć coś w życiu. Pod jednym wszakże warunkiem - jeśli nie pozbawi się go jednego z najważniejszych praw: prawa do szczęścia.

Oliwia przeszła do salonu, gdzie Roger oglądał jakiś program gospodarczy w telewizji. Zerknął na nią i przeraził się na jej widok.

- Co się stało?

- Grady nie żyje - wyszeptała, podchodząc i wtulając się w niego. Mocno otoczył ją ramionami. Po chwili opowiedziała mu wszystko.

Wuj Seymour zadzwonił z zawiadomieniem, że jego biuro podróży zamówiło już bilety do Kalifornii i cała rodzina poleci razem we wtorek po południu, a potem zostanie na noc.

- Już za późno, żeby się załapać na Super Savera? - zmartwiła się Oliwia, usiłując wymyślić najtańszy wariant tego kosztownego przelotu.

- Polecimy pierwszą klasą - uciał wuj Seymour. - To już naprawdę głupio z twojej strony skąpić pieniędzy w takim momencie.

Jasne, głupio. Co to znaczy tysiąc czy dwa tysiące dolarów, po prostu drobiazg, pomyślała z przekąsem. Znow była zła, nie tylko na wuja Seymoura, ale i na Grady'ego, tym razem za to, że narobił jej tyle kłopotów i naraził na koszty. A wszystko tylko po to, by uczyć jego szanowne prochy.

Roger stwierdził, że nie poleci, a ona i tym razem nie nalegała. Pomyślała o Kennym w Santa Barbara i nagle zapragnęła być przy nim, blisko, tak jak w czasach dziecięcych zabaw. Zadzwo niła do niego. Na całe szczęście wiedział już o Gradym i nie musiała mu wszystkiego powtarzać.

. - Kenny, nie chcę być sama w hotelu w takim momencie - powiedziała. - Mogę się zatrzymać u ciebie?

- Jasne, przecież pokój Jasona jest wolny. Niedługo potem zadzwoniła ciotka Myra.

- Pewnie już wiesz o Gradym?

- Tak. Jak myślisz, dlaczego on to zrobił?

- Wykończyła go sprawa tego tarasu.
- Chyba w to nie wierzysz?
- Tak sam napisał w swoim liście - powiedziała sucho Myra.
- Powiedz mi, jak jedziemy na lotnisko. Czy wpadniesz po mnie, czy mam czekać u Seymoura i Iris, aż nas zabierzesz?
- Spotkamy się na lotnisku.
- A jak cię znajdziemy? - w głosie starszej pani zabrzmiała obawa.
- Przecież lecimy tym samym samolotem.
- Jednak najlepiej będzie, jeśli wszyscy pojedziemy razem, dużą taksówką. Twój Roger pewnie nie pojedzie, bo jest jak zwykle zajęty. Może Seymour weźmie jeden z wozów swojej firmy. Jak tylko będę coś wiedziała, zadzwonię.

W czasie długiego lotu nie rozmawiali ze sobą. Jedni czytali, drudzy jedli, inni spali, a wszyscy mieli ponure miny.

Tylko Kenny, który odebrał ich na lotnisku, był spokojny i pogodny. Najpierw zawiózł rodzinę do hotelu, a potem pojechał z Oliwią do siebie.

- Straszna rzecz, prawda? - zagadnęła, gdy zostali sami.
- O, tak.

Później nie mówili już o Gradym. W domu Kenny zrobił Oliwii kanapki i kazał podziwiać przez panoramiczną szybę widok wysrebrzonego księżycowym blaskiem oceanu. Dom był pełen pamiątek, przywożonych z niezliczonych podróży, ale jednocześnie przestronny, czysto wysprzątanym i tak uporządkowanym, iż sprawiał wrażenie muzeum. Oliwia pomyślała, że tak właśnie musi wyglądać dom, z którego wyszły już dzieci, czy w tym wypadku - dziecko. Jason miał lada chwila iść do szkoły średniej i coraz bardziej się usamodzielniał.

Kenny pokazał jej swój najnowszy zakup - domową siłownię. Skomplikowane urządzenie zainstalował w pokoju, który wyglądał na pokój gościnny. Z dumą zaczął demonstrować Oliwii, jak to cudo działa.

- Ćwiczę na tym codziennie - pochwalił się z uśmiechem na okrągłej twarzy.

- Myślę, że był już najwyższy czas - zauważyła bez złośliwości.

- Wiem.

- Roger byłby tym zachwycony - powiedziała.

- W takim razie spraw mu domową siłownię.

Przeszli do sypialni Kenny'ego i zagłębili się w dwóch głębokich fotelach, stojących przed kominkiem.

- Wiesz, poznałem kobietę - zwierzył się Kenny.

- Ciągle je poznajesz.

- Nie, z tą jest inaczej. Z poprzednimi zawsze było coś nie tak. Ona jest inna. Ma ogromne wyczucie. Nie ma studiów, nie jest intelektualistką, ale ma tak zwany zdrowy rozsądek, co w połączeniu z wrodzoną bystrością umysłu daje wspaniały rezultat. Czuję, że właśnie na nią czekałem przez tyle lat.

- Można wiedzieć, gdzie ją poznałeś?

- Na balu dla samotnych organizowanym dla żydowskich pracowników wyższego szczebla.

- Chodzisz na takie bale?

- Dlaczego nie? Poszedłem. Wszystkie kobiety polowały na mnie, a ja na nią - powiedział z uśmiechem. - Jej mąż zmarł pół roku temu. Miał paskudną chorobę Huntingtona. Opiekowała się nim z poświęceniem przez całe lata. Nie mieli dzieci. Ona taka właśnie jest - odpowiedzialna i szlachetna. A poza tym jest

w moim wieku. To wszystko razem wzięwszy, uważam, że jest dla mnie stworzona.

- Kenny, najważniejsze jest to, co czujesz.

- Ma na imię Pam - Kenny wymówił je z rozpromienioną miną. - I byłbym gotów ją poślubić.

- Naprawdę?

- Tak.

Oliwia zamyśliła się przez chwilę nad tą klasyczną sytuacją, gdy jedno życie zgasło, a drugie z nadzieją zaczyna się od nowa.

- Jak wygląda Pam?

- Ładnie i miło.

Kenny poświęcił się wychowaniu Jasona, a Pam poświęcała się dla ciężko chorego męża. Teraz oboje byli już wolni i mogli odnaleźć szczęście w byciu razem. Z tego, co o niej mówił, Pam nie zostawiłaby Kenny'ego na himalajskiej przełęczy, tak jak Gloria. Dla niej Kenny był przygodą życia i marzyła, by dać mu wszystko, czego zapragnie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę - powiedziała serdecznie Oliwia.

Spała w pokoju Jasona, na jego wodnym łóżku. A raczej majaczyła, przetaczając się obolała po chwiejnej, lodowatej powierzchni. Nigdy nie spała na czymś takim, ale teraz wiedziała, że nigdy nie da się naciągnąć na tak bezsensowny wydatek. Pomimo tych mąk, nie zdecydowała się przenieść na dywan. Odpychał ją ten opustoszały, zimny pokój.

- Omal nie zamarłam w nocy z zimna - poskarżyła się Kenny'emu przy śniadaniu.

- Ach, tak, przepraszam, zapomniałem włączyć ogrzewanie w łóżku wodnym - powiedział beztrosko.

Oliwia była pewna, że nigdy nikogo nie gościł.

Kościół Świętego Ducha stał przy Pacific Palisades, niemal na urwistym brzegu oceanu. Był to prosty budynek, ukryty wśród starych drzew, do którego wiodła wysypana żwirem alejka. Z początku Oliwia, nieco zaskoczona, sądziła, że widzi przed sobą któryś z ośrodków wschodniej medytacji i zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie jest to wynikiem jakiegoś kompromisu zawartego pomiędzy Stanem a Earlene w czasach, gdy postanowił on zmienić religię. Potem jednak zobaczyła krzyż na dachu i wiedziała już, że jest w chrześcijańskiej świątyni.

Kaplica o surowym wystroju, gdzie miała odbyć się ceremonia, miała odpowiednią atmosferę. Były tam ławki, witraże i prosty krzyż na białej ścianie. Pod nim, w miejscu, gdzie powinien być ołtarz, stał niewielki stolik, a na nim urna. Widok małego naczynia mieszczącego wszystko, co zostało z tak niedawno jeszcze aktywnego, silnego i dorodnego mężczyzny, był zupełnie surrealistyczny. Oliwia oczekiwała podświadomie, że Grady wyłoni się z naczynia niczym dzinn z butelki. Za urną stała ułożona przez Taylor wiązanka, która stanowiła całą dekorację. Z głośników zaś płynęła łagodna klasyczna muzyka, której nie rozpoznała.

W ławkach po jednej stronie sali usiadło kilkunastu przyjaciół Grady'ego, głównie pary, a po drugiej stronie rodzina. Zresztą i bez podziału na strony łatwo było by odróżnić jednych od drugich. Tamci mężczyźni wyglądali jak kowboje albo byli zawodnicy rugby, z rozrośniętymi mięśniami, wąsami i ogorzalą cerą. Zgodnie z powagą chwili założyli garnitury, ale pozostali w kowbojskich butach. Ich żony były ładne i hoże.

Grady musiał spotykać w swoim życiu wielu ludzi, ale teraz niewielu przybyło, by go pożegnać. Może miał tłumy znajo-

mych i tylko paru wypróbowanych przyjaciół? Być może Taylor nie zawiadomiła wszystkich, nie chcąc nadawać rozgłosu pogrzebowi samobójcy? Jednego Oliwia była pewna - musieli to być ludzie z branży, a nie tak zwani „koledzy ze szkolnej ławy”.

Dostrzegła, że w rodzinnych ławkach siedzą już Jenny i Paul oraz Melissa i Bill. Nie było za to Nicka z żoną ani dorosłych dzieci wuja Seymoura. Poza tym w kaplicy stawił się sam wuj Seymour, ciotka Iris, ciotka Myra i wuj David z Florydy, wyraźnie bardzo zasmucony tak okrutnym wyrokiem losu. No i oczywiście Kenny, który przyszedł wraz z nią.

W pierwszym rzędzie Oliwia dostrzegła Earlene. Siedziała nie wraz z rodziną, lecz po stronie przyjaciół, raz po raz ocierając oczy mokrą chusteczką. Taylor chodziła po kaplicy, straszliwie smutna i wyraźnie otepiała od proszków, witając przybywających przyjaciół Grady'ego znakiem migowym „kocham cię”, który Oliwia pamiętała jeszcze z dzieciństwa.

Co ciekawe, znak miłości różnił się tylko układem kciuka od znaku „diabeł” i wystarczył nieznaczny ruch palca, by zamiast „kocham cię” zasygnalizować „jesteś diabłem”. Przez chwilę Oliwia pomyślała, że Taylor tak właśnie skrycie potępia owych facetów w stylu macho, a także cały ich światek za to, że zmusił Grady'ego do tłumienia i ukrywania jego prawdziwej osobowości.

Nadszedł Tim i łagodnie zmusił Taylor, by usiadła na swoim miejscu po stronie przyjaciół. Muzyka ucichła. Jeden z kumpli Grady'ego wstał i podszedł do urny, by wygłosić mowę.

Mówił o Gradym takim, jakiego Oliwia prawie nie знаła - o jego wyczynach, fantazji i dowcipach. O człowieku, który był duszą towarzystwa i umiał mu przewodzić. Słyszając o Gradym

jako kimś szczęśliwym i pełnym życia, trudno było wyobrazić sobie, że mógłby on w ogóle pomyśleć o samobójstwie. I pewnie uwierzyłyby w to wszystko, gdyby nie wspomnienie pewnej smutnej, cierpiącej istoty, którą ostatnio miała okazję gościć u siebie na kolacji. Ten sam Grady, ale widziany z innego punktu widzenia.

Przyjaciel tymczasem skończył i usiadł. Jego miejsce zajęła młoda kobieta.

- To Miranda - wyszeptała ciotka Myra do Oliwii. - Jego była dziewczyna - dodała.

Miranda wyglądała jak aktorka, która świetnie nadaje się do grania ról niewinnych, wrażliwych dziewczyn. Miała ładną buzię, gęste, spłowiałe od słońca włosy, wspaniałe ciało i niesłychanie długie rzęsy, ocieniające duże, ciemne oczy, teraz pełne łez.

- Grady zmienił moje życie - zaczęła, ale głos się jej załamał. Opanowała się szybko i ciągnęła dalej: - Zawdzięczam mu dar radości i spontaniczności. Dzięki niemu zyskałam przyjaciół. On pokazał mi, jak ekscytujący i cudowny może być świat. Ja... zawsze mi będzie go brakowało.

Spazmatyczne łkanie nie pozwoliło jej dokończyć. Chwiejnie wróciła na miejsce.

Więc to miała być jego dziewczyna? Ta „przykrywka”, ten „etap”? W każdym razie widać było, że naprawdę go kochała. Zresztą każda z jego dziewczyn wyglądała na zakochaną. Natomiast Grady - nigdy.

Teraz mówił inny przyjaciel. Oliwia spojrzała do tyłu, na resztę żalobników. W ostatnim rzędzie jej uwagę zwrócił samotny młody człowiek. Na tle pozostałych wydawał się smukły,

niemal wąty, co podkreślał dodatkowo ciemny garnitur, starannie dobrany na tę okazję. Wydawało się, że nikt go nie zna. Patrzył i słuchał ze smutną zachłannością, a jednocześnie czujnie i nerwowo, jakby w każdej chwili był gotów się wymknąć, gdyby tylko coś zaczęło mu zagrażać. Oliwia była bardzo ciekawa, kim jest ten człowiek.

Mówca tymczasem skończył i wrócił na swoje miejsce. Rozbrzmiały żałobne tony muzyki. Gdy ceremonia dobiegła końca, część osób wyszła przed kaplicę, a część stała w przedsionku, prowadząc ciche rozmowy.

- Jedziemy teraz do Taylor - przypomniała ciotka Myra.
-Czy ktoś zna drogę?

- Och, strasznie jest stracić syna... - powiedziała Wielka Earl, może do Oliwii, a może do wszystkich. -Matka nie powinna przeżyć swojego dziecka.

Powinnaś o tym pamiętać, kiedy próbowałaś go zabić, pomyślała mściwie Oliwia. Zdażyła już zauważyć, że Taylor stara się trzymać jak najdalej od matki i że nikt nie składa Earlene kondolencji. Matka Grady'ego stała z boku, jak parias o zapuchniętych oczach, na próżno czekając, aż ktoś będzie jej, współczuł w związku z tragedią, która ją dotknęła. Nie doczekawszy się jednak oznak współczucia, odeszła w końcu.

Młody człowiek, którego nikt nie znał, podszedł do Taylor. Wyglądało na to, że ona również go nie zna.

- Taylor? - zagadnął nieśmiało.

- Tak?

- Czy mogę z tobą porozmawiać?

Tim, który nie odstępował żony na krok, zaczął tłumaczyć.

Młody człowiek odciągnął ich na stronę i zaczął mówić coś powoli i spokojnie.

Wszyscy żałobnicy zebrali się w domu Taylor, który choć i tak obszerny, otwarto dodatkowo na przestrzeń trawnika z kępami drzew i krzewów. Stół w jadalni był zastawiony daniami, barek obficie zaopatrzone. Earlene piła szkocką whisky. Tak jak w kaplicy, przyjaciele Grady'ego i rodzina pozostawali osobno, we własnym gronie, gdyż ich światy zawsze były osobne, a teraz zabrakło tego jedyne łącznika między nimi, którym do tej pory był Grady. Wspólne było tylko uczucie uprzejmego współczucia, z jakim popatrywali na siebie.

Dziwnie było widzieć Taylor bez Grady'ego, a jeszcze trudniej wyobrazić sobie, że będzie musiała bez niego żyć. Sprawiała wrażenie ogromnie zrozpaczonej i zagubionej. Co chwila obejmowała Mirandę, mówiąc w języku migowym: „Musimy trzymać się razem, bo obie go kochałyśmy”. Była tak otepiąta przez środki uspokajające i przeżycia, że chwilami plątały się jej palce.

Jak Grady mógł zostawić Taylor? - wciąż pytała siebie Oliwia. Przez całe życie troszczyli się wzajemnie o siebie najlepiej jak mogli. Trudno było sobie wyobrazić bardziej zżyte rodzeństwo. Wspierali siebie w trudnych chwilach, ale nie mieli nikogo, kto chroniłby ich. Możliwe, że ostatnio nawet wsparcie ze strony Taylor nie wystarczało już Grady'emu.

Oliwia podeszła do stołu i nałożyła sobie trochę sałatki, a potem przysiadła się do Jenny i Melissy. Po drodze minęła ich mężów, Paula i Billa. Wcale nie była zdziwiona, że ci dwaj rozmawiali o biznesie.

- Jak myślisz, dlaczego on to zrobił? - zapytała ją Jenny.

- Nie wiem.
 - Zaczynam się obawiać, że depresja może być dziedziczna w naszej rodzinie - powiedziała Jenny. - Tak samo nie rozumieliśmy, dlaczego zabił się Stan.
 - Skłonności samobójcze ojców często przechodzą na synów - stwierdziła Melissa. - Ojciec, zabijając się, łamie pewne tabu.
 - Skąd to wiesz?
 - Czytałam gdzieś.
 - Mama mówiła mi, że Earlene odwiedziła Grady'ego na tydzień przed jego śmiercią - powiedziała Jenny. - Nigdy nie chciał jej wpuścić do siebie, ale Taylor była chora, a Earlene nie miała ze sobą co zrobić, więc musiał ulec. To mogło na niego fatalnie podziałać.
 - Wielka Earl zawsze działała na niego fatalnie.
 - Ale tym razem mogło być jeszcze gorzej.
 - W ogóle za dużo tych pogrzebów - westchnęła Jenny.
 - Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się przy jakiejś weselszej okazji.
 - Sam ma wiosną bar micwę - przypomniała Melissa.
 - Mam nadzieję, że się stawicie.
 - Jasne! - odpowiedziały chórem Oliwia i Jenny.
 - Wiecie co? Kenny zdradził mi, że zamierza się znów ożenić - oznajmiła Oliwia.
- Podeskcytowane spojrzenia obu kuzynek pobiegły ku Ke-nny'emu.
- Nie mów! Z kim?
 - Ma na imię Pam i jest podobno w jego wieku.
 - Myślicie, że zaprosi nas na ślub?
 - Mam nadzieję.

Jenny zerknęła na zegarek.

- Paul! - skinęła na męża. - Musimy się zbierać.

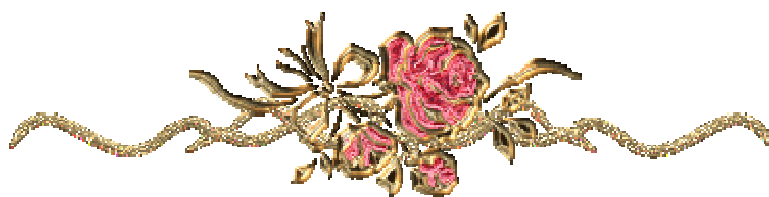
- My też - powiedziała Melissa, wstając.

Rodzina powoli zaczęła się rozjeżdżać. Obejmowano się i całowano, obiecując sobie, że następnym razem będzie się miało więcej czasu, żeby porozmawiać. Pytanie „co u ciebie?” było wypowiedziane niemal na tym samym oddechu co „do widzenia”. Wszyscy obowiązkowo odpowiadali „dobrze”, bo gdyby nawet było inaczej, nie wypadało przecież narzekać. Nie było zresztą czasu na narzekanie. Wszak był to pogrzeb w samym środku tygodnia, na drugim końcu Stanów, a każdy miał rodzinę, dom i swoje sprawy.

- Dzięki, że przyjechaliście - zegnała ich uprzejmie Taylor.

Nie zostawała sama. Przyjaciele Grady'ego wciąż byli przy niej, gotowi, by ją pocieszać, był też oczywiście nieoczekiwany Tim. A także Earlene, którą musiał jakoś zneutralizować.

W drodze na lotnisko Oliwia przypomniała sobie młodego człowieka, który po pogrzebie rozmawiał z Taylor na osobności, ale nie pojawił się potem w domu na stypie. Po chwili jednak już o nim zapomniała. Jeśli nawet coś znaczył, to tylko dla Grady'ego, a zatem nie warto było o nim pamiętać.



Rozdział 11

Roger zastanawiał się, jak odwieść Oliwię od zamiaru wyprawa mu przyjęcia z okazji pięćdziesiątych urodzin. Wypadały dopiero na początku lata, ale ona martwiła się zawczasu o ich organizację, twierdząc, że nie chce zostawić sobie wszystkiego na ostatnią chwilę.

W końcu doszedł do wniosku, że woli, by znów polecieć do Paryża, tylko we dwoje, na pięć dni; żeby zatrzymali się w Plaža Athne, a potem wrócili concorde'em. Miał ochotę popijać szampana i jadać w drogich restauracjach, pocieszając się w ten sposób, że jest wprawdzie starszy, ale za to bogatszy niż kiedyś.

Kiedy powiedział o tym Oliwii, z zachwytem kupiła pomysł. Nazwała jego plan cudownym i romantycznym i uparła się, że zafunduje mu ten pobyt w prezencie. I tak liczyła się z kosztami ogromnego przyjęcia, ale skoro ostatecznie ma go nie być...

- Też mnie stać - stwierdziła. Rzeczywiście, ostatnio nie mogli narzekać na finanse. Praktyka rozwijała się znakomicie. Wspólna inwestycja w dom i klinikę oraz połączenie praktyk okazało się znakomitym posunięciem.

Roger przekonywał siebie samego, że ma wszystko, czego potrzeba, by być szczęśliwym - sukces zawodowy, komfortowe

życie, zdrowie, młody wygląd, wspaniałą towarzyszkę i seksowną przyjaciółkę w jednej osobie, cudownego psa i przyjemny romansik na boku, który świetnie działa na jego męskość. Tylko dlaczego dręczyły go ostatnio sny, z których budził się roztrzęsiony i zmęczony, choć ich treści nie pamiętał?

Pamiętał tylko jeden -był na balu karnawałowym albo jakimś innym balu kostiumowym, gdzie wszyscy nosili maski. Bawił się świetnie, tańcząc w tłumie w rytm ogłuszającej muzyki. Maską, o której wiedział, że jest Oliwią, wybrała go na partnera, ale kiedy uśmiechnęli się do siebie i ona odsłoniła twarz, okazało się, że to Wendy. Roger we śnie poczuł ukłucie zawodu. Gdzie się podziała Oliwia? Jak udało się Wendy zwieść go jedynie z pomocą balowej maseczki?

Czy jednak oboje nie udawali przez cały czas, że tak właśnie jest? Czy taki właśnie był sens tego marzenia?

Kiedy się obudził, Oliwia powiedziała mu, że znów jęczał i wzdychał przez sen. Zastanawiał się, cóż takiego może znaczyć ów wyśniony epizod. Miał nadzieję, że nie jest zwiastunem nieszczęścia. Nie chciałby utracić ani jednej, ani drugiej kobiety swojego życia.

Kiedy pewnego popołudnia wszedł do pokoju przyjąć, zobaczył, że Oliwia rozmawia z nową klientką, która przyniosła małego, brązowego abisynskiego kota. Ze zgrozą uświadomił sobie, że klientką jest Wendy.

Oliwia zerknęła na niego i twarz rozjaśniła się jej, jak zwykle na jego widok. Wendy natomiast spojrzała na niego obojętnie, jak na obcego. Z kolei ten mały drań, Gregory, zareagował szczerze i z nieukrywaną wrogością. Dojrzwazszy Rogera, wygiął grzbiet, jak to miał w zwyczaju, nastroszył ogon jak szczotkę

i prychnął z niesmakiem. Roger skinął w stronę Oliwii i wycofał się najszybciej jak mógł.

Serce waliło mu niespokojnie. Co też strzeliło Wendy do głowy? Przecież ma swojego weterynarza, zawsze podkreślała, że go lubi. Gdyby zaś zamarzył się jej niebezpieczny numer w jego biurze, przyszedłby do niego, a nie do Oliwii.

Nie, tu musiało chodzić jedynie o to, by na własne oczy zobaczyć rywalkę. Takie wtargnięcie na jego terytorium mocno go zirytowało - przecież na piętrze było jego mieszkanie! Najchętniej wyrzuciłby ją za drzwi. Do licha, wcale nie był podniecony na jej widok; przeciwnie - zły i podenerwowany.

Kiedy Wendy wyszła, by zapłacić rachunek, ukrył się na zapleczu, bojąc się, że będzie go szukała. Owszem, kiedy Oliwia leciała na pogrzeb do Kalifornii, zaczął nawet marzyć o kochaniu się z Wendy na stole operacyjnym, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Pracując podwójnie intensywnie, za siebie i za Oliwię, był tak wykończony, że marzył tylko o śnie. W pojęciu Rogera istniała cienka linia, oddzielająca fantazje od czystego szaleństwa. Miał nadzieję, że Wendy również zdawała sobie z tego sprawę.

Odczekał, aż wyjdą ostatni klienci, i kiedy Oliwia poszła na górę, został na dole pod pretekstem porządkowania papierów. Wybrał numer Wendy.

- Co ty zrobiłaś? - zapytał ostro.
- Może byś przynajmniej się przywitał?
- W porządku. Cześć. Mów, dlaczego przyszłaś. Zaskoczyła go, wybuchając płaczem.
- Co się stało?
- Nigdy na mnie nie krzychałeś- załkała. - Nie cierpię tego.

- Bo nigdy nie robiłaś czegoś podobnego.
- A co niby zrobiłam?
- Przyszłaś, żeby zobaczyć Oliwię.
- Byłam ciekawa.
- Dlaczego?
- Normalnie, jak każda kobieta.
- O czym rozmawiałyście? - drażył, dochodząc do wniosku, że być może się pomylił i Wendy wcale nie jest ideałem dyskretnej kochanki; gorzej - że może nawet być niebezpieczna.
- O moim kocie, a o czym innym?
- Słuchaj, nie możesz tak po prostu przychodzić do mojego biura, żeby obejrzeć sobie moją żonę.
- Ona nie jest twoją żoną.
- Ślub byłby tylko formalnością. Mogłaś narobić mi cholernych kłopotów.
- Ciekawe, uważasz, że wcześniej nie ryzykowaliśmy? - zapytała z przekąsem.
- To nie to samo — uciał apodyktycznie. Wendy już nie płakała.
- Takie rzeczy są podniecające i dobrze o tym wiesz. Rzeczywiście, właściwie dziwił się, dlaczego tym razem go to nie podniecało.
- Gdyby Oliwia się czegoś domyśliła, nie mógłbym się z tobą spotykać.
- Wobec tego nie jestem dla ciebie nic warta.
- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Ona by nalegała. Dlatego nie może się dowiedzieć.
- Nie dowie się.
- Oby tak było.

O, teraz to co innego! Naprawdę podniecające było dopiero wyolbrzymianie groźby odkrycia ich romansu przez Oliwię. Właściwie niepotrzebnie gniewał się na Wendy. Może rzeczywiście nic takiego nie zrobiła.

- Przecież nic jej nie powiedziałam - usprawiedliwiała się.

- Ja tylko...

- Roger, jestem tylko człowiekiem i mogę mieć chwile słabości. Pewnie teraz nie będziesz chciał mnie znać.

- Teraz nie mam czasu na takie rozmowy - uciął. - Ona może tu zejść w każdej chwili.

- Słucha twoich rozmów?

- Nie wiem. Mogłaby, gdyby chciała.

- A ja? Co ze mną? Powinieneś dbać o mnie, nie tylko o nią. Czuję się jak śmieć! Jesteś wcale nie lepszy niż inni faceci.

- Nie jestem, Wendy.

- Jesteś... - głos się jej załamał i z łkaniem odłożyła słuchawkę.

Roger walnął pięścią w biurko, aż poczuł ból. Obejrzał dokładnie stłuczoną dłoń i z ulgą stwierdził, że ten cenny instrument jego pracy pozostał nieuszkodzony. Nie powinien być tak bezwzględny w stosunku do Wendy. Na jego użytek stworzyła tyle atrakcyjnych wcieleń, że w rezultacie nie wiedział, jaka jest naprawdę. Warunkiem ich porozumienia i udanego związku była rola opiekuna, jaką odgrywał w stosunku do niej. Była jak zachłanne, niedopieczzone dziecko.

Cholera. Nigdy przedtem nie słyszał jej płaczącej. Nagle poczuł się jak brutal i prostak. Powinien zadzwonić, żeby ją ułgodzić.

Z zastanowieniem popatrzył na telefon. Sprawił, że poczuła

się jak śmieć... Czyżby potrafił być aż tak brutalny? Ale przecież nie powinna przychodzić tu, do Oliwii, i to wcale nie ze względu na ryzyko. Widok tych dwóch kobiet razem okazał się dla niego nie do zniesienia. Choć oświadczył Wendy, że przestanie się z nią widywać, jeśli Oliwia się czegoś domyśli, nie miał pojęcia, co by naprawdę zrobił w takim przypadku. I nie chciał nawet o tym myśleć.

Wystukał numer. Po chwili odezwała się automatyczna sekretarka.

- Niestety, nie udało ci się zastać Wendy Wilton, ale jeśli zostawisz wiadomość po sygnale, możesz liczyć na szczęście w przyszłości - usłyszał komunikat, a po nim długi sygnał, informujący, że można już nagrać własną informację.

- Wendy? - zapytał. - To ja. Jeśli mnie słyszysz, podnieś słuchawkę.

Cisza.

- Wendy?

Może wyszła, albo raczej wybiegła, wściekła i rozżalona na niego. A może z rozmysłem nie odbiera telefonu, bo wie, że będzie dzwonił, i chce go ukarać.

- Wendy, przepraszam... - powiedział do magnetofonu.

- Roger? - odezwała się wreszcie. Głos miała dziwnie słaby i rozkojarzony.

- Wszystko w porządku?

- Nie.

- A co się stało? - natychmiast się zdenerwował.

- Wzięłam... proszki.

- Ile? Jakie?

- Dużo.

- Wendy, co łyknęłaś?

- Dobrze nam było... prawda...? - głos Wendy stawał się niepokojąco cichy.

Cholera! Zaraz może być koniec! Musiała chyba połknąć całe opakowanie!

- Wendy, nie zasypiaj! -zawołał.

Usłyszał ciężki oddech, a potem odgłosy odkładania słuchawki, powoli, jakby to było wielkim wysiłkiem. Dopiero po dobrej chwili opadła ze szcękaniem na widełki.

Roger drżącymi palcami wystukał numer wewnętrznego telefonu.

- Kochanie, rozboleła mnie głowa, idę się trochę przejść przed kolacją - poinformował Oliwię niby- obojętnym głosem.

- Powiedz, co mam ci przygotować? Może spaghetti?

- Świetny pomysł.

Boże, tam umiera jego kochanka, a on musi rozmawiać o kolacji! Ubrał się błyskawicznie i wypadł na ulicę. Złapał taksówkę, wskoczył do środka. Całą drogę kłął zatłoczone jezdnie i ścisnął w kieszeni klucze do mieszkania Wendy jak talizman. Pamiętał, jak mu je dawała, jak z początku odmówił, a potem zgodził się wziąć. Teraz dziękował Bogu, że je ma.

- O, doktor Hawkwood - portier u Wendy powitał go z uprzejmym uśmiechem. Roger skinął mu równie uprzejmie głową i powściągając pośpiech, wszedł na górę.

Nie pukał, sam otworzył drzwi. W środku panował półmrok. Przystanął w korytarzu, gotów odeprzeć zwyczajowy atak Gregory'ego, ale kota nie było w pobliżu.

Znalazł Wendy w sypialni. Leżała na podłodze, na puchatym białym dywanie, w białej satynowej koszuli. Jedwabiste włosy

rozsypały się wokół bladej twarzy. Obok leżała pusta butelka po pigułkach nasennych. Cała scena wyglądała jak klasyczny obraz tragicznego samobójstwa.

Roger rzucił się na kolana obok niej i z ulgą zobaczył, że Wendy oddycha. Puls miała jeszcze mocny i równy. Skąd miał jednak wiedzieć, ile pastylek było w butli i co się z nią będzie działo za godzinę? Kiedy próbował ją podnieść, ugiął się pod ciężarem bezwładnego ciała.

Aż spocił się z przerażenia. Rozpaczliwie rozważał, co ma robić. Może zawlec ją do łazienki i spowodować torsję? Ale nawet gdyby się to udało i tak bałby się ją zostawić. Najrozsądniej byłoby zadzwonić po pogotowie - tylko jak wytłumaczyłby swoją obecność w jej mieszkaniu? Zwłaszcza gdyby - nie daj Boże! - umarła.

Może uwierzyliby, gdyby powiedział, że zadzwoniła do jego biura, bo było to ostatnie miejsce, które odwiedziła, gdy czuła zbliżającą się depresję? Musiałby jednak przekupić portiera, by ten potwierdził, że nigdy przedtem go nie widział. I jeszcze udawać, że nie miał kluczy. No ale wtedy portier, który przed chwilą zeznał, iż absolutnie go nie zna, musiałby przyznać, że wpuścił obcego. Niby z jakiego powodu? Tylko dlatego, że ten pan powiedział, że pani dzwoniła wcześniej do jego domu i mówiła, że nie czuje się najlepiej? Nie, bzdura! Cóż to za portier, który wierzyłby w takie bajeczki!

Czy jednak było jakieś inne wyjście?

Cholera, gdyby ocknęła się chociaż na chwilę i powiedziała, ile łyknęła!

- Obudź się! - zawołał, potrząsając nią mocno.

Żadnej reakcji. Uniósł Wendy w ramionach i zaczął z nią cho-

dzić po pokoju jak z wielką szmacianą lalką. Zdawał sobie sprawę, że traci cenny czas, ale czuł, że jej puls nadal bije równo. Przystawał już cokolwiek rozumieć.

Nagle zdecydował się. Ułożył Wendy na dywanie i rzucił się do telefonu. Musi zadzwonić na 911, trudno. Oczywiście miną wieki, zanim przyjadą... A może samemu wezwać taksówkę i zawieźć ją na ostry dyżur? Nie, tak byłoby jeszcze gorzej.

Numer był zajęty, jak zwykle, kiedy potrzebuje się pomocy. Wybrał jeszcze raz i tym razem się udało.

- Halo? Chcę zgłosić przedawkowanie proszków nasennych
- powiedział gorączkowo. Za jego plecami rozległ się jęk.

Roger odwrócił się i zobaczył, że Wendy się porusza.

- Proszę poczekać! - rzucił do słuchawki i przyklęknął przy dziewczynie.

Znów poruszyła się nieznacznie, ale to wystarczyło, by przekonać się, że niepotrzebnie się obawiał.

- Przepraszam, odwołuję - powiedział do słuchawki i odłożył ją na widelki.

Spojrzał na Wendy i uśmiechnął się w duchu, zły i szczęśliwy jednocześnie. Znał ją już tyle czasu, ale ciągle potrafiła po mistrzowsku go zwodzić, tak jak i teraz.

Rozumiał już, skąd ten równy puls. Wzięła jeden, może dwa proszki, a najprawdopodobniej żadnego. Po prostu chciała, aby rzucił wszystko i przybiegł ją ratować. Tylko że na jej nieszczęście Roger nie był w nastroju do takich teatralnych numerów i wcale go one nie podniecały. Tym niemniej, podejmując grę, chwycił Wendy w ramiona i zaczął okrywać gradem pocałunków jej twarz i włosy, mając nadzieję, że po czymś takim ożyje na dobre, a on zdąży wrócić, zanim Oliwia nabierze podejrzeń.

- Kochana, żyj, proszę... - mamrotał. - Wybacz mi. Kocham cię. Kocham! - powtarzał płacząco, wymyślając jej w duchu od najgorszych.

Powieki Wendy zadrgały i uniosły się. Spojrzała na niego omdlewająco i westchnęła.

- Uratowałeś mi życie...

- Tak, kochanie.

Usiadła i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Dzięki ci, najdroższy.

Roger wysunął się z jej uścisków.

- Samobójstwo to ostateczność - powiedział poważnie. - Niedawno zabił się kuzyn Oliwii. Wyobrażasz sobie, co musiałem teraz przeżywać?

- Najważniejsze, że tu jesteś. - Przysunęła się do niego, mrużąc jak kotka.

- O, nie, tym razem ci się nie uda. Ostatnią rzeczą, na jaką miałbym ochotę, jest seks.

- W porządku.

Nagle miękkość jej ciała wydała mu się obca i odpychająca.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał, dając się ponieść irytacji.

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie.

- Po prostu chciałam czegoś tylko dla siebie - wyjaśniła spokojnie. - Dzisiaj myślałam wyłącznie o sobie, więc uznałam, że powinieneś pomyśleć i o mnie.

- Pomyśleć o tobie...

- Tak, żebyś wiedział! A teraz możesz iść sobie do domu, jeśli bardzo chcesz. Ja natomiast najpierw wypuszczę biednego Gregory'ego z kuchni, a potem zrobię sobie rozkoszną ką-

piólkę i pójde spać - mówiła pełnym satysfakcji tonem zwyczajcy.

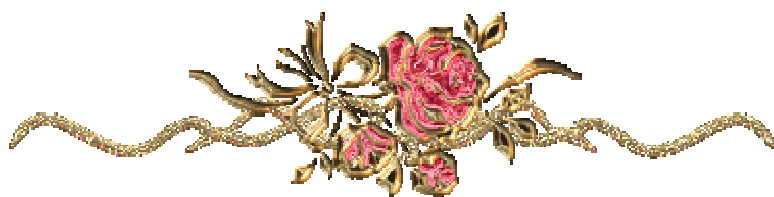
- Zadzwoń do ciebie jutro - musiał coś powiedzieć, żeby nie wyglądało na to, że potulnie dał się wyrzucić.

Czy jednak naprawdę chciał do niej dzwonić? Czy w ogóle jeszcze chciał z nią rozmawiać?

- Zadzwoń. Na pewno odbiorę - obiecała ze zmysłowym uśmiechem.

Jest szalona, pomyślał. Zbyt lekkomyślna, zbyt egoistyczna. O mało nie zburzyła jego szczęśliwego życia, tylko dlatego że chciała poczuć się dowartościowana. Uraził jej ambicję, więc go wykorzystała. Nie takie reguły gry przyjęli!

Ale już w taksówce znów zaczął jej pożądać.



Rozdział 12

Wiosną, ku zdumieniu i zadowoleniu Oliwii, Roger zgodził się pojechać na barmicwę Sama, syna Jenny i Paula. Może dlatego, że Cambridge było niedaleko - lot wahadłowy do Bostonu trwał niecałą godzinę. Nawet z dalekimi dojazdami na lotnisko było to nieporównywalne z wyprawą do Kalifornii.

Cambridge było miastem starym, historycznym i pełnym urody. Domy z ogrodami od frontu i brukowane ulice miały wiele starodawnego uroku. Płaty zlodowaciałego śniegu, wciąż zalegające w cieniu na trawnikach, uświadomiły Oliwii, że zimy musiały być tu cięższe niż w Nowym Jorku.

Taksówka minęła Harvard, otoczony pierścieniem starych, ceglanych budynków, i Harvard Square, który roił się od studentów. Oliwia zastanawiała się, co czuje Paul, uczący tutaj i starzejący się wśród twarzy z każdym rokiem coraz młodszych.

W okolicy były dobre hotele, ale Jenny wybrała skromniejszy, by oszczędzić rodzinie kosztów. Ozdobiony ogromnym akwariem hol był tak ciemny, że nawet ryby wyglądały ponuro. W korytarzach unosił się dziwny zapach, trochę jakby smażonych omletów, a trochę piżma. Ręczniki w pokojach były cienkie, a

w łazienkach leżały malutkie kawałki mydła. Pokój Oliwii i Rogera, jak i cały ten hotel, był mroczny i mało przytulny.

W holu spotkali paru innych członków rodziny. I oni nie byli zachwyceni urodą tego budynku.

- Pamiętacie Biltmore w Santa Barbara? - śmiał się Nick, który przyjechał z żoną Lynne i młodszą córeczką Amber. - W porównaniu z tamtym to jest zwykły motel.

Byli szczęśliwą, zamożną rodziną, jak z reklam. Nick, człowiek sukcesu z Nowego Jorku, z piękną Lynne u boku i małą, słodką Amber w krynolinie z koronkami i białych skarpetkach, mógłby reklamować ubezpieczenia na życie lub fundusze powiernicze.

- Amber nigdy nie była w takim hotelu - powiedziała Lynne. - Kiedy weszliśmy do pokoju, zaczęła pytać: „A gdzie są owoce? A gdzie kwiaty?” Przyzwyczała się do Four Seasons - podkreśliła z dumą.

- Jakoś przeżyjemy, to tylko dwie noce-pocieszyła ich Oliwia, wstydząc się za dobre chęci Jenny, które wypadły tak kompromitująco. Miała nadzieję, że przynajmniej Roger nie będzie utyskiwał.

Rozpakowali rzeczy w swym ciemnym pokoju.

- Przynajmniej łóżko jest dobre - stwierdził Roger.

- I pokój jest naprawdę czysty - dodała Oliwia.

- Znalazłem w łazience czepki kąpielowe - dodał. - To już na pewno nie motel.

- Fajnie. Nie mów nic jutro Jenny, dobrze? Wystarczy, że tamci będą marudzić i zepsują jej całą uroczystość.

Roger zamówił do pokoju butelkę najlepszego wina, jakie było w barze - czyli dosyć podłego - i włączył film porno na hotelowym płatnym kanale.

- Udawajmy, że się nie znamy - zaproponował z błyskiem w oku. - Że pierwszy raz będziemy spać ze sobą.

- Ho, ho! - zachichotała Oliwia. - Może wolałbyś, żebym była dziwką?

- Jeśli już, to luksusową, na telefon - sprostował z zachwytem. - Masz zbyt wielką klasę jak na zwykłą dziwkę.

- Okay- zgodziła się, choć nie podniecała jej ta gra. Film był absolutnie bzdurny i prymitywny, a co do wina, była pewna, że rano będzie bolała ją po nim głowa.

Wyciągnęli się w wielkim łożu. Oliwia miała na sobie satynową koszulę nocną, którą zawsze zabierała w podróż, a Roger - spodnie od podróżnej piżamy. Z rozkoszną miną wylała mu odrobinę wina na pierś i zlizwała je. Smakowało o wiele lepiej niż z kieliszka. Roger natychmiast ściągnął spodnie.

Och, nareszcie, pomyślała z nadzieją i również się rozebrała. Kiedy chciała go pocałować, odsunął ją.

- Poczekaj - powiedział i ze skupioną miną polał winem każdą z piersi Oliwii, po czym z zachwytem zlizwał wszystko.

Było to dla niej miłe, ale nieco niewygodne doświadczenie. Zimne strumyki wina pociekły jej po bokach, mocząc prześcieradło. Z niesmakiem pomyślała, że będą musieli w tym spać. Woląла sobie nawet nie wyobrażać, co inni goście mogli rozlewać na ten materac.

- Co sobie pomyślałaś, jak mnie zobaczyłaś? - zapytał.

- Kiedy?

- Dzisiaj, gdy weszłaś do pokoju.

- Ach, o to ci chodzi - uśmiechnęła się. - Tak, jestem luksusową prostytutką, więc od razu mi się spodobałeś. Lubię klientów w takim typie, gości z klasą.

Teraz nalewał jej wina do pępka i spijał je, co okazało się jeszcze gorszym pomysłem. Łaskotało nieznośnie i Oliwia, chcąc odwrócić swoją uwagę, zerknęła przez ramię Rogera na film. Na ekranie dwie kobiety i mężczyzna, oczywiście nadzy, układali się właśnie w jakiś przemyślny przekładaniec, wydając dźwięki, które, jak się domyślała, miały oznaczać podniecenie.

Biedna Jenny, nawet nie wyobraża sobie, co też wyczyniają jej krewni w hotelu przed podniosłą rodzinną ceremonią. Na samą myśl o tym Oliwia zaczęła się śmiać i już nie mogła przestać.

Już wiedziała, że nic się nie uda, choć tak dobrze się zapowiadało. Cóż, trudno, bywają takie momenty. Teraz nie mógł podniecić jej ani film porno, ani sam Roger. Miała idiotyczne wrażenie, że stali się nagle dziećmi, bawiącymi się w tatę i mamę. Rozczuliła się i zapragnęła przytulić Rogera do siebie. Był taki dobry i słodki...

Wyczuł coś wreszcie, bo spojrzał na nią. Nie był jednak rozbawiony, tylko skupiony i czujny.

Och, kochany, mam nadzieję, że nie czujesz się dotknięty, pomyślała.

- Przepraszam - powiedziała głośno.

- Za co?

- Za ten chichot.

- Nie ma sprawy - stwierdził pogodnie. - Ten pokój ma anty erotyczną atmosferę.

- No właśnie, i to mi się udzieliło. Roger sięgnął po pilota i wyłączył wideo.

- Chyba wezmę ręcznik i przykryję prześcieradło.

- Ciekawe, czym się jutro wytrzymamy pod prysznicem -

mruknęła. - Te mokre plamy zmuszą mnie, żebym się w ciebie wtuliła.

- I bez tego możesz się wtulić.

- Wiem. Kocham cię - powiedziała Oliwia, moszcząc się w jego objęciach.

- Ja też cię kocham. - Zgasił lampkę i po chwili już spali.

Rano zeszli na śniadanie do hotelowej restauracji. Lynne, siedząca z Nickiem i Amber, pomachała do nich, by się przysiedli.

- Jak miło was znowu widzieć po tak długim czasie - ucieszyła się Oliwia.

- No właśnie. - Lynne pokiwała głową. - Wszyscy mieszkamy w Nowym Jorku, a spotykamy się na wyjazdach. Trzeba wreszcie się umówić.

- Koniecznie - wtórował jej Nick.

Kelnerka podeszła, by zebrać zamówienia.

- Zamówcie jogurt - powiedział Nick scenicznym szeptem.

- Tego nie da rady zepsuć.

- Co sądzicie o tym hotelu? - zagadnął Roger.

- Jeszcze dziś wyprowadzamy się do Ritz.

- Czy nie powinniśmy zrobić tego samego, Oliwio?

- A warto? Ritz jest w Bostonie, za daleko. - Oliwia pomyślała, że Jenny będzie przykro, jeśli wzgardzą załatwionym przez nią hotelem. - Jakoś się tu przemęczymy.

- Oliwia chorobliwie nie znosi wszelkich zmian - wyjaśnił swobodnym tonem Roger. - Nawet zmiany gorszego hotelu na lepszy.

Kiedy skończyli się śmiać, Lynne rozejrzała się dookoła.

- Kto tu jeszcze mieszka?

- Taylor z Timem, wuj Seymour, ciotka Iris, ciotka Myra i chyba Kenny - powiedziała Oliwia. - Zastanawiam się, czy jest ze swoją przyjaciółką. A Melissa i Bill przyjeżdżają z dziećmi, tak?

- Jasne - potwierdził Nick. - Mój ojciec jest z nimi.

Anna Idealna nie przyjechała, gdyż przed laty nie pozwoliła Jenny przyprowadzić dzieci na barmicwę swego syna i od tej pory obie kuzynki były na siebie obrażone. Jenny, która miała wówczas tylko dwójkę, potraktowała zakaz jak ciężką obrazę. Z oburzeniem mówiła potem do Oliwii, że bar micwy są między innymi po to właśnie, by dzieci w rodzinie mogły się poznawać. Odtąd obie pary, choć' oficjalnie przysyłały sobie zaproszenia, nigdy z nich nie korzystały. Anna musiała być z tego zadowolona, gdyż podobnie jak jej brat, Charlie Idealny, uważała się za tak zapracowaną, że szkoda jej było czasu na kontakty rodzinne.

Kelnerka ustawiła śniadanie na stole.

- Jak wam idzie? - zagadnął Nick.

- Klinika kwitnie, z nami wszystko w porządku, w lecie jedziemy z Rogerem na długi weekend do Paryża - wyrecytowała. - A co u was?

- Klientów nie brakuje - odpowiedział Nick. - Waśnie kończymy urządzenie nowej siedziby. Kiedy zobaczysz reklamę naszego banku, zwróć uwagę na faceta na końcu kolejki - to będę ja. Pozwoliłem sobie na mały wygłup.

- Jak byłeś mały, zawsze chciałeś być aktorem - zaśmiała się Oliwia.

- Nie pamiętam. Serio?

- Ale ja pamiętam.

- Poza tym zafundowałem sobie w Kolorado zjazd na na-

rtach z helikopterem - ciągnął - i zupełnie oszalałem na tym punkcie. Normalne narciarstwo już mnie nie bawi.

- A na czym to polega?

- Helikopter wynosi cię ponad szczyt góry i stamtąd startujesz. Wyobrażasz sobie? Metr świeżego puchu i cały dziewiczy stok dla ciebie! Nie mówię już o widokach. Niesamowite przeżycie, naprawdę.

- Osobiście wolałabym, żeby miał inne hobby - powiedziała Lynne z uśmiechem, w którym zamiast nagany była skrywana duma.

- Och, bez przesady, to jest całkiem bezpieczne - zbagatelizował jej obawy Nick. - Jestem doświadczonym narciarzem. Ale już mi się znudziły zwyczajne trasy.

- A jakie są te nowe? - zapytała Oliwia.

- Piekielnie strome i poprowadzone pionowo w dół, często przez przecinki w lesie. Lepiej tam nie upadać, bo można spotkać się z drzewem, albo ktoś zwali ci się na głowę - wyjaśnił spokojnie.

- Do tego u góry, pod szczytem, grożą ci jeszcze lawiny

- dodała pogodnie Lynne. - A Nick lubi jeździć solo.

Zupełnie jakby partner mógł mu pomóc, gdyby zesła lawina, pomyślała z przekąsem Oliwia, ale nie powiedziała tego głośno ze względu na małą Amber, która skubała rogalik i układała na talerzu wzory z okruszków. Po co mała ma słuchać złośliwe uwagi pod adresem swego taty?

- Partner popsułby mi idealną samotność - wyjaśnił Nick. - Zresztą jestem zabezpieczony. W narciarskim kombinezonie mam wszyte dwa nadajniki - jeden w rękawie, a drugi po przeciwnej stronie ciała, w nogawce. Gdyby coś się stało, będą wysy-

łać sygnał do patrolujących helikopterów, a te ściągną drużynę ratowniczą.

- Taką jak drużyna „A”? - zainteresowała się nagle Amber.

- No, prawie taką, a może nawet jeszcze lepszą, bo z takimi wspaniałymi, tresowanymi psami, które umieją skakać ze spadochronem - fantazjował Nick, który w ostatniej chwili przypomniał sobie, że dziecko go słucha.

- Amber, może posmaruję ci bułeczkę dżemem? - zapytała Lynne, w porę zmieniając temat.

Jakie są szanse przeżycia w lawinie, nawet przy najlepszych ratownikach? - zastanawiała się w myśli Oliwia. Jak ryzykowanie życiem może sprawiać ludziom radość? Ci, którzy żyją w biedzie i muszą staczać przerażającą walkę z codziennością, marzą o bezpieczeństwie. Ale kiedy tylko dojdą do czegoś, zaraz rzucają się na gumowej linie głową w przepaść.

Stan i Grady stanowili skrajny przykład takiej postawy, ale przecież i inni krewni szukali mocnych wrażeń. Tak zawsze ostrożną Jenny podniecał na przykład narciarski „rytuał”, a Nick ryzykował beztrąsko w jakichś dzikich miejscach. Nawet Char-lie Idealny, którego stać było na latanie pierwszą klasą choćby dookoła świata, wołał przemierzać Amerykę swoją awionetką. Po prostu uważał pilotowanie za sport, i to o wiele bardziej interesujący od tenisa.

Raz Oliwia zapytała Taylor, która porzuciła wprawdzie pogoń za ryzykiem, ale wciąż rozumiała i popierała tych, którzy go szukają, dlaczego ludzie chcą robić niebezpieczne rzeczy. Taylor spojrzała na nią jak na nic nie rozumiejącą idiotkę i oznajmiła sentencjonalnie:

- Bo dopiero dzięki temu życie jest coś warte.

Po śniadaniu wszyscy rozeszli się do pokojów, żeby się przebrać. Świątynia była na szczęście niedaleko hotelu, tak że szło się spacerkiem. Oliwia i Roger podążali kilkanaście kroków za Nickiem, Lynne i Amber. Małą ubrano na tę okazję w wierną kopię wiktoriańskiej, dziewczęcej sukieneczki. Amber podskakiwała wesoło, prowadzona za rączki przez matkę i ojca. Pewnie cieszyła się, że zobaczy inne dzieci i zje mnóstwo smakołyków.

Oliwia wyobraziła sobie, z jakim przejęciem Lynne i Amber musiały kupować tę sukienkę, i pomyślała o swych własnych dziecięcych wyprawach do sklepów. Zawsze zamieniały się w batalie, które oczywiście przegrywała.

- Jesteś moją malutką laleczką - mówiła matka, nawet kiedy jej córka była już w szkole średniej. I kupowała jej na zabawę jakieś różowe, słodkie ohydztwo z falbankami, podczas gdy Oliwia błagała o zwykłą, czarną sukienkę. - Zawsze ubierałam cię jak laleczkę - powtarzała Lila, sama ubrana w tym zniechęcającym przez Oliwię stylu.

Nie chcę być taka jak ty, myślała Oliwia, nie chcę być laleczką. A kiedy już wreszcie mogła, udowodniła sobie i wszystkim, że nie jest niczyją laleczką. Ale tamte dzikie walki będzie pamiętać do śmierci...

Świątynia była duża i piękna, o wnętrzu prześwieconym promieniami słońca, wpadającymi przez witraże. Oliwia siedziała z Rogerem za rzędem rozchichotanych dziewczynek, zapewne koleżanek Sama z klasy.

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedziała do Rogera. Lekko uściskała jej dłoń.

Didi i Maks, rodzeństwo Sama, siedzieli w pierwszym rze-

dzie z rodzicami, próbując wyglądać poważnie. Za to jego młodsze siostrzyczki, Kara i Belinda, wytrzymały na uroczystości tylko pięć minut, a potem odprowadzono je do pokoju dla małych dzieci.

Po nabożeństwie młody i pełen werwy rabin ogłosił, że pozwala każdemu adeptowi bar micwy samemu wybrać fragment z Biblii do interpretacji. Wtedy to Sam, ubrany w garnitur i krawat, wstał z uroczystą miną. Był blady, ale trzymał się dzielnie, dumny ze swego wieku trzynastu lat, od którego według prawa żydowskiego w sprawach religijnych mógł być traktowany jak dorosły. W tym przejściowym wieku wyglądał zabawnie - podobny do swoich rodziców i starający się wyglądać dorośle, a jednocześnie tak jeszcze dziecięcy i niedojrzały.

- Wybrałem ten fragment, ponieważ mam trzy siostry i brata, i wiem, co to znaczy rywalizacja pomiędzy rodzeństwem - zaczął. - Dzisiaj chcę omówić przypowieść o Kainie i Abla.

Oliwia z dumą zerknęła na Rogera. Takim młodym kuzynem można się było pochwalić! Inni członkowie rodziny uśmiechali się z aprobatą, słuchając, jak chłopak inteligentnie i z pełnym humorem dystansem radzi sobie z trudnym tematem zdrady i zbrodni w rodzinie.

Poczęstunek po ceremonii podano w malowniczej starej rezydencji zwanej Nawiedzonym Domem, którą wynajmowano na dziecięce przyjęcia. Przyjęcie na cześć Sama było ogromne - cała jego klasa, liczna rodzina z dziećmi, powinowaci oraz kilkoro przyjaciół Jenny. Przewidziano osobne stoły dla dorosłych i dla dzieci, a także osobne dania. W kącie sali ulokował się mały zespół muzyczny, a w osobnym bufecie podawano lody. Chłopcy i dziewczynki ochoczo ruszyli do tańca i w krótkim czasie wspała atmosfera zabawy udzieliła się wszystkim.

Oliwia obeszła kolejnych członków rodziny, witając się z każdym, a potem usiadła przy dużym, okrągłym stole, pomiędzy Rogerem a Taylor. Nie widziała Taylor od czasu pogrzebu Grady'ego. Kuzynka wyglądała teraz o wiele lepiej. Ciekawe, czy odstawiła już swoje leki uspokajające, pomyślała.

Po chwili podeszła do nich Jenny, ubrana w jedwabną wzorzystą suknię, z pewnością kupioną w „JULII”. Zewsząd przyjmowała gratulacje, sama zaś udzielała przeproszających wyjaśnień.

- Bardzo mi przykro, że nie podoba wam się hotel - powtarzała. - Strasznie was przepraszam, ale chciałam oszczędzić wam wydatków.

- W porządku, nic się nie stało - uspokajała ją Oliwia.

- Wybrałam Nawiedzony Dom, bo dzieci uwielbiają to miejsce - tłumaczyła się dalej Jenny. - Poza tym wynajęcie nie kosztuje tak wiele.

- Lepiej nie mogłaś wybrać - uspokoiła ją Oliwia.

- Tak, widzę, że dzieciaki się cieszą. Nie zapomnijcie, że po południu zapraszam was do siebie.

- Jasne, przyjdziemy. Czy zdecydowałaś się wreszcie na lekcje śpiewu dla Didi?

- Jeszcze nie. Na razie sama zamyka się w pokoju i ćwiczy z taśmami. Zobaczymy.

- A jak ty się czujesz? - Oliwia zwróciła się do Taylor.

- Powoli dochodzę do siebie - odparła Taylor w swym języku. - Wybieram się na terapię. Przez jakiś czas będę na prozacu.

- Prozac jest podobno świetny.

- Co do wyników sekcji - zaczęła Taylor po chwili milczenia - to Grady nie miał AIDS, ale stężenie alkoholu we krwi było bardzo wysokie.

Oliwia smętnie skinęła głową.

- Zdawał sobie sprawę, że ma problem z piciem - ciągnęła Taylor. - Mówił mi, że chce się zgłosić do poradni. Niedługo.

Nie zdążył, jaka szkoda, pomyślała z żalem Oliwia.

- Pamiętasz tego młodego człowieka, który był na pogrzebie, a którego nikt nie znał?

- Tak, zwróciłam na niego uwagę.

- Odwiedził mnie. Okazało się, że był kochankiem Grady'ego. Grady powiedział mu, że się z nim nie zwiąże. Nigdy. Ich dwa światy miały pozostać osobne. Zaprzyjaźniłam się z tym człowiekiem. Jest miły i taki uduchowiony. Interesuje się reinkarnacją. Dał mi różne książki do czytania. Przychodzi do mnie i długo rozmawiamy.

- To bardzo dobrze, Taylor.

- Muszę mieć coś, w co będę wierzyć. Myśl, że ludzie tak naprawdę nie umierają, bardzo mnie pociesza, wiesz?

- Doskonale cię rozumiem.

- Nie wiedziałam, że Grady był gejem - powiedziała bardzo poważnie Taylor. - Musisz mi uwierzyć, naprawdę nie wiedziałam.

- Jak to możliwe, skoro byliście sobie tak bliscy?

Taylor wzruszyła ramionami. Jak na kogoś, kto podobno nie wiedział nic o sekretnym życiu Grady'ego, przyjęła tę rewelację z osobliwym spokojem.

- Powiedziałam temu przyjacielowi Grady'ego, że powinien mieć coś na pamiątkę po moim bracie. Nie będziesz zła, że dałam mu te dwa kieliszki po cioci Lili, które mu podarowałaś? Podobno pili z nich szampana w Nowy Rok. Grady mówił, że wiele dla niego znaczą.

- Oczywiście, że nie będę zła - zaprzeczyła żywo Oliwia, myśląc jednocześnie o dziwnych drogach rodzinnego dziedzictwa. Kryształowe kieliszki matki - pamiątka dla niej, potem dla jej kuzyna, a w końcu dla jego kochanka. Wzruszyło ją, że ów chłopak tak kochał Grady'ego.

Przerwali rozmowę, bowiem muzykanci na chwilę przestali grać, a głowy wszystkich zwróciły się w ich stronę.

- A teraz będzie niespodzianka dla Sama - powiedział piani sta do mikrofonu. - Didi zaśpiewa dla brata.

Dziesięcioletnia Didi stanęła przy mikrofonie wyprężona na baczność, w aksamitnej sukience, z koroną z warkoczy, miną dumną i podekscytowaną, ale bez śladu tremy.

- Zaśpiewam tę piosenkę dla ciebie, kochany braciszku - powiedziała, puszczając oko do Sama. - Nawet jeśli miałbyś mnie zabić.

Rozległy się śmiechki, bo aluzja do Kaina i Abła była jasna dla wszystkich. Oliwia zerknęła na Jenny i Paula. Wyglądali na bardzo przejętych tą sytuacją. Kapela zaczęła grać i Didi zaintonowała jedną z popowych piosenek, których ciągle ostatnio słuchała. Oliwia po chwili przypomniała sobie ten przebój. Głos dziewczynki okazał się zdumiewająco głęboki, dźwięczny i bogaty, godny najlepszych soulowych śpiewaczek.

- Ona jest świetna - wyszeptał zaskoczony Roger.

- Wiem.

Z twarzy Jenny i Paula odpłynęło napięcie. Zaczęli się uśmiechać, a potem już dosłownie promienieli. Kiedy mała skończyła śpiewać, rozległy się entuzjastyczne oklaski, a Didi i Sam padli sobie w objęcia.

- Zasłużyłaś na te lekcje, Didi - powiedziała Jenny do córce-

czki, sadowiącej się na miejscu. Teraz na podium wstąpił Paul, serdecznie obejmujący ramieniem syna. Ten miły, niewysoki mężczyzna miał klasę godną profesora słynnej uczelni.

- Synu, przez te wszystkie lata, kiedy dorastałeś, zawsze mówiło się: „co za wspaniałe dziecko”. Od tej chwili będziemy mówić: „co za wspaniały młody człowiek”!

Powiedział dokładnie tyle, ile potrzeba, bez zbędnych słów. Ojciec z synem ucałowali się i uściskali, Ignac do siebie z dumą i miłością. Oliwia poczuła ucisk w gardle i łzy napływające do oczu. Pamiętała czasy, kiedy Sam był już na tyle duży, by usiąść przy stole. Wtedy jeszcze był jedynakiem, lecz Jenny chodziła w ciąży z Maksem. Na jakimś przyjęciu u wuja Seymoura i ciotki Iris dziecko przypadkiem wywróciło pucharek z wodą. Mokra plama rozlała się po nieskazitelnym obrusie, a chłopczyk się rozplakał. Paul wziął wówczas syna na kolana i przytulił.

- No już, nic się nie stało - mówił łagodnie. - Wcale nie będziemy na ciebie krzyczeć, bo zrobiłeś to niechcący. Bardzo cię kochamy.

Czy kiedykolwiek ktoś tak mówił do niej, gdy była mała? Nigdy. Kiedy coś zbroiła, nawet niechcący, zawsze słyszała ostre słowa i sypały się kary, które sprawiały, że zamykała się w sobie jeszcze bardziej. Za to momentalnie można ją było zmiękczyć i zdobyć dobrym słowem bądź czułym gestem. Nawet już jako dorosła kobieta zawsze płakała w kinie, także przy szczęśliwych zakończeniach.

Do stołu podeszła ciotka Myra, by zamienić z każdym kilka słów.

- Miłe przyjęcie, prawda? - zagadnęła. - Ale chyba nikt się nie najadł tak jak ja. Stanowczo za dużo sobie pozwalam. A prze-

cież jeszcze mamy iść do Jenny. Za to Melissa nic nie zjadła, widziałaś?

- Bo Melissa w ogóle nie je - wyjaśniła Oliwia.

- I pewnie dlatego ma taką linię - zachichotała starsza pani, zerkając przy tym z dezaprobatą na sukienkę Oliwii - czarną, francuską, piekielnie drogą kreację, którą zdobiły białe fastrygi ze sterzącymi łebkami szpilek. - Czy nie za szybko odebrałaś tę sukienkę od krawcowej? - zapytała z przekąsem.

- Dzięki za komplement - powiedziała z powagą Oliwia.

Po lunchu każdy miał trzy godziny czasu dla siebie. Nick

i Lynne zajęli się zmianą hotelu. Wuj Seymour i ciotka Iris, wymawiając się wiekiem i zmęczeniem, wrócili do Nowego Jorku, natomiast Melissa z Billem zostawili dzieci wujowi Davidowi i poszli z Taylor i Timem na spacer wzdłuż brzegów rzeki Charles. Kenny zabrał Jasona do Harvardu, by pokazać mu uczelnię, na której mógłby w przyszłości studiować. Z kolei Oliwia i Roger znaleźli w programie wersję starego filmu niemego „Metro-polis” z nowym, rockowym podkładem muzycznym i z lubością zajęli się oglądaniem.

Dom Jenny i Paula, do którego przybyli po południu, był stary i obszerny, skryty głęboko za ogrodzeniem z żelaznych prętów i kępami starych drzew.

- Dzieci posprzątały swoje pokoje na waszą cześć - powie działa Jenny do gości na przywitaniu. - Nie zapomnijcie ich pochwalić, bo się bardzo napracowały.

Cała rodzina musiała się napracować, gdyż wszystko lśniło czystością, choć na niektórych, jeszcze ślubnych meblach znać było ślady działalności piątki dzieci.

- Och, jaki piękny pokój! Co za porządek! - wykrzykiwali

z entuzjazmem Oliwia i Roger, oprowadzani przez rozpromienione dzieciaki. Tylko Sam usiłował utrzymać powagę godną dorosłego.

Na udekorowanym stole w jadalni można było znaleźć zimne zakąski, chleb, sałatkę z ziemniaków oraz sałatkę coleslaw. Dania należało nakładać sobie na papierowe talerzyki.

Ośmiu najmłodszych kuzynów bawiło się ze sobą, Sam i Jason, już uznani za dorosłych, stali w towarzystwie mężczyzn, zaś ciotka Myra, wuj David i rodzice Paula, jako najstarsze pokolenie, siedzieli w swoim kręgu. Po chwili do mężczyzn przyłączył się Roger, bardzo lubiany w towarzystwie. Oliwia miała nadzieję, że nie będzie się nudził. Sama nabrała sobie sałatki i poszła do ukochanych kuzynek.

W babskim kąciку stały Jenny, Melissa, Taylor i Lynne - ta ostatnia weszła do rodziny przez męża i nie dzieliła z nimi wspomnień z dzieciństwa. Jedynym mężczyzną w tym towarzystwie był Tim - stały tłumacz Taylor.

Oliwia z sympatią popatrzyła na jego szczupłą, wydłużoną, ascetyczną twarz, obramowaną prostymi, długimi do ramion włosami. Był najspokojniejszym człowiekiem, jakiego знаła. Zawsze u boku Taylor, gotowy na każde jej skinienie, sprawiał wrażenie, jakby zrósł się ze swoją żoną. Teoretycznie dałaby sobie radę i bez niego, gdyż potrafiła czytać z ust i mówić, nie słysząc swego głosu, ale bardzo szybko ją to męczyło, podobnie jak rozmówców, którzy musieli wymawiać słowa powoli, wyraźnie i patrząc prosto na nią. Nigdy jednak, nawet z pomocą Tima, nie była w stanie nadażyć za normalnym tokiem rodzinnych rozmów.

Taylor musi się czuć bardzo samotna między nami, pomyślała

Oliwia, porównując zachowanie kuzynki na rodzinnych imprezach z tym, jak się zachowywała w towarzystwie głuchoniemych przyjaciół czy nawet Grady'ego. Tylko tam, wkładając w gestykulację całą duszę, czuła się sobą.

Wyraziste ręce Taylor leżały nieruchomo na podolku, kiedy mówiła coś do swych kuzynek. Zaś gdy one mówiły do niej, ożywały ręce Tima. Tim jednak był mężczyzną i kobiety krępowyły się mówić przy nim o niektórych sprawach. Najlepsze w tej sytuacji byłyby listy, ale nikomu nie chciało się pisać albo chociaż sprawić sobie przystawkę komputerową, jaką stosowała ciotka Julia do bezpośrednich rozmów z wnuczką na odległość. A język migowy, którego z takim entuzjazmem uczyli się w dzieciństwie, już właściwie zapomnieli. Kochali Taylor, lecz byli zbyt zajęci albo też zbyt leniwi, by usprawnić komunikację ze swą kuzynką.

Patrząc na Taylor, Oliwia znów wróciła myślami do Grady'e-go. Nadal nie mogła uwierzyć, że siostra, tak bardzo zżyta z bratem, nie domyślała się jego homoseksualnych skłonności. Przecież powinien jej powiedzieć, nawet jeśli ukrywałby je przed innymi.

Z salonu dobiegły ich śmiechy, tupoty i radosne okrzyki dzieci.

- Zawsze chciałam mieć całą gromadkę, no i mam - powiedziała Jenny, nasłuchując z zadowoleniem odgłosów szalonej zabawy. - Takie właśnie życie sobie wymarzyłam, kiedy cierpiałam jako jedynaczka.

- Nie byłaś aż taka samotna, miałaś nas - powiedziała Me-lissa.

- Tak, ale tylko w czasie wakacji, a to nie to samo.

- Uważasz w takim razie, że nie miałaś szczęśliwego dzieciństwa? - zapytała Oliwia.

- Ależ skąd! Byłam szczęśliwa!

- My też tak uważamy - przytaknęła Melissa. - Pamiętasz te wyprawy na narty?

- Melissa jeździ o wiele lepiej ode mnie - wyjaśniła ze śmiechem Jenny.

- Ja też miałam szczęśliwe dzieciństwo - wtrąciła Lynne. - Nick i ja chcemy mieć jeszcze przynajmniej jedno dziecko. Dla Amber i dla nas samych.

- A pamiętacie, jak Taylor i Grady skakali po drzewach jak małpki? - przypomniała sobie Oliwia.

- Ja nic nie pamiętam - powiedziała smutno Taylor.

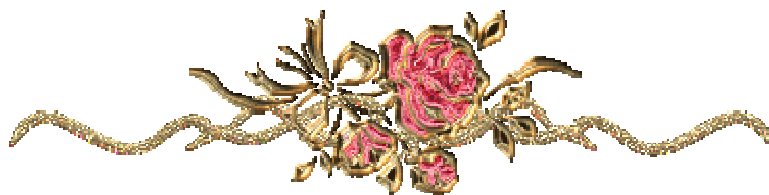
- Ale musisz chociaż pamiętać Mandelay - zdziwiła się Jenny.

- Mandelay, tak. Tam czułam się bezpieczna.

- O czym w takim razie zapomniałaś?

- O reszcie dzieciństwa. O Kalifornii. To się nazywa stłumienie... - Taylor wzruszyła ramionami z bolesną miną.

Kuzynki popatrzyły po sobie ze zrozumieniem. Ich oczy zdawały się mówić: „Biedactwo, to musiało być okropne”. Oliwia jednak bardzo chciała się dowiedzieć, co jeszcze wypchnęła ze swojej pamięci Taylor.



Rozdział 13

W Nowym Jorku, w latach sześćdziesiątych Roger spotkał Wirginię - młodą kobietę, która najpierw została jego żoną, a z którą później się rozwiódł. Dla kobiet - wtedy mówiło się na nie „dziewczyny” - trwał piękny czas minispódniczek, białych botków, tapirowanych fryzur, sztucznych, kapiących od tuszu rzęs i perłowej szminki. Wynaleziono wówczas tabletkę antykoncepcyjną, dyskoteki dopiero zaczynały być popularne, a większość ludzi nie interesowała się polityką i nie angażowała się w nią tak, jak obecnie. Znacznie przyjemniej było się bawić.

Roger poznał Wirginię na prywatce. W prostej, czarnej, obcisłej sukience wyglądała piekielnie atrakcyjnie. Krótkie, gęste, również czarne włosy okalały jej głowę niczym lśniący kask, zaś w twarzy białej jak maska widziało się tylko oczy, duże, ciemne, w oprawie sztucznych rzęs, podrysowane i przedłużone grubą krechą ołówka. Powiedziała mu, że dorabia jako modelka u Rudi Gernreicha, dyktatora mody, który ośmielił się stworzyć kostium kąpielowy całkowicie eksponujący kobiece piersi. Ale przede wszystkim była bardzo zabawna. Wszystko, co mówiła, było gęsto przetykane dziwnym slangiem, którego Roger nigdy

wcześniej nie słyszał i prawie nie rozumiał. Przypuszczał, że musiała się zadawać z gangsterami.

Tej nocy niemal od siebie nie odstępowali, tańcząc razem, gadając, pijąc i paląc. Następnego dnia zadzwonił i poprosił Wirginię o spotkanie.

- Może wpadłbyś wieczorem do mnie? - zaproponowała.
- Mam kolorowy telewizor i lubię oglądać „Bonanzę”. Dam ci meksykańską kolację do telewizji, bo sama nie gotuję, tylko podaję to, co przyniosą na tace. To jak, wpadniesz?

- Jasne. Przyniosę wino.

Dała mu adres. Był to jeden z owych dużych, przedwojennych budynków przy Central Park West, których okna wyglądały na park.

- Zobaczysz, że mnie nie poznasz - dodała tajemniczo.

Roger był zaintrygowany, ale nie spodziewał się aż takiego zaskoczenia. Dziewczyna, która otworzyła mu drzwi, była ubrana w wyciągnięty sweter i wąskie dzinsy. Miała zdrową cerę bez śladu makijażu, długie, jasno kasztanowe włosy, związane w koński ogon, a do tego nie za duże, lecz ładne oczy. Wyglądała o dziesięć lat młodziej niż Wirginia, którą spotkał poprzedniego dnia.

Uśmiechnęła się na widok jego miny.

- Widok mojego drugiego „ja” zawsze wywołuje szok - stwierdziła.

- To prawda, prawie cię nie poznałem - przytaknął. Ale bynajmniej nie czuł się rozczarowany, co musiała wyczuć. Teraz przypominała trochę Audrey Hepburn, jego ulubioną aktorkę.

Pokazała mu swój apartament, gdzie królowały obite skórą fotele i kanapy, a za oknami roztaczał się imponujący widok na

Central Park. Oglądali „Bonanzę”, jedząc meksykańskie dania z foliowych tacek. Wirginia piła niewiele i ani razu nie użyła slangu. Za mało ją znał, by stwierdzić, która z tych postaci była jej wymysłem, lecz obie równie go fascynowały. Bardzo jej pragnął, ona chyba też, bo spędzili razem noc. Potem już spotykali się bez przerwy.

Czasami Wirginia zabierała Rogera do nocnych klubów albo na prywatne imprezy, o których istnieniu nie miał dotychczas pojęcia. Raz przedstawiła go nawet samemu Andy'emu Warholowi. W domu dawała mu na kolację kanapki z masłem orzechowym i uczyła grać w domino. Bardziej jeszcze niż wygląd i poczucie humoru, Roger cenił w Wirginii jej podwójną naturę, owo rozdwojenie na zupełnie różne kobiety. Nigdy nie wiedział, która będzie na niego czekać. Kiedy był z jedną, zawsze pamiętał, że druga jest blisko i czeka tylko, by go zaskoczyć. W domu była zwykłą dziewczyną, wyglądała jak studentka; za to ze' swym upiornym makijażem i peruką przypominała mu gejszę, czy nawet transwestytę. A on był zwykłym weterynarzem.

Roger zakochał się w niej głupio i nieprzytomnie.

Pewnego czerwcowego dnia odbył się miły, kameralny ślub w obecności najbliższej rodziny. Wirginia - oczywiście w wersji Audrey Hepburn - spodobała się jego rodzicom. Ale nie bratu, który nigdy zresztą się z nim nie zgadzał. Być może tym razem był zwyczajnie zazdrosny. Żadne z nich jednak nie wiedziało, jak bardzo żona Rogera lubi swoje małe, czerwone i czarne tabletki, na zmianę otepiające ją i stawiające na nogi...

Roger poślubił Wirginię z lękiem, żył z nią w udreće narastającego rozczarowania, frustracji i goryczy, a rozwiódł się ze smutną rezygnacją. Klócili się, aż jednemu i drugiemu przestało

na czymkolwiek zależeć. Małżeństwo trwało cztery lata, a w dniu, kiedy Roger odchodził, Wirginia, otumaniona alkoholem i proszkami, nawet tego nie zauważyła. Już po pierwszym spotkaniu powinien się zorientować, że jest lekomanką i że prawdopodobnie żadne z jej dwu wcieleń, które poznał, nie było prawdziwe. Jednak Roger znał się wtedy głównie na zwierzętach i ich raczej nieskomplikowanej psychice.

Po rozwodzie spotykał się z wieloma kobietami, dokonując łatwych podbojów na fali nagłego zauroczenia wolnością. Sięgał po nie tak, jak sięga się po paczkę z tostami na sklepowej półce, traktując jak towar do szybkiej konsumpcji. Nawet się nie zastanawiał, czy lubi je, czy nie. Część jego osoby, która została zraniona i doznała zawodu, popierała takie podejście do sprawy i czujnie strzegła, by się znów nie zaangażował. Druga część, ta niespełniona, tęskniąca za normalnym życiem we dwoje, pozostała samotna. O jeszcze innej, najbardziej romantycznej i spragnionej każdej nowości, prawie zapomniiał.

Fakt, iż spotkał Oliwię w kolejce na film z Audrey Hepburn, zakrawał na ironię losu. Minęło jednak już wiele czasu od chwili, kiedy Wirginia przestała przypominać jego ulubioną aktorkę. Oliwia była wysoka i piękna, miała długie, faliste, rudozłote włosy i oczy jak topazy. Od razu wyczuł, że jest zmysłowa, lecz było w niej coś jeszcze - coś trzeźwego, konkretnego, a jednocześnie inteligentnego, słowem - połączenie raczej rzadkie. Zwrócił też uwagę na jej dziwny, puchaty i luźny brązowy sweter.

Roger otaksował to wszystko w ułamku chwili, doznając przemożnego uczucia, że już raz widział tę kobietę. Wyglądała na wyjątkową, a jednocześnie w jakiś sposób znajomą. Zupełnie

jakby przez całe życie czekał właśnie na nią. Kiedy zobaczył Oliwię, nie miał odwagi do niej zagadać, a jednocześnie bał się, że ją straci. I wtedy właśnie uśmiechnęła się do niego. Nie jakimś tam uprzejmie zdawkowym uśmiechem, tylko szerokim, radosnym uśmiechem dziecka. Promieniująca z niej siła i radość życia ośmieliły go do działania.

- Gdzie tu można dostać kawę? - spytał, patrząc na plastikowy kubek w jej ręce.

- Tam - wskazała za róg.

- W takim razie będę stał za panią, dobrze?

- Proszę bardzo.

Na szczęście było to jedno z tych małych kin, gdzie można wnieść jedzenie i napoje nie tylko z kinowego bufetu. Kiedy Roger wrócił pędem z kafejki, kolejka już zaczęła się przesuwać. W końcu udało mu się usiąść obok Oliwii. Każde z nich przyszło samotnie, więc chętnie wdali się w rozmowę. Każde z nich widziało już wcześniej ten film.

-. Bardzo ciekawy sweter - skomentował Roger, lekko skubiąc jej rękaw. - Z czego ta wełna, bo chyba nie z owcy?

- Z jaka.

- Wykluczone -zaśmiał się.

- Jesteś kuśnierzem?

- Nie, weterynarzem.

- Zajmujesz się też jakami? - zapytała z komiczną nadzieją w głosie.

- Nie, głównie psami i kotami. I jedną małpą - czepiakiem.

- Wiesz może, jakie jest prawdopodobieństwo, że dwoje weterynarzy usiądzie obok siebie w kinie? - zapytała nagle.

Pogadywali sobie miło aż do końca seansu, a potem rozstali się, wymieniając wizytówki.

Wszystko to działo się ponad dekadę temu. Teraz Roger bał się zestarzeć, choć wiedział, że tego nie uniknie. Bał się też równie nieuniknionej śmierci. Ostatnio przerażała go własna ambiwalencja i ryzykowny taniec na linii pomiędzy Oliwią a Wendy. Nie rozumiał, czemu potrzebował aż tyle czasu, by pojąć, iż Wendy, ze swoimi tabletkami na sen i teatralną próbą samobójstwa, niebezpiecznie przypominała mu Wirginię. Co prawda jego była żona nie usiłowała targnąć się na własne życie, ale zdawała się popełniać samobójstwo powoli, konsekwentnie i na raty. Od czasu, gdy wyszła ponownie za mąż, zniknęła z jego życia. Wcześniej łączyły ich jeszcze alimenty, które jej wysyłał. A jednak nie dała się do końca wymazać z jego życia i pamięci. Po latach Wendy wywołała odrzucone wspomnienia.

Czyżby jego osoba przyciągała szalone kobiety, które żyją na krawędzi? Co w takim razie pociągało w nim Oliwię, która spragniona była łagodności i zdrowego rozsądku? I dlaczego jemu nie wystarczało to, że Oliwia jest, jaka jest, dlaczego nie był za to wdzięczny losowi? Dlaczego samobójczo ryzykował utratę tej wspaniałej kobiety?

Nie, nie jest samobójcą. Jest tylko mężczyzną, który raz na jakiś - bardzo długi - czas potrzebuje przygody, by móc żyć dalej. Czy to coś zdrożnego albo wyjątkowego?

Zadzwoił do Wendy. Był to jeden z tych uroczych, wczesnowiosennych dni w Nowym Jorku, które zawsze przynoszą potężną dawkę optymizmu.

- Mogę przyjść o szóstej?

- Tak.

- Zaskocz mnie czymś.

Po pół godzinie zadzwonił do jej drzwi. Nie używał kluczy, które miał przy sobie, bo wiedział, że Wendy będzie udawała, że go nie zna. Otworzyła drzwi, uśmiechając się jak urocze zwierzątko. Włosy miała szczesane gładko za uszami, a na nosie okrągłe rogowe okulary.

- Przyszedł pan pewnie obejrzeć mieszkanie? - zapytała uprzejmie.

- Tak.

- Pan Hawkwood?

- Doktor Hawkwood - poprawił.

- Och, przepraszam.

- Mam na imię Roger.

- A ja Caroline. Proszę, wejdź.

Na podłodze salonu stały pudła i walały się książki, zupełnie jakby zastał ją w trakcie pakowania. Wendy miała na sobie grzeczną, biurową bluzeczkę i kostium, wyglądała w tym stroju tak, jakby nie przebrała się jeszcze po pracy.

- Proszę spojrzeć, ten pokój jest całkiem duży. - Gestem wskazała otoczenie. Głos miała łagodny, wręcz słodki, zachowywała się uprzejmie i grzecznie jak wzorowa uczennica. Nieśmiało zerknęła na niego i natychmiast uciekła oczami w bok.

- Tak, widzę.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu ten bałagan? Jestem w środku pakowania.

- Ależ skąd! - zaprzeczył uprzejmie. - Wyjeżdżasz z Nowego Jorku?

- Nie, po prostu przeprowadzam się do centrum, żeby mieć bliżej do pracy.

-Aha.

- Pokażę panu kuchnię - zaproponowała, wskazując gestem kierunek. - Typowa, mała, lecz poręcznie urządzona nowojorska kuchnia. Czy pan albo pańska żona lubicie gotować?

- Nie mam żony.

- Och - zarumieniła się, jakby czekała tylko na potwierdzenie, że jest do wzięcia. - A tu jest sypialnia. Iście królewskie łóżę, jak widać, mieści się swobodnie, a do tego dwie szafy.

- Odsunęła drzwi, pokazując rzędy ubrań. Uwagi Rogera nie uszedł koci koszyk podróży, stojący na komodzie. Wrogo błyskały stamtąd znajome ślepia. - Dalej, proszę, tu jest łazienka

- zachęcała Wendy.

Nawet łazienkę przygotowała na jego inspekcję - sprzątnęła rzeczy, zawiesiła papierowy ręcznik dla gości. W ogóle w mieszkaniu panował wzorowy porządek, jeśli nie liczyć kartonów.

- Pokazać panu pokój jadalny?

- Nie, wystarczy.

- W każdym razie, jest obok salonu. Można go przerobić na gabinet i jeść w salonie, albo w kuchni - perorowała. - Ale... coś mi się zdaje, że pan raczej nie jada w domu.

- Rzeczywiście, dość rzadko - przyznał.

- No, cóż - przez jej grzeczną twarzyczkę przemknął uśmiešek - pozwoli pan, że na koniec pokażę panu zachód słońca.

Powiodła go do okna. Pomiędzy domami widać było czerwoną smugę na niebie.

- Fantastyczne - powiedział z udawanym zachwytem.

- A może... napiłby się pan czegoś?

- Na cześć zachodu słońca?

- Tak - ucieszyła się.

- Chętnie.

Nalała im obojgu białego wina i z kieliszkiem w rękę usiadła na kanapie.

- Romantyczne mieszkanko, prawda? Zwłaszcza dla kawalera.

- Owszem, dlatego dziwię się, że chcesz je opuścić.

- Och, mam przykre wspomnienia w związku z nim. Najwyższy czas stąd zniknąć.

- Kobieta taka jak ty nie powinna mieć żadnych przykrych wspomnień.

- Jaka niby kobieta?

- Piękna, inteligentna, wrażliwa...

- Nie jestem piękna.

- Caroline, wierz mi, naprawdę jesteś.

Spuściła wzrok, mile połączona komplementem i zarazem zakłopotana.

- Dziękuję, że pan to mówi, ale ja i tak wiem, że to nieprawda.

- Ktoś musiał cię naprawdę mocno zranić.

- To dawne dzieje...

- Chyba nie aż tak dawne - powiedział, rozczulony jej bezbronnym wyglądem skrzywdzonego biedactwa. Pożądanie zaczęło już dawać znać o sobie. Marzył, żeby zerwać z niej ten biurowy uniform i poczuć pod palcami chętnie ciało. Ujął jej dłonie w swoje, dotykając kciukiem pulsu, który tętnił gwałtownie.

- Nikt nie ma prawa cię krzywdzić - oświadczył z mocą.

- Nikt nie ma prawa krzywdzić nikogo - odparła. Czuli, jak w podnieceniu gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Ja będę cię chronił. Zaslugujesz na moją opiekę.

- Ma pan... cudowne ręce, wie pan? - wyszeptała.

Roger przesunął opuszką palca po wierzchu jej dłoni. Wendy zaczęła drżeć. Sięgnął drugą ręką, nawinął na palce kosmyk jasnych włosów.

- Kim pan jest? - zapytała oszołomiona. - Wszedł pan w moje życie tak... - słowa Wendy przeszły w jęk, gdy odrzuciła głowę do tyłu, odsłaniając napiętą, smukłą szyję.

- Jestem twoim przeznaczeniem - powiedział niskim, nabrzmiałym podnieceniem głosem.

Przeznaczenie! Boże, co za bzdury wygaduję w tych seksualnych grach, pomyślał z niesmakiem, zadowolony, że nikt poza nią nigdy tego nie usłyszy. Cholera, ale przecież właśnie to podniecało go najbardziej.

Nigdy przedtem nie był tak czuły i na takim luzie, choć kochali się już wiele razy. Rozbierał ją niespiesznie, całując i pieszcząc każdy cal odsłanianego ciała. Musiał mocno trzymać się w ryzach, by dawkować nieznośnie drażniącą przyjemność, wzmacnianą przez coraz bardziej szalone reakcje Wendy. Kiedy wreszcie wślizgnął się w nią i po kilku gwałtownych ruchach zaczął dochodzić do szczytu, zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Do tego krzyku dołączył w ułamku sekundy krzyk drugi - niski, prymitywny, chrapliwy. Roger nie od razu uświadomił sobie, że był to jego własny głos.

Później leżeli jakiś czas na kanapie, oszołomieni tym, co się stało, i nagle pozbawieni sił. Wreszcie Wendy wstała i przyniosła dwie szklanki wody, którą łapczywie wypili.

- Tak fantastycznie jeszcze nie było! - powiedział z zachwy-

tem Roger. - Zawsze byliśmy napaleni, ale to było wręcz nieprawdopodobne.

- Dobrze nam razem - szepnęła Wendy.

- Tak. I kocham cię. - Pocałował ją lekko i wstał.

- Dokąd idziesz?

- Wziąć prysznic. Jeśli poleżę tu chwilę dłużej, zasnę.

- Co w tym złego?

- Muszę zdążyć do domu, na kolację.

- Ach, tak. - Wendy skrzywiła się nieznacznie. Nie podobał mu się ton jej głosu.

Kiedy wrócił i zaczął się ubierać, siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami, otulona miękkim szlafrokiem. Powoli sączyła wino. Zamiast wyglądać na zaspokojoną kobietę, która przed chwilą przeżyła cztery orgazmy w ramionach wymarzonego kochanka, wyglądała jak nieszczęśliwy rozbitek.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła dramatycznie.

Roger zerknął na zegarek i z przerażeniem zobaczył, że jest już po ósmej.

- Słuchaj, muszę iść - rzucił nerwowo. - Nie możemy pogadać jutro? Zadzwoń do ciebie z budki.

- Muszę rozmawiać twarzą w twarz.

- Później.

- Nie, właśnie teraz.

- Co się z tobą dzieje? - zniecierpliwił się i upił łyk ciepłego wina.

- Proszę, chociaż chwilę.

- Dobrze. - Roger nalał sobie następną szklanekę.

- Za mało mam ciebie - powiedziała. - Potrzebuję więcej, tego prawdziwego, żebyśmy mogli robić razem to wszystko, co robią normalne pary.

- Przecież robimy...

- Ale tylko wtedy, kiedy ona wyjeżdża. Nie chcę być wiecznym zastępstwem.

Roger poczuł, jak z napięcia sztywnieje mu kark i zaciskają się szczęki.

- Nie jesteś zastępstwem - zaprotestował. - Jesteś częścią mnie, o której istnieniu nikt nie wie.

- Doceniam to, ale chciałabym zawsze budzić się z tobą w niedzielne poranki.

- Szybko by ci się znudziło. To żadna przyjemność.

- Chcę się w ciebie wtulać, chcę chodzić z tobą na imprezy, chcę pokazywać się z tobą wśród znajomych, jadać z tobą lunch w restauracjach, rozumiesz?

- Boże, Wendy, czy musisz o tym mówić teraz?

- Muszę, bo cię kocham.

Dotychczas uwielbiał, kiedy tak mówiła, ale teraz był tylko zniecierpliwiony.

- Posłuchaj, nie chciałem zranić twoich uczuć... - powiedział z naciskiem.

- A mówiłeś, że będziesz o mnie dbał i mnie chronił!

- Ale... to był tylko element gry - zająknął się. Oczy Wendy wypełniły się łzami.

- Wiem - szepnęła tragicznie.

- Och, Wendy... - Mocno otoczył ją ramionami. Teraz poczuł przyływ czułości dla tego biednego stworzenia, choć nie opuszczało go niemiłe poczucie osaczenia.

Ona jest niepoczytalna, myślał z poczuciem beznadziejności, gładząc ją jednocześnie po włosach. Może zrobić wszystko. Kiedy wyplakała się na jego ramieniu, wstał.

- Teraz już naprawdę muszę iść - zaakcentował słowo „muszę”.

Tym razem nie próbowała go zatrzymać. Kiedy dotarł do domu, asystent już zamykał klinikę na noc. Roger wszedł na górę. Oliwia była w salonie. Oglądała telewizję.

- O, jesteś wreszcie - powiedziała, odwracając wzrok od ekranu. - Coś późno.

Schylił się, by nie patrzeć jej w oczy, i zdawkowo poklepał szalejące u jego kolan psy.

- Buster, Wozzle! No już dobrze, na miejsce... - Ochłonął przez chwilę, uspokoił oddech i powiedział do Oliwii: - Podobno czasami, żeby zapomnieć o stresach, trzeba sobie dać porządnie w kość. - Otarł czoło zmęczonym gestem i postawił torbę z rzeczami na podłodze. - Więc poszedłem na bieżnię i wypociłem wszystko. Bardzo ci polecam.

- Może kiedyś spróbuję.

Oliwia otworzyła stojącą na stole butelkę wina i napełniła dwa kieliszki. Roger szybko chwycił swój i pociągnął solidnie, by ukryć woń wina Wendy.

- Robię warzywa na parze, bardzo dietetyczne - pochwaliła się.

- Uważasz, że jeszcze potrzebuję diety? - poklepał się po brzuchu.

Uśmiechnęli się do siebie. Roger pocałował ją czule w czubek głowy. Czekając, aż warzywa będą gotowe, oglądali dziennik, komentując go leniwie. Omówienie dnia w klinice zostawiali zawsze do kolacji. Roger popatrywał na Oliwię, myśląc, jakim uczyniła go zaspokojonym i szczęśliwym pod każdym względem, i to jedynie przez sam fakt swojego istnienia. Razem budo-

wali to zaciszne gniazdko, razem się nim cieszyli. A ona ciągle była piękna. Gdyby nie był tak wyeksploatowany, mogliby potem spróbować...

- Kolacja gotowa - oznajmiła Oliwia, gdy w kuchni rozbrzmiał sygnał minutnika. Pomógł jej zanieść na stół apetyczne, parujące danie.

- Świetne było - pochwalił, uporawszy się błyskawicznie ze swoją porcją. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Spojrzeli na siebie.

- Nie odbierajmy - powiedział.

- Nie można, to linia kliniki.

- Dziś moja kolej - westchnął, podnosząc się niechętnie.

Dzwoniła asystentka, Terry.

- Przyjechała pani Adler ze swoim Wielkim Danem - oznajmiła z przejęciem. - Nie mam pojęcia, jakim cudem go tu przy-taszczyła, bo jest wielki i ciężki jak szafa.

- Zaraz schodzę. Pani Adler i jej Wielki Dane - wyjaśnił, widząc pytający wzrok Oliwii.

- Chcesz, żebym ci pomogła?

- Nie, dam sobie radę. Przecież Terry ma dyżur.

Wielki stary pies miał napad drgawek i był równie roztrzęsiony jak jego pani. Roger zaaplikował mu wstępnie zastrzyk. Zwierzę uspokoiło się, ale postanowił zatrzymać je w klinice na kilka dni na obserwację. Była już północ, gdy Dane został odstawiony do boksu w sali. Pani Adler upierała się jednak, że za skarby świata nie zostawi swego pupilka samego, więc Roger dla świętego spokoju pozwolił jej spędzić noc na kanapie w poczekalni

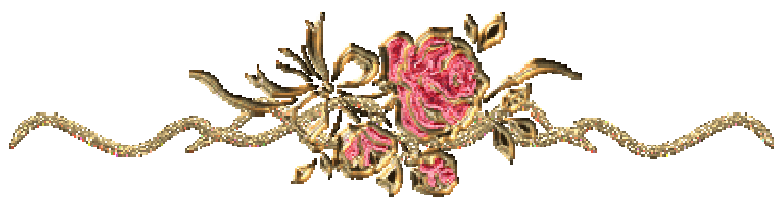
- Czego to ludzie nie robią z miłości - skomentowała później Oliwia.

Roger z rozkoszą wsunął się do łóżka, wdychając delikatny kobiecy zapach i delektując się ciepłem jej ciała. Szybko zaczął zapadać w sen, lecz gdzieś na krawędzi świadomości kołatała się pewna niepokojąca myśl.

Torba, jego sportowa torba ze strojem do ćwiczeń. Nie mógł sobie przypomnieć, czy zabrał ją z salonu.

Jeśli Oliwia, szukając rzeczy do włożenia do pralki, natknie się na nią i odkryje, że strój nie był używany, będzie miał rozmowę. Pod tym względem znał ją dobrze.

Bez przesady, dlaczego właściwie ma tam zaglądać, uspokajał się. Bardzo już chciało mu się spać, postanowił więc, że zajmie się tym następnego dnia rano.



Rozdział 14

Kiedy Roger zszedł do kliniki, wezwany nagle do psa pani Adler, Oliwia sprzątnęła talerze, a resztę potrawy wstawiła do lodówki. Korkując wino i zanosząc je również do lodówki, pomyślała, że może nie powinni popijać go co wieczór. Wino ma dużo kalorii i wzmacnia apetyt. Na razie nie miała problemów z tuszą, ale na wszelki wypadek nie trzymała w domu żadnych „zapychaczy” - nawet jogurtów owocowych. A jednak Roger, pomimo tak forsownych zajęć w siłowni, prawie wcale nie zrzucił wagi. Może to sprawa metabolizmu, zastanawiała się. Z wiekiem przemiana materii coraz bardziej się spowalnia. Biedny Roger, dwa razy w tygodniu musi się tak katować tylko po to, żeby utrzymać to, co miał.

Zauważyła, że postawił swoją sportową torbę obok stolika, więc otworzyła ją, chcąc przy okazji wyciągnąć przepecone rzeczy do prania. Zawsze robił to sam, ale dzisiaj pani Adler zajęła mu cały wieczór i nie miał na to czasu. Oliwia bardzo ceniła poczucie porządku u Rogera. Wiedziała, że gdyby tylko mógł, już dawno uporządkowałby tę torbę.

Kiedy jednak odsunęła suwak i włożyła rękę do środka, ze zdumieniem spostrzegła, że rzeczy wcale nie były używane.

Szara, starannie złożona bawełniana koszulka pachniała jeszcze praniem, tak samo jak nienagannie wyprasowane szorty. Skarpety olśniewały wprost świeżą bielą. Były złożone w pół, tak jak zostawiała je ich pomoc domowa, Peggy.

Jeszcze nie pojmowała do końca, co to może znaczyć, ale już poczuła lodowate ukłucie lęku. Przez głowę Oliwii przebiegły gorączkowe myśli.

Mówił, że wraca późno, bo dodatkowo ćwiczy. Był bardzo zmęczony, ale jak widać, nie z powodu wizyty w siłowni.

Kłamał.

Dlaczego?

Może uprał rzeczy tam, od razu? Nonsens.

Może kupił nowe? Niemożliwe, te znała aż za dobrze.

Zawsze martwiła się, że Roger umrze i zostawi ją, zabierając szczęście, w jakim razem żyli. Czyżby chodził do lekarza na jakieś badania, był poważnie chory i ukrywał to przed nią? Ale co to mogło być? Rak? Nie daj Boże... A może problemy z sercem?

Tyle że na badania nie chodzi się tak późno i nie wraca z mokrą głową, gdy nie pada deszcz. Musiał gdzieś wziąć prysznic,

U lekarza, w szpitalu, po wyjściu z badań? Kolejny nonsens. Nawet gdyby przyjąć, że spocił się z wrażenia, czekając na wyniki, musiałby mieć włosy pozlepiane, a nie świeże i lśniące po myciu szamponem.

Roger, dlaczego mnie okłamujesz?

Czyściutkie ubrania, które trzymała w dłoni, nagle wydały się jej obrzydliwym dowodem zdrady. Cisnęła je na podłogę. Siódmym zmysłem już przeczuwała - nie, już była pewna - że Roger ma inną. Dokładnie w tej samej chwili rozpaczliwie zapragnęła, by nie była to prawda.

Stała nieruchomo, otepiała z rozpacz i bezradności, i próbowała odpowiedzieć sobie na kolejne pytania, które cisnęły jej się do głowy. Czy powinna teraz winić siebie? A jeśli tak, jaki popełniła błąd? Dlaczego Rogerowi przestał wystarczać ich związek; może czymś go uraziła?

Z żalem przypomniała sobie, jak śmiała się w tamtym hotelowym pokoju, kpiąc z jego wyraźnego zamiłowania do seksualnych gier i fantazji. Czy właśnie wtedy, po tej przygodzie znalazł sobie kochankę, czy też miał ją wcześniej? Czyżby był zmęczony ich związkiem?

Odsunęła na bok dręczące pytania, próbując zebrać myśli i spokojnie zastanowić się nad tą sprawą. Powoli, z wysiłkiem, jakby wynurzała się z głębokiej wody, przypominała sobie kolejne momenty, kiedy podświadomie nabierała podejrzeń.

Te wszystkie wyjazdy na uroczystości rodzinne, w których nie chciał jej towarzyszyć... Czy nie wtedy właśnie miał okazję, by zacząć romans? Kiedy więc to się stało? Chyba nie bardzo dawno temu, bo musiałyby jednak już wcześniej coś podejrzewać. Choć z drugiej strony wszystko było możliwe. Okazała się przecież tak naiwna, sądząc, że zna mężczyznę, którego kocha, a on w jednym koszmarnym momencie stał się jej zupełnie obcy.

Skup się, opanuj! - upominała się w myślach Oliwia. Jego fascynacja ćwiczeniami na siłowni zaczęła się mniej więcej rok temu. Sprawa nie może więc trwać dłużej niż rok. Ale żeby przez cały ten czas nie domyślić się niczego? Najwyraźniej albo Roger był mistrzem kamuflażu, albo ona sama nie chciała nic zauważyć.

Kiedy odwiedził ich Grady, Roger przyszedł późno. Wyczuła wtedy z jego oddechu, że pił wino. Tłumaczył się, że w siłowni

był tłok i zamiast ćwiczeń zafundował sobie wystawny lunch. Wówczas mu uwierzyła, teraz nie była już pewna.

Może to właśnie tam spotkał tę kobietę? Ale mógł też podebrać ją w kinie, tak jak kiedyś zagadał do niej. Zresztą, mógł spotkać ją wszędzie; mogła być nawet klientką kliniki.

Klientką? Właśnie, ślad kocich pazurów! W czasie ostatniego Święta Dziękczynienia wykryła na udzie Rogera zadrapanie. Twierdził, że stało się to w klinice, gdy badał kota. Teraz Oliwia zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, żeby pazury mogły sięgnąć tak głęboko w ciało. Możliwe, odpowiedziała sobie natychmiast, jeśli to ciało było nagie...

Zatrzęsała się z wściekłości. A więc przespał się z nią! Roger poszedł do łóżka z inną kobietą! Po chwili złość ustąpiła miejsca przejmującemu bólowi. Zaczęła rozpaczliwie łkać. Boże, jak zdoła to wszystko znieść?

Płakała długo, a kiedy zabrakło łez, chwiejnie ruszyła do suterenu, gdzie mieściła się ich księga przyjęć oraz spisy wydatków. Przeważającą większość spraw prowadzili razem i mieli wspólnego księgowego. Zapisy samego Rogera były nieliczne, co ułatwiało jej zadanie. Przeważnie chodziło o fryzjera, dentystę czy badania lekarskie. Roger, z wrodzoną sobie dokładnością, notował jednak nawet każde wyjście do siłowni. A może raczej do kochanki.

Sięgnęła po notes z telefonami. Znała wszystkie nazwiska. Czy było wśród nich właśnie to? Następnym razem, kiedy Roger pójdzie na „trening”, sprawdzi notes z telefonami klientów w jego gabinecie. Poszuka właściolelek kotów, które ostatnio przyjmował u siebie, i być może znajdzie interesujące ją nazwisko. O ile oczywiście ta jego sympatia jest klientką.

Czy jednak to właśnie powinna teraz robić - śledzić go i szpiegować? Wykrzyknąć mu prosto w twarz, już teraz, kiedy tylko pojawi się w drzwiach, że o wszystkim wie? Odejść sama, albo wyrzucić go, burząc ostatecznie życie, które razem stworzyli i które on sam zaczął unicestwiać?

A może lepiej stłumić urazę, pogodzić się z upokorzeniem i walczyć o niego? Nie wyglądało na to, by chciał zastąpić dawny układ nowym; istniejący stan zapewne go zadowalał. Ta myśl bardziej tylko rozwścieczyła Oliwię, zamiast ją pocieszyć. Nie, musi coś zrobić. Nie może tego tak zostawić. Niech wybiera: albo ona, albo...

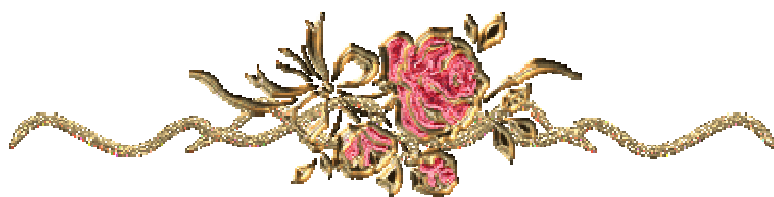
Ale jak zniesie samotne noce bez niego?

W jednej chwili podjęła decyzję. Staranie powkładała nieużywane rzeczy Rogera do torby i zapięła zamek. Jakoś przeżyje, trudno. Będzie obserwować i czekać. Dziś uda, że wszystko jest tak jak zwykle. Jeszcze nie czuła się gotowa do konfrontacji z Rogerem. Na razie nie była sobie w stanie wyobrazić, jak zniosłaby jego wyznanie winy.

Kiedy wrócił na górę po północy, Oliwia w pełni już panowała nad sobą. Spokojnie wysłuchiwała całej historii o pani Adler, moszczącej się do snu na kanapie w poczekalni.

- Miałaś rację. Nie wiemy nawet, do czego zdolni są ludzie z miłości - zakończył sentencjonalnie.

- Otóż to - przytaknęła.



Rozdział 15

Oliwia nawet nie przypuszczała, że potrafi tak dobrze grać i tak szybko się pozbierać. Patrząc na Rogera, zajętego swoimi zwykłymi czynnościami, mówiącego swoje zwykłe, miłe słowa, układała twarz w maskę, mając nadzieję, że nie będzie niczego podejrzewał. Kiedy nagi wracał spod prysznic do sypialni, patrzyła na jego ciało oczami innej kobiety, a na widok penisa, który od dawna już dzieliła z tamtą, ogarniała ją furia, którą z trudem była w stanie ukryć. Na zmianę ogarniało ją rozpaczliwe ośpienie i targały nią dręczące emocje.

Później uznała, że najgorsze udręki sprawia jej patrzenie na jego wargi - te, które kłamały jej, a tamtej kobiecie zapewne wyznawały miłość i całowały intymnie, czule i z wprawą. Nawet myśl o tym, że Roger wchodził w tamtą, wydawała się bardziej znośna.

- Na co tak patrzysz? - zapytał raz.

- Na ciebie - odpowiedziała niewinnie. Na ciebie, kłamco, draniu, zdrajco, dodała w myśli. Na ciebie, moja utracona miłości.

Nadal wchodziła z nim do jacuzzi, ale udawała, że jest tak zmęczona, że z trudem przychodzi jej nawet myśl o tym, by się

z nim kochać. Przyjmował to ze spokojem i masował jej ramiona, tak jak zawsze.

- Ostatnio jesteś taka napięta - powiedział pewnego razu. Westchnęła cicho, co uznał za potwierdzenie i wyraz ulgi, jakiej doznała dzięki jego dłoniom.

Jestem napięta, bo czuję, że nie jesteś tym, którego znałam, bo zrujnowałeś wszystko, co razem zbudowaliśmy, i nienawidzę cię za to. I jeszcze dlatego, że mimo tego wszystkiego chcę, byś mnie dalej dotykał, Kocham cię i pragnę.

Oliwia wiedziała, że potrzeba jej czasu, że nadejdzie kiedyś chwila, gdy będzie gotowa na zasadniczą rozmowę, i że teraz jeszcze na nią nie pora. Kiedy Roger wracał z „siłowni”, od razu wkładał swoje rzeczy do pralki, by Peggy je uprała. Oliwia oczekiwała na stosowny moment i za każdym razem wyjmowała je potajemnie, żeby sprawdzić, czy były używane. Szybko odkryła następującą prawidłowość: Roger rzeczywiście chodził na siłownię dwa razy w tygodniu, a kolejne dwa razy okłamywał ją. Oznaczało to, niestety, że w grę wchodzi regularny romans, a nie jakieś przelotne zauroczenie. Zaczęła zadawać sobie pytanie, czy jej przyjaciel zamierza ją opuścić.

Czy nie byłoby to ironią losu, że podczas gdy ona zbierała siły do konfrontacji, rozmowy, rozprawy, może nawet do odejścia, on tymczasem planował to samo, tyle że dużo wcześniej?

Konieczność chciała podsłuchać, jak rozmawia z tą kobietą przez telefon. Długo musiała czekać na okazję, bo w jej biurze kręciło się zbyt dużo ludzi. Wreszcie pewnego dnia, w porze lunchu, kiedy asystenci wyszli, a telefony przełączono na automatyczne sekretarki, Oliwia zobaczyła, jak zapala się czerwona kontrolka linii Rogera. Powoli, ostrożnie uniosła słuchawkę

i osłoniła dłonią mikrofon, by nie było słychać jej nerwowego oddechu.

- Stacja kolejki na Roosevelt Island - usłyszała głos Rogera o brzmieniu, jakiego dotąd nie słyszała.

- Mmm... Dooobrze... - odpowiedział jakiś miękki kobiecy szept, rozkosznie przeciągając słowo.

- Halo, czy ktoś jest na linii? - zdenerwował się Roger. - Oliwia, to ty?

- O, przepraszam - spłoszyła się, jakby naprawdę się pomyliła i szybko odłożyła słuchawkę.

Serce waliło jej dziko. Przepraszam? To on powinien przeproszać, do licha! Kiedy Roger zajrzał przez otwarte drzwi, udała, że studiuje jedną z kart chorobowych swoich pacjentów.

- Idę sobie trochę poćwiczyć - oznajmił. - Niedługo wrócę. Akurat, niedługo, ty draniu!

- Pójdę z tobą, dobrze? - zaproponowała słodko i niewinnie. - Chyba też się muszę odprężyć.

Spojrzał na nią zdziwiony. Nigdy nie chodzili razem na siłownię; każde z nich pozostawiło sobie margines wolności dla własnych zamiłowań.

- Właściwie to pomyślałem, że mógłbym się przejść - powiedział.

- Nie masz ochoty na moje towarzystwo? - miała nadzieję, że dobrze skrywa drżenie głosu.

- Masz dzisiaj wyjątkowo dużo pacjentów - przypomniał.

- Tak, rzeczywiście. W takim razie idź sam.

- Niedługo wrócę.

- Pa!

Kiedy tylko zamknął za sobą furtkę, pobiegła do frontowego

okna na piętrze. Roger szybkim krokiem wyszedł na róg i złapał taksówkę. Był bez torby treningowej. Oliwia złapała płaszcz i wybiegła za nim.

- Stacja kolejki na Roosevelt Island - rzuciła kierowcy.

Wiele razy mijała to miejsce, ale nigdy tam nie była. Schody wiodły w górę, na peron, gdzie czekało się na mały czerwony wagonik, który kursował wahadłowo na wyspę, zawieszony na linie nad wodą. O tej porze było niewielu czekających i Oliwia zatrzymała się ostrożnie na podeście.

Widziała jego plecy, kiedy pojawił się na peronie. Oprócz niego dojrzała parę emerytów, samotną staruszkę, dwójkę przytulonych do siebie młodych i jakąś młodą, bardzo ładną kobietę o jasnych włosach. Jej twarz wydała się Oliwii znajoma. Roger i ślicznotka spojrzeli na siebie, a potem rozejrzeli się ukradkiem. Oliwia przyłgnęła do ściany, modląc się, by jej nie dostrzegli. Kiedy nadjechał wagonik, weszli do środka i choć było wiele miejsc wolnych, usiedli razem. Nie zamienili ze sobą ani słowa, widać jednak było, że to właśnie na siebie czekali.

Pojazd ruszył i Oliwia szybko zbiegła w dół, na ulicę. Męczyła ją myśl, że zna twarz tej kobiety - tylko skąd?

Brązowy abisyńczyk, bardzo nerwowy! -przypomniała sobie w taksówce. Nowy pacjent, przyniosła go na kontrolę. Wendy... Tak, Wendy Wilton. Kochanka Rogera była jej klientką. Świetnie, przynajmniej dowie się wszystkiego z kartoteki.

Oliwia był podekscytowana niczym pies gończy, który złapał trop. Wiedziała, że dopiero teraz zacznie się najgorsze, ale nawet to było lepsze od dręczącej ją do tej pory niepewności.

W biurze odszukała kartę i znalazła adres oraz numer telefonu. Zadzwoiła, by posłuchać głosu nagranych na automatycznej

sekretarce. Brzmiał tak samo, jak ten, który podsłuchiwała dzisiaj. Pozostała jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia. Złożyła w pół czystą kartkę papieru, włożyła do koperty z nadrukiem kliniki i napisała na niej nazwisko Rogera.

Przez następną godzinę przyjmowała wprawdzie pacjentów, lecz była przy tym otepiała, jakby wyłączona z wszystkiego, co się wokół działo. Adrenalina podkreślała jej organizm na wysokie obroty, lecz jednocześnie czuła się dziwnie spokojna. Roger wciąż jeszcze się nie pojawił, wcale zresztą na to nie liczyła. Poprosiła Terry'ego, by powiadomił klientów, że za chwilę wróci, a sama pojechała taksówką do mieszkania Wendy Wilton.

Budynek na East Side wyglądał bardzo przyzwoicie. Oliwia kazała kierowcy czekać i podeszła do portiera w holu.

- Mam wiadomość z kliniki doktora Hawkwooda - powiedziała. - Wychodząc mówił, że gdyby go potrzebowano, będzie u pani Wilton.

- Pan doktor i pani Wilton właśnie weszli na górę - poinformował portier. - Czy mam zadzwonić?

Właśnie weszli na górę. To krótkie zdanie podziało jak cios prosto w serce. Oliwia posłała mężczyźni w uniformie oszalałym uśmiechem i położyła przed nim pięć dolarów.

- Czy może pan zanieść to na górę?

- Ależ oczywiście.

Wróciła do taksówki i kazała się wieźć z powrotem do domu. Przez całą drogę walczyła z dreszczami, czuła się potwornie, zupełnie jakby łapała ją właśnie najpaskudniejsza grypa.

Byli razem, w apartamencie tej Wendy, kochali się, Roger ją zdradzał... Spokojnie, musi mieć co do tego absolutną pewność.

A gdy będzie ją miała, Roger z kolei musi się dowiedzieć, że ona już wie.

Zacisnęła ręce na piersi, usiłując się nie trząść. Nigdy w życiu nie czuła się tak straszliwie samotna.

Kiedy Oliwia wróciła do kliniki, mogła funkcjonować normalnie tylko dzięki swoim pacjentom - tym kochanym futrzastym stworzeniom o miłych mordkach i szczerych ślepiach, miauczającym, szczekającym i łaszącym się do niej jak do matki. Zwierzę, nawet odtrącone, usiłuje wrócić do swego pana, myślała z goryczą pomieszaną ze wzruszeniem. Zwierzęta nie umieją kłamać ani zdradzać. Ich lojalność potrafi być bezgraniczna. Są jak rodzina, można się z nimi starzeć, mogą towarzyszyć aż do śmierci. Nic dziwnego, że wiele osób przedkłada towarzystwo zwierząt nad towarzystwo ludzi. Kiedyś uważała, że postawa taka trąci dziwactwem, ale teraz ją rozumiała.

Minęło dobre kilkadziesiąt minut, zanim usłyszała, że Roger wchodzi wreszcie do biura i zaczyna przyjmować swoich pacjentów. Z przyzwyczajenia zareagowała radością na dźwięk znajomego głosu, by po chwili zacisnąć zęby w lodowatej furii.

Tylko zachowaj się godnie, upominała się. Głowa do góry, chłodny wzrok, mów spokojnie. Uznała, że będzie udawać, iż wie o wiele więcej niż w rzeczywistości, nie wyjaśniając Rogerowi zbyt dużo, by nie domyślił się, że nadrabia miną.

Pod koniec dnia minęli się w korytarzu.

- Idę na górę - powiedziała, zerkając na niego przelotnie. Miał przerażoną minę.

- Zaraz tam będę - obiecał.

W jednym z tych miłych pokoi, które do niedawna uważała za

azyl, Oliwia poprawiła makijaż i nalała sobie kieliszek wina. Upiła tylko łyk i odstawiła kieliszek na bok. Musiała być. czujna.

Po chwili drzwi otworzyły się i wszedł Roger. Nie odezwał się, patrzył tylko na nią wystraszonym wzrokiem.

- A więc masz romans z Wendy Wilton - powiedziała Oliwia.

- Ja...

- Wiem wszystko o czystych ubraniach, telefonach, spotkaniach i kłamstwach. Zresztą portier cię zna. Nie okłamuj mnie więcej, bo znenawidzę cię do reszty.

- I tak mnie znenawidziłaś - westchnął.

- Dobrze, że nie powiedziałeś czegoś w stylu: „To nie jest tak, jak myślisz”.

- Bo nie jest.

- Jestem pewna, że jest jeszcze gorzej.

Roger z bolesnym grymasem przymknął oczy. Był bardzo blady.

- Dlaczego potrzebowałeś kogoś innego? - zapytała.

Odpowiedziała jej długa cisza.

- Dlaczego stawiasz mi pytanie, na które tak trudno odpowiedzieć? - odezwał się wreszcie cicho i pokornie.

- Trudno byłoby ci odpowiedzieć, czy może raczej mnie słuchać odpowiedzi?

- Och, Oliwio...

- Chcę wiedzieć - nalegała twardo.

- Nie kocham jej. Wcale. I ona o tym wie.

- Musi się czuć wykorzystywana.

Westchnął.

- Może to nie jest wytłumaczenie, ale nigdy, odkąd się znamy, nie zrobiłem ci czegoś takiego.

- Czyżby?

- Przysięgam!

- Co więc jest w niej takiego, że w końcu się zdecydowałeś?

- Nie mówmy o niej, proszę.

- Dobrze, mówmy o nas. Dlaczego akurat teraz?

- Nie wiem. Ona... nie; naprawdę nie wiem.

- Na pewno musi mieć coś, czego potrzebowałeś, a czego ja ci nie dawałam.

- Kocham cię - powiedział Roger. - To ciebie kocham i chcę być z tobą. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Chciałeś mieć i mnie, i ją.

Roger znów westchnął.

- Czy ona jest lepsza w łóżku? - Oliwia pytała uparcie,

- Nie, poczekaj, zapomnij, że o to zapytałam. Nie chcę wiedzieć.

- Ten romans jest podniecający i ryzykowny - wyznał z oporami. - Tego tylko brakuje naszemu związkowi w porównaniu z tamtym. Widzisz... Ta sprawa nie ma nic wspólnego z tobą. Ty jesteś moją miłością. Wendy jest dla mnie jak ktoś obcy i może to dlatego...

- Ciekawe. Szedłeś z nią do łóżka dwa razy w tygodniu i le-dwie mogłeś kochać się ze mną. Co mam o tym myśleć?

- Jestem za stary, żeby zadowolić dwie kobiety.

- Dobra wymówka!

- Naprawdę.

- Dlaczego więc nie próbowałeś przepracować tego problemu ze mną? Wystarczyło, że przestałam być dla ciebie pociągająca, i dziesięć lat naszego związku stało się nagle nieważne?

Roger nalał sobie kieliszek wina. Oliwia dostrzegła, że ręka lekko mu drży.

- Oliwio, nie chcę cię opuszczać.

- Już to zrobiłeś.

- Nie mów tak! To nie jest prawda.

- Wszystko się zmieniło - stwierdziła bezlitośnie. Nie mogła uwierzyć we własny spokój i opanowanie. Zupełnie jakby patrzyła z boku na jakąś inną Oliwię. - Ja będę musiała cię opuścić.

- Nie rób tego.

- Zyskasz to, że będziesz z nią stale.

- To jest ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, wierz mi.

- Przestaniesz się z nią spotykać?

- Tak.

- Dlatego, że ja tego chcę?

- Dlatego, że tak musi być.

- Rozumiem. Nie dlatego, że ja tego chcę, i nie dlatego, że sam już nie chcesz - powiedziała oskarżycielsko. - Po prostu chodzi o to, że domyśliłam się i chcę odejść, a ty się przeraziłeś. Obrzydliwe!

- Ale ja naprawdę chcę z nią skończyć. Już od dawna chciałem, tylko nie wiedziałem, jak to zrobić.

- Teraz nagle będziesz wiedział, tak?

Nie odpowiedział. Uznała milczenie za dowód, że miała rację. Będzie się teraz starał zwlekać i zwodzić je obie jak nędzny, słaby egoista, czekający, aż ktoś wreszcie popchnie go do działania.

Oliwia przypomniała sobie nagle Stuarta, jej drugiego męża, specjalistę od zwodzenia swych kochanek i jej samej. Co jest takiego w niej, że nigdy nie ma szczęścia do mężczyzn? Sama

sobie takich wybiera czy właśnie takich pociąga? Zgoda, Stuart był nieporównywalnie gorszy niż Roger. Ale Roger też nie jest już sobą.

- Chcę, żebyś spał osobno, dopóki wszystko się nie wyjaśni - zażądała. - Nie zniosłabym, gdybyś miał przychodzić do mnie prosto od niej.

- Dobrze - zgodził się pokornie.

- Mam zamiar zrobić sobie test na AIDS - ciągnęła. - Teraz trzeba uważać. Radziłabym ci to samo.

- Ona robiła test - Roger był wyraźnie zakłopotany. - Wszystko w porządku.

- A swoją drogą, gdzie ją poznałeś?

- Nieważne - wzruszył ramionami.

- Chcę wiedzieć.

- W siłowni.

Jasne, czemu nie? Te wszystkie sprężyste ślicznotki z pełnym makijażem, bojowo potrząsające włosami uczesanymi w koński ogon; w wyrafinowanych, pseudo treningowych strojach, w których pasek między pośladkami kusząco podkreśla kształt tyłeczka...

- Czym ona się zajmuje?

- Jest maklerem.

Obrotna panienska. Tylko po co potrzebny jej do szczęścia ktoś taki jak Roger?

- Łudziłam się, że jeśli nie weźmiemy ślubu, zawsze będzie romantycznie - powiedziała smutno. - Po tamtych małżeństwach miałam złe doświadczenia. I w sumie przez dziesięć lat byliśmy szczęśliwi.

- I jesteśmy - poprawił. W jego źrenicach dostrzegła nieme

blaganie. Gdyby jeszcze chwilę patrzyła mu w oczy, uległaby. Dlatego szybko odwróciła wzrok.

- Równie dobrze moglibyśmy być małżeństwem - powiedziała ze wzruszeniem ramion. - Niczym by się to nie różniło od rozwodu. I tak trzeba by zatrudnić prawników, sprzedać dom, podzielić między siebie pacjentów. Może utrzymalibyśmy wspólną klinikę i pracowali tam razem, jak starzy przyjaciele - taki nowoczesny rozwód. Albo przeciwnie, sprzedalibyśmy ją, rujnując nasze marzenia... Dobrze, że przynajmniej nie musimy kłócić się o dzieci - dodała z wisielczym humorem.

- Naszymi dziećmi są Wozzle i Buster - powiedział miękko. Miał swoje metody, żeby ją zmiękczyć, ale postanowiła tym bardziej być twarda.

- Chcę, żebyś natychmiast rozstał się z Wendy Wilton - powiedziała stanowczo. - Im dłużej się to będzie ciągnęło, tym gorzej.

- Ona jest straszliwie neurotyczna. Reaguje przesadnie emocjonalnie i jest nieobliczalna. Muszę bardzo ostrożnie przeprowadzić to rozstanie. Nie chcę, żeby tu do ciebie przychodziła.

- Tak jak kiedyś?

Znów zbladł. Miała oczywiście na myśli wizytę Wendy z kotem, ale Roger najwyraźniej nie wiedział, że była to jedyna wizyta.

- Czy mówiła ci, że chciała się zabić?

- Nie. A chciała?

- Raczej udawała, że chce. Zadzwoiła do mnie z płaczem po pomoc. Teraz już może nie udawać. Wolałbym nie mieć jej na sumieniu.

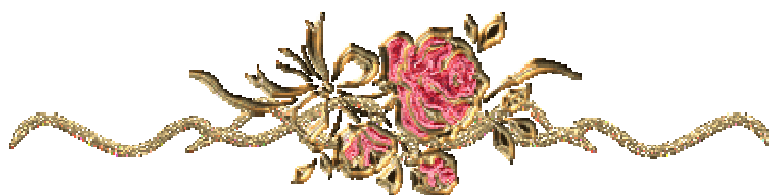
A zatem Wendy tak bardzo pragnęła Rogera, że gotowa była

ryzykować wiele, by go zatrzymać. Tymczasem ona musiała działać ostrożnie i z zimną krwią.

- Rób to, co uznasz w danej chwili za najlepsze - powiedziała Oliwia. - W każdym razie, pościelę ci na kanapie w pokoju gościnnym. Tamta łazienka powinna ci wystarczyć. Prysznic to nie najgorsze urządzenie.

Milczał chwilę, kiedy wyciągała z komody pościel dla gości, a potem poszedł do ich wspólnej łazienki, żeby zabrać swoje rzeczy. Oliwia poczuła w sercu kłujący ból.

RS



Rozdział 16

Kiedy straci się kochanka, najgorszą porą na cierpienia jest późna wiosna, gdy długie dni nabierają jasnych, pastelowych barw, a młoda zieleń i pachnące powietrze okrutnie przypominają o romantycznych początkach i straconych nadziejach. Teraz, gdy w ramach niełatwego układu spali z Rogerem w osobnych pokojach, Oliwia poczuła się rozpaczliwie osamotniona. Choć przebywali w tym samym domu, zdawało się, że dzielą ich lata świetlne. Jednak nie potrafiła zrobić nic więcej. Kiedyś Roger żartem powiedział o niej do Nicka, że ma chorobliwą niechęć do wszelkich zmian - dlatego wołała wtedy zostać w złym hotelu, niż zmienić go na lepszy. Jeśli to rzeczywiście jest prawda, jak mogłaby pozbyć się Rogera ze swojego życia?

Oliwia wiedziała, że jeszcze nie zerwał z Wendy.

- Nie mogę tak po prostu jej rzucić - tłumaczył się. - Jest zbyt wrażliwa.

- Większość mężczyzn to robi, nawet się specjalnie nie zastanawiając.

- Nie jestem taki jak większość mężczyzn, a ona taka jak większość kobiet.

- Ja też! - krzyknęła.

I nadal czekała, aż Roger któregoś dnia oznajmi, że na zaw-
sze skończył swój romans. On jednak nie robił tego. Czasami
wychodził, tłumacząc się mętnie, lecz już nie kłamał Oliwii w
żywe oczy. Nie mówił też prawdy, bo wiedział, jak okrutna by-
łaby dla niej. Chodził na siłownię dwa albo trzy razy w tygodniu i
chyba tym razem naprawdę. Od czasu do czasu sprawdzała torbę-
rzeczy zawsze były używane.

- Pytała, czy nie moglibyśmy zostać przyjaciółmi - powie-
dział pewnego dnia. - Jest w tym coś zasmucającego.

- Przyjaciółmi, dobre! –prychnęła Oliwia.

- Jest mi głupio. Czuję się, jakbym zrujnował jej życie.

- A mnie nie?

- Ale ty masz mnie.

Nie odpowiedziała. Nie chciała używać ostrych słów.

Każdego dnia jedli razem kolację. Roger niezmiennie pytał
najpierw, czy jest wolna, jak gdyby miała jakieś osobne życie.
Pomyślała, że może właściwie powinna zacząć je prowadzić.

Przy kolacji próbowali udawać, że nic się nie zmieniło, co
okazało się jednak niewykonalne. Podejmowali więc miłe i zda-
wkowe rozmowy na bezpieczne tematy - polityka, pacjenci, fil-
my... Pewnego razu zapytał nawet, co słychać u jej rodziny, co
wcześniej zupełnie go nie interesowało.

- Charlie Idealny zamierza wziąć udział w Maratonie Nowojor-
skim, razem z synem - powiedziała. - Pamiętasz, w zeszłym roku
pisano o nich w gazetach, bo biegli razem i obaj skończyli w tym
samym czasie. Charlie ma pięćdziesiątkę, a Tony dwadzieścia pięć.
Tatuś trenuje przez sześć dni w tygodniu i jest wegetarianinem. Nie
wiem tylko, czy skończył równo z synem dlatego, że jest tak
dobry, czy dlatego, że taka jest między nimi więź.

Roger roześmiał się.

- Skąd ty to wszystko wiesz? Rozmawiałś z nim? O ile wiem, nie przepadasz za tym człowiekiem.

- Jak zwykle doniosła mi ciotka Myra. Również i to, że Charlie tego lata znów będzie miał krowy.

- Krowy?

- Mają posiadłość w Beaverhill, sto akrów. Stada krów wyglądają bardzo malowniczo na zielonych łąkach, a poza tym odpada ci koszenie trawy. Rzecz w tym, że nie ma kto o nie dbać w zimie, więc każdej wiosny Charlie z żoną kupują nowe stado, by udekorować posiadłość, a jesienią je sprzedają.

- Chyba nie do rzeźni?

- Jasne, że nie. To są krowy mleczne.

- Mają coś z tego?

- Nie mam pojęcia - przyznała szczerze Oliwia. - Na używanym samochodzie się traci, ale co z używaną krową? Nie masz mnie o co pytać?

Roger znów się roześmiał.

No widzisz, jaka jestem zabawna, pomyślała gorzko. Zobacz, jak dobrze nam się rozmawia. Czy ta twoja Wendy ma coś dla ciebie poza seksem? Wątpię. Jak bardzo czujesz się zobowiązany wobec tej samobójczej kochanki? Pozbądź się jej wreszcie, do licha! Och, pewnie jestem nudna. A może śmiejesz się dlatego, że mnie uwielbiasz...

Zastanawiała się, czy rzeczywiście jest aż tak nieciekawa w łóżku. Jeśli było tak od początku ich związku, nie powinna się dziwić, że Roger poszukał sobie atrakcji gdzie indziej. Gdyby teraz do niej wrócił, powinna się zastanowić, jak uatrakcyjnić ten ich prawie małżeński seks. Na razie jednak była zbyt wściekła na

Rogera, by w ogóle myśleć o czymś podobnym. Teraz nawet się nie dotykali i obchodzili się z daleka.

Nocami pozwalała Wozzle spać na łóżku, a Buster wędrował do pokoju Rogera. Pierwszej nocy pies był zdziwiony i czuł się wyraźnie nieswojo, ale później się przyzwyczał. Bolało ją, gdy patrzyła, jak duży, złocisty pies kroczy za swoim panem i znika wraz z nim za drzwiami. Oliwia miała dręczące poczucie, że istnieje między nimi prawdziwa separacja, a Roger zabrał już wszystko, co jest dla niego cenne.

- Och, Wozzle - szepnęła, tuląc zapłakaną twarz w gęste futro swojej suki. - Wuzzy, Wuzzy, co z nami będzie?

Miała trudności z zaśnięciem. Oglądała stare filmy w telewizji do późna w nocy, żeby zapomnieć o rozpaczach. Czasami, jeśli mieli pacjentów w szpitaliku, schodziła na dół, żeby zobaczyć, jak się mają. Sterylna czystość pomieszczeń kliniki i panujący wszędzie porządek uspokajały ją, podobnie jak kołły jej nerwy równe oddechy śpiących spokojnie zwierząt. Wszystko, czego dorobili się razem z Rogerem - dom, praktyka, wspólne życie - było spełnieniem ich wspólnych marzeń. Niestety, jest racja w powiedzeniu, że kiedy ma się już wszystko, czego się chciało, zaczynają się kłopoty.

Któregoś wieczora zadzwoniła stara przyjaciółka Oliwii, Alys.

- Słuchaj, to nieprzyzwoite - powiedziała. - Nie widziałyśmy się od czasu Dziękczynienia.

- Zgadzam się, ale wiesz jak jest - westchnęła Oliwia.

- Może umówimy się w przyszłym tygodniu na lunch? Albo nie, lepiej na kolację - zaproponowała Alys. - Mam nadzieję, że Roger cię puści.

- Daj spokój, jestem teraz jak w więzieniu - zachnęła się

Oliwia. Wiedziała, że kiedy tylko powie o swoich wieczornych planach, Roger natychmiast umówi się z Wendy. Nie mogła do tego dopuścić. - Łatwiej mi pójdzie z lunchem - powiedziała.

- Mamy teraz trochę napiętą sytuację.

Spotkały się w nowej ulubionej włoskiej restauracji Alys. Wyglądała dokładnie tak samo, jak inne ulubione włoskie restauracje Alys. Jej przyjaciółka zamówiła jak zawsze sałatkę bez sosu - garstkę pokrojonych warzyw i liście sałaty za całe sześć dolarów, a do tego pieczonego kurczaka. Po raz pierwszy Oliwię zaczęły drażnić te dziwactwa. Sama zamówiła tylko kurczaka, wywołując pełne dezaprobaty spojrzenie kelnera.

Alys miała nową fryzurę. Oliwia nie widziała jej jeszcze z tak krótko obciętymi włosami, ale musiała przyznać, że efekt był wybitnie odmładzający.

- Fantastycznie wyglądasz - pochwaliła.

- Znalazłam nowego fryzjera, najlepszego w Nowym Jorku

- pochwaliła się przyjaciółka. - Musisz do niego iść.

To też było typowe. Regularnie co pół roku Alys triumfalnie odkrywała najnowszego i najlepszego fryzjera w mieście. Jej życie wypełniały próby nieustannego upiększania się.

- Jak ci leci w pracy? - zagadnęła Oliwia. Alys była redaktorką w magazynie kobiecym i czasami, kiedy nikomu innemu się nie chciało, zgadzała się napisać artykuł, za który oczywiście płacono jej jakieś głodowe stawki.

- Jak zwykle mam cholernie dosyć tej roboty, ale teraz wszędzie jest redukcja zatrudnienia z powodu recesji, więc muszę się jej trzymać. - Skubała sałatę, popijając swoją wodą Evian za siedem dolarów. Patrząc na nią, Oliwia pomyślała o głodnych i bezrobotnych.

- To jest zajęcie wymarzone dla ciebie. Ciesz się, że je masz.
- Najbardziej się cieszę, że mam jeszcze fundusz reprezentacyjny. Dzisiaj ja stawiam.
- Dzięki. A jak żyjesz?
- Już od siedmiu miesięcy nie byłam w łóżku z facetem. Normalnie aż wstyd się przyznać, nie?
- Nie przesadzaj, to nie dawne czasy, teraz się żyje cnotliwie
- pocieszyła ją Oliwia.
- Mam ponurą satysfakcję, że niewiele mi już brakuje do całego roku w celibacie. Posłuchaj, w ogóle nie ma skąd brać facetów. Przeważnie albo są żonaci, albo zajęci, albo homo, albo w ogóle beznadziejni. Z braku laku połamiałabym się nawet na tych beznadziejnych, ale trzeba się niemal zapisywać na listę.
- Znajdziesz sobie kogoś.
- Dobrze ci tak mówić, bo masz Rogera.
- A Roger ma romans - wyrzuciła z siebie Oliwia i momentalnie poczuła ulgę. Coraz trudniej było jej nosić w sobie ten bolesny sekret.
- Nie mów! Ale świnią! Jak się dowiedziałaś?
- O, to cała historia... - Oliwia szybko opowiedziała Alys przebieg zdarzeń.
- Ile ona ma lat?
- Podchodzi pod trzydziestkę. I jest ładna. Roger niedługo skończy pięćdziesiątkę.
- Pamiętasz? Kiedy byłyśmy w tym wieku, podobali się nam przystojni, dojrzały panowie, najlepiej żonaci - zachichotała Alys. - Ich żony wydawały się nam starymi ropuchami. Te ropuchy miały mniej więcej czterdzieści, czterdzieści pięć lat - tyle co my teraz, kochana.

- O Jezu, przestań!

- I nie mogłyśmy zrozumieć, dlaczego ci faceci nie chcą porzucić swoich ropuch dla nas - ciągnęła bezlitośnie Alys. -Choć czasami zdarzało się, że rzucali je dla kogoś młodszego. Koło się zamyka. Najpierw myśmy kpiły z kogoś, teraz okpiwa się nas.

- Nigdy nie zadawałam się z żonatym, chyba że jut wcześniej był w separacji - obruszyła się Oliwia.

- A ja tak.

- I to całkiem niedawno, o ile pamiętam.

- Mhm. Co postanowiłaś, jeśli chodzi o Rogera?

- Nie wiem. Boję się o tym myśleć.

- Ona mu się w końcu znudzi i będzie chciał wrócić do ciebie, a wtedy mu wybaczysz. Ludzie nie rezygnują tak łatwo ze związków, kiedy dorobili się razem tyle, co wy.

- Może, ale nie wierzę, że będzie tak jak dawniej - powiedziała ze smutkiem Oliwia.

- Wiesz - zaczęła w zamyśleniu Alys - już kiedy byłam dzieckiem, zastanawiałam się, jak to jest w prawdziwym życiu. Czekałam, aż będę mogła takie mieć. Przyglądałam się innym ludziom i ich rodzinom, zastanawiałam się, jak pracują, żyją i bawią się. Już jako dorosła - a zostało mi to do teraz! - lubiłam patrzeć ludziom w okna. Naprzeciwko mnie jest wielki budynek mieszkalny, a ludzie, jak to w Nowym Jorku, w ogóle nie zasłaniają okien. Wiem, kto lubi oglądać telewizję, kto jest sam, kto sobie kogoś znalazł, kto wychodzi, a kto siedzi w domu. W supermarkecie często zwracam uwagę na to, co ludzie mają w wózkach. Zastanawiam się, jak często się kochają i o czym rozmawiają ze sobą na co dzień...

- Nic dziwnego, jesteś przecież dziennikarką.

- Wcale nie dlatego. Wiesz, że zawsze się zastanawiałam, jak wyglądałoby twoje życie z Rogerem.

- Interesowało cię moje życie? - Oliwia była szczerze zdziwiona.

- Tak, bo myślałam, że jestem jedyną osobą na świecie, która nie ma prawdziwego życia. I wiesz, co się w końcu stało? Pewnego dnia szłam sobie ulicą i nagle mnie olśniło. Zrozumiałam, że to właśnie jest moje prawdziwe życie. Każdy dzień, każda godzina. Po prostu to. Takie proste, nie?

- Właśnie, czemu nie doszłaś do tego wcześniej?

- Nie wiem. - Alys wzruszyła ramionami.

Oliwia pomyślała o swoich krewnych, którzy kochali rozmaite niebezpieczeństwa. Twierdzili, że one nadają życiu smak i sens. Nagle zrozumiała, że ceną za takie przeżycie jest postawienie na jedną kartę wszystkiego, co się ma. A czy Roger, dla takiego samego dreszczyku, nie wplątał się w romans z Wendy? Tak, posuwaj się do ostatnich granic, bądź przygotowany na to, że cię złapią, że wszystko się zawali, żyj w niepewności - czy nie to właśnie go podniecało? I czy nie było w tym wcale jej winy?

Skończyły lunch i na deser popijały cappuccino.

- Skoro ta Wendy ma trzydziestkę na karku - powiedziała Alys - to pewnie niedługo będzie chciała znaleźć męża. I pewnie już sobie wyobraża, jakiego będzie miała słodkiego dzidziusia. Ale Roger wyraźnie nie ma ochoty w to brnąć, więc w końcu będzie musiała się zdecydować.

- Ona już groziła, że się zabije...

- Wyobrażam sobie, jaki musiał być wściekły.

- Zrobiłaś coś takiego, gdy byłaś młoda? - zagadnęła Oliwia.

- Raz - przyznała Alys. -I facet sobie poszedł.
- Roger by został - Oliwia uśmiechnęła się gorzko.

Rozstały się na chodniku przed restauracją, uściskawszy się serdecznie i wymieniwszy obietnice, że znów niedługo się zobaczą.

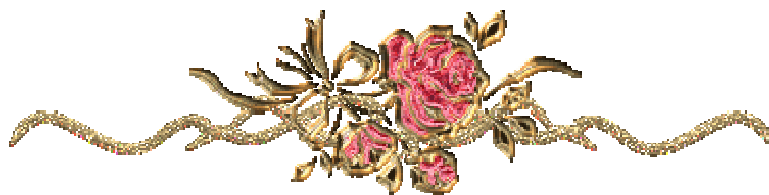
- Zadzwoń do mnie i opowiedz, co dalej z tobą i Rogerem - rzuciła na odchodnym Alys. Czy to możliwe, żeby była zadowolona? Zawsze zazdrościła Oliwii, uważając, że jest szczęśliwa, podczas gdy sama z powodzeniem udawała pokrzywdzoną przez los.

- Zadzwonię. Dzięki za lunch.

Oliwia wróciła do biura taksówką. Teraz już nie lubiła swojej starej przyjaciółki. Alys była nieznośnie sztuczna i w gruncie rzeczy niezmiennie zachwycona sobą. Zawsze zresztą taka była i Oliwia nie wyobrażała sobie, że mogłyby widywać się częściej.

Ale Alys była też jedyną osobą, której mogła się zwierzyć z takich problemów. Resztę przyjaciół dzieliła wspólnie z Rogerem, a jeśli chodzi o rodzinę, nie zwierzyłyby się nawet Jenny, z którą była najbliższej. Dlatego, kiedy zadzwoniła ciotka Myra, Oliwia udawała, że wszystko jest w porządku. Już sobie wyobrażała tę lawinę plotek i do znudzenia powtarzane „A nie mówiłam?”, gdyby kryzys ich związku wyszedł na jaw. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, byłoby przyznanie się rodzinie do kolejnej porażki.

Nagle, z gorzką ironią, Oliwia uświadomiła sobie absurdalny fakt -jedynym, najbardziej zaufanym i wypróbowanym przyjacielem, któremu mogłaby się do tego przyznać, był... Roger.



Rozdział 17

- Nie mogę uwierzyć, że jemy razem sobotni lunch jak normalna para - powiedziała Wendy.

Była szczęśliwa i rozgadana. Miała na sobie czarne, obcisłe body i równie obcisłe džinsy z dziurą na kolanie. Roger usiłował uśmiechem pokryć zmieszanie. Żałował, że tu przyszedł. Powiedział Oliwii, że wychodzi, żeby załatwić swoje sprawy, ale nie dała się zwieść. Miał niemiłe wrażenie, jakby siedziała przy stoliku razem z nimi, a jednocześnie zastanawiał się, co teraz może robić.

Wendy wybrała kameralną knajpkę w Village, lubianą przez jej przyjaciół. Roger nie podejrzewał, by Oliwia słyszała o niej kiedykolwiek, podobnie jak ludzie z ich kręgu. Przy stolikach nie było tłoku, bo większość ludzi wyjechała na weekend. Niedługo miał się zacząć letni pęd urlopowy.

- Wynajęłam na lato dom w East Hampton - oznajmiła Wendy. - Na spółkę z trojgiem innych ludzi, ale ja mam go na weekendy. Jest większy od tego, który wzięliśmy w zeszłym roku. I ma basen. Można urządzać piękne party.

- Na pewno będziesz się dobrze bawić - odpowiedział odruchowo. - Powinnaś częściej przebywać z ludźmi z twojego pokolenia.

- Nie wszyscy są w moim wieku. - Wzruszyła ramionami. - Powinieneś mnie tam odwiedzić.

- Wiesz, że nie mogę.

- Tak sobie tylko głośno marzę. Lepiej zamówmy coś.

Roger spojrział w kartę. Wszystko było ciężkie, tłuste i pełne

cholesterolu - omlet z trzech jaj, hamburgery z frytkami, makaron z serem. Na szczęście wśród innych dań zobaczył staromodną pieczeń w sosie.

- To mi przypomina kuchnię mojej mamusi - powiedział.

- Teraz jest nowy trend - wyjaśniła. - Komfortowe, domowe jedzenie. Lubisz takie?

- Kiedyś nie lubiłem. Za wyjątkiem słynnych czekoladowych ciasteczek moja mama nie umiała niczego porządnie ugotować.

- Nie wiedziałam.

- Ja też nie. Dopóki nie spróbowałem innej kuchni, uważałem, że taki właśnie jest smak jedzenia - powiedział. Czekał, aż Wendy się roześmieje, ale była poważna.

- Czy Oliwia gotuje?

- Nie chcę o niej mówić, Wendy. - Zacisnął wargi. Charakterystyczne, że odkąd ich romans przestał być tajemnicą, zadawała więcej pytań o Oliwię. Roger miał wtedy nieprzyjemne wrażenie, że Wendy wtrąca się w jego prywatność.

- Czy ona wie, że dziś jesteś ze mną?

- Prawdopodobnie tak.

Wendy nalegała, by zjadł z nią kolację w restauracji, w końcu jednak zgodziła się na zwykły lunch. Roger próbował zerwać z nią powoli i łagodnie, stopniowo odstręczając ją od siebie. Jednak wiadomość, że Oliwia wie o ich związku, podziałała na

Wendy elektryzująco. Zdawała się myśleć, że teraz, kiedy stało się wreszcie to, czego się tak obawiali, i świat jakoś się nie zawalił z tego powodu, zaś Roger został przy niej - może wreszcie zdobyć go dla siebie.

Dobrze pamiętała, jak mówił jej, że gdy Oliwia odkryje zdradę, ich romans będzie musiał się skończyć. Na szczęście nic takiego się nie stało. Słabość i niekonsekwencja, jakie w tym momencie okazał, stały się jedynie pożywką dla jej optymizmu i uporu w dążeniu do celu. Roger przestał udawać, że kocha Wendy; teraz nie mówił już nic. Wendy przypisywała to jednak nerwowemu stanowi, w jaki wpadł ostatnio. Przestał widywać ją regularnie, lecz ona uznała tylko, że robi tak ze względów ostrożności. Zresztą, wszystko było nieważne wobec faktu, że ciągle mogła się z nim spotykać.

Zamówili hamburgery i piwo. Kiedy przyniesiono dania, przez chwilę jedli w denerwującym milczeniu. Roger myślał intensywnie, chcąc powiedzieć coś neutralnego.

- Nie jesz - stwierdził w końcu.

- Nie jestem głodna. - Uśmiechnęła się do niego. Zapewne cieszyła się, że potem pójdą do niej - dziś jednak

wyjątkowo nie miał na to ochoty. W ogóle najchętniej poszedłby sobie stąd i ją zostawił. Czuł się ogromnie samotny. Nie pamiętał żadnej rozmowy z Wendy, która nie byłaby wyreżyserowanym wstępem do seksu albo dyskusją o ich związku. I teraz, przy zwykłym lunchu, przy którym ludzie z reguły miło sobie gawędzą, nie wiedział, o czym z nią mówić.

- Powinnaś mieć coś lepszego do roboty, niż tylko tracić czas na mnie - powiedział Roger. - Jesteś taka ładna i inteligentna, mężczyźni muszą za tobą szaleć.

- Owszem, wielu kreci się koło mnie. Ale jakoś nigdy nic z tego nie wychodziło.

- Jestem inwestycją bez przyszłości, Wendy.

- Kocham cię.

- Niepotrzebnie.

- Ale ja cię kocham.

Boże, lepiej od razu mnie zabij, zamiast dręczyć, pomyślał, a głośno zapytał:

- Napijesz się kawy?

- Jasne.

Kelner zebrał na tacę prawie nie ruszone dania.

- Czy nie smakuje państwu? - zapytał zmartwiony.

- Nie, wszystko w porządku.

- Może szarlotkę z kremem, albo pudding ryżowy?

- Nie, tylko dwie kawy.

- Kochasz się z nią? - zapytała Wendy, gdy kelner odszedł.

Roger nie odpowiedział.

- Czy ona ci wybaczyła? Udaje, że ja nie istnieję?

- Wie, że istniejesz.

- Założę się, że nie jest ci z nią tak dobrze w łóżku, jak ze mną.

- Ta rozmowa jest nie na miejscu - powiedział z narastającą irytacją.

- Chcę wiedzieć.

- Nie śpimy ze sobą. Przeniosłem się do gościnnego pokoju.

Nie chcemy zadrażniać sytuacji.

Twarz Wendy rozjaśniła się.

- Chcę odejść od ciebie?

- Byłabyś szczęśliwa, gdyby tak było?

- Oczywiście, bo wtedy moglibyśmy być razem.
- Nie mam ochoty zaczynać wszystkiego od nowa - powiedział Roger. - Chcę zachować to, co mam.
- Nie rozumiem. - Zmarszczyła brwi.
- Wiem.
- Doszłam do wniosku, że nigdy nie mieliśmy szansy dobrze się poznać - zaczęła poważnie Wendy. - Liczył się dla nas tylko seks i zabawa. Te szaleństwa nie miały w sobie nic romantycznego. Poza tym zawsze się spieszyliśmy. Teraz mógłbyś wreszcie zostawać ze mną dłużej, nawet na całą noc. Chyba nie musisz się już przejmować Oliwią? Moglibyśmy lepiej się poznać i przekonałbyś się wreszcie, że jestem więcej warta niż ona. Spróbujmy chociaż.

Biedna Wendy, pomyślał. Ona naprawdę nic nie rozumie.

- Nie uda się nam zamieszkać razem - zmusił się do lekkiego tonu. - Gregory podrapałby mnie na śmierć.

- Dałbyś sobie z nim radę. Będzie cudownie, zobaczysz.

Uratowało go nadejście kelnera z kawą. Przez chwilę w milczeniu siedzieli nad filiżankami. Roger miał niemiłe wrażenie, że jest jedynym mężczyzną na świecie, który nie wie, jak pozbyć się kobiety. Jeśli tak dalej pójdzie, Oliwia wreszcie go rzuci. Wiedział, że musi być bardziej stanowczy w stosunku do Wendy, ale wzdragał się przed tym, bo ciągle jeszcze jej pożądał. Własna ambiwalencja okazała się najgorszym wrogiem.

- Nie mam dzisiaj za wiele czasu - powiedział, zerknąwszy na zegarek.

- Chodźmy do mnie - szepnęła gorąco.

- Ale ja...

- Tylko na chwilę, naprawdę. Chcę ci coś pokazać.

- Co?

- Niespodzianka. - Przeczesła palcami gęste, lśniące włosy i uśmiechnęła się do niego zalotnie. Wolałby, żeby nie była taka śliczna. - Nigdy nie zgadniesz, co to jest, ale na pewno ci się spodoba - dodała kokieteryjnie i tajemniczo.

Zapłacił rachunek i wstali od stolika. W taksówce Wendy oparła głowę na ramieniu Rogera, a jej dłoń zaczęła zachłannie wędrować po jego udzie.

- Pojedziemy na cały gaz, mój chłopaczku - mruzczała jak chętna kotka. - Zaraz będziesz miał swoją dziewczynkę.

Odźwierny pozdrowił ich jak zwykle. Za każdym razem, kiedy go mijali, Roger zastanawiał się, co ten człowiek powiedział Oliwii. Wyobrażał sobie, co musiała czuć, stojąc tu, w holu, i wiedząc, że jest na górze z Wendy.

Zaledwie zamknęły się za nimi drzwi mieszkania, Wendy zaczęła rozbierać jednocześnie siebie i Rogera.

- Zrobię wszystko, co zechcesz - wydyszała, całując go i ocierając się o niego namiętnie. - Niech no jakaś zdzira spróbuje wyciągnąć po ciebie ręce, to wydrapię jej oczy! - warknęła. - Jesteś najlepszy, a ja jestem twoja. Cała twoja, słyszysz?!

W pośpiechu zaciągnęła go do sypialni. Pomimo przygnębienia i niechęci, jakie czuł w restauracji, pragnął jej niemal tak samo silnie, jak na początku znajomości. Ciało miała jak zwykle wspaniałe. Przerazały go tylko jej emocje. Pożądanie brało jednak górę nad obawą, gdy patrzył, jak Wendy leży nago na łóżku, a jej gładka skóra zdaje się niemal alabastrowa w łagodnym świetle popołudnia.

- Popatrz - zachęciła.

Tuż nad linią włosów łonowych pysznił się tatuaż - czerwone

serduszko, a nad nim imię „Roger”, splecione z zielonych li-
stków i czerwonych różyczek.

W jednej chwili poczuł się impotentem.

Wendy, uważając ten stan za chwilowy, pieściła go szaleńczo,
usiłując dłonią i ustami przywrócić tak upragniony stan gotowo-
ści. Tymczasem Roger myślał z przerażeniem, że za chwilę jego
biedny, z maltretowany członek po prostu wessie się w głąb ciała,
przystając istnieć. Kiczowaty tatuaż na brzuchu Wendy doprowa-
dzał go do mdłości. Wreszcie wysunął się z jej objęć, usiadł i
zaczął się ubierać.

- Co się stało?

- Muszę iść.

- Przecież zaraz będziesz gotowy.

- Jak mogłaś sobie to zrobić? - zapytał oskarżycielsko.

Uśmiechnęła się.

- Nawet niespecjalnie bolało. Zrobiłam to dla ciebie.

Już był przy drzwiach, ubrany, z ręką na klamce. Poszła za
nim do przedpokoju, wciąż była naga.

- Nic już więcej dla mnie nie rób - powiedział chłodno. -
Nie życzę sobie, rozumiesz?

- Och, Roger, jesteś niemądry.

- Możliwe.

- Myślałam, że to będzie seksy i podnieci cię.

- Nie mnie.

Wendy zaczęła się nagle śmiać.

- Co w tym śmiesznego? - burknął. Zawsze podejrzewał, że
jest trochę niezrównowazona, ale nie do tego stopnia.

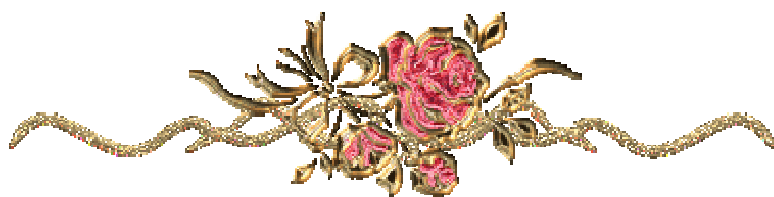
- To tylko kalkomania - wyjaśniła z uciechą. - Za dwa, trzy
dni samo zejdzie. Nie podejrzewałam, że dasz się nabrać.

Roger był skłonny sądzić, że ostatnio stale daje się głupio nabierać. Czuł się jak idiota, kompletnie upokorzony. Nigdy wcześniej nie zdarzył mu się taki moment impotencji i przynajmniej dziś nie miał już ochoty sprawdzać, czy jednak jest w stanie się kochać. Kiedy odchodził spod mieszkania Wendy, jej śmiech ścigał go w korytarzu.

- Wracaj! - krzyknęła, a potem usłyszał jej płacz.

Nawet nie zwolnił kroku.

RRS



Rozdział 18

W Nowym Jorku nastały skwarne letnie dni. Zbliżał się czas tak jeszcze niedawno wymarzonej podróży Rogera i Oliwii do Paryża. Kiedy to planowali, chcieli, by było jak przed laty. Sentymentalny pokój w hotelu Plaža Athne i leniwe włóczenie się po mieście wydały się jednak teraz Oliwii głupie i pretensjonalne. Może powinna odwołać tę podróż?

Roger w ogóle unikał rozmów na ten temat, udając, że problem nie istnieje. Jednak istniały bilety i rezerwacja. A gdyby nawet pojechali, to w jakim charakterze? Przyjaciół? W jej pojęciu Roger zdradził ją zarówno jako kochanek, jak i przyjaciel, bo był dla niej i jednym, i drugim. Wcale nie miała ochoty z nim jechać.

W dodatku przypomniła sobie, jak bardzo potrafi dokuczać letni skwar w Paryżu i w ilu miejscach brakowało tam klimatyzacji. Kiedy planowała tę podróż, upewniała się, czy agent zadbał o podwójne łóżko. Teraz będzie musiała poprosić dla odmiany o dwa osobne. Wyobrażała już sobie komentarze obsługi za jej plecami.

Tak, pięćdziesiąte urodziny Rogera popamięta do końca życia.

A tak się na nie cieszyła!

Teraz, kiedy minęło już trochę czasu od tamtych wydarzeń, Oliwii udało się otoczyć swoją obolałą duszę ochronną skorupą. Zdarzały się godziny, kiedy mogła myśleć o Rogerze bez bólu, a nawet takie, kiedy nie myślała o nim w ogóle. Na pewno wiele kobiet na jej miejscu wybaczyłoby Rogerowi romans z Wendy. Udawałyby, że nic się nie stało, i wiodły dalej swój żywot. Ona tak nie umiała. Zastanawiała się nawet, czy kiedykolwiek jeszcze będzie potrafiła zdobyć się na taki luz i pogodę ducha, jak kiedyś.

- Powinniśmy porozmawiać o Paryżu - oświadczył Roger któregoś dnia przy kolacji.

- Tak, powinniśmy.

- Chciałbym, żebyśmy pojechali, ale nie zgodzę się, żebyś za to płaciła. Nie powinnaś robić mi prezentu. Chcę sam zapłacić za nas oboje.

- Naprawdę chcesz, żebyśmy tam jechali?

- Pomyślałem, że... może.... ta podróż stałaby się szansą, by zacząć wszystko od nowa.

- Pogodzić się?

- Tak.

- Nigdy nie walczyłam o mężczyznę z drugą kobietą - wyznała Oliwia. -I nie wiem, jak to się robi. Taka rzecz nie leży po prostu w mojej naturze. Po co więc miałabym się zmuszać?

- Nie musiałabyś. - Widać było, że go uraziła. - To nie ma nic wspólnego z Wendy.

- Nie rozumiem...

- Już z nią nie sypiam - oznajmił. - Między nami wszystko skończone. Jeszcze muszę tylko delikatnie jej wyperswadować, by przestała się łudzić.

- Rzeczywiście, niespanie z nią mogłoby być pierwszym krokiem.

Popatrzyli po sobie.

- Wolałbym, żeby to wszystko tylko mi się śniło - powiedział szczerze Roger.

- Ja też.

- Myśl o Paryżu - powiedział łagodnie.

- Coś jak drugi miesiąc miodowy albo randka w ciemno?

- Nawet podryw. Tylko z tobą, z nikim innym na świecie, chciałbym spędzić pięćdziesiąte urodziny.

- Dobrze, zastanowię się - powiedziała Oliwia. Dlaczego nie? Od dawna się przecież zastanawiała, czy jest jeszcze dla nich jakaś przyszłość.

Rodzina nigdy nie da o sobie zapomnieć, pomyślała wesoło Oliwia, gdy pewnego ciepłego dnia zadzwonił do niej Kenny. Miły, życzliwy głos brzmiał dla niej jak przesłanie z innego, zapomnianego świata.

- Co porabiasz w weekend? - zapytał.

- Właściwie jeszcze nie wiem. Skąd dzwonisz?

- Z Santa Barbara. Porywam Pam w weekend i nie puszcę, dopóki nie pójdzie ze mną do ołtarza. Czuj się zaproszona na ślub.

- Gratuluję! - Oliwia była szczerze ucieszona. - Skoro zapraszasz gości, musisz być pewien swego.

- Jasne! - zachichotał Kenny. - Pam tylko czeka, żeby dać się porwać. To co, mogę wpisać cię na listę?

Już dawno jego głos nie brzmiał tak radośnie. Oliwia poczuła nagle, że przeżycia ostatnich tygodni wyczerpały ją i wyjałowily.

Zaczęła się obawiać, że widok cudzego szczęścia pogłębi ten stan.

- Nie wiem, czy uda mi się tak z biegu wyrwać do Kalifornii - powiedziała z wahaniem.

- Bierzemy ślub w Nowym Jorku - oznajmił triumfalnie Kenny. - Chcemy, żeby przyjechała rodzina, a Nowy Jork jest bliżej dla wszystkich niż Santa Barbara.

- Jesteś naprawdę cudowny, Kenny! - powiedziała wzruszona.

- Będą prawie wszyscy, wiesz? Jenny z Paulem, Melissa z Billem, Nick z Lynne, wuj David, wuj Seymour i ciotka Iris, ciotka Myra, nawet Taylor.

- Taylor? - zdziwiła się Oliwia.

Taylor nie znosiła Nowego Jorku, o którym zawsze mówiła z kpiącą afektacją „New York City”. Nie cierpiała tłumów, ruchu, wielkości i brudu tego niebezpiecznego, szalonego miasta. Ostatni raz była tu na pogrzebie ciotki Julii. Nawet lecąc z Timem na bar micwę Sama, wybrała linię bez międzylądowania w Nowym Jorku.

- Taylor i Tim muszą się spotkać z Seymourem w sprawie interesów - poinformował Kenny. - Taylor odziedziczyła w całości udziały Grady'ego w „JULII”. Teraz ty i ona macie więcej niż ktokolwiek z rodziny.

- Przyznam się, że nie wiedziałam.

- Jesteś bogata, powinnaś się cieszyć.

- Próbuję-westchnęła.

- Rogera też wpisałem na listę - ciągnął Kenny. - Na kolację i dancing po uroczystości zapraszam do Rainbow Room, na sześćdziesiątym piątym piętrze. Sama ceremonia odbędzie się

piętro niżej, w Radio City Suite. Miałem sporo szczęścia, że udało mi się załatwić takie miejsce, no ale to po znajomości. Jednym słowem - sobota, godzina piąta.

- Nie mogę się doczekać, kiedy poznam Pam - powiedziała Oliwia.

- Ona też bardzo chce cię poznać.

Kiedy tylko wspomniała Rogerowi, że chętnie widziałaby go u swojego boku na ślubie Kenny'ego, zgodził się natychmiast. Jasne, przecież teraz był pełen dobrych chęci. Oliwia miała nadzieję, że rodzina nie zauważy niczego podejrzanego w ich zachowaniu, ale szybko uświadomiła sobie, że widują ich razem zbyt rzadko, by mieć podstawy do obserwacji i porównań.

Pomieszczenia Radio City Suite utrzymane były w starym, dobrym i eleganckim stylu art deco, a główny element wystroju stanowiły stare bakelitowe radioodbiorniki z lat trzydziestych. Przez wielkie, wysokie okna można było podziwiać panoramę miasta, skąpanego w gorącym popołudniowym słońcu. Wewnątrz jednak było chłodno i przyjemnie.

Obok głównej sali, w której odbywała się ceremonia, kelnerzy czekali w pogotowiu z tacami pełnymi kieliszków szampana. Ucałowaniom i przywitaniom nie było końca. Jeśli nawet ktoś z rodziny był zły, że przerwano mu letni wypoczynek, nie pokazywał tego po sobie. Większość sprawiała wrażenie, że naprawdę świetnie się bawi.

Rozpromieniony Kenny obchodził towarzystwo, przedstawiając swoją nową żonę. Pam okazała się atrakcyjną blondynką o świeżym, kwitnącym wyglądzie kogoś, kto dba o siebie i aktywnie uprawia sporty zgodnie z zaleceniami poradników. Słowem, bywalczyni kortów tenisowych, biorąca ślub z Kubu-

siem Puchatkiem. W białej sukience z krótkim welonem i z małą wiązką kwiatów wcale nie sprawiała wrażenia onieśmiałej panny młodej, po raz pierwszy witającej swoją rodzinę; przeciwnie - zachowywała się jak szczęśliwa gospodyni domu, zapraszająca gości do świetnej zabawy.

- Tak się cieszę, że mogę cię poznać - powtarzała bez przerwy do kolejnych członków rodziny. - Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić.

- Kenny nie mógł lepiej trafić - szepnęła Oliwia do Rogera. Ślub był kameralny. Większość z dwudziestu gości stanowili krewni. Ze strony Pam były tylko trzy osoby. Młodzież reprezentował syn Kenny'ego, Jason, zabawnie pozujący na dorosłego w garniturze, pod krawatem i z kwiatkiem w butonierce, a także z olśniewającym uśmiechem dla wszystkich. Prawdopodobnie był zachwycony tym, że jego macocha, ze względu na wiek, mogła być dla niego prędzej matką niż siostrą; w rodzinach jego kolegów bywało z reguły odwrotnie.

Uroczystość była krótka. Kiedy doszło do pocałunku, młoda para zapamiętała się tak bardzo, że dopiero śmiech zebranych przywrócił ich do rzeczywistości. Kenny, ku uciesze wszystkich, miał całe usta w szmince.

Tacy sami byliśmy kiedyś z Rogerem, pomyślała ze smutkiem Oliwia. Tylko ja się nie szminkowałam. Ukradkiem zerknęła na swojego towarzysza życia, z którym wówczas wiązała tak naiwne, śmieszne nadzieje.

Po ceremonii wszyscy przeszli na górę do Rainbow Room. Był również elegancki i również w stylu art deco, ale o wiele większy, z oknami od podłogi do sufitu, okrągłym parkietem do tańca i stolikami ustawionymi w dwóch rzędach. Byli już tu kie-

dyś z Rogerem, ale większość rodziny - nie. Oliwia z zadowoleniem dostrzegła tabliczkę na jednym z dwóch wielkich okrągłych weselnych stołów, zapraszając ją z Rogerem do zajęcia miejsca obok Melissy, Jenny i Taylor z ich mężami. Kuzynki też się ucieszyły - dla siebie zawsze były paczką dziewczyn z Mandelay.

Rozmawiały o wakacjach i o dzieciach, jak zwykle. Wszystkie cieszyły się, że Kenny wreszcie się ustakował, a jego wybranka jest naprawdę na poziomie. Jadły, popijały szampana i plotkowały, a kiedy zagrała orkiestra, tańczyły ze swoimi mężami. Gdy zaś słońce zaszło i rozjarzyły się światła miasta, poczuły się jak na pierwszej romantycznej randce i zupełnie zapomniały o domu, dzieciach i codzienności.

Oliwia tańczyła z Rogerem, gdyż nie chciała niepotrzebnie się wyróżniać. Od dwóch miesięcy nie była z nim w takiej fizycznej bliskości i najbardziej kobieca część jej duszy skrycie go pożałowała, choć druga miała ochotę go odepchnąć. Zwykle nie tańczyli ze sobą, ponieważ Roger miał kompleksy jako nieudolny tancerz, dziś jednak byli wobec siebie nastawieni tak uprzejmie, że nawet jego najbardziej niezgrabne kroki nie były w stanie ich zniechęcić. W tańcu jednak ze sobą nie rozmawiali.

Później wszyscy wrócili do stołów, gdzie Pam i Kenny zaczęli odkrawać pierwszy kawałek weselnego tortu. Jenny zerknęła na zegarek.

- Niedługo musimy jechać - powiedziała. - Nie chcę na tak długo zostawiać dzieci z samą gospożą.

- Naprawdę musicie wracać nocą? - zaprotestowała Oliwia.

- Trudno - powiedział wesoło Paul. - Co gorsza, to ja muszę siedzieć za kółkiem.

- My też wracamy dzisiaj - wtrąciła Melissa. - Jake ma jutro zawody pływackie. Poza tym nie lubię odrywać się od dzieciaków.

- Ja też chcę mieć dziecko - oświadczyła Taylor. Wszystkie spojrzały na nią zaskoczone. Zawsze twierdziła, że nie będzie miała dzieci.

- Niedługo odstawię prozac i wtedy spróbujemy - ciągnęła Taylor, zerkając na Tima. Odpowiedział jej łagodnym uśmiechem. - Nie będę tak złą matką, jak moja. Wiem, jakich błędów nie wolno mi popełnić. - Milczała przez chwilę. - Wiem też, że Grady nigdy nie miałby dzieci. A dla mnie może już niedługo być za późno. Nasz ród powinien trwać.

Żadna z nich nie odezwała się po tych słowach. Oliwia wiedziała, że wszyscy myślą o samobójstwie Grady'ego. Sama była pewna, że Taylor, choć się do tego nie przyznawała, musiała domyślać się, że jej brat był homoseksualistą. Z drugiej strony trudno było mu nie wierzyć, gdy mówił, że nie jest w stanie zaufać komuś do tego stopnia, by się z nim ożenić, i że z tego powodu wciąż jest kawalerem. Czy mógłby jednak okłamywać swoją siostrę, jedyną bratnią duszę? Jeśli tak, Taylor z pewnością musiała to wyczuwać...

„Nasz ród powinien trwać...”

Tym razem Oliwia pomyślała o sobie. Nie planowała dzieci ani kiedyś, ani tym bardziej teraz, ale słowa Taylor zaboląły ją bardziej niż się spodziewała. Miała nadzieję, że kuzynki nie myślą o niej jako o wygodnickiej egoistce.

- Na pewno będziesz miała wspaniałego dzieciaczka, Taylor - powiedziała.

Atmosferę zmieniło pojawienie się Pam. Ubrana w czarną

sukienkę, podeszła z radosnym uśmiechem do stolika, by pożegnać się z gośćmi, po czym szybko zniknęła z Kennym. Przyjęcie dobiegało końca. Podeszła do nich ciotka Myra.

- Nie miałam wcześniej okazji, żeby się z tobą przywitać - powiedziała, całując Oliwię.

- Wiem, wiem.

- Roger, jak się masz? Dawno cię nie widziałam.

- Dziękuję, dobrze.

- Jadą w podróż poślubną do Chin - poinformowała z chichotem ciotka. - Ja bym tam nie pojechała za żadne skarby, a wy? Podobno warunki higieniczne są straszne.

- Ja bym pojechała - stwierdziła Oliwia.

- Ale wybrałaś Paryż.

Roger lekko otoczył ramieniem Oliwię.

- Po prostu lubimy wygodę - uśmiechnął się.

- Zupełnie słusznie - podsumowała Myra i odeszła, a Roger opuścił ramię.

Ciekawe, czy inni też tak udają jak my, pomyślała Oliwia.

- Jutro wyjeżdżamy na Cape Cod - powiedziała do niej Taylor. - Chcę zobaczyć Atlantyck. Możemy się jeszcze spotkać przed wyjazdem?

- Jasne. Chcecie wpaść do mnie?

- Nie, narobimy ci kłopotu. Zaproponuj jakąś restaurację.

- Jest takie miłe miejsce niedaleko waszego hotelu... - Oliwia podała adres.

- Zgoda. O dwunastej - powiedziała Taylor.

- Chcesz, żebym ci jutro towarzyszył? - zapytał Roger, kiedy wrócili do domu.

- Jak chcesz - mruknęła Oliwia. Czuła się wyczerpana.
- Może będziesz się czuła bardziej swobodnie beze mnie?
- A ty urwiesz się do Wendy.
- Już ci powiedziałem, że wszystko skończone. Zresztą ona wyjeżdża teraz na każdy weekend. Nie musisz się martwić. Pójdę chyba na trening.
- Na trening?
- Przynajmniej będę się mógł z czystym sumieniem objadać w Paryżu.
- Jeśli w ogóle pojedziemy.
- Jeśli pojedziemy - przyznał. - Wciąż mam taką nadzieję.
- Zobaczymy - ucięła Oliwia. - Skoro byłeś tak uprzejmy i poszedłeś ze mną na ten ślub, daruję ci ten rodzinny obiadek.
- Na pewno byłoby mi miło.
- Nieprawda.
- A jednak tak.
- Przez te wszystkie lata za dużo czasu spędzaliśmy razem, prawda? W tym był problem?
- Jeśli nawet, to nie z twojej winy. Nigdy tak o tym nie myśl
- powiedział poważnie.
- Czasami po prostu muszę.
- Nie musisz się obwiniać!

W takim razie muszę obwiniać ciebie, pomyślała gorzko. I nic nie poradzę, kiedy zachce ci się kolejnego romansu.

Nie powiedziała jednak tego głośno. Mruknęła tylko „dobranoc” - i zniknęła w swojej sypialni.

Lokal, w którym Oliwia spotkała się z Taylor i z Timem, wyglądał jak wnętrze angielskiej, wiejskiej gospody. Na stołach

stały salaterki z dżemem truskawkowym, a kelnerka przyniosła im ciepłe, świeżutkie bułeczki z nadzieniem.

- Pamiętacie takie z Mandelay? - zapytała Oliwia, rozrywając chrupiącą skórkę.

Taylor uśmiechnęła się.

- Zawsze najpierw wyjadałaś środek - powiedziała. - I dalej tak robisz.

- Bo środek jest najlepszy.

- Wolę skórkę.

Zamówili gorącą, mocną kawę i jajecznicę.

- Byliśmy u wuja Seymoura - odezwała się Taylor. - Przejęłam pakiet akcji Grady'ego.

- Wiem. Teraz ty i ja mamy większe udziały niż ktokolwiek z rodziny. Możemy je połączyć i wszystko kontrolować.

- Nie chcę prowadzić sklepu.

- Ja też nie.

- Grady umiał pilnować tych spraw - powiedziała Taylor. - Ale oni dobrze prowadzą interes.

- Grady chyba tak nie uważał. Kiedy go widziałam, wydawał się czymś bardzo zdenerwowany, może nawet zaniepokojony...

- Był po prostu urażony - wyjaśniła Taylor. - Prosił Seymoura, żeby zatrudnił go w rodzinnym biznesie. Już nie chciał być kaskaderem, miał dosyć. Czulałam to. Od dawna nie mógł znaleźć pracy. Chciał się nauczyć wszystkiego o „JULII” i o handlu. Ale wuj i Charlie powiedzieli mu, że nic dla niego nie mają. Nie chcieli go, bo trzymali posadę dla syna Charlie'ego, Tony'ego. A przecież gdyby chcieli, znaleźliby coś i dla mojego braciszka. Wiele umiał i był bardzo bystry.

A więc tym gryzł się Grady, kiedy był u mnie przed śmiercią,

pomyślała Oliwia. Dlatego chodził do Seymoura i dlatego był tak rozbity po rozmowie z wujem.

- Taka szkoda, przecież mógł żyć - westchnął Tim.

- Długo jeszcze nie będę mogła sprzedać jego domu - ciągnęła Taylor. - Co miesiąc spłacam hipotekę. Wiesz, że nie pozbyłam się jeszcze prochów Grady'ego? Powiedz, dlaczego ludzie umierają i zostawiają nam tyle rzeczy do załatwienia?

- Chciałaś zapytać: dlaczego popełniają samobójstwa?

- Grady opuścił mnie, a ja nawet nie mogę spokojnie go opłakiwać, bo jestem zbyt wściekła - wyznała Taylor.

- Wcale ci się nie dziwię.

- Oni myślą, że będzie nam ich żal, kiedy się zabiją, a to wcale nieprawda. Ja ciągle jeszcze jestem na niego wściekła. Naprawdę.

- Na jedno wychodzi - stwierdziła Oliwia.

- Mogłabyś sobie przypomnieć język migowy - powiedziała Taylor. - Mówienie mnie męczy.

- Mam nadzieję, że mi się uda.

Oliwii zrobiło się nagle głupio. Taylor miała absolutną rację - zawsze musiała dostosowywać się do wszystkich, a nigdy odwrotnie.

„Przepraszam, Kocham cię” - Oliwia zasygnalizowała dwa znaki, które jeszcze pamiętała, a potem pochyliła się i otoczywszy kuzynkę ramieniem, serdecznie ucałowała ją w policzek.

- Kocham cię - powtórzyła głośno. - Zawsze będziesz moją najukochańszą i najfajniejszą kuzyneczką. A o nim też nie mogę zapomnieć, tak jak ty.

Pili przez chwilę swoją kawę w milczeniu. Wreszcie Taylor odezwała się pierwsza.

- Na tydzień przed śmiercią Grady przysłał mi kasetę ze swoim ostatnim filmem „Trylogia utraconej miłości” - odezwała się znów Taylor. -I scenariusz, żeby było mi łatwiej zrozumieć. Dołączył kartkę, że to pieprzony knot, tak jak całe jego życie.

Biedny Grady, pomyślała Oliwia, taki nieszczęśliwy z tymi swoimi żalami, tęsknotami i marzeniami, tak inny... Dając jej ten akurat film, okazał się okrutnie szczery w stosunku do siebie. Taylor musiała więc wiedzieć.

- Oglądałaś ten film?

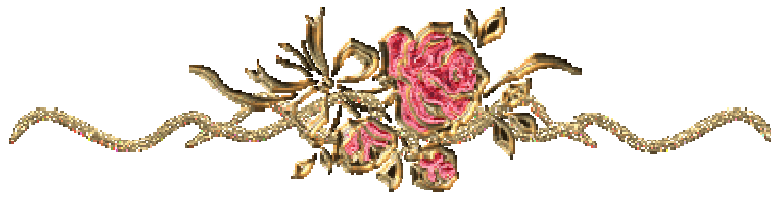
- Nie. Wyrzuciłam go razem ze scenariuszem. Nie mam ochoty oglądać jakichś smętnych bzdur o starzejącej się ciocie.

- To nie jest żadna ciota - zaprotestowała Oliwia - tylko mężczyzna, który chciał, żeby rodzina akceptowała go i kochała. Nie powinnaś wyrzucać tego filmu.

- Ale już to zrobiłam.

- Nie zapytał, czy go oglądałaś?

- Nie zapytał.



Rozdział 19

Kiedy samolot zaczął rozpędzać się na pasie, Roger ujął dłoń Oliwii w swoją i trzymał ją, dopóki nie wznieśli się w powietrze. Nie bała się latania, ale nie miała nic przeciwko temu opiekuńczemu i sentymentalnemu gestowi. Nocny lot do Paryża wprowadził ją w cudowne podniecenie i natchnął niespodziewaną nadzieją - zupełnie jakby zostawiła tam, w dole, wszystkie swoje problemy, oddzielając się od nich oceanem.

W bezpiecznym zaciszu kabiny lecieli ku nieznaney przygodzie. Jak zwykle, Roger puścił jej dłoń, kiedy stawało się jasne, że przeżyli. Z zapalem sięgnęli po szampana, podanego przez stewardesę.

- Za twój urodzinowy weekend - powiedziała Oliwia, unosząc z uśmiechem kieliszek.

- Za nas - odpowiedział.

Hotel Plaza Athne stał się już dla Oliwii niemal legendą. Wcześniej tu nie mieszkali, ale zawsze starali się chociaż wypić drinka w słynnym barze Relais Plaza, obserwując zasiadających wokoło ludzi. Z okazałego, eleganckiego budynku o kamiennej fasadzie, wysokich francuskich oknach i balkonach z charakterystycznymi ozdobnymi balustradkami i czerwonymi markizami,

roztaczał się widok na Avenue Montaigne. Tam można było podziwiać ekskluzywne butikie, limuzyny parkujące przed paradnym wejściem hotelowym i eleganckich gości, kręcących się po imponującym hotelowym holu. Pachniało tu wielkim światem i wielkimi pieniędzmi.

Hotel był spokojniejszy latem, oferowano nawet pokoje po specjalnych, niższych cenach, z czego właśnie skorzystali Roger z Oliwią. Ich apartament, urządzony antycznymi meblami, miał klimatyzację, telewizor i mini barek. Dwa pojedyncze łóżka rozdzielał nocny stolik.

- Pysznic, spacer czy drzemka? - zapytał Roger, kiedy się rozpakowali.

- Nie jestem zmęczona. Chodźmy połączyć po ulicach - odparła Oliwia.

Spacerowali, aż zrobiło się zbyt gorąco. Powtarzali udeptane ścieżki z dawnych lat. Na obiad wstąpili do malutkiej knajpki, gdzie serwowano kanapki i piwo. Przed Luvrem natknęli się na długą kolejkę żądnych zwiedzania turystów. Oliwia była szczęśliwa, że już dawniej zdołała odrobić ten obowiązek, ukoronowany obejrzeniem Mony Lisy. Dziś nie musieli udawać, że interesują ich skarby kultury. Należały do niej zresztą również wąskie, kręte uliczki, stare domy, pomniki oraz szerokie aleje i wspaniałe, reprezentacyjne gmachy, których fasady były tak czyste w porównaniu z nowojorskimi.

Roger był wspaniałym towarzyszem. Praktycznie nie mogła sobie wyobrazić nikogo innego na jego miejscu. Wróciła cudowna atmosfera ich dawnych podróży, a jednocześnie Oliwia czuła, że pojawiło się coś nowego, trudno uchwytnego. Tak jakby umówiła się z kimś, kto przed laty był jej wielką miłością, a potem

odszedł, lecz bliskość i porozumienie pozostały niezmiennie. Praktycznie, wchodząc w tę rolę, powinna go zapytać, co porabiał, gdy go nie było. Tylko że, niestety, znała odpowiedź.

- O czym myślisz? - zagadnął Roger. No właśnie, o czym!

- Myślę o prezencie, jaki mam ci kupić na urodziny.

- Nie chcę prezentu.

- Widziałam coś, co ci się spodoba.

- Ty jesteś moim prezentem. Po prostu bądź ze mną - odparł, zaglądając jej głęboko w oczy.

- Dobrze, w takim razie nazwijmy to pamiątką.

Powinna mu coś kupić. Jeszcze przed wyjazdem nie była tego taka pewna, ale teraz, na fali sentymentalnych wspomnień, widząc, jak bardzo Roger pragnie jej bliskości, zmieniła zdanie. W jednym z malutkich antykwariatów, do których zaglądali po drodze, zobaczyła zabawny, staroświecki mikroskop laboratoryjny. Świetnie wyglądałby na biurku Rogera.

- Pamiątka... - powiedział i uśmiechnął się do niej.

Kiedy wrócili do pokoju, w identycznym odruchu legli na swoich łóżkach, sposobiąc się do drzemki, tak jak to robili w domu. Jesteśmy jak dwa stare, leniwe koty, pomyślała z rozczuleniem Oliwia. Roger natomiast nastawił budzik i zasnął dosłownie w mgnieniu oka.

Oliwia patrzyła ze swojego łóżka na znajomą, skuloną pod kocem postać. Już od dawna nie spali razem w jednym pokoju. Teraz, mając Rogera w zasięgu ręki, czuła się bezpieczna.

Dziwne, ale nie pragnęła go, nawet skrycie. To, co czuła, można było raczej nazwać dojrzałą, wierną miłością, właściwie zupełnie pozbawioną zmysłowości. Możliwe, że zadziało tu

zmęczenie podróży i zmianą czasu, a na pewno też żal i głęboka uraza. Jeszcze nigdy nie znudził się jej seks z Rogerem i było im ze sobą dobrze, ale pożądanie nie przyprawiało jej już o szaleńcze zawrót głowy, tak jak dawniej.

Oliwia wiedziała, że z wiekiem i przy dłuższej znajomości jest to nieuniknione. Miłość rozwija się i dojrzewa, przechodząc różne etapy. I tak dobrze, że nigdy nie znudzili się sobą, co z reguły przytrafiało się znajomym parom.

Roger na pewno musiał mieć podobne myśli o stygnącym pożądaniu, zanim nie spotkał Wendy, pomyślała smutno. I pewnie dalej tak czuje, to zresztą widać. Bez względu na to, jak bardzo stał się jej obcy po tym, co zrobił, ciągle jeszcze dobrze go znała i z łatwością odgadywała jego nastroje, stany i myśli. Ona do tej pory prawie nie zauważała tych zmian, ale dla niego, jak się okazuje, musiały być ważne. Oliwia zlekceważyła rolę pożądania, namiętności, zmysłów; Roger - nigdy.

I co teraz mieli zrobić z własnym życiem?

Kolację zjedli w typowo francuskiej, zacisznej i staroświeckiej restauracyjce. Zamówili rybę i białe wino. Patrząc na Rogera ponad blatem małego stolika, Oliwia zastanawiała się, czy ich paryskie zawieszenie broni ma dotyczyć również łóżka. Kiedy Roger zamówił drugą butelkę, już wiedziała, że gnębi go ta sama niepewność. Zachowywał się nerwowo jak młody żonkoś w czasie miodowego miesiąca.

- Wypijemy za dużo i będziemy mieli kaca - powiedziała i momentalnie pożałowała tak nieromantycznej, choć słusznej uwagi.

- Możemy w ogóle nie pić - zgodził się grzecznie.

- Nie, tylko się nie spieszymy.
- Dobrze.
- Moje odczucia są tak skomplikowane, że nawet trudno mi o nich mówić, zwłaszcza że co chwila się zmieniają - pożałowała się Oliwia.

- Normalna sprawa.
- Też tak czujesz?
- Jak cholera!

Uśmiechnęli się do siebie.

- Och, Roger, przecież tak cię kocham - westchnęła. - Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- A ty moim.

. Poziom wina w drugiej butelce szybko się obniżał, głównie za sprawą Rogera.

- Udawajmy, że dopiero się poznaliśmy - zaproponował.
- W takim razie będę ci musiała opowiedzieć o swoim życiu.
- Albo wymyśl coś.
- Nie, ominę tylko to, czego nie powinieneś wiedzieć.
- A ja będę próbował cię olśnić - zaśmiał się.
- Jasne! Poflirtujemy sobie.
- Uwielbiam coś takiego. Oliwia spoważniała.

- Jak zdołam opowiedzieć ci o swojej przeszłości, skoro jej większa część to ty? - zapytała smętnie.

Kiedy wstali od stolika, Roger był już całkiem pijany. Osobne łóżka w hotelowym pokoju wydawały im się dziwnie wąskie, a odstęp między nimi - ogromny. Roger pokręcił głową.

- Chyba za dużo wypilem.
- Ja też.

Zatoczył się na nią i objął ją ramionami jak wielki, pluszowy niedźwiedź.

- Będziemy mieli wspaniały weekend, zobaczysz -mruknął, a potem puścił ją i zwałił się w ubraniu na łóżko. Zdążył tylko nakryć się jeszcze kocem i już spał.

Rano oczywiście miał kaca. Oliwia też nie czuła się zbyt rześko, ale była w stanie jakoś funkcjonować. Polepszyło się jej wyraźnie po dużej kawie z mlekiem, zamówionej do pokoju.

- Pośpij sobie - powiedziała do Rogera - a ja pójdę rozejrzeć się za prezentem urodzinowym.

- Uhm...

Idąc dziarskim krokiem przez zalane słońcem ulice, Oliwia zaczęła uśmiechać się do siebie. Zauważyła również niejedno męskie spojrzenie i uśmiech, skierowane do niej - co znaczyło, że nadal jest atrakcyjna i może być pożądana. Szybko dotarła do antykwariatu, gdzie wczoraj zauważyła na wystawie mikroskop. Ku jej zadowoleniu nadal tam był, a cena okazała się całkiem przystępna.

- Mam nadzieję, że honoruje pan czeki podróżne? - zapytała właściciela.

- Naturalnie, proszę pani.

Wypisała czek i podała mu paszport dla sprawdzenia.

- Pani... Oak-ren?

- Okrent - sprostowała. - I proszę mi to ładnie opakować, dobrze?

- To pani? - odezwał się nagle głos z amerykańskim akcentem. Ze złocistej smugi światła, w którym wirowały drobiny kurzu z antycznych mebelków, szedł ku niej młody człowiek w eleganckich płóciennych spodniach od Armaniego i bia-

łej bawełnianej koszulce. Miał bladą cerę mieszkańca miasta, podkreśloną przez lśniąca falę ciemnych włosów, opadających lekko na czoło. Szare oczy połyskiwały mu jak księżycowe kamienie.

- Doktor Okrent?

Pomimo zaskoczenia Oliwia natychmiast skojarzyła, kim jest ten człowiek. Jej klient z Nowego Jorku, Marc Delon, miał naprawdę niepowtarzalną urodę. Równie dobrze pamiętała jego zwariowanego dalmatyńczyka Spota, którego kurowała przez całe dwa lata, dziwiąc się, jak można do tego stopnia kochać tak głupie stworzenie.

- Marc!

- A więc tu spędza pani wakacje? - uśmiechnął się.

- Niezupełnie, tylko przedłużony weekend. Jak się miewa Spot?

- Doskonale. A Wozzle?

- Świetnie. Co tu robisz?

- Kupuję prezent urodzinowy dla mojej babci.

Boże, on ma jeszcze babcię, a ja nie mam już nawet rodziców, pomyślała Oliwia i nagle poczuła się stara.

- Chodziło mi o Paryż, a nie o ten sklep.

- Właśnie przyjechałem ją odwiedzić. A pani?

- Są urodziny Rogera.

- Aha.

- Kupiłam mu staroświecki mikroskop. Co ty wypatrzyłeś dla swojej babci?

- Myślałem o tym pudełku. Podoba się pani? - Skwapliwie pokazał jej śliczny przedmiot, inkrustowany macią perłową. Był wyraźnie ciekaw jej opinii.

- Jest śliczne - powiedziała ze szczerym zachwytem. - Babcia zbiera takie rzeczy?

- Zbiera wszystko. Jej mieszkanie jest pełne takich bibelotów. A najbardziej niesamowite jest to, że wcale nie ma na nich kurzu!

- Lubisz ją?

- Kocham. A pani ma jeszcze dziadków?

- Nie, już nie. Zazdroszczę ci.

- Jest czego. Mamy dziś wielką rodzinną kolację.

- Jakaś okrągła rocznica?

- Nie, po prostu każdy rok zaczyna się liczyć od pewnego wieku. Ale babcia ma dopiero siedemdziesiąt pięć lat. Jest też pretekst, by skrzyknąć razem całą rodzinę. Rzadko mam szansę ich widzieć, mieszkając w Nowym Jorku.

- Wiem coś o tym - przytaknęła Oliwia. - Moich krewnych widuję tylko kilka razy w roku i tylko przy wielkich rodzinnych okazjach.

- Urządza pani coś dla Rogera?

- Idziemy do Tour d'Argent. Roger uwielbia widoki z tarasu wieży i ich firmową pieczoną kaczkę.

- Nigdy tam nie byłem.

- Za dużo tam turystycznej stonki, co?

r Nie, tylko za drogo. Może się wybiorę, kiedy wydam książkę.

- Napisałeś książkę?

- Właśnie kończę. - Antykwariusz podał im opakowane zakupy. - Czy pani doktor pozwoli się zaprosić na kawę? - zapytał szarmancko Marc.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że będziesz mi mówić po

imieniu. Od tej pory mam być Oliwią, dobrze? Przecież nie jesteśmy tu oficjalnie.

- Okay, Oliwio. Chodźmy, znam tu miłą dziurkę, niedaleko.

Rzeczywiście, w sąsiedztwie było bistro z okrągłymi marmurowymi stolikami i wiklinowymi krzeselkami ustawionymi na chodniku. Uliczka była wąska i urocza. Obok jakiś chłopiec bawił się z psem, rzucając mu piłeczkę. Zamówili dwie kawy i przyglądali się przez chwilę zabawie.

- Brakuje mi Wozzle - powiedziała w końcu Oliwia.

- A mnie Spota. Opowiedzieć ci o mojej książce?

- Jasne!

- Zajmuję się w niej wpływem bajek i opowieści z dzieciństwa na nasze dorosłe życie, ukrytymi przekazami, jakie one zawierają - zaczął z zapalem. - Niektóre są inspirujące i tłumią lęki, ale są takie, które wypaczają i niszczą wiarę w siebie oraz pasję poznania, i to zapewne w sposób zamierzony. Nie uwierzysz, jakiego pokroju ludzie pisali te dydaktyczne bajeczki! Moje analizy są w dużym stopniu historyczne i obejmują utwory z ostatnich dwustu lat. Dotyczą klasycznych bajek, ale i innych książek, które ludzie czytali w dzieciństwie, albo które im czytano. Najpierw zadaję wszystkim pytanie o ulubioną historię z dzieciństwa, a potem o tę najbardziej nie lubianą. I właśnie te, które zawierają ukryty, pouczający przekaz, uważane są za najgorsze. Przy czym opowieści pisane kiedyś specjalnie dla dziewczynek o wiele bardziej zagrażają rozwojowi indywidualności niż te, które powstały z myślą o chłopcach - choć i one uczą pewnego konformizmu.

- Bardzo ciekawe - stwierdziła Oliwia, słuchająca go uważnie.

- I logiczne, jeśli przyjąć, że bajki dla dzieci są w każdej epoce odbiciem wymagań, jakie społeczeństwo stawia dzieciom, które mają wejść w dorosłe role. Opowieści do poduszki z zamierzenia były i są pomyślane jako narzędzie wychowawcze, mające urabiać osobowość dziecka. Niektóre z nich wydałyby ci się teraz bardzo irytujące i nachalne.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Pierwotnie chciałem napisać tę książkę razem z moją przyjaciółką. Ona miałaby opracować literaturę dla dziewcząt, a ja dla chłopców. Ale nie zgadzaliśmy się i w końcu zerwaliśmy ze sobą, zrywając też współpracę. Wreszcie postanowiłem zrobić wszystko sam.

- Bardzo cię podziwiam - przyznała szczerze Oliwia.

Była ciekawa, dlaczego Marc rozstał się ze swoją przyjaciółką. Był przecież inteligentny, wyjątkowo przystojny i tak miły, że gdyby była młodsza, sama zakochałaby się w nim po uszy. Może jednak trudno było z nim wytrzymać, a może dziewczyna miała trudny charakter? A może po prostu ją oszukiwał?

Cóż, prywatne życie skrywa niejedną tajemnicę. Nikt przecież nie podejrzałby, co się jej zdarzyło.

- Może jeszcze croissanta? - zaproponował. -I jeszcze jedną kawę?

- Za croissanta dziękuję. A francuska kawa chyba rozsądzi mi głowę.

- Bo trzeba do niej dolać gorącej wody - poradził i złożył zamówienie na kawę i wrzątek.

Jakie ma ładne ciało, myślała tymczasem Oliwia, obserwując go spod oka. Obcisła bawełniana koszulka uwydatniała wyrobione mięśnie, szerokie ramiona i szczupłą talię. Pewnie lubił sporty

- narty zimą, a latem szaleństwa na łyżworolkach oraz surfing. Teraz, w blasku słońca, nie wydawał się już blady. Jego cera miała zdrowy, świeży odcień.

Dolał wody do filiżanki Oliwii i podsunął jej.

- Cieszę się, że cię tu spotkałem - powiedział. - Zawsze chciałem poznać cię bliżej. Zawsze mnie fascynowałaś.

- Naprawdę?

- Piękna pani doktor w swoim królestwie, w nieskazitelnej bieli....

- No dobrze, więc masz okazję - potwierdziła swobodnym tonem. - Co chciałbyś wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, którą z opowieści, jakie opowiadali ci w dzieciństwie matka czy ojciec, zapamiętałaś na całe życie - powiedział poważnie, wbijając w nią wyczekujące spojrzenie niezwykłych szarych oczu. - Czy była opowieść, która zainspirowała cię albo skrzywiła.

- Jesteś okropny.

- Nieprawda. Nie próbuj się wykręcić.

- Matka dużo mi czytała, ale nie bardzo wiem, co może być ważne. Zastanowię się, a ty przez ten czas powiedz mi, co najbardziej interesuje cię w takich opowieściach.

- Chcesz zyskać na czasie - powiedział z łagodną naganą.

- Myślałam, że poczujesz się mile połączony. - Oliwia uśmiechnęła się prowokująco. - Mężczyźni lubią opowiadać o sobie i swojej pracy.

Boże, przecież ja z nim flirtuję! - pomyślała zaskoczona. Wzdragała się powiedzieć zbyt wiele o sobie. W końcu znało ją wielu ludzi z nowojorskiej elity i powinna dbać o swoją reputację.

- Raczej powiem ci, dlaczego w ogóle zainteresowałem się tym tematem - powiedział Marc. - Otóż dwa lata temu, kiedy przyjechałem do Paryża z rodzicami odwiedzić babcię, mama zaczęła wspominać książki, które babcia czytała jej, gdy była mała. Jedna szczególnie ją przeraziła i do dziś nie może o niej myśleć spokojnie, tak silne jest to wspomnienie. Była to opowieść o małej dziewczynce, która niechcący stłukła cenny wazon rodziców. Ale kiedy matka spytała ją, czy to zrobiła, nie przyznała się i skłamała ze strachu przed karą. Wtedy mama zaczęła dzień po dniu zadawać córeczce to samo pytanie, a gdy mała nie przyznawała się do winy, za każdym razem zabierała jedną z jej lalek. Dzień po dniu znikwały kolejne lalki, aż w końcu została tylko ta jedna, ukochana, szmaciana i najstarsza. Nawet najgorsza kara była niczym w porównaniu z utratą ukochanej lalki. I dziewczynka przyznała się, że stłukła wazon. Moja mama nie pamiętała, jak skończyła się ta historia. Sądziła, że dziewczynka i tak została już ukarana utratą lalek, w momencie przyznania się do winy powinna więc je wszystkie odzyskać, a sama nigdy więcej nie kłamać. Brzmiało to dla mnie logicznie, bo opowieści pouczające mają zwykle szczęśliwe zakończenia, stanowiące nagrodę dla nawróconego małego grzesznika. A jednak mama twierdziła, że cała historia bardzo ją przygnębiała i że w dodatku była jej bardzo często czytana. W każdym razie przez całe życie starała się nie kłamać.

- Brrr, co za okropna historia! - skrzywiła się Oliwia. Współczuła bohaterce książki i dziecku, którym kiedyś była matka Marka. Natychmiast pomyślała o swojej matce oraz o Gradym, Taylor i Wielkiej Earl. - Dzieci są czasem tak bezsilne wobec dorosłych - powiedziała cicho.

- No właśnie. Gdy mama na przykład powiedziała babci o tym, jak reagowała na codzienną bajeczkę, babcia nie rozumiała, o co jej chodzi. „Przecież uwielbiałaś tę książkę i ciągle kazałaś ją sobie czytać” - powiedziała.

A Grady nigdy się nie bronił, kiedy matka go biła, dopowiedziała w myśli Oliwia.

- A jakie wreszcie było to zakończenie? - zapytała.

- Nie wiemy. Nie zachował się egzemplarz, a one nie pamiętały autora ani tytułu. W końcu było to pięćdziesiąt lat temu. Później zresztą stwierdziłem, że tak naprawdę nie muszę wiedzieć, bo znalazłem setki innych tekstów, tak samo dobrze ilustrujących te problemy. Najważniejszy jest sam wpływ takich opowieści na dorosłe życie. Moja matka zapamiętała lęk i pouczenia. Jest jasne, że babcia miała jak najlepsze zamiary i jak wiele matek, także i dzisiaj, czytała dziecku budujące historyjki, by wiedziało, że trzeba być grzecznym. I w domu babci przestrzegano się zasad. Tak jest u niej do dzisiaj.

- Opowiem ci swoją historię - zdecydowała się Oliwia. Oczy mu zabłyśły.

- Dobrą czy złą?

- Złą. Moja matka sama wymyśliła tę bajeczkę. Mówiła, że lubiłam ją najbardziej ze wszystkich i ciągle chciałam, żeby mi ją opowiadała. Nie miałam wtedy więcej niż cztery lata. To bajeczka o Krowie Krzywonożce.

- Krzywonożce?

- No tak, krowy mają takie niezgrabne nogi.

W trakcie opowiadania wyobraźnia podsunęła Oliwii obraz samej siebie jako małej dziewczynki, ubranej w pizamkę i pa-

trzącej na mamę, która siedząc w ciepłym blasku lampy, opowiadała jej mądre bajki.

- Krzywonóżka była najlepszą mleczną krową na farmie - zaczęła. - Dawała więcej mleka niż inne. Od czasu do czasu widziała, jak niektóre krówki i byczki wsiadają do samochodu i odjeżdżają, by zwiedzić świat. „Ja też chcę pojechać - powiedziała farmerowi - chcę podróżować i zwiedzać świat”. Ale farmer jej nie puścił. Wtedy zauważyła, że pozwalano jechać do miast tylko tym krowom, które już nie dawały mleka. I Krzywonóżka przestała dawać mleko. Nie musiała długo czekać. Wsadzili ją na ciężarówkę razem z innymi krowami i powieźli do miasta. Była zachwycona, ale kiedy dotarli do celu, zobaczyła z przerażeniem, że prowadzą je do rzeźni. Kiedy Krzywonóżka zrozumiała, że zaraz zginie pod nożem rzeźnika, zaczęła płakać i błagać: „Proszę, nie zabijajcie mnie, obiecuję, że będę znów dawała mleko, mnóstwo mleka!”. Oszczędzono ją i wróciła na farmę, gdzie przez resztę życia dawała oczywiście całe morze mleka.

Marc był zdegustowany.

- Boże, co za faszystowska bajka!

- Mama naprawdę sama ją wymyśliła.

- Wyobrażam sobie, jak musiała na ciebie działać ta opowiadanka - powiedział ze współczuciem i zainteresowaniem jednocześnie.

- Owszem, i to na wiele sposobów, z których pewnie nie zdawałam sobie sprawy.

- Jaka była twoja matka?

- Wszystkiego się bała.

- Przestrzegła konwenansów?

- Bardzo.

- Chciała, żebyś zajęła wymarzoną przez nią pozycję społeczną, aby mogła być z ciebie dumna?

- Dokładnie tak. - Oliwia pokiwała głową. - Nie przyszło jej do głowy, że mogę zostać weterynarzem.

- Nie podobał się jej ten zawód?

- Nie lubiła zwierząt.

- Ludzi chyba też nie - zauważył Marc.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała Oliwia. Uświadomiła sobie, że nigdy nie miała potrzeby opowiedzieć o tym Rogerowi. - Powiedz mi lepiej, skąd masz taki amerykański akcent - zmieniła temat.

- Jestem w Nowym Jorku już dziesięć lat.

- Ale nie każdy...

- Kiedy chodziłem do szkoły, w każde wakacje rodzice wysyłali mnie do pewnej rodziny w Iowa. Słusznie uważali, że jest typowo amerykańska. Poza tym mam chyba słuch do języków.

- Mhm... A można spytać, z czego żyjesz, pisząc tę książkę?

- Och, po prostu pisuję do różnych magazynów. I nie jestem wybredny.

- Powinnam czytać więcej magazynów - powiedziała przeprasząco.

- Nie masz czego żałować, to tylko chałtury. Jeśli chcesz, przyślę ci moje bardziej ambitne kawałki.

- Oczywiście, chętnie przeczytam. - Zerknęła na zegarek. Nie zdawała sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. - Marc, muszę iść. Za chwilę mam lunch z Rogerem - powiedziała nerwowo.

Marc położył kilka monet na talerzyku z rachunkiem.

- Dziękuję, że zechciałaś spędzić ze mną kilka chwil - powiedział. - To było mile i interesujące spotkanie.

- Dla mnie też.

Popatrzyli na siebie. Już dawno tak wspaniale nie rozmawiali się jej z mężczyzną, do tego prawie obcym.

- Żałuję, że nie mogę jeszcze zostać - wyznała szczerze.

- Ja też żałuję. Ale może spotkamy się w Nowym Jorku na jakiejś kawie i jeszcze sobie pogawędzimy?

Czy to będzie randka? Nie, niemożliwe, przecież jest dużo młodszy i wie, że nie jestem wolna, próbowała uspokajać sumienie Oliwia. Równie dobrze możemy zostać przyjaciółmi. Jest w nim coś ożywczego, jak w świeżym powietrzu. Poza tym uwielbiam na niego patrzeć...

- Kto wie? - powiedziała z uśmiechem.

Lunch zjedli z Rogerem w jednej z hotelowych restauracji, obserwując eleganckie, światowe towarzystwo przy stolikach.

- I co porabiałaś, kiedy odsypiałem swoje ekscesy? - zagadnął wesoło.

- Kupowałam twój prezent. Spotkałam w antykwariacie swojego klienta i poszliśmy na kawę.

- Kogo?

- Marka Delona, tego od głupiego dalmatyńczyka. Przez chwilę szukał w pamięci.

- A, ten francuski chłopak.

Ani taki francuski, ani taki chłopak, pomyślała.

- No właśnie - przytaknęła. - Pogadaliśmy sobie chwilę.

- To miło - skomentował zdawkowo Roger, tracąc zainteresowanie tematem.

Żebyś tylko wiedział, z jakim przekonaniem mówił ten „chłopak” - że jestem piękna, że go fascynuję i że chce mnie lepiej poznać; że pisze książkę i wie o mnie coś, czego nie wiesz nawet ty, dokończyła w myśli, zirytowana.

Po południu poszli na spacer i wypili aperitif w Ma Bourgo-gne na placu Wogezów, w swojej ulubionej kafejce, z której rozciągał się widok na skwer i malownicze fasady starych domów. Potem wrócili do hotelu, by przygotować się na wieczór.

Roger zamówił do pokoju szampana, a Oliwia wręczyła mu prezent. Mikroskop bardzo mu się spodobał. Ucałował ją serdecznie, ale bez pasji. Wypili toast za przyszłe urodziny, spędzone w interesujących miejscach, a resztę szampana schowali do pokojowej lodówki, do wypicia po powrocie. Do Tour D'Argent pojechali taksówką.

Patrząc na Rogera w złocistym, dyskretnym świetle lampki na stoliku, na rzeźbioną bryłę katedry Notre Dame za oknem i srebrzącą się w dole Sekwanę, Oliwia myślała, jak bardzo powinni być szczęśliwi. Mieli zdrowie, pieniądze, dobry zawód, mogli pojechać w każde miejsce świata i robić wszystko, na co mają ochotę. Potrafili być najlepszymi kochankami i przyjaciółmi. Czego trzeba było jeszcze?

Pili znakomite wino, jedli słynną kaczkę, a na deser zamówili szampana. Kolacja była bardzo droga, ale Roger nie pozwolił Oliwii zapłacić. Przy sąsiednim stoliku siedział mężczyzna nieco starszy od Rogera, z młodą kobietą w wieku Wendy, która, sądząc ze spojrzeń, jakimi ją obdarzał, na pewno nie była jego córką. Smukłe palce kobiety zmysłowym ruchem gładziły smukły kieliszek.

Oliwia odwróciła wzrok. Czy wszystko musiało przypominać jej o zdradzie, nawet w takich momentach?

Wrócili do hotelu i zaczęli szykować się do spania, choć żadne z nich nie odczuwało jeszcze senności. Oboje byli dziwnie nerwowi i spięci. Zasunęli zasłony, zapalili dyskretne światło, Roger wyjął z lodówki resztę szampana.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz - pochwalił z błyskiem w oku.

- Dziękuję.

Podszedł i wziął ją w objęcia, jednak tym razem nie przypominał już poczciwego misia.

- Kocham cię-powiedział.

Wyjął kieliszek z jej dłoni, odstawił na szafkę i zaczął ją całować. Już prawie zapomniała, kiedy ostatnio to robili. Zdawało się jej, że od tego czasu minęła cała epoka. Przymknęła oczy, czując, jak Roger ściąga jej suknię z ramion, a potem sam się rozbiera. Za chwilę, nie przerywając pocałunku, zaniósł ją na łóżko.

To moje łóżko, nie jego, pomyślała.

Cholera... Zawsze musi być jakiś symbol.

Tak długo marzyła o tej chwili, a teraz...

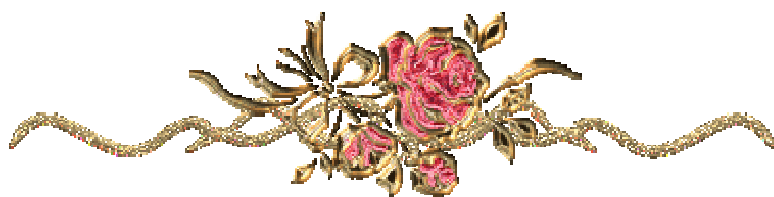
Roger, podniecony, całował ją i pieścił. Oddawała pieszczoty, ale bez pasji - dopóki w jej myślach nie pojawił się nagle obraz Marka Delona, a ciało, które trzymała w ramionach, nieoczekiwanie stało się jego ciałem - smukłym, gładkim i muskularnym. Twarz, majacząca jej zza przymkniętych powiek, przemieniła się w piękną, młodą twarz Marka, pasma jego ciemnych włosów muskały jej piersi jak delikatne pióra...

Teraz dopiero zadrzała z podniecenia. Tam, gdzie pulsowało źródło rozkoszy, dotarły jego palce, a potem zachłanny język. Zaczęła wciągać go na siebie, coraz bardziej niecierpliwie, bo chciała więcej, więcej i więcej...

Po dwóch gwałtownych, chaotycznych pchnięciach Roger doszedł przedwcześnie do szczytu i znieruchomiał na niej, bezsilny i zawstydzony. Z początku Oliwia nie zorientowała się, co się stało. Jeszcze czekała, zła i niecierpliwa, ale on nawet już nie próbował, tylko zsunął się z niej, pocałował ją szybko w usta i zniknął w łazience. Może zbyt się denerwował, a może wypił za dużo. Nieważne...

Oliwia zasypiała, marząc o Marku Delonie.

RS



Rozdział 20

Minał przedłużony weekend z okazji wrzeźniowego Dnia Pracy, a to oznaczało koniec urlopów i nowe zadania. Roger zaczął je od lunchu z Wendy.

Unikał jej przez całe lato, jak tylko mógł. Spotkali się jedynie trzy razy, by wypić drinka, całkowicie platonicznie. Teraz, podobnie jak Rogerowi, trudno było się jej wyrwać z biura, bo starała się o awans. Przestała narzekać, że nie zabiera jej na kolację, i domyślał się, że ma kogoś nowego. Mógł to być na przykład ktoś z gości letniego domu, jaki wynajmowała ze znajomymi.

Roger był tylko trochę zaskoczony tym, że kobieta, którą znał jako histeryczkę, potrafiła się tak szybko pozbierać i zaangażować na nowo. W sumie jednak cieszył się, bo dzięki temu sprawa rozwiązała się sama.

Tym razem spotkali się w śródmieściu, w restauracji, gdzie Wendy przychodziła na oficjalne obiady z klientami. Widząc ją w eleganckim, bardzo oficjalnym kostiumie, Roger miał wrażenie, że gra kolejną rolę na jego użytek. Wendy była jednak nie dość że ponętna, to jeszcze prawdziwa.

- Szef mnie teraz lubi - oznajmiła wesoło.

- A wcześniej nie lubił?

- Narzekał, że za często wyrywam się z biura. Wtedy spotykałam się z tobą. Oczywiście sam jest niezłym tyranem i najchętniej by nas przykuł do biurka.

- Cóż, z jego punktu widzenia to jest słuszne - powiedział Roger tonem wujka, pouczającego swawolną siostrzenicę.

- Wiem, wiem... - Wendy machnęła ręką i nabrała sobie sałatki. - Jak ci się układa z Oliwią?

- Dobrze.

- Pogodzeni i szczęśliwi?

- Mniej więcej. - Lepszej odpowiedzi dać nie mogł. Znów spali razem, byli dla siebie bardzo życzliwi i czasem nawet się kochali, ale czegoś temu wszystkiemu brakowało, tak jak w Paryżu. Roger kończył przedwcześnie, nie zadowolając Oliwii, i był z tego powodu coraz bardziej sfrustrowany.

- A mogłeś być ze mną. - Wendy spojrzała z nostalgią i pokiwała głową.

- Kocham ją - powiedział po chwili.

- Mnie też to mówiłeś, kłamco - uśmiechnęła się złośliwie.

- Bo chciałaś, żebym tak mówił.

- Ja? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Myślałem, że rozumie się samo przez się.

- A ja myślałam, że to prawda.

Przez tę rozmowę odechciało mu się jeść. Wendy po mistrzowsku umiała wzbudzić w nim poczucie winy.

- Przepraszam, nie powinienem był tego mówić. Postąpiłem okrutnie - kajał się.

- Ale szczerze. I tak wiedziałam, że udajesz.

Wyglądała teraz jak skrzywdzone dziecko i miał ochotę ją

pocałować. Mała dziewczynka, która bawi się w panią makler...
Ciekawe, czy klienci mają do niej zaufanie.

- Zaslugujesz na mężczyznę, który zamiast odgrywać opiekuńczość, naprawdę dbałby o ciebie - powiedział Roger.

- Wiem.

- Zastanawiałaś się kiedyś nad profesjonalną pomocą?

- Myślisz o psychoterapeutach? - zrobiła dziwną minę.

- Tak.

- Chodzę na terapię już dwa lata - poinformowała go spokojnie. - Opowiadałam tej kobiecie o nas i o wszystkim, co robiliśmy.

- O, Boże - jęknął. Był wściekły, że Wendy zdradziła obcej osobie jego najtajniejsze fantazje, łóżkowe zachowania i słabości. Pewnie nawet chwilowe impotencje. Poczul się idiotycznie nagi i ośmieszony.

- Nie histeryzuj, nic się nie stało.

- Jak to? Przecież to naruszenie mojej prywatności!

- Prywatności? A pamiętasz, co robiliśmy w „TULU”?

- O tym też jej opowiadałaś?

- Oczywiście, przecież po to jej płacę za terapię. Chcesz wiedzieć, co powiedziała?

- Chyba nie.

- Powinieneś być szczęśliwy, że mam taką fantazję. Nagle ogarnęło go poczucie straty.

- I byłem wtedy szczęśliwy - szepnął.

- Moim błędem było trwonienie tej fantazji na nas... na ciebie - ciągnęła Wendy obojętnym, sprawozdawczym tonem. Szeroko otwarte niebieskie oczy patrzyły niewinnie. Ich błękit zawsze zaskakiwał Rogera.

- Przecież ci to mówiłem - stwierdził, usilnie starając się o spokój. - Gdybyś posłuchała, zaoszczędziłabyś na tej babie.

- Powiedziałaś mi to, żeby się mnie pozbyć, ale wcale tak nie myślałaś.

- Ona tak twierdzi?

- Skończmy ten temat, dobrze? - zniecierpliwiła się nagle, znów sięgając po sałatkę.

- W takim razie... jak spędziłaś lato?

- Cudownie.

- Pomysł z wynajęciem domu był dobry?

- Doskonały. Dawno nie zaliczyłam tylu przyjęć i nie poznałam tylu mężczyzn.

- Któryś ci się spodobał?

- Mhm... - Odłożyła widelec i popatrzyła na niego leniwie. - Jestem zakochana.

- Zakochana?

- Tak, on też mnie kocha. - Twarz jej się rozjaśniła. - Świetny facet - przystojny, miły, inteligentny, bogaty, starszy ode mnie. Wszystko, co tygrysy lubią najbardziej. I taki jest dla mnie dobry!

A ja, idiota, martwiłem się, że nie możesz żyć beze mnie, pomyślał gorzko Roger.

- W takim razie gratuluje ci, Wendy - powiedział głośno.

- Rozwiedzie się dla mnie z żoną - ciągnęła z dumą.

- Aha...

- Tylko nie myśl sobie, że jestem harpią, która rozbija rodziny - zastrzegła. - On już od dawna źle z nią żyje, ale męczył się w tym związku, dopóki nie poznał mnie. Teraz postanowił wreszcie ją rzucić i ożenić się ze mną.

- Aty?

- Zawsze chciałam mieć męża, tylko czekałam na odpowiedniego mężczyznę, takiego, który nie będzie udawał, że mnie kocha.

- I on nie udaje.

- Nie. Kocha mnie naprawdę.

- Cieszę się, że znalazłaś szczęście - powiedział Roger.

Teraz, nareszcie wolny, poczuł się lekki jak balon szybujący w niebo. Jednocześnie ogarnął go jednak dziwny smutek.

Od tej pory inny mężczyzna będzie się cieszył pięknym ciałem Wendy. Dla niego będzie odgrywała te porywające spektakle, jemu będzie urozmaicała życie szalonymi pomysłami...

Ale w końcu dopadnie go nuda. Będzie chciał z nią porozmawiać, a wtedy stwierdzi, że ta kobieta nie ma nic do powiedzenia. Co wtedy zrobi?

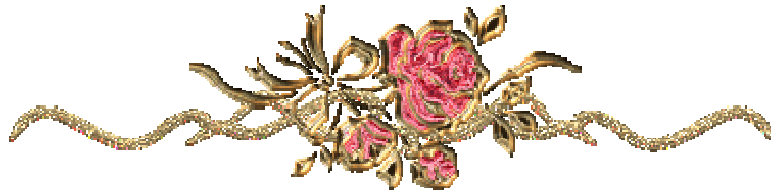
- Jak widzisz was dwoje za jakieś dziesięć lat? - zapytał.

Wendy tak dobrze znanym mu gestem przeczesła palcami włosy. Niebieskie oczy nabrały na moment nieobecnego wyrazu, a potem uśmiechnęła się lekko.

- Jako dobrych przyjaciół, którym dobrze w łóżku. Do tego dwójka dzieci.

- Dobrzy przyjaciele? Tylko tyle?

- Ależ oczywiście - zachnęła się. - To jest przecież podstawa. Nie wiedziałeś?



Rozdział 21

Minęło sześć tygodni od czasu, kiedy Oliwia spotkała Marka Delona w Paryżu, i teraz wstydziła się swoich erotycznych fantazji na jego temat. Gdyby naprawdę chciał się z nią zobaczyć, już by zadzwonił. Nie musiał przecież dzwonić pod numer domowy, gdzie mógł się natknąć na Rogera; podała mu telefon do biura.

Nie przysłał też jej swoich obiecanych artykułów, co byłoby znakomitym pretekstem do odezwania się. Tak, musiał już dawno o niej zapomnieć. Najlepiej więc będzie, jeśli ona również przestanie o nim myśleć i zachowa paryskie spotkanie w pamięci jedynie jako miły epizod.

Roger zachowywał się bez zarzutu, ale bariera pomiędzy nimi pozostała. Oliwia wątpiła, czy ich stosunki zdołają kiedykolwiek wrócić do stanu sprzed romansu z Wendy. Powiedział, że skończył z nią definitywnie, że ostatnio zakochała się w innym mężczyźnie i chce wyjść za niego za mąż. Oliwia wiedziała jednak, że zawsze będzie o niej pamiętał.

Miłym oderwaniem od wszystkich tych problemów był telefon od Melissy, która zadzwoniła, by zawiadomić, że wraz z Nickiem wydają swojemu ojcu, wujowi Davidowi, przyjęcie urodzinowe na siedemdziesięciopięciolecie. Wszyscy w rodzinie

otrzymali w związku z tym zadanie zrobienia pamiątkowych laurek i polecenie przysłania ich jak najszybciej, by można było przygotować okolicznościowy album. Oliwia przeszukała własny album ze starymi fotografiami rodzinnymi - ten sam, który chciała wyrzucić jej macocha Grace - i znalazła w nim kawalerskie zdjęcie wuja Davida. Ależ był przystojny! Nick wrodził się w niego. Znalazła też swoje zdjęcie jako brzdąca w słomkowym kapeluszu i próbnie ułożyła obie fotografie na kartonie.

Co powinna pod nimi napisać? Jakie wspomnienia przywołać? W czasach szalonych wakacji w Mandelay, kiedy uganiała się z bandą dzieciaków po ogrodach, nie zwracała uwagi na dorosłych. Pamiętała wuja Davida, jak razem z ciotką Hedy i przyjaciółmi grał w krykieta na starannie przystrzyżonym trawniku w cieniu wielkich drzew. Jeszcze teraz brzmiały w jej uszach suche uderzenia drewnianego kija w piłki, radosne pokrzykiwania wuja i władczy, spokojny głos ciotki Hedy.

Lubiła wuja, bo zawsze był uśmiechnięty i skory do śmiechu, a w wolnym czasie pokazywał im całkiem niezłe magiczne sztuczki. Często na przykład wyciągał jej jajko z kieszeni. Jego starszy brat, wuj Seymour, był dla kontrastu stale narzekającym, zgryźliwym wrzodowcem, w dodatku dręczonym migrenami. Nie miał czasu dla dzieci, bo zawsze musiał omawiać jakieś interesy. Uśmiechał się tylko wtedy, gdy mówił o zyskach, udanych inwestycjach, albo sukcesach domu handlowego „JULIA”.

Oliwia znalazła jeszcze jedną swoją fotografię, na której uwieczniono ją jako długonogą nastolatkę. Przypominała wtedy ni mniej, ni więcej, tylko wyrosniętego żrebaka. Było jeszcze zdjęcie wuja Davida na jakimś przyjęciu w Mandelay, starszego już, lecz nadal zabójczo przystojnego pana. Przewertowała rów-

niez swoje najnowsze albumy i wybrała zdjęcie zrobione w klinice, gdzie stoi z Wozzle u nogi na tle swoich dyplomów, oprawionych w ramki i powieszonych na ścianie. Z tych pięciu zdjęć skomponowała kolaż, zostawiając miejsce na tekst. Nie szukała aktualnej fotografii wuja Davida, bo uznała, że sam najlepiej wie, jak wygląda, patrząc codziennie w lustro, i wcale się tym nie cieszy. Zresztą chodziło o wspomnienia.

Pod zdjęciami napisała:

„Kochany wujku Davidzie, dziękuję ci za magię - ale czy nie sądzisz, że jestem już na tyle duża, byś mógł mnie wtajemniczyć w sztuczkę z jajkiem w kieszeni? I odkryć tajemnicę swojej wiecznej młodości?”

Ostatnie zdanie było czystym pochlebstwem, ale na tym w końcu polega pisanie laurek. „Z miłością, Oliwia” - podpisała jeszcze i włożyła karton do dużej koperty, na której następnie umieściła adres Melissy w Houston.

Urodzinowe przyjęcie wuja miało się odbyć w Nowym Jorku, w nowym mieszkaniu Nicka i Lynne, którego jeszcze nikt z rodziny nie widział. Roger zgodził się iść tak skwapliwie, jakby chciał nadrobić wszystkie dotychczasowe zaległości w tym zakresie. Na szczęście nie musieli tym razem martwić się o prezent. Nick wpadł na zbawienny pomysł, by zamiast kosztownych bibelotów zafundować wspólnie wujowi Davidowi podróż statkiem dookoła świata, dopóki jeszcze nie jest za późno. Wszyscy przyklasnęli tej myśli.

Oliwia była ciekawa, czy wuj spotyka się jeszcze ze swoją przyjaciółką i czy będzie chciał zabrać ją ze sobą. Czy w wieku siedemdziesięciu pięciu lat uprawia się jeszcze seks? Przypomniała sobie rozmowy z dzieciństwa ze swymi kuzynkami, kie-

dy zastanawiały się, czy ludzie po czterdziestce nadają się jeszcze do tego!

Oliwia od jakiegoś czasu przestała już prawie myśleć o Marku Delonie, kiedy pewnego dnia stanął w drzwiach jej gabinetu ze Spotem u nogi.

Po tych wszystkich fantazjach na jego temat poczuła się trochę nieswojo, ale powitała go ciepło i z miłym uśmiechem.

- Hej, miło cię znów widzieć. Czy nadszedł termin kontroli Spota?

- Nie - odparł, patrząc jej prosto w oczy. Podrapała psa za uszami.

- Co was w takim razie do mnie sprowadza?

- Chyba coś mu jest w łapę.

- W którą?

Pokazał na przednią prawą. Oliwia badała ją długo, oglądając i naciskając.

- Nie widzę, żeby narzekał - stwierdziła. Rzuciła psu biszkopta i popatrzyła, jak biegnie po niego. -I nie kuleje.

Marc wzruszył ramionami.

- Naprawdę cierpiał.

- Mogę zrobić rentgen, ale sędzę, że jeśli nawet coś było, to samo przeszło. - Spojrzała na psa, który wesoło zamerdał ogonem.

- Dobrze, przyznam się - powiedział spokojnie Marc. — Przeszedłem tutaj, bo myślałem o tobie, a nie mogłem zdecydować się na telefon. Czy możemy się umówić na lunch albo na drinka?

A więc nie zapomniał, pomyślała, zadowolona i zaskoczona zarazem. Jednak nie zapomniał.

- Oczywiście - zgodziła się natychmiast.

- Może już dzisiaj, kiedy skończysz?

Oto facet, który układa plany w biegu, pomyślała z rozba-
wieniem. Był taki młody. Tego popołudnia Roger miał iść po
pracy na siłownię. Zresztą, dlaczego nie miałyby się zobaczyć ze
znajomym?

- Da się zrobić - uśmiechnęła się.

- Mam przyjść po ciebie, czy wolisz się umówić na mieście?

- Wolę się umówić - powiedziała z natychmiastowym po-
czuciem winy. Szybko przetłumaczyła sobie jednak, że wybiera-
jąc miasto, robi to ze względu na ewentualne plotki w biurze.
-O szóstej, tylko gdzie?

- Bar u Caryrle'a?

Lokal był drogi, a pamiętała, jak mówił, że ma niewiele pie-
niędzy.

- Czyżbyśmy mieli coś świętować? - zapytała.

- Nie, chciałem tylko, żeby było miło. Wzruszył ją tym.

- Bardzo dobry pomysł - powiedziała.

Bar Bemelmans u Caryrle'a miał zabawne malunki na ścia-
nach i małe stoliki, na których stały miseczki z orzeszkami i chi-
psami. Panował w nim miły półmrok, ale nie na tyle dyskretny,
by można się było ukryć przed wzrokiem innych. Pianista przy-
grywał trochę za głośno.

Oliwia i Marc zgodnie zamówili białe wino.

- Krowa Krzywonożka już jest w mojej książce - powie-
dział.

- Wreszcie Lila doczekała się upamiętnienia.

- Najlepszego! -Uniósł swój kieliszek.

- Za twój sukces! - Dotknęła jego kieliszka swoim. Popatrzyli sobie w oczy i już nie odwrócili wzroku.

- Co porabiałaś od czasu Paryża? - zagadnął bynajmniej nie zdawkowo. Jego księżycowe oczy wpatrywały się w nią z zainteresowaniem, jakby jej życie było niesłychaną atrakcją.

- Po prostu pracowałam - odparła lekkim tonem. - Próbo-
wałam znów wejść w codzienny kierat. Szkoda, że nie przysłałeś mi swoich artykułów.

- Mam je ze sobą. - Skwapliwie sięgnął do teczki i wyjął plik spiętych arkuszy. - Proszę. Byłbym naprawdę wdzięczny, gdybyś znalazła czas, by je przeczytać.

- Na pewno znajdę.

- Świetnie.

Włożyła papiery do torebki, czując na sobie jego wzrok.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz - zapytała, gdyż poczuła, że za chwilę się zaczerwieni. W jej wieku!

- Jesteś taka piękna - powiedział cicho.

- O, dziękuję.

- Roger musi ci to ciągle powtarzać.

- Jasne.

- Szczęśliwy z niego facet.

- Jak cholera! - zachichotała. - Znalazłeś już sobie nową dziewczynę?

- Nie.

- A co robiłeś po powrocie z Paryża?

- Nic, pisałem książkę. I myślałem o tobie. Nie dzwoniłem, bo czułem się głupio. Mówiłem sobie: Daj spokój, ona nawet na ciebie nie spojrzy, przecież na swoje życie, męża...

Oliwia nie powiedziała głośno, że Roger nie jest jej mężem.

Zresztą równie dobrze mógłby być. Nieważne. Ważne jest to, że siedzi właśnie w towarzystwie sporo młodszego od niej Marka Delona, a ich rozmowa bardziej przypomina flirt niż pogawędkę dobrych znajomych. Co ona tu właściwie robi z tym pięknym młodym mężczyzną, który najwyraźniej jej pożąda? Czego się spodziewa?

- A jednak... - zaczął Marc.

- A jednak co?

- A jednak jestem tu z tobą.

- Właśnie.

- Historia, którą mi opowiedziałaś, zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Pomyślałem sobie: Oto kobieta, której jako małej dziewczynce powiedziano, że ma na zawsze pozostać w domu i dawać swojej matce wszystko, bo gdy tylko odejdzie - zginie. Dziewczynka wykazała wielką odwagę, decydując się jednak na odejście, a potem sama ułożyła sobie życie. Podziwiam cię.

- Miło mi to słyszeć. Moja rodzina nadal uważa mnie za odmieńca. Wiesz, dwa rozwody, życie na kocią łapę, zawirowane ciuchy...

- Podoba mi się twój styl.

- Dzięki za kolejny komplement. Nie ja jedna byłam odmieńcem w tej rodzinie. Miałam jeszcze dwóch kuzynów - kaskaderów.

- Ho, ho! - Marc był wyraźnie zachwycony.

- Niestety, obaj zginęli przedwcześnie.

- Tak mi przykro. - Najwyraźniej sądził, że zginęli w wypadku i na razie nie prostowała tej wersji. Powoli przypominała sobie zasady flirtowania na randkach - ujawnianie najbardziej smakowitych kąsków na przynętę, dawkanie informacji i sta-

ranne ukrywanie wszystkiego, co może zniechęcić lub wystraszyć drugą stronę, na przykład historii samobójstw w rodzinie.

- Miałem kuzynkę, która była baletnicą. Mogła być sławna, ale również umarła przedwcześnie.

- Na co?

.- Miała anoreksję.

Nie lepiej niż samobójstwo, pomyślała Oliwia. Mamy więc coś wspólnego.

- To tragiczne - powiedziała głośno.

- Tak. Brakowało jej poczucia własnej wartości.

- Wtedy łatwo jest przegrać-przyznała.

- Ale ty je masz.

- Przynajmniej usiłuję.

- Ja też. Na tym etapie życia, kiedy muszę dopiero zdobywać dla siebie pozycję, nie zawsze jest mi łatwo.

- Każdy przez to przechodzi.

- Wiem. Ale pewnego dnia stanę się sławny i wtedy będę mógł cię olśnić.

- I tak już mnie olśniłeś.

- Serio? - uśmiechnął się przewrotnie. —Myślisz, że mogliśmy się w sobie zakochać?

Musielibyśmy zupełnie zwariować, pomyślała.

- Już się zakochałam - powiedziała głośno, mrugając do niego okiem.

- Oczywiście żartujesz.

- Skądże!

- A może...

- Może co?

- Może to ja sobie żartuję?

Wpatrywał się w nią niewinnym wzrokiem, a kąciki jego kształtnych ust wyginał leciutki uśmieszek. Był po prostu śliczny. Oliwia przypominała sobie Alys, która zażartowała kiedyś gorzko, że aby przyciągnąć mężczyznę, udaje mężatkę, bo kobiety zameżne są, jak się wyraziła, „bezpieczne”.

Zerknęła na zegarek.

- Muszę już iść. Naprawdę - powiedziała z naciskiem, widząc jego proszące spojrzenie. - Zadzwoń, kiedy przeczytam twoje artykuły.

Na ulicy chciał zatrzymać dla niej taksówkę, ale wolą iść piechotą. Na pożegnanie musnął wargami jej policzek. Ich dotyk był miękki i zmysłowy.

Idąc w stronę domu, Oliwia uświadomiła sobie, że ogarnęła ją rozkoszna euforia nastolatki po pierwszej randce. Czy potrzeba mi aż flirtu^ żeby podbudować poczucie własnej wartości? - pytała zdumiona sama siebie.

Wróciła jeszcze przed Rogerem i zabrała się za robienie kolacji, ciągle jeszcze czując na policzku dotyk warg Marka i wyobrażając sobie, jak czułaby się, gdyby dotknęły jej ust. Kiedy tylko przymykała oczy, już przy niej był.

Nie mogła się zdecydować, czy ma powiedzieć Rogerowi o tym spotkaniu. Bała się, że jeśli opowie mu o tym jak o zwykłym, nieistotnym zdarzeniu, zniszczy tę cudowną aurę, jaka otaczała jej znajomość z Markiem. W końcu nie powiedziała nic.

Artykuły czytała, leżąc w łóżku, bo tylko wtedy miała naprawdę chwilę dla siebie.

- Co tam masz? - zagadnął Roger, zaglądając jej przez ramię.

- Marc Delon przyszedł dzisiaj na kontrolę z psem i przy

okazji zostawił mi swoje artykuły, co obiecał jeszcze w Paryżu - poinformowała. Kłamstwo numer jeden, dodała w duchu.

- I co, dobre są?

- Nieźle - mruknęła, wracając do czytania.

Były to raczej felietony niż pogłębione eseje, pisane z punktu widzenia młodego, wrażliwego człowieka, który uczy się, jak funkcjonować w społeczeństwie, narzucającym swoje normy, i zastanawia, jakie życiowe strategie są najkorzystniejsze w tym trudnym, skomplikowanym współczesnym świecie.

Jeden z tekstów dotyczył problemów męsko-damskich i kwestii rozstania. Sądząc z daty publikacji, dziewczyna, o której wspominał Marc w swym artykule, musiała być tą samą, o której opowiadał Oliwii w Paryżu. Ciekawe, dlaczego dał jej właśnie do przeczytania ten kawałek? Widocznie chciał, żeby wiedziała, że jest już wolny. W tym bardzo osobistym felietonie Oliwia odnalazła echo własnych smutków, które pojawiały się zawsze, gdy w jej życiu kończyło się coś radosnego i trzeba było się znów zderzyć z twardą rzeczywistością. Tak się na przykład czuła po serii rozpaczliwych romansów, w jakie wplątała się pomiędzy swoimi mężami, a przed Rogerem. Zaciekawiał ją męski punkt widzenia tych spraw.

Odczekała jeszcze dwa dni, zanim zadzwoniła do Marka.

- Przeczytałam twoje artykuły i bardzo mi się podobały. Masz świetne pióro.

- Dzięki.

- Zwłaszcza ten, gdzie piszesz, jak ciężko jest być z kimś, wiedząc jednocześnie, że się popełniło błąd. Myślałam o... oczywiście nie o Rogerze, ale o dawnych sprawach.

- O swoich dwóch małżeństwach?

- I kilku innych pomyłkach.
- Ale pomimo tego nie lubię być sam, a ty?
- Też nie. Choć długi czas mi się udawało.
- Mnie się nie udaje. Muszę kogoś mieć. Wtedy dopiero umiem i lubię być sam ze sobą. Wtedy dopiero mogę wyłączyć się i pisać, albo po prostu myśleć.

- Sprzyjające środowisko - powiedziała Oliwia, myśląc o Mandelay.

- Tak, dokładnie.
- Pewnie chciałbyś, żebym oddała ci te wycinki.
- Tak. Może umówimy się w przyszłym tygodniu na drinka i oddasz mi je przy okazji?

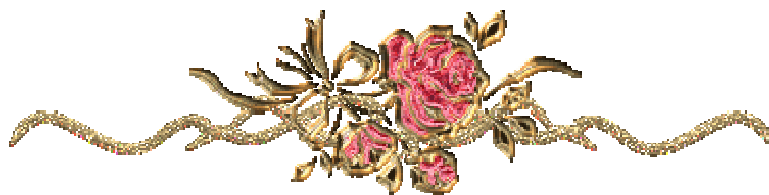
Oliwia była mu wdzięczna, że nie zaproponował, by przesłała je pocztą.

- Dobrze, zatem umówmy się.
- Poniedziałek?
- Pasuje. - W poniedziałkowe popołudnia Roger chodził na siłownię. Zakrawało na ironię, że wykorzystywała teraz to, co było kiedyś jego alibi. Nie chciała się jednak czuć winna - wypicie wina ze znajomym w lokalu nie jest w końcu niczym zdrożnym.

- Znów u Caryle'a, o szóstej?
- W porządku. - Powiedz jeszcze, że to „nasze miejsce”, pomyślała, a odwołam to spotkanie.

- To nasze miejsce - powiedział Marc, śmiejąc się do słuchawki. Oliwia uśmiechnęła się.

Nie doceniła jego uroku. Nie miała zamiaru niczego odwoływać.



Rozdział 22

Urodzinowe przyjęcie wuja Davida odbywało się w sobotę. Remont trwał długo, ale po nim nowe mieszkanie Nicka i Lynne - dwupoziomowy apartament z szerokimi kręconymi schodami i tarasem wychodzącym na Central Park - nabrało prawdziwego stylu. Podkreślały go oczywiście modne obrazy: Liechtenstein, Jim Dime i Botero królowali w salonie, a trzy Warhole w jadalni, gdzie urządzono stół i barek. Meble były nowoczesne, ale -o dziwo - bardzo wygodne. Świeżo pomalowane ściany lśniły jak lodowa tafla.

Goście zjawili się w pełnej gali. Dorośli oglądali mieszkanie, chwalać wszystko, co zobaczyli. Dzieci zgromadziły się w pokoju Amber, czekając niecierpliwie, by zagrać na jej automacie do gry. Pokój obok, już umeblowany, ale jeszcze bez zabawek, czekał na drugie dziecko, które planowali Nick i Lynne.

Kiedy dumni gospodarze pokazywali swoją siedzibę, Melissa z Billem demonstrowali księgę pamiątkową wuja Davida -a właściwie ogromny album, zajmujący cały stolik do kawy w salonie. Wyfraczony kelner roznosił szampana i wodę gazowaną, a śliczna dziewczyna serwowała kanapki. Pomyślano również o wynajęciu pianisty i dyskretne tony muzyki stanowiły

przyjemne tło dla gwaru rozmów licznej rodziny Millerów. Krewni pozdrawiali się, ściskali i całowali. Wujek David promieniał.

Stawili się prawie wszyscy: wuj Seymour z ciotką Iris, ciotka Myra, Jenny i Paul, Taylor i Tim, Kenny i Pam, a nawet Anna Idealna z młodym człowiekiem, który wydawał się Oliwii dziwnie znajomy. W końcu rozpoznała w nim jej syna, Tony'ego. Tony'emu towarzyszyła żona, która wyglądała jak dziewczynka. Było też kilkanaście starszych osób - wypróbowanych przyjaciół Davida.

- Musicie nas koniecznie odwiedzić - powiedziała Pamela do Oliwii i Rogera. - Za miesiąc przeprowadzamy się do nowego domu. Będzie tam mnóstwo pokoi gościnnych.

Koniec z nieogrzewanym łóżem wodnym, uśmiechnęła się W duchu Oliwia. Kenny wreszcie ma o kogo dbać.

- Z przyjemnością - powiedziała, choć nie przypuszczała, żeby Roger miał ochotę na takie wakacje.

Odłączyła się od niego i powędrowała do pokoju Amber, by popatrzeć na dzieciaki. Oczywiście zdążyły już urosnąć. Zmieniały się tak szybko, że poczuła się trochę smutno. Umykały jej; nie wiedziała nawet, co myślą i co robią. Teraz były tak zajęte, że nawet jej nie zauważyły, więc wycofała się do salonu i podeszła do stojącej przy oknie Jenny.

- Wspaniałe są te dzieciaki - powiedziała.

- No! Widziałaś, jak Sam wystrzelił w górę? Wszystkie dziewczyny w szkole się za nim oglądają.

- A ma już dziewczynę?

- Dwie albo trzy - w głosie Jenny brzmiała skrywana duma.

- Powiedz, czy my wyglądamy na rodziców nastolatka?

- Nie - odparła Oliwia, tak jak od niej oczekiwano.
- Maks jest następny w kolejce.
- Aha. Wiesz, że z początku nie poznałam syna Charlie'ego?
Zwykle nie raczył się zjawiać przy takich okazjach.
- Pewnie dojrzał do tego, żeby lepiej poznać rodzinę - powiedziała Jenny.

- Lepiej późno niż wcale. Ale jego tatusia jak zwykle nie ma.
Jenny popatrzyła na nią ze zgrozą.

- To ty nie wiesz?

- O czym? - zdziwiła się Oliwia.

- Przecież Charlie nie żyje.

- Co?! Jak to nie żyje? Dlaczego nic nie wiem? Jak to się stało? Kiedy? - Oliwia nie mogła uwierzyć w sens tego prostego stwierdzenia.

- W lipcu jego samolot rozbił się o zbocze góry. Charlie siedział za sterami, jak zwykle. To nie był błąd w pilotażu, tylko jakaś wada maszyny. Byłaś wtedy z Rogerem w Paryżu. Myślałam, że ktoś cię zawiadomił.

- Nikt!

- Wszyscy byliśmy zszokowani - powiedziała Jenny.

Teraz Oliwia była tak zszokowana, że nawet nie bardzo wiedziała, co ma myśleć.

Charlie - Złoty Chłopiec, nie na darmo nazywany również Idealnym... Sama znała go słabo, ale wiele o nim słyszała. Stale mówiono o tym rodzinnym geniuszu interesów, członku niezliczonych rad, klubów i towarzystw, przystojnym mężczyźnie o nienagannej prezencji i wielkim uroku osobistym. Ten to właśnie wspaniały Charlie ginie w głupim, niepotrzebnym wypadku...

Miał tak wspaniałe zdrowie - pamiętała, jak chwalił się, że pobiegnie w nowojorskim maratonie z synem i razem z nim minie metę.

Przydomek „idealny”, który nadała mu przed wielu laty, był częściowo ironiczny, gdyż Charlie, podobnie jak jego siostra, Anna, był dla starszych prawdziwym ideałem dziecka. Oliwia, znając go z dziecięcych zabaw, uważała, że jest zbyt ambitny i ma obsesję współzawodnictwa na każdym polu, i oczywiście - wygrywania.

- Wujek Seymour wdraża Tony'ego do pracy w domu towarowym - powiedziała Jenny. - Tony jest prawnikiem, ale teraz musiał zrezygnować z praktyki. Zawsze wiedział, że któregoś dnia pokieruje „JULIĄ”, ale nie spodziewał się, że nastąpi to tak wcześnie.

- Nawet ciotka Myra nic mi nie powiedziała - narzekała Oliwia. Poczula się głęboko urażona i zlekceważona. - Nawet nie złożyłam im kondolencji.

- Wiesz, wujek Seymour i ciotka Iris od tego czasu nawet słowem nie wspominają o Charlie'm.

- To musiał być dla nich straszny cios - powiedziała ze współczuciem Oliwia.

- Jasne. W tym wieku stracić dziecko... Myśleli, że odejdą pierwsi.

- Wyobrażam sobie, co wszyscy myśleli, kiedy nie zjawiłam się na pogrzebie. - Oliwia znów poczuła przyływ goryczy. - Ale przecież nikt mnie nie zawiadomił.

- Ach, pogrzeb to była cała pompa. Charlie był znaną postacią w Nowym Jorku. Zamieszczono nawet wzmiankę w „New York Timesie”.

- Nie czytaliśmy „New York Timesa” w Paryżu.

- Nie martw się, nikt nie miał ci za złe - powiedziała łagodnie Jenny.

Oliwia, nieco uspokojona, popatrzyła w stronę wuja Seymoura i ciotki Iris. Ich postacie wydały się jej nagle kruche i bezbronne. Uśmiechali się do swojego wnuka, Tony'ego. Jego synek, a ich prawnuk, wybiegł nagle z pokoju dziecięcego i przypadł do matki, prosząc o kanapkę. Ciotka Iris pochyliła się i pogładziwszy chłopca po główce, dała mu grzanekę z serem.

Prawnuk, kolejne ogniwo w łańcuchu życia. Tylko w ten sposób mogli znieść swoją tragedię.

Pianista przestał grać. Nick wystąpił przed zebranych, by wygłosić toast.

- Za mojego wspaniałego ojca! - powiedział, wznosząc kieliszek. Oliwia zastanawiała się, czy śmierć Charlie'ego da mu coś do myślenia, jeśli o chodzi o szalone loty helikopterem w góry. Miała taką nadzieję.

Nick przywołał wspomnienia. Mówił o młodzińskich przygodach wuja Davida, o których krążyły potem anegdoty w rodzinie, i o starych, dobrych czasach, kiedy on i jego siostra Melissa byli jeszcze dziećmi. Oliwia słyszała już tę historię, więc pozwoliła swoim myślom błądzić swobodnie. Jej wzrok pobiegł ku Rogerowi, stojącemu w kącie salonu, tak znajomemu, miłemu i przyjaznemu. A potem wyobraziła sobie dotyk miękkich warg Marka Delona na swym policzku...

Tymczasem Melissa podeszła do brata - smukła, w wąskiej czarnej sukni, dyskretnie ozdobionej kryształami górskimi - i wzniosła swój kieliszek w toaście.

- Za mojego kochanego tatusia! Sto lat! I dziękuję wam

wszystkim, że zechcieliście przyjść, by uczcić ten wyjątkowy dzień.

Rozbrzmiały oklaski. Wuj David wstał.

- Chciałbym podziękować moim dzieciom za wspaniałe przyjęcie - oznajmił wzruszonym głosem - i za to, że w ogóle są. Nie mógłbym sobie życzyć lepszych dzieci ani wnuków. Dziękuję też mojej żonie Hedy za te wszystkie lata szczęścia, jakie mi dała... jakie dała nam trojgu. Była najlepszą żoną i naj lepszą matką. Mogę z całą szczerością powiedzieć, że miałem szczęśliwe życie.

Po toastach i przemowach wszyscy przeszli do jadalni. Oliwia i Roger usiedli razem z Jenny, Paulem, Kennym, Pam, Taylor i Timem. Jedli homara na zimno, popijając białym winem.

- Wspaniałe przyjęcie, prawda? - powiedziała Pam. - Wy prawie ci takie, Kenny, kiedy będziesz miał tyle lat, co wuj.

- Uśmiechnęła się do niego zalotnie. Wizja Kenny'ego jako szacownego staruszka zdawała się być odległa o całe lata świetlne.

- „Czy będziesz mnie karmić, czy będę ci potrzebny, kiedy skończę sześćdziesiąt cztery?” - Kenny zanucił ze śmiechem piosenkę Beatlesów. - Ależ to było dawno, co? Niedługo rzeczywiście trzeba będzie nas karmić.

- Wiecie, że odstawiłam prozac? - pochwaliła się Taylor.

- Teraz muszę szybko zajść w ciążę, zanim nie będzie za późno. Muszę przecież mieć jakąś podpórę na starość - dodała żartobliwym tonem. - Całkiem zbiednieję, jeśli będę musiała dalej spłacać sama dom Grady'ego. Nikt nie chce go kupić. Trzeba chyba zrobić ten taras.

- Chciałem sam go dokończyć - odezwał się Tim - ale mi nie pozwoliła.

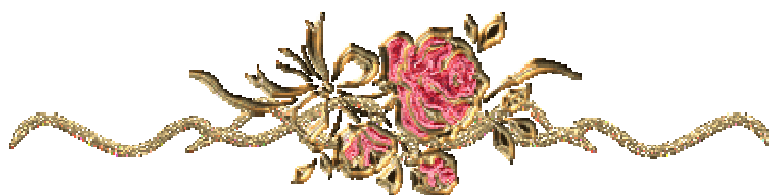
- Masz ważniejsze rzeczy do roboty. Jesteś artystą. Ja odpowiadam za Grady'ego.

Oliwia nie potrafiła rozstrzygnąć, czy Taylor nie była raczej zazdrosna o pamięć brata niż przepełniona poczuciem winy. A może zadziały oba odczucia. Musiała zdawać sobie sprawę, że Grady, choć była dla niego osobą najbliższą na świecie, nie czuł się na tyle bezpiecznie, by zwierzać się jej ze wszystkiego. Ani Tim, ani Taylor nie wspomnieli o taśmie wideo, jaką jej przysłał; widocznie ich zdaniem ów film zasługiwał tylko na zapomnienie.

Dalej rozmowy stały się sztapowe. Ktoś zagadnął Rogera o Paryż. Roger odpowiedział zdawkowo. Jedli sałatę z serem brie, popijając czerwonym winem. Potem wniesiono sorbet, truskawki, szampana i ogromny urodzinowy tort czekoladowy, który wuj David pokroił osobiście.

- Nie wiem, jak twój wujo po tym przyjęciu i po tym torcie zniesie podróż morską - powiedział do niej ze śmiechem Roger.

Uraził ją ten prymitywny żart. Dlaczego akurat dzisiaj Roger nie potrafi się zachować? Ciągle myślała o kolejnej śmierci w rodzinie i nie była w nastroju do żarcików. Tak, ale Roger jeszcze o niej nie wiedział.



Rozdział 23

Kiedy Oliwia spotkała się znów z Markiem w „ich miejscu” u Caryle'a, czekał na nią przy odosobnionym stoliku w kącie, gdzie mogli usiąść bliżej siebie. Oliwia poczuła dreszcz radości. Obok tuliła się jakaś para, wymieniając zachłannie pocałunki.

- Cześć - powiedziała żywo Oliwia, kładąc na stół teczkę z wycinkami i sadowiąc się na krzeselku.

- Cześć - rozpromienił się. Uśmiechali się do siebie, dopóki nie przyszedł kelner. Marc zamówił białe wino.

- Muszę wiedzieć, o czym myślisz - powiedział, patrząc jej intensywnie w oczy. - Powiedz mi, szybko.

- Że jesteś bardziej atrakcyjny niż cię zapamiętałam - odparła bez wahania i po chwili się zaczerwieniła. Daj spokój, to tylko komplement, uspokajała się. Mężczyźni lubią komplementy, a dla tego przystojniaka muszą być one chlebem codziennym.

- A co robiłaś? - indagował dalej, przysuwając się jeszcze bliżej, jak gdyby jej życie fascynowało go bardziej niż cokolwiek w świecie.

- Pracowałam. Wiesz, normalna harówka. I byłam na przyjęciu u wuja z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin.

- Miło było?

- Owszem, ale dowiedziałam się, że jeden z moich kuzynów zginął w wypadku samolotowym. To mną wstrząsnęło.

- Współczuję.

- Wypadek był parę miesięcy temu, a kuzyna niezbyt lubiłam, ale mimo wszystko się przejęłam.

- Jasne - przytaknął Marc. - Cóż, w dużej rodzinie zdarza się wiele tragedii. Takie są prawa statystyki.

- Myślę, że ostatnio przekroczyliśmy normę.

- Życie jest coraz bardziej niebezpieczne, ale trudno stale się tym martwić.

- Ja stale się tym martwię.

- Dobrze, ja też. Dlatego trzeba się cieszyć życiem.

- On tak właśnie zginął - ciesząc się życiem. Ale dość już tych smutków. Lepiej powiedz, co ty porabiałeś.

- W sobotę byłem na przyjęciu u przyjaciół. Potem poszliśmy do klubu. Nie przepadam za takimi imprezami, bo po kilku razach stają się nudne.

-Już?

- Jeśli chodziłaś do klubów, to chyba wiesz, o czym mówię.

- Wiem, jeszcze pamiętam.

- Potem pracowałem nad książką. Biegałem w parku. Zamawiałem sobie pizze i inne śmiecie.

- A wszystko to sam? - nie wytrzymała.

- Tak, sam. Teraz już wiesz -jego uśmiech stał się uwodzicielski. - Dołącz do mnie, dopóki jestem singlem. Pragnę cię.

- Świetnie mi robisz na moje ego - roześmiała się Oliwia.

- Powiedz mi, jak mnie widzisz - zapytał gwałtownie, nagle poważniejąc.

- Jako...

- Tylko mów prawdę!

Powiodła spojrzeniem wzdłuż linii jego szyi, smukłej i mocnej, i niespodziewanie wyobraziła go sobie najpierw jako dziecko, a potem jako nastolatka. Przez chwilę trwał dla niej w trzech wcieleniach i poczuła się dziwnie ponadczasowa, mądra i łagodna. Zapragnęła być dobra jak matka dla małego chłopczyka, wprowadzać w życie młodzieńca i jednocześnie rzucić się w ramiona dorosłego mężczyzny, który siedział właśnie przed nią.

- Hmm... - powiedziała powoli. - Widzę bardzo seksownego faceta, z którym mam ochotę poflirtować, a jednocześnie małego chłopczyka, którym jeszcze nie tak dawno był. Myślę tak, ponieważ jesteś o wiele młodszy ode mnie.

- Nie jestem aż tak bardzo młodszy - zaprotestował. -I zupełnie tak samo widzę ciebie. Widzę śliczną, żywą, młodą dziewczynę i mądrą, dojrzałą, piękną kobietę. Chyba wiesz, że dziecko tak naprawdę nigdy w nas nie zanika. Ukryte dziecko w tobie czyni cię jeszcze bardziej interesującą.

- I niepoważną - zachichotała jak nastolatka.

Marc sięgnął po jej dłoń. Jego dotyk zdawał się przenikać całe ciało Oliwii w stopniu, który zdumiał ją samą.

- Poflirtuj ze mną - zachęcił. - No, chyba się nie boisz?

- Prowokujesz mnie?

- Tak - spojrzenie szarych oczu było chłodne, wyczekujące.

Młodzi mężczyźni mają ten tupet; potrafią tak patrzeć, nie kryjąc niczego, pomyślała.

Wybawił ją kelner, który przyniósł wino. Marc puścił jej rękę i zajął się swoim kieliszkiem. Na sali zrobiło się tłoczno, a powietrze zasnuł dym. Gwar głosów tłumił zbyt głośne dźwięki pianina. Oliwia rozejrzała się, by sprawdzić, czy nie ma kogoś ze

znajomych jej czy Rogera; Jeszcze nie była pewna, czy powie mu o tym spotkaniu.

- Czy Roger jest romantyczny? - zapytał nagle Marc.

Drgnęła. Skąd wiedział, że pomyślała o Rogerze?

- Czemu pytasz?

- Bo jestem zazdrosny. Chcę wiedzieć.

- Nie możesz być zazdrosny.

- Ale jestem.

- Żyję z nim już dwanaście lat - powiedziała.

- Czy to ma być odpowiedź?

- Oczywiście, że jest romantyczny. - Pomyślała o wieczorach w jacuzzi, wśród świec i kwiatów, o muzyce, tackach z potrawami na brzegu basenu i psach, rozciągniętych na posadzce; o dłoniach Rogera, masujących jej kark. Romantyczny? Nie, to tylko wprawny terapeuta, ktoś kto dobrze na nią działa, kto tak jak ona lubi komfort oraz chce i umie dzielić z nią miłe chwile. Mój Boże, staliśmy się parą sybarytów, którzy nade wszystko cenią wygodę, westchnęła w duchu z niesmakiem.

- A jednak jesteś tu ze mną - powiedział miękko Marc.

- Tak. - Teraz usiłowała sobie wyobrazić jego piękne, młode ciało we wzburzonej wodzie jacuzzi. - Niestety, muszę już iść. Roger czeka.

- Powiesz mu, że spotkałaś się ze mną?

- Mam nadzieję... że nie będę musiała. Tym razem uśmiech miał triumfalny.

- Spotkamy się jeszcze?

- Tak.

- Kiedy?

- Za tydzień - powiedziała szybko. Potrzebowała czasu, że by móc się pozbierać po tej rozmowie i po tych myślach.

Ze staroświecką uprzejmością nie pozwolił jej zapłacić rachunku. Wyszli na ulicę. Było już ciemno. Tym razem bardzo czule i łagodnie pocałował ją w usta - dokładnie tak, jak sobie wyobrażała.

- O, tak... - wyszeptał zachwyconym, rozkosznym głosem. W drodze do domu Oliwia radośnie zerknęła na sklepowe dekoracje z okazji Halloween, uśmiechając się do swego odbicia. Znowu czuła się jak mała dziewczynka.

Bezpieczny spokój domu, powitalne szaleństwa psów, ostatnie wiadomości w telewizji, powrót Rogera, tryskającego energią po siłowni, ustalanie, co zamówić na kolację- a wszystko to na tle pożądlivych myśli o Marku. Oliwia czuła się jak na radosnym rauszu.

Czy Roger czuł się podobnie z Wendy? Miała nadzieję, że nie. Myśl, że mógłby być tak uszczęśliwiony z powodu innej kobiety była bolesna. Trzeźwiejsza część jej umysłu podziwiała jednak tę dwulicowość i zaborczość. Ona, tak jak niedawno on, chciała jednocześnie i Rogera, i Marka.

Zdecydowali się na specjalny z hinduskiej, wegetariańskiej restauracji i jedli je na kanapie, oglądając oparty na autentycznych wydarzeniach film, który wybrała Oliwia. W przerwie na reklamy omówili swój dzień w klinice. Pod koniec filmu ramię Rogera zagarnęło Oliwię.

- Kocham cię - powiedziała, przytulając się do jego boku.

- Ja też cię kocham.

Zawsze byli dla siebie bardzo mili.

Przez cały tydzień wyczekiwała spotkania z Markiem, walcząc jednocześnie z obawami, które wypełniały jej duszę. Dokąd zaprowadzi ją to zauroczenie? Donikąd - powiedziała sobie stanowczo. Trzeba się nim po prostu cieszyć, to wszystko.

Roger zdołał się wreszcie wyplątać z seksualnego pata, w jaki zabrnął po rozstaniu z Wendy, i teraz był już w stanie kochać się z nią tak jak dawniej, choć nie aż tak często. Sama z reguły myślała wtedy o Marku i zamieniała się w dziką kotkę, jak w dawnych, szalonych czasach. Roger, sądząc, że to on tak ją rozpalił, odpowiadał z coraz większą pasją. Słowem, same korzyści. Doprawdy, nie było się czym martwić.

Gdy zadzwoniła do Marka, poprosiła, żeby wybrał nowe miejsce, gdyż obawiała się, że u Caryle'a zaczną ich rozpoznawać jako parę. Zasugerował skromniejszy, lecz bardziej przytulny barek niedaleko swojego mieszkania na Upper East Side.

Barek, który tak lubił, miał atmosferę kumplo-wsko-młodzieżowego luzu, którą tworzyły: ciemna boazeria na ścianach, drewniane boksy, wielki telewizor nad ladą, włączony na kanał sportowy, i grupy młodych mężczyzn w garniturach, kibicujących ulubionym drużynom z butelkami piwa w rękach. Obok nich kręciły się młode kobiety, chętne i wyraźnie nastawione na podryw.

Marc zaprowadził Oliwię do ciemnego boksu w kącie. Siadając, wykonał gest, który oznaczać miał, że zaszuwa oto niewidzialną kurtynę, mającą odgrodzić ich od świata. Wpatrywali się w siebie z uśmiechem, jak po bardzo długim rozstaniu.

- A więc tu wysiadujesz - powiedziała w końcu Oliwia.
- Nie podoba ci się ta atmosfera?
- Bardzo mi się podoba.

Smukłe palce Marca zakradły się do spoczywającej na stole dłoni Oliwii i splotły z jej palcami. Znów poczuła strumień energii. Od lat nosiła obrączkę i teraz Marc obwodził ją palcem, najwidoczniej sądząc, iż jest ślubna.

- Czy myślałaś o mnie w tym tygodniu? - zapytał.

- Tak. - Dziwnie szybko przypominała sobie ABC flirtowania.

- Ja też myślałem o tobie.

- Nadal jesteś sam? - zapytała, mając nadzieję, że potwierdzi. Zganiła się w duchu za tę ciekawość, ale musiała wiedzieć.

- Nikt, z kim bywam, nie jest na tyle interesujący, by warto było o nim mówić.

- Tak tylko pytałam.

A więc miał kobiety. Jasne, a czego się spodziewała? Był młody i jurny, a do tego wolny. Jednocześnie chciała wiedzieć o nim jak najwięcej i wzdragała się przed tym. Lepiej jednak będzie, jeśli oszczędzi jemu pytań, a sobie odpowiedzi.

- Ty jesteś kobietą, której naprawdę pragnę - oświadczył. Odpowiedziała mu uśmiechem. Kelner przyniósł wino i ulotnił się dyskretnie.

- Tutejsze wino jest dla mało wybrednych - powiedział Marc. - Mam o wiele lepsze w domu.

- Naprawdę?

- Mieszkam praktycznie za rogiem.

- Wiem.

- Przez godzinę nie zdążymy zrobić nic złego.

- Jak najbardziej zdążymy!

Oczy mu błyszczały; nie umiała odgadnąć, czy jeszcze flirtuje, czy naprawdę ją kusi. Palce gładziły jej dłoń czule, zmysłowo,

jakby w zamyśleniu. Zastanawiała się, czy tak będą dotykać jej ciała.

- Za tydzień już mnie nie będzie - powiedział. - Wyjeżdżam.

- Tak? Na długo?

- Wrócę niedługo po Dziękczynieniu. Przyjaciele mają dom w Berkshires i udostępniają mi go jako dom pracy twórczej. Zresztą z obopólną korzyścią, bo będę go pilnował.

Była rozczarowana i lekko urażona. Żadnych rozterek ani przeprosin, tylko stwierdzenie faktu. I narażanie jej na tęsknotę.

- Chyba będę za tobą tęsknić.

- Ja też. Żałuję, że nie będziesz mogła tam ze mną pojechać.

Wyobraziła sobie, jak kochają się w pokoju z belkowanym stropem, oświetlonym pelgającym blaskiem ognia z kominika. Wyobraziła sobie widok na wzgórze za oknem, płonące od jesiennych barw.

- I ja żałuję - powiedziała cicho.

- Czysta natura, świeże powietrze, długie spacer... Wsiadaj w samochód i jedź. Tylko gdybyś tam była, niewiele bym napisał.

- A Roger nigdy by nie zrozumiał, dlaczego to zrobiłam.

- Czy będę mógł przysłać ci pocztówkę?

- Dobrze, tylko napisz na niej coś nudnego.

- O, nudne teksty to moja specjalność.

- Nieprawda, książka na pewno będzie ciekawa.

- Dzięki. Mam taką nadzieję. Przeczytasz to, co napiszę?

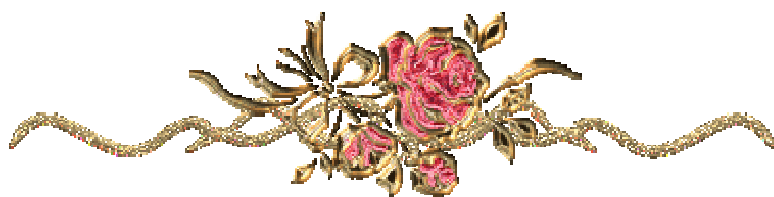
- Oczywiście, będę zaszczycona.

Znów popatrzyli na siebie ponad stołem i znów zobaczyła w jego twarzy ukryte rysy dziecka.

Kiedy się rozstawali, Marc pocałował ją na ulicy przed barem. Tym razem jego wargi nie były tak kuszące. Oliwia oddała pocałunek i stali, całując się, jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem w milczeniu odsunęli od siebie i odeszli, każde w swoją stronę. Jednak kiedy jeszcze tulił ją do siebie, poczuła jego twardą męskość. Ten jawny znak pożądania sprawił Oliwię w radosną euforię. Teraz mogę czekać choćby i miesiąc, pomyślała z drżeniem.

W pierwszym odruchu chciała biec za Markiem, by znów go całować, ale jeszcze silniejsze okazało się pragnienie powrotu do uporządkowanego, spokojnego życia, okraszonego marzeniami i gorączką wyczekiwania.

Zaczęła iść w stronę domu. Czuła się trochę winna w stosunku do Rogera, lecz miała poczucie, że jednak panuje nad sytuacją. Idąc ulicami, które teraz już знаła, przypominała sobie dawne czasy, kiedy jeszcze marzyła o romansach. Oznaczały zawsze to samo: czekanie, wyobrażanie sobie i tęsknotę. Stąd już jest blisko do obsesji. Musi więc być ostrożna.



Rozdział 24

Tego roku, jak zwykle w Dniu Dziękczynienia, Oliwia wydała wielkie przyjęcie dla przyjaciół. Alys, której pierwszy rok celibatu nie zrobił dobrze, upiła się, co stawało się już regułą, ale nie rozrabiała. Adoptowane dziecko jej samotnej przyjaciółki było już o rok starsze i biegało po całym domu. Jedna para zerwała ze sobą i tylko on przyszedł na przyjęcie. Inni rozstali się w zgodzie i każde przyszło z nowym partnerem. Wszyscy bawili się świetnie we własnym towarzystwie.

Mniej więcej rok od czasu, kiedy Oliwia znalazła ślady kocich pazurów na udzie Rogera i zlekceważyła ten znak, przysłała pocztówka od Marka. Oczywiście z widoczkiem i z tekstem nudnym dla postronnych, lecz nie dla Oliwii. Odłożyła ją na stos innej poczty, ale kiedy przebiegła po niej palcami, poczuła, że wargi jej płoną. Już знаła to zjawisko - pragnęła go bardziej, gdy był daleko, niż wtedy, gdy się widywali.

Ciągle zadawała sobie pytanie, czego właściwie oczekuje od tego mężczyzny. Sprawił, że znów poczuła się młoda, kobieca i pożądana. Przy nim zachowywała się niepoważnie i głupio. Pragnął jej, a ona prowadziła z nim grę, nie pozwalając na zbliżenie. Zastanawiała się, czy przyjemność, jaką czerpała z tego

flirtowania, nie jest reakcją na zdradę Rogera i nie wiąże się z chęcią odegrania się na nim. Z drugiej strony poczucie winy, jakie miała wobec niego, paradoksalnie pogłębiało jej uczucie do Rogera, a nawet instynkty opiekuńcze. Dotychczas sądziła, że nie jest zdolna do takiej przewrotności - ale czy nie byłoby gorzej, gdyby to gniew popchnął ją w odwecie do takiej samej zdrady?

Marc wrócił pomiędzy Świętem Dziękczynienia a Gwiazdką. Umówili się na drinka, a potem siedzieli przytuleni do siebie w ciemnym boksie w małym barku, całując się i rozmawiając na przemian. Dłoń Marca niecierpliwie spoczywała na udzie Oliwii.

- Chodźmy do mnie, proszę-wyszeptał.

- Nie masz pojęcia, jak o tym marzę.

- W takim razie chodź.

- Nie mogę - odszepnęła i poszukała jego warg, by nie musieć już nic mówić.

- Daj sobie z nim spokój i przyjdź do mnie na cały wieczór

- nalegał. - Pomyśl o tym.

Dlaczego mówi o Rogerze per „on”, zachnęła się w duchu Oliwia. Roger był dla niej kimś dobrym i czułym. Z uśmiechem, lecz stanowczo pokręciła głową.

- Mogłabyś mu powiedzieć, że pomagasz mi w pisaniu książki, udostępniając materiał badawczy - zaproponował z nadzieją.

- Akurat w to uwierzy!

- Dlaczego nie? Ludzie są w stanie uwierzyć we wszystko. Zresztą i tak masz mi pomagać.

- Ja?

- Tak, podjął się ustnego zrecenzowania paru rozdziałów

- Owszem, ale będę je czytała w samotności. Ty byś mnie rozpraszał.

- Wiem.

Znów uśmiechnęli się do siebie i przeszli do całowania. Marc ocierał się policzkiem o jej policzek jak kot. Kiedy opuścił głowę, zaczęła mu delikatnie masować kark.

- Czy ty wiesz, co mi robisz? - mruknął.

- Muszę już iść - stwierdziła nagle i oderwawszy się od niego, wyjęła z torebki lusterko, by poprawić zrujnowany makijaż.

- Nie mogę wstać - jęknął Marc, komicznie spoglądając na napięty materiał spodni w kroku. - Wiesz, dlaczego.

Oliwia było wniebowzięta.

- Doprawdy mnie uszczęśliwiasz - powiedziała z satysfakcją. Ich oczy spotkały się. Dawno nie czuła się tak kobieco i wiedziała, że inni mężczyźni to widzą, nie tylko Marc.

- Mógłbym cię jeszcze bardziej uszczęśliwić.

- Wiem - rozejrzała się dyskretnie - ale naprawdę muszę już iść.

- Boże, co ja tu robię z mężatką! - westchnął Marc.

- Nie mam pojęcia.

Chwycił ją za rękę i ścisnął lekko.

- Spotkamy się za tydzień? Bo potem wyjeżdżam na narty.

Znów ta sama egoistyczna beztroska. Oliwia przygryzła wargi, tłumiąc urazę, choć z drugiej strony poczuła ulgę. Czego się zresztą spodziewała? Przecież każde z nich miało swoje własne życie.

- Dokąd jedziesz? - zapytała ze spokojnym zainteresowaniem.

- W Alpy francuskie. A potem cała rodzina spędzi święta w Paryżu u babci.

Bezpiecznie i daleko, pomyślała Oliwia. Zadawała sobie pytanie, czy gdyby mieli prawdziwy romans, też by wyjeżdżał. Uznała, że pewnie tak.

- W porządku, w takim razie musimy sobie urządzić wcześniej nasze małe Boże Narodzenie.

Tylko nigdy, pamiętaj, nigdy się w nim nie zakochaj, upomniała się ostro.

Spotkali się na przedświątecznego drinka w innym, równie ciemnym i zacisznym barku. Oliwia czuła się jak zacierający ślady szpieg. Przyniosła dla Marka głupiutki prezent - maleńkiego pluszowego misia, ubranego w czapczkę Świętego Mikołaja. Marc dał jej płytę kompaktową z kolędami, śpiewanymi przez znaną gwiazdę rocka. Dołożył do tego grubą kopertę.

- Pierwsze trzy rozdziały mojej książki - powiedział.

- Dzięki!

- Musisz je przeczytać, zanim wyjadę, i zadzwonić do mnie.

- Nie ma sprawy.

Pili szampana i patrzyli sobie w oczy. Oliwia zastanawiała się, czy spędzi te ferie zjedną kobietą, czy zaliczy ich wiele. Nie śmiała pytać, by nie narażać się na replikę, że ona przecież żyje z Rogerem. Nie chciała zakłócać tej cudownej atmosfery, wokół której budowała swoje stosunki z Markiem. Ale pytanie to dręczyło ją uparcie.

- Dlaczego masz taką dziwną minę? - zapytał.

- Zastanawiałam się, czy pojedziesz tam z dziewczyną.

Uśmiechnął się.

- Nie.

- Ale pewnie będzie tam wiele kobiet, z którymi...
 - ...mógłbym pójść do łóżka?
 - Tak.
 - Nie jest ci to obojętne?
 - Jasne, że nie. Może to egoistyczne, ale tak czuję — stwierdziła swobodnie.
 - Będą kobiety, ale to nie znaczy, że mam z nimi spać.
 - Cieszę się.
 - W dzisiejszych czasach, jeśli ma się odrobinę rozumu, trzeba zapomnieć o dzikiej swobodzie w tych sprawach. Ja jestem bardzo ostrożny.
 - To dobrze.
 - Zapewniam, że ze mną będziesz całkowicie bezpieczna. Masz już ochotę?
 - Zawsze mam ochotę - wyznała bezwstydnie. - Będę tęsknić.
 - Przysłać pocztówkę?
 - Tak - powiedziała, przeczesując palcami lśniące, sypkie pasma jego ciemnych włosów. Dotknęła gładkiego policzka. Wzruszyło ją, że musiał się ogolić tuż przed wyjściem do niej. Chciał ładnie wyglądać i pewnie nie chciał jej podrapać. Wiedział, czym to grozi. Oliwia mogła sobie bezpiecznie pozwolić na te czułości, wierząc, że za chwilę się rozstaną.
- Jak zawsze powiedzieli sobie do widzenia na ulicy. Ale teraz stali ciasno objęci, zakryci rozchyłonymi połami płaszczy. Po Rogerze wydawał się jej taki szczupły. I jak zawsze był dla niej gotowy. Miała nieomal wyrzuty sumienia, że pozwalała na to i nie robi nic więcej.
- Widzisz, co tracisz? - powiedział z żalem.

- Byłabym bardzo zawiedziona, gdybyś tak nie reagował.
- Jesteś straszna baba!

Jeszcze trochę zwlekali, całując się namiętnie. W drodze powrotnej Oliwia przyznała Markowi całkowitą rację: była naprawdę straszną babą.

W domu zastała Rogera, wylegującego się na kanapie. Zaskoczył ją; myślała, że będzie jeszcze na siłowni.

- Gdzie byłeś? - zapytał.
- Nie byłeś na treningu?
- Nie, kiepsko się czułem i wróciłem. Chyba zaczyna mi się

jakaś grypa.

- Och, to niedobrze - powiedziała z troską i dotknęła jego czoła.

- Nie mam gorączki, mierzyłem.
- Może zamówię rosółek?
- Dobrze. Ale gdzie byłeś?

Nie sprawiał wrażenia, że coś podejrzewa albo jest zły. Po prostu był ciekaw.

- Byłam na drinku z Markiem Delonem - powiedziała, dziwiąc się, jakim cudem zdobyła się na tak spokojny głos. Pomachała Rogerowi przed nosem kopertą. - Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że pisze książkę? Nie? W każdym razie chciał, żebym przeczytała pierwsze trzy rozdziały.

- Dlaczego akurat ty?

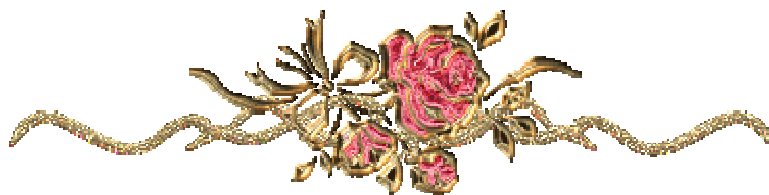
I znów ani śladu zazdrości, tylko zdziwienie. Nie spodobał się jej ten ton, wykluczający ją z góry jako osobę zdolną do sądów na temat literatury. Zgoda, nie była intelektualistką, ale Marc widocznie cenił jej opinię.

- Robił ze mną wywiad do tej książki, kiedy byłam z nim na kawie w Paryżu.

- Na jaki temat?
- Opowieści, które czytałam jako dziecko.
- Aha, rozumiem.

Oliwia wyszła do sypialni, żeby się przebrać. Czowała ulgę, że Roger nie jest zazdrosny o Marka, a jednocześnie trochę ją to irytowało.

RS



Rozdział 25

Przeminęło Boże Narodzenie, a wraz z nim kolejny rok. Uschnięte choinki z resztkami przybrań leżały na chodnikach, czekając na śmieciarki. Wszędzie piętrzyły się też wielkie plastikowe worki: zielone na odpadki organiczne, z resztkami jedzenia ze świątecznych uczt, oraz przezroczyste - wypchane przeznaczonymi do powtórnego przerobu plastikowymi butelkami, puszkami po napojach i szkłem, czyli pamiątkami po rauszach i kacach. Wszystko pokrywał gęsto padający śnieg, tworząc ze stosów śmieci dziwaczne formy.

Rodzinka zdążyła wrócić już z zimowych urlopów - jedni z narciarskich szlaków, inni z tropikalnych plaż. Marc również wrócił i Oliwię znów ogarnęło z tego powodu nerwowe podniecenie. Jednocześnie narastał w niej smutek, gdyż zbliżała się rocznica śmierci Grady'ego.

Któregoś dnia całkiem niespodziewanie nadszedł list od Taylor, która nigdy nie pisała do nikogo z rodziny.

„Kochana Oliwio!

Wreszcie rozrzuciłam prochy Grady'ego w Meksyku. Zrobiłam to w pewnym ładnym miejscu nad Morzem Corteza, bo tak

chciał. Musiałam wynająć kierowcę z autobusem, żeby tam do-
trzeć, i zaprosić wszystkich jego kumpli-kaskaderów razem z
żonami. W czasie jazdy grała orkiestra, było mnóstwo jedzenia i
picia. Balowaliśmy przez cztery dni i wszyscy świetnie się bawi-
li. To podobałoby się Grady'emu. Koszty były ogromne, ale nie
żałuję. Uroczystość żałobna odbyła się o zachodzie słońca i była
wspaniała. Rozrzuciłam popioły i tej samej nocy, w Meksyku, po
stypie, zaszłam w ciążę. To musi być znak.

Teraz mamy listopad, kończy się drugi miesiąc, czuję się
świetnie. Przekaż wiadomość rodzinie w moim imieniu.

Ja w ciąży! Wyobrażasz sobie?

Całuję, Taylor."

Oliwia wyobraziła sobie Taylor, Tima i wesołych żałobni-
ków w autobusie, bawiących się z myślą o tym, że Grady cieszy
się gdzieś w zaświatach, widząc ich razem. Pomyślała o gorą-
cych rytmach orkiestry, których Taylor nie mogła słyszeć, a je-
dynie wyczuwać wibracje muzyki, jak zawsze - samotna w
swoim milczącym świecie. Ale Grady też był samotny, nawet
wśród przyjaciół.

Zachwyciła ją natomiast wiadomość o ciąży i zmiana, jaka
dokonała się w Taylor. Co prawda kuzynka po staremu zachowała
wszystko w tajemnicy i ujawniła w dwa miesiące po fakcie, ale
za to po raz pierwszy napisała list. Zatajenie ceremonii można było
zrozumieć, gdyż Grady był niemal własnością Taylor. Cięża jed-
nak przełamała wreszcie wieloletni dystans i uprzedzenie wobec
rodziny tej pogardzanej czarnej owcy, za jaką z własnego nada-
nia uważała się Taylor.

Oliwia natychmiast zadzwoniła do ciotki Myry, dumna, że chociaż raz zaskoczy ją bombową wiadomością.

- Przecież już o tym wiem - Myra natychmiast ostudziła jej zapał.

- Skąd wiesz?

- Napisała do mnie w zeszłym tygodniu.

- I nie zadzwoniłaś?

- Miałam zamiar.

- I wiesz już o prochach Grady'ego?

- Nie.

- Rozsypała je wreszcie.

- To dobrze. - Ciotka Myra zachichotała nagle nerwowo. - I tak miałam do ciebie zadzwonić, bo mam jeszcze lepszą nowinę.

- No?

- Wujek David się żeni!

- Wujek David???

- Dobrze usłyszałaś.

- Z tą kobietą, z którą od tak dawna się wodził? Myślałam, że zerwali.

- A, tamta. Nie, to straszna dziwaczka i raczej byli tylko przyjaciółmi. Chodzi mi o tę, którą poznał w czasie rejsu, na który go wysłaliście. Coś mi się zdaje, że było to tak: wszystkie rozwódki i wdówki na statku polowały na niego nieustannie, a on i tak wypatrzył sobie w końcu coś dla siebie.

- Ale minęły dopiero trzy miesiące od tego rejsu.

- Też mu to powiedziałam. Odparł, że ma siedemdziesiąt pięć lat, a życie jest krótkie.

Oliwia pomyślała, iż ktoś, kto słuchałby na przyjęciu urodzi-

nowym jego hymnu pochwalnego na temat zmarłej ciotki Hedy, przysięgłby, że ten wdowiec nigdy więcej się nie ożeni. Jednak nie powiedziała tego głośno.

- Myślę, że David nie chciał być samotny - westchnęła Myra.
- Melissa i Nick pojechali na Florydę, żeby się spotkać z tą kobietą. Również byli zaskoczeni tym wszystkim. W każdym razie jedno jest pewne - ona nie leci na jego majątek. Ma dom w Key West i drugi w Tuscany. Podobno jest miła. I raczej nie zbyt młoda. David w każdym razie jest szczęśliwy.

W głosie ciotki Myry trudno się było doszukać zachwyty. I nic dziwnego. Nagle stracić miała towarzystwo brata, który na starość zafundował sobie obowiązki małżeńskie. -'

- Dzięki temu pożyje dłużej - pocieszyła ją Oliwia. - Wyznaczyli już datę?

- W następnym miesiącu. A mówiłam mu: Po co się tak spieszysz? Przecież ona nie jest w ciąży. Odpowiedział, że szkoda mu czasu na długie zaręczyny, bo chce znów wyruszyć w podróż, razem z nią oczywiście.

- Ty też powinnaś wziąć z niego przykład - powiedziała z przekonaniem Oliwia. - Jesteś w świetnej formie i czujesz się młodo.

- O, nie, dziękuję, nie mam zamiaru jeszcze raz wychodzić za mąż. Długie lata byłam szczęśliwa w małżeństwie, ale to wystarczy. Zresztą mam za dużo zajęć.

- Wspaniała wiadomość o Taylor, prawda?

- A, tak. Wiesz, te podstarzałe wdowy robią wszystko, żeby przygadać sobie chłopa. Taka jedna, której mąż umarł niedawno, ma apartament na dachu mojego domu. Na dole jest pralnia i już od dawna pewien starszy facet roznosił pranie. Sercowiec, błąd

i chudy jak szczapa, z zadyszka - słowem, nie dałabyś za niego pięciu groszy. Też umarła mu żona. Ta wdowa raz zaprosiła go do siebie, chyba ze współczucia, a może chciała go podkarmić - i wyobrażasz sobie, już po chwili brali ślub! Nie do uwierzenia, jak ten człowiek się zmienił! Nosi się jak hrabia, nikt już nie śmie mówić mu po imieniu. Ma garnitury prosto z Anglii, płaszcz z wielbłądziej wełny i zapuścił już spory brzuszek. A ona jest szczęśliwa.

- Do kogo to ma być aluzja? - zaśmiała się Oliwia. - Do wuja Davida czy jego narzeczonej?

- Do nikogo. Po prostu opowiedziałam ci życiową historię. Po rozmowie z ciotką Myrą, Oliwia sięgnęła po pióro i odpisała Taylor:

„Kochana Taylor!

Strasznie się cieszę, że będziesz mieć dziecko. Rozumiem, jak ważny jest dla ciebie ten znak. Narodziny i śmierć, dawanie i branie - życie jest tak interesujące!

Napisz jeszcze - Oliwia".

Złożyła kartkę, zakleiła zaadresowaną kopertę i odłożyła na stosik z pocztą do wysłania. Szkoda, że nie może pogadać w cztery oczy ani z Taylor, ani z którąś z kuzynek. A miała przecież ogromną potrzebę zwierzenia się komuś na temat odczuć wobec Rogera i Marka. Wiedziała jednak, że nawet gdyby doszło do takiego spotkania, nie mogłaby powiedzieć o tym kuzynkom; nawet Jenny by jej nie zrozumiała. Nie miała też pewności, czy nie wygada się Alys. Gdyby taka sytuacja dotyczyła kogoś innego, Oliwia zapewne zdobyłaby się na rozsądną poradę- ale tym

razem sama miała problem i jej słynny zdrowy rozsądek po prostu przestał działać.

Oczywiście rozmyślania o Marku doprowadziły do tego, że po jakimś czasie siedzieli znów w kolejnej ciemnej knajpie, jak zawsze w rogu. Oliwia pomyślała, że powinna napisać „Przewodnik dla ukrywających się par”.

Marc miał piękną górską opaleniznę i wyglądał jeszcze bardziej świeżo i młodo. Splótł jej palce ze swoimi i intensywnie patrzył w oczy. Potem był pocałunek, po którym poczuła się oszołomiona i bezbronna. Na chwilę przerwał im kelner. Marc zamówił drinki.

- Dostałaś moją kartkę? - zapytał szeptem, gdy zostali sami.

- Tak. Była cudownie nudna.

- Jakie wieści? Co robiłaś, kiedy mnie nie było?

- Chodziłam na różne świąteczne przyjęcia. Sylwestra spędziliśmy jak zwykle razem, w domu. A ty?

- Szalałem na nartach, spotkałem się z rodziną, byłem na wielkim balu w Sylwestra. I byłem ci wierny.

- Cały czas?

- Tak.

- Dlaczego? - zapytała uszczęśliwiona. - Nie szkoda ci było straconych okazji?

- Bo wiedziałem, że będziesz chciała wiedzieć. Poza tym... dochowanie wierności jest bardzo romantyczne. I bardzo podniecające. Teraz jeszcze bardziej cię pragnę.

- Jesteś jak rycerz z dawnych wieków – powiedziała z zachwytem.

- Jestem po prostu sobą.

Kelner przyniósł wino. Sączyli je powoli, patrząc na siebie

tak zachłannie, że każdy, kto ich widział, nie mógł mieć wątpliwości, co łączy tę parę. Oliwia odruchowo rozejrzała się po sali. Chciałaby, żeby zostali tu przez całe popołudnie, bez tego zniechęconego patrzenia na zegarek.

- Mój wuj miał romans z mężatką i utrzymywał go przez dwadzieścia lat - powiedział Marc. - Ta kobieta była miłością jego życia. Funkcjonowała na prawach przyjaciela rodziny. Ludzie, którzy ich dobrze nie znali, dziwili się, czemu właściwie się nie ożenią. Zawsze mnie to fascynowało.

- Twoja rodzina musi być nie mniej dziwaczna niż moja.

- Nie podoba ci się ta historia?

- Dwadzieścia lat w takim układzie? Nie, gdybym była na miejscu tej babki, musiałabym się wreszcie zdecydować.

- I którego byś wybrała?

- Za mało danych.

- Tak tylko pytałem, z ciekawości.

- To musiało być straszne dla jej dzieci. Wiedziały o nim?

- Uwielbiały go.

- Dobrze, ale my nie mamy romansu - ucięła. - Spotykamy się, pijemy drinki, i tyle.

- Naturalnie.

Takich drinków zdecydowanie nie polecałaby Rogerowi.

Kończyła się zima, o czym świadczyły napływające zaproszenia na wiosenne bar micwy - młodszego syna Jenny, Maksa, i starszego chłopaka Melissy, Absaloma, zwanego Abe na cześć zmarłego dziadka, Abe Millera. Oliwia przyjmowała zaproszenia w imieniu swoim i Rogera. W międzyczasie wuj David wziął cichy ślub w obecności dzieci i wnuków w domu swojej wybran-

ki w Key West. Miesiąc miodowy spędzali w Oceanii, którą zachwycili się jeszcze w czasie rejsu dookoła świata. Tym razem jednak polecili samolotem.

Taylor, która robiła się coraz bardziej rodzinna, przysłała Oliwii swoją fotografię. Stała na niej na tarasie swego domu w To-panga Canyon, dumnie wygładzając sukienkę na zaokrąglonym brzuchu. Do fotografii dołączony był liścik:

„Kochana Oliwio!

Popatrz, jak rośniemy! Zapisalam się na terapię dla dorosłych dzieci alkoholików, żeby się odciąć od wspomnień po matce i wiedzieć, jakich błędów nie popełnić. Naprawdę chcę być bardzo dobrą matką.

Całuję, Taylor".

Oliwia natychmiast jej odpisała:

„Kochana Taylor!

Dzięki za pierwsze zdjęcie do albumu rodzinnego, który właśnie postanowiłam założyć. Jestem pewna, że będziesz cudowną matką. Pamiętam, że kiedy ty i Grady byliście mali, potrafiłaś być dla niego niesamowicie czuła i opiekuńcza.

Całuję, Oliwia."

Oliwia spotykała się z Markiem regularnie co tydzień. Torturowali się pieścizotami w ciemnych kątach coraz to nowych barków, w czasie gdy Roger był na siłowni. Była to prawdziwa ironia losu i Oliwia miała nieustającą tego świadomość.

Marc dał jej dwa nowe rozdziały do przeczytania. Podziwiała

jego styl i pochlebiało jej, że była pierwszym krytykiem, ale nie wspominała więcej Rogerowi o książce i spotkaniach z jej autorem. Zastanawiając się nad brakiem zazdrości u Rogera, doszła do wniosku, że niekoniecznie może on wynikać z obojętności czy z przekonania, iż nikt i tak jej nie zechce - a po prostu z zaufania i z miłości. Oczywiście natychmiast poczuła się winna. Był jednak czas, kiedy ona również ufała mu bezgranicznie...

Pewnego razu przypomniała sobie pewną dyskusję z Jenny i Melissą o małżeńskiej niewierności. „Mój mąż nigdy mnie nie oszukuje - powiedziała wtedy Melissa - nie może żyć beze mnie.” Oliwię cieszył wówczas taki przykład wierności, uczciwości i zaufania. Teraz zastanawiała się jednak, czy idealni mężowie ich kuzynek nie okłamują ich tak jak inni, romansując gdzieś na boku.

Była pewna, że nigdy nie dowie się prawdy, bo gdyby nawet Jenny czy Melissa przyłapały ich na zdradzie i tak nic by nie powiedziały, podobnie zresztą jak ona nie wtajemniczyła je w sprawy między Rogerem a Wendy. Cóż, każda z nich musiała sobie sama poradzić z upokorzeniem. Oczywiście w tamtej dyskusji całkowicie pominięto kwestię, że to one mogłyby okłamywać mężów. Pewnie nigdy nie przyszło im to do głowy. Podobnie jak jej, jeszcze do niedawna...

Pewnego wieczoru Roger wrócił z siłowni zdenerwowany i ponury.

- Muszę się spotkać w środę na kolacji z moim bratem - oznajmił. - Odmawia płacenia połowy sumy za opiekę naszej mamy. Tłumaczy się, że ma dwoje dorosłych, niepracujących dzieci i żonę na utrzymaniu, a ja żyję na wysokiej stopie i jestem bez-

dziety, więc powinienem ponosić całe koszty. Nie przypuszczałem, że posunie się do czegoś takiego.

- Przecież o dochodach wziętych prawników, takich jak on, krążą legendy. - Oliwia wzruszyła ramionami. - O co mu naprawdę chodzi?

- Nienawidzi mnie i chce mi zatruć życie - powiedział gorzko Roger.

- Kochanie, tak mi przykro, że nie możesz mieć prawdziwego, kochającego brata. - Oliwia objęła go współczująco.

- Nie przypuszczałem, że będę musiał się z nim spotkać.

- Powiedz, jeśli będziesz potrzebował pieniędzy.

- Jesteś kochana, ale nie będę cię w to angażował. To jest również i jego matka, więc powinien płacić przynajmniej część. Nie chodzi o pieniądze, bo dla mamy nigdy nie będę ich żałował, ale o tę jego bezduszną, cholernie egoistyczną postawę. Zawsze taki był. Dlatego właśnie się nie widzimy.

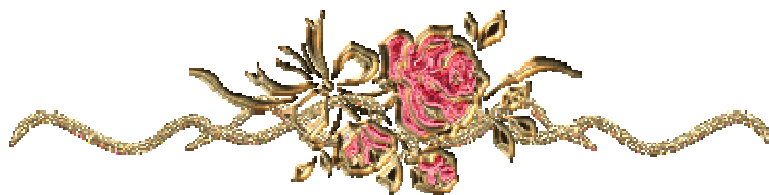
- Mam nadzieję, że jednak dojdziecie do porozumienia - powiedziała bez większej nadziei.

- Mogę się tylko cieszyć, że mama nigdy się nie dowie, jakim jest dla niego ciężarem - westchnął. - Nigdy nie chciała być dla nikogo ciężarem, biedactwo. Boże, jak ja nienawidzę rozmów z własnym bratem! Zazdroszczę ci, że jesteś jedynaczką.

Oliwia przytaknęła tylko zdawkowo, gdyż jej głowę zaczęły wypełniać nagle zupełnie inne myśli.

Środa! Właśnie w środę spotykają się z Markiem na drinka! Kiedy zadzwonił, by potwierdzić, Oliwia rzuciła niedbale:

- Jeśli masz ochotę na kolację, nie ma przeszkód.



Rozdział 26

Roger wiedział, że jego brat celowo wybrał tę właśnie restaurację na spotkanie. Znajdowała się dokładnie naprzeciwko jego biura, co było wygodne dla niego, a niewygodne dla Rogera.

Michael Hawkwood, wzięty prawnik specjalizujący się w konsultingu, mieszkał z żoną i dwoma synami w okazałym apartamencie. Na lato wynajmowali od lat ten sam kosztowny dom w Sagaponack. Nie mieli żadnych zwierząt. Fizyczne podobieństwo pomiędzy braćmi było wyraźne, lecz Roger był miły i kontaktowy, podczas gdy Michael zawsze wyglądał tak, jakby doszła go jakaś szczególnie niemiła woń - woń samego siebie, jak twierdził złośliwie Roger. Do dziś nie mógł zapomnieć, jak starszy brat w czasie dziecięcych zabaw zostawiał go przywiązanego do drzewa na parę godzin. Wspomnienie wyrachowania i okrucieństwa Michaela prześladowało go przez wiele lat.

Kiedy wszedł na salę, Michael siedział już przy stoliku, popijając dobrze zmrożone martini - co zwalniało ich obu od formalności typu podanie sobie ręki, czy powitalny braterski uścisk.

- Jeśli masz ochotę na dobrze przypieczonego kurczaka, zamów go od razu - powiedział Michael w formie powitania. - Ja już zamówiłem.

- Najpierw spojrzę w menu - burknął Roger, siadając. Kiedy przyszedł kelner, zamówił kieliszek białego wina i z rozpędu - kurczaka.

- Jak tam Oliwia? - rzucił Michael znudzonym tonem.

- Dobrze, dziękuję. A Norma?

- Też dobrze.

Przez chwilę sączyli w milczeniu swój alkohol.

- Mamie się pogorszyło - stwierdził Michael. - Kiedy ostatnio ją odwiedziłem, myślała, że jestem małym chłopcem.

- Czasami tak z nią bywa.

- Nie poznała Normy.

- Norma nie należy do jej wspomnień - stwierdził sucho Roger.

- Taak... - Jego brat zabębnił palcami po stole. - Jak ci już mówiłem przez telefon, mam w tej chwili nieszczególną sytuację finansową. Chłopcy są w domu, ciągle jeszcze nie pracują, a Norma poświęca się dla nas wszystkich, prowadząc dom. Jak widzisz, całe utrzymanie jest na mojej głowie i szczerze mówiąc, uważam, że to nie w porządku, by ktoś taki jak ty, dobrze ustawiony i bezdzielny,łożył na opiekę nad mamą taką samą sumę, co ja.

- Kiedy umieszczaliśmy ją w tym ekskluzywnym domu, wiedzieliśmy, że będzie drogo - powiedział Roger. - Wtedy nie miałeś zastrzeżeń.

- Ty nie masz dwóch dorosłych synów na głowie.

- A dopóki chodzili do szkoły, było inaczej? Przynajmniej teraz odpadło ci czesne.

- I tak nie zrozumiesz, bo nie masz dzieci.

Tylko kilka razy Roger miał okazję widzieć dzieci brata, ale to

mu wystarczyło. Nie mógł nawet myśleć o tych dwóch leserach jako o swoich bratankach. Sprawiali wrażenie, jakby byli stale zaćpani; zagadywani - bąkali coś z rzadka i niechętnie.

- Rozumiem tylko tyle, że są już dorośli i powinni pracować.

- Trudno dzisiaj znaleźć pracę.

- Niech robią cokolwiek, nie wiem - popracują na stacji benzynowej albo w sklepie płytowym, albo skończą studia i zrobią dyplom.

- Nawet ludzie z dyplomem mają trudności - powiedział Michael.

Tak, zwłaszcza kiedy wylegują się całymi dniami przed telewizorem, kopiąc trawkę, pomyślał zjadliwie Roger.

Jak mogło dojść do czegoś takiego? - pytał się w myślach. Jakim ojcem był jego brat i czy miało to aż takie znaczenie? Ich rodzice bardzo się starali, a jednak Mike stał się wyrodkiem.

Dlaczego tak mnie nienawidzisz? Dlaczego ciągle tak straszliwie mi zazdrościsz? - miał ochotę spytać tego człowieka, który formalnie był jego krewnym. Mama i tata kochali nas przecież tak samo i tak samo byli z nas dumni. Dlaczego wolałbyś, żebym się w ogóle nie urodził?

Nadszedł kelner. Kurczaki rzeczywiście były mocno przypalone, nawet za mocno, co jednak nie przeszkadzało Michaelowi. Roger natomiast do reszty stracił apetyt.

- Jeśli szkoda ci pieniędzy, możesz zawsze zabrać mamę stamtąd - powiedział Michael.

- Przecież ona jest tam szczęśliwa!

- Owszem. Decyzja należy do ciebie.

- Co to ma oznaczać?

- Mnie nie stać na tak drogą opiekę.

- Jakoś stać cię na wiele innych rzeczy - prychnął Roger.
- Może powiesz konkretnie?
- Dobrze wiesz, o co chodzi.
- Nie masz pojęcia o odpowiedzialności, Roger.
- Jasne, założenie własnej praktyki to żadna odpowiedzialność!

- Na spółkę z bogatą kobietą?

Miał ochotę rąbnąć pięścią w te złośliwą, wykrzywioną nienawiścią twarz.

- Tylko nie mieszaj w to Oliwii!

- Co jest? Czy to coś złego, że ma pieniądze? Nie rozumiem, dlaczego się z nią nie ożenisz.

Boże, jak bardzo obcy był mu człowiek, który siedział teraz naprzeciwko niego! Zawsze tak było.

- Ona jest dla mnie za dobra - powiedział lekkim tonem Roger. - Ale wróćmy do tematu. Skoro nie możesz płacić połowy, zgadzam się, żebyś płacił jedną trzecią.

- To wciąż za dużo.

- Nie przesadzaj.

- Nie dam rady.

- Jedną czwartą - powiedział Roger, odsuwając nie tknięty talerz. Na Boga, przecież chodziło o jego matkę! O kochaną starszuskę, która kiedyś śpiewała mu piosenki i podsuwała jogurciki. Z przerażeniem pomyślał, jaki byłby jej los, gdyby jemu, Rogerowi, coś się stało i została zdana jedynie na łaskę Michaela. Dobrze zrobił, że uwzględnił ją w swoim testamencie.

- Lubisz mieć wszystko pod kontrolą - zauważył zgryźliwie Michael.

- Nie, to ty zawsze musisz postawić na swoim.

- Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego mama kochała bardziej ciebie niż mnie.

Bardziej? Przecież kochała ich jednakowo. Roger nigdy nie miał poczucia, że jest wyróżniany. Mógł jedynie mieć jej za złe, że nie dostrzegała, jak terroryzuje go i dręczy starszy brat. Ale przecież nigdy się nie poskarżył, gdyż miał skrytą i głupią nadzieję, że Michael doceni to i wreszcie go pokocha.

- Tak - skłamał - bardziej kochała mnie, ponieważ byłem dla niej miłszy od ciebie.

Zapadło długie, ciężkie milczenie. Roger obserwował, jak tłumiona wściekłość przebija z rysów brata.

- Zgoda. Będę płacił czwartą część - powiedział wreszcie Michael. - Tylko dlatego, by nie oddawać ci całkowitej kontroli nad sytuacją. Nie chcę, żebyś myślał, że możesz ją stamtąd wyprowadzić bez porozumienia się ze mną.

- Dzięki za ten wspaniały gest braterskiej miłości.

Roger przyknuł oczy, marząc, by się stąd jak najszybciej wynieść. Właściwie nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Zrezygnowali z kawy i poprosili o rachunek, płacąc każdy za siebie swoją kartą kredytową.

Na ulicy Michael bez pożegnania wsiadł do taksówki, a Roger postanowił iść kawałek piechotą, by uspokoić nerwy. Jego ojciec od dawna nie żył, matka odchodziła w swój własny świat, a brat był wyrachowanym draniem. Nie miał żadnych ciepłych uczuć dla swoich bratanków ani oni dla niego. Byli rodziną tylko przez przypadek. W sumie pozostał sam.

Nie, nie sam. Ma przecież Oliwię.

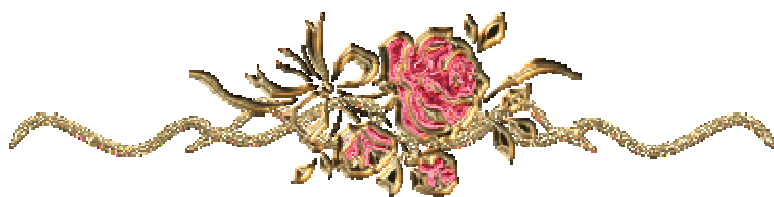
Kiedy pomyślał o niej - o jej pełnym ciepła uczuciu, o zmysłowym, ponętym ciele i dziecięcym uśmiechu, o poczuciu bez-

pieczeństwa i radości, jakie mu dawała - zrozumiał, że Oliwia jest jedyną rodziną, jaką ma i jakiej potrzebuje.

Tym bardziej zaboląła go krzywda, którą jej wyrządził, romansując z Wendy. Podejrzewał, że jeszcze nie raz dopadnie go pokusa. Zdążył już poznać ukrytą naturę własnego „ja” i wiedział, że się nigdy nie zmieni. Mógł tylko mocno trzymać się w ryzach, by nie ulec grzesznym podszeptom, kiedy znów się pojawią. To zresztą już sobie ostro postanowił.

Za folgowanie własnym zachciankom omal nie zapłacił rozpadem cudownego związku. Cena była zbyt wysoka. Sądził zresztą, że z wiekiem to jego marzenie o sobie jako nieznajomym uwiedzionym przez obcą kobietę powoli wygaśnie, pozwalając mu cieszyć się najlepszym i wypróbowanym związkiem z Oliwią.

Wstąpił na koreański bazar za rogiem -jedyne miejsce otwarte o tej porze - żeby kupić Oliwii kwiaty. Nigdy dotąd tego nie robił. Z przyjemnością myślał, jak się ucieszy. Myśl, że Oliwia jest w domu i czeka na niego, była niespodziewanie ekscytująca.



Rozdział 27

Oliwia umówiła się z Markiem w romantycznej francuskiej knajpce niedaleko jego mieszkania, którą sam wybrał. Rozglądając się po przytulnym wnętrzu ze stolikami o nieskazitelnie białych obrusach, myślała o dziesiątkach takich miejsc, które każdy ma w swoim sąsiedztwie. Miejsc, gdzie się bywa i wszyscy się znają, stających się częścią codziennego życia. Również jej życia z Markiem. Kiedy splótł jej palce ze swoimi i zaczął pocałunek, poczuła się jak zawsze uległa i bezsilna.

- Zamówię szampana - stwierdził i skinął niecierpliwie na kelnera.

Oliwia przyglądała się ceremonii otwierania i nalewania perlistego, złotego płynu, czując się równie przejęta, jak dziewczyna młoda. To jest tylko kolacja, nic nie musisz robić, wmaśniała sobie, ale zdradzieckie pulsowanie w podbrzuszu niweczyło poczucie winy, wprawiając ją w podniecające drżenie. Chłonęła wzrokiem piękną twarz Marka i poddawała się nastrojowi chwili, która kazała czuć się jej odrobinę zakochaną.

- O czym myślisz? - zapytał natychmiast.

- Że nigdy jeszcze nie mieliśmy dla siebie całego popołudnia.

- Myślałem o tym przez cały dzień.

Wznieśli kieliszki w toaście i wypili. Oliwia nie chciała się upić, ale potrzebowała pewnej dawki alkoholu, by przełamać zahamowania. Popatrzyli w menu - przecież umówili się na kolację. Nie mogła wziąć sałatki, by nie ryzykować, że zielone kawałki utkną między zębami. Wołała też unikać czosnku i cebuli, jak również rzeczy ciężkostrawnych, by nie mieć później gazów.

Kelner zapewnił, że kaczka jest delikatna i bardzo dobra, więc zamówili ją oboje. Oliwia nie sądziła wprawdzie, że zdoła zjeść więcej niż parę kęsów, lecz przecież to naprawdę była kolacja. Umówili się, by zjeść i pogawędzić, a nie...

Apetyt przychodzi po kochaniu się, a nie przedtem, błysnęła jej w głowie nagła myśl. Przynajmniej ten pierwszy raz.

Nie czynili żadnych aluzji do seksu, gdyż ten był zbyt blisko.

- Jak ci się udało wyrwać? - zainteresował się Marc.

- Roger ma ważne spotkanie. - Nie chciała myśleć o Rogerze i znów czuć się winna. Uśmiechnęła się więc do Marka, pozostawiając w myśli miejsce tylko dla niego.

- A ja dziś po południu poszedłem sobie do muzeum. Do Metropolitan. Działa na mnie relaksująco, zwłaszcza sale egipskie.

- Tak, lubiłam tam chodzić, kiedy byłam nastolatką - powiedziała Oliwia. - Poza Egiptem lubiłam też zbroje.

- Zbroje?

- Mhm. Bawiło mnie, że mężczyźni byli wtedy tacy niski, niżsi niż ja. Oczywiście byłam wysokim dzieckiem.

- Zabawne. Lubię myśleć o tobie jako o dziecku.

- A ja lubię myśleć, że średniowiecze było romantyczne - powiedziała Oliwia. - Zwłaszcza zachwycają mnie rycerze. Ta cała miłość na odległość i tęsknota, i wspaniałe uczucie bycia wybawioną.

- Ale oni byli szalenie brutalni - zaprotestował Marc. - Kiedy szli na wojnę, zamykali żony w pasy cnoty.

- O tym dowiedziałam się dopiero później. Niesamowita sprawa!

Marc spojrzął jej w oczy z przewrotnym uśmiechem.

- Cieszę się, że żyjemy w innych czasach - powiedział.

I w ten oto sposób znów mówili o seksie.

Kelner przyniósł Markowi zieloną sałatę i pomidory krojone w plasterki. Marc zaczął je zjadać z apetytem. Oliwia z zazdrością podziwiała jego równe, białe zęby. Mógł jeść wszystko, co chciał. W ogóle cały był tak świeży i czysty, że miałyby ochotę go ugryźć.

- Co tak patrzysz? - zapytał.

- Jesteś smakowity - odparła bezwstydnie.

Jego kolano dotknęło pod stołem jej kolana, a za nim podążyła dłoń.

- Jestem twój. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, jak bardzo chcę się z tobą kochać - dodał. - Pragnąłem cię od tak dawna. Powiedziałem, że nie będę cię już prosił i poczekam, aż poprosisz mnie sama, ale... kłamałem.

- Tak przypuszczałam.

Starannie ukryta w kieszonce torby paczka prezerwatyw, którą Oliwia kupiła w tajemnicy tuż przed przyjściem, promieniowała, jakby była radioaktywna. Czowała się dziwnie, robiąc taki zakup. Kiedy stała się kobietą, modna była tabletki antykonce-

pcyjna. Teraz, z Rogerem, czuła się bezpiecznie. To nic takiego, to tylko ostrożność, tłumaczyła sobie.

- Będę uważał - obiecał tajemniczo Marc.

Nie odpowiedziała. Nadszedł kelner z półmiskiem:

- Czerwone wino czy szampan? - zapytał Marc.

- Szampan - odpowiedziała, nie spojrzawszy nawet na apetyczne danie. Za to Marc zaczął od razu jeść jak głodny wilczek.

- Nic nie jesz - zauważył z troską.

- Nie przejmuj się.

- Może chcesz kawy?

- Jeśli i ty się napijesz.

- Chciałbym, żebyś zobaczyła moje mieszkanie. Nigdy tam nie byłaś, a jest tuż obok, po drugiej stronie ulicy.

Przecież mogę odmówić, pomyślała. Umiem mówić „nie”. Odmówię, a potem wrócę do domu i... będę żałować, że nie powiedziałam „tak”.

Zerknęła na zegarek. Jeszcze miała czas. Popołudnie rozciągało się przed nią kusząco. Serce zaczęło jej bić gwałtownie i ledwo mogła oddychać.

- No proszę, wstąp, choć na chwilę - kusił.

Skinęła głową, gdyż nie ufała już swojemu głosowi.

Marc mieszkał na drugim piętrze okazałego budynku z piaskowca. Frontowy pokój miał łukowe okna wychodzące na wysadzaną drzewami ulicę, sypialnia wychodziła na ogródki na tyłach domów. Wszędzie piętrzyły się stosy książek. Był chyba jedyną osobą w Nowym Jorku, która nie wyrzuciła jeszcze świątecznej choinki, z której osypały się już wszystkie igły.

Więcej Oliwia nie zdążyła zapamiętać, bo zaledwie zamknęły

się za nimi drzwi, rzucili się na siebie i całując się, zaczęli zdierać z siebie wzajemnie ubrania i zmierzać prosto w stronę łóżka. Miał szczupłe, gładkie ciało, dokładnie takie, jakie sobie wyobrażała, a kochało im się jeszcze lepiej. Znała siebie i wiedziała, jaki demon potrafi wstąpić w nią w łóżku, ale Marc jeszcze tego nie wiedział. Z satysfakcją ujrzała na jego twarzy zdumiony zachwyty. Sama zresztą również była zdumiona; zadziwiła samą siebie. Zniknęło gdzieś poczucie winy, wahanie, zniknął cały zewnętrzny świat. Pozostało tylko wypieszczone przez długie miesiące marzenie, spełniające się właśnie w ciągu kilku szalonych chwil.

- Jesteś... niesamowita-wyszeptał.

- Nie, to ty jesteś.

Leżeli, całując się i delikatnie, pieszcząc. Patrząc sobie z zachwytem w oczy, czekali na kulminację nowej energii. Oliwia dotknęła małej, półksiężycowatej blizny na jego kolanie; miała wrażenie, że ją zawłaszcza, że zawłaszcza jego...

Później ogarnął ich wszechogarniający spokój. Byli spokojni, bo wreszcie osiągnęli spełnienie. Oliwia czuła się z tego powodu wprost idiotycznie szczęśliwa.

- Dlaczego jeszcze nie wyrzuciłeś choinki? - zapytała, przeciągając się leniwie.

- Nie wiem. Chyba pomyślałem, że da się spalić w kominku.

- Przy okazji spalisz mieszkanie.

- Mam nadzieję, że nie.

- Będę się denerwować.

- W takim razie jutro ją wyrzucę.

- Dobrze.

Nie rozmawiali o miłości. Woleli kochać się, zamiast o tym

mówić, i zrobili to za chwilę. Znów byli nienasyчени, ale teraz ich doznania wzmogło nowe poczucie - bliskości i zażyłości, jaka przychodzi po zaspokojeniu pierwszych pragnień.

Kiedy opadli zmęczeni na łóżko, Oliwia zerknęła na zegarek na nocnym stoliku i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że czas wcale nie stanął w miejscu, jak się jej zdawało. Roger zapewne od dawna jest w domu.

- Muszę uciekać - powiedziała, szybko wyskakując z łóżka. Nie było nawet czasu na prysznic. Obmyła się pobieżnie w łazience Marka i poprawiła makijaż. Patrząc w lustro, pomyślała, że dawno już nie wyglądała tak młodo i kwitnąco.

- Jesteś nieprawdopodobnie piękna - powiedział.

- Ty też.

Pozbierali porozrzucane rzeczy i ubrali się szybko.

- Odprowadzę cię do taksówki - powiedział Marc.

- Nie musisz.

- Ale chcę.

Zrobiło się zimno. Zimowy księżyc wisiał na niebie jak mo-siężna moneta.

- Kiedy cię znów zobaczę? - zapytał Marc.

- Niedługo.

- Jak najszybciej!

Pocałowali się delikatnie w drzwiach taksówki.

-- Wieź ją bezpiecznie - rzucił Marc do taksówkarza, a potem Oliwia patrzyła przez tylną szybę na oddalającą się szczupłą sylwetkę w płaszczu z podniesionym kołnierzem i rozwiewaną przez wiatr czupryną.

Jadąc do domu, próbowała zebrać myśli i znów stać się Oli-wią, jaką była jeszcze parę godzin temu. A jednak nie mogła.

Wszystko wyglądało teraz inaczej i nawet nie wiedziała, jak się naprawdę czuje. Bała się myśleć o tym wszystkim. Nigdy nie zdradzała - ani swoich dwóch mężów, ani tym bardziej Rogera. Wiedziała, że będzie na nią czekał i mogła tylko mieć nadzieję, że jakoś podoła sytuacji.

Roger siedział w szlafroku na kanapie i w towarzystwie psów oglądał telewizję. Wyglądał nieoczekiwanie smutno i bezbrinnie - a może tylko tak się jej zdawało, gdyż przed chwilą go skrzywdziła. Miała nadzieję, że nie domyśli się niczego po jej wyglądzie.

- Hej - wyraźnie ucieszył się, że wróciła. Zdawało się jej, że w jego spojrzeniu dojrzała jednak pewną podejrzliwość. - Też wychodziłaś.

- Tak.

- A dokąd?

- Byłam na kolacji z Alys.

- I co u Alys?

- Narzeka, jak zwykle. - Gdy podeszła i pocałowała go na przywitanie, zauważyła kwiaty w wazonie, stojącym na stoliku do kawy. Musiał je tam postawić, bo wcześniej ich nie było.

- Co to za kwiaty?

- Dla ciebie.

Nigdy dotąd nie kupił jej kwiatów. Była wzruszona, choć usilnie zastanawiała się, z jakiej okazji to zrobił, nie podejrzewając go jakoś o zwykły bezinteresowny gest.

- Dzięki, są piękne.

Uśmiechnął się.

- Chciałem wręczyć ci je, gdy stanę w drzwiach, jak konkurent, ale się nie udało, więc włożyłem je w wodę.

- Tak jest lepiej. Bardzo miła niespodzianka.

Roger wyłączył telewizor, wstał i wziął Oliwię w ramiona.

- Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że cię widzę - powiedział ze wzruszeniem.

- Tak, a czemu?

- Czuję się, jakbym wrócił od wroga do bezpiecznej twierdzy.

- A, chodzi ci o brata. Był aż tak okropny?

- Ten szlachetny i dobry synek łaskawie zgodził się płacić połowę tego, co do tej pory - stwierdził sucho Roger. Gładził włosy i szyję Oliwii, jakby chciał upewnić się o jej bliskości. Miała nadzieję, że potrzebuje tylko współczucia, a nie seksu.

- Jedyna pociecha, że przez długi czas nie będziesz go musiał widzieć - powiedziała.

- Owszem. Ta rozmowa była koszmarem. Zresztą mogłem się spodziewać.

- Współczuję ci.

- Właściwie mogę powiedzieć, że nie mam brata.

- Tak naprawdę nigdy go nie miałeś.

- Kocham cię, wiesz? - szepnął Roger. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Dziś uświadomiłem sobie, że jesteś moją jedyną, prawdziwą rodziną. Gdyby nie ty, nie dałbym sobie z tym rady. To ty oddzielasz mnie od tej kosmicznej, pustej samotności... Powinienem o wiele częściej mówić ci, jak cię kocham.

Nigdy wcześniej nie był tak wylewny. Oliwia poczuła nagle, że i ona bardzo go kocha. Zawsze go kochała. Przyciągnęła do siebie mocniej jego ciało, tłumiąc łzy. Nawet nie wiedziała, dlaczego płacze.

- Nie chcę cię stracić, Roger - szepnęła.

- Nie stracisz, nigdy. Pocałował ją znów.
- Chodźmy do łóżka - powiedział cicho.
- Dobrze, tylko się umyję.

Szybko wymknęła się do łazienki, umyła zęby, zmyła makijaż, a później, pod prysznicem - każdy najmniejszy, choćby nawet wyimaginowany ślad Marka na swoim ciele. Kiedy weszła do sypialni, Roger już czekał, zapraszającym gestem uchylając dla niej kołdrę. Nie było wyjścia.

Natychmiast przygarnął ją do siebie i zaczął całować. Oliwia wiedziała, że jeśli się odwróci, jeśli mu odmówi, ten jedyny w swoim rodzaju nastrój, jaki wywołał swoimi słowami, rozwieje się bezpowrotnie i szkody będą nieodwracalne. Bez względu na to, co Roger będzie deklarował, ona i tak go straci. Tego była pewna.

Trudno, będzie musiała się kochać, udając, że wszystko jest w porządku.

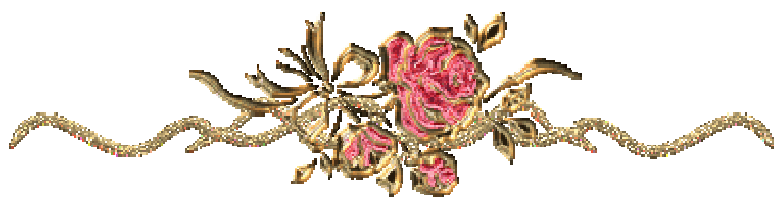
A jednak szybko przekonała się, że pragnie go wbrew własnym obawom. W reakcji na dotyk znajomego ciała pożądanie i ochota na miłość wróciły - a były tak silne, jak nie zdarzyło się od dawna. Znów się połączyli, znów byli jak dwie połówki rozdzielonego owocu. Ona wiedziała, co lubi i czego pragnie ten mężczyzna, a on znał wszystkie jej potrzeby. Umiał sprawić, że czuła się bezpieczna i doceniona. W gruncie rzeczy zawsze pragnęli się wzajemnie, choć pragnienie to nieraz pozostawało ukryte. Ale czy takie rzeczy nie zdarzają się innym? Nie musiała już fantazjować na temat Marka czy nawet myśleć o nim. Myślała tylko o Rogerze.

Dopiero potem, kiedy słuchała jego spokojnego oddechu,

wciąż oszołomiona i zaskoczona tym wszystkim, zaczęła się zastanawiać, co właściwie zrobiła. Kochała się z dwoma mężczyznami tego samego wieczoru. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że coś takiego się jej przytrafi.

Ho, ho, szkoda, że nie mam wnuków, bo miałabym o czym im opowiadać, pomyślała pogodnie, zanim zasnęła.

RS



Rozdział 28

Następnego dnia przyszły refleksje, które wytrąciły Oliwię z pełnego zachwyty błogostanu, w jakim zasnęła poprzedniej nocy. W jej sercu pojawił się dziwny niepokój. Istniały oto jakby dwie Oliwie: jedna nadal rozkwitała w ciepłe miłości i pożądania dwóch jednocześnie mężczyzn, ale druga, trzeźwiejsza, głęboko żałowała tego, co się stało.

A więc tak wygląda pozamałżeński romans, myślała. Życie na szybkich obrotach, czujność i udawanie, ciągle napięcie i to rozkoszne, bo podwójne, poczucie potwierdzenia własnej atrakcyjności. Teraz już się nie dziwiła, że Roger unikał jej w czasie afery z Wendy - nie umiał tak dobrze grać, jak ona. Ale to nie była tylko gra; to, co czuła do Rogera i Marka, było prawdziwe. Wiedziała, że już nigdy nie będzie się odnosić do Rogera tak jak dawniej, ponieważ zrozumiała, jak łatwo jest go zranić - w ten sam sposób, w jaki on zranił ją.

Wielkie płatki śniegu wirowały w kolejnej zimowej zadymce, zasłaniając świat za oknami jak mgła. Było tak zimno, że Wozzle i Buster wcale nie miały ochoty siedzieć na dworze i szybko wróciły, strzepując śnieg, który topniał teraz w holu w kałuże. Klienci, którzy nie mieli pilnych spraw, poodwoływali swoje

wizyty. Oliwia była nawet zadowolona, gdyż nie byłaby w stanie skupić się dzisiaj na pracy. Zadzwoił Marc.

- Chyba nie wyrzucę dzisiaj swojego drzewka - powiedział.

- Och, spróbuj się sprężyć - uśmiechnęła się, wyobrażając go sobie wśród stert książek w jego mieszkaniu.

- Myślałem o wczorajszym wieczorze - ciągnął. - Był cudowny.

- Tak, był - przytaknęła cicho. Nagle słuchawka telefonu wydała się jej niebezpieczna jak bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć.

- Kiedy cię zobaczę?

- W następnym tygodniu. - Ten czas wydał się Oliwii jednocześnie zbyt odległy i zbyt bliski.

- Zadzwoń do mnie - poprosił.

- Zadzwonię.

- Czekam... - szepnął takim tonem, że natychmiast poczuła jego obecność w najskrytszych miejscach.

Po południu, gdy nie miała już umówionych pacjentów, wiedzona nagłym impulsem ubrała się ciepło i wyszła w zamieć, zza której przeświecało jasne jeszcze niebo. W jednej chwili śnieg okrył ją całą, łącznie z rzesami. Brudne zwały śniegu z poprzedniej zadyмки zalegały na chodnikach, po śliskiej jezdni ostrożnie pełzła samotna taksówka. Oliwia szła w stronę Central Parku. Paskudna pogoda nie przeszkadzała jej; przeciwnie - stanowiła wymarzone tło dla myśli.

Nigdy nie ciągnęło jej do zdrad i romansów. A jednak to zrobiła. Wczorajsze upojenie wywołało nawałę dzisiejszych pytań. Spodziewała się, że gdy pójdzie z Markiem do łóżka, będzie

miała poczucie winy, ale nie przewidziała całej reszty zupełnie innych uczuć. Pragnęła ich obu, a jednocześnie chciała, by obaj zniknęli z jej życia. A przecież wielu ludzi grzeszy w ten sposób ... Czy też to czują?

W Central Parku była chyba jedynym przechodniem, a miała wrażenie, że i w całym mieście. Płatki wirowały, osiadając na gałęziach, które gięły się pod ich ciężarem, Oliwia miała już śnieżne epolety i śnieżną czapę. Zarysy wysokich kamienic na obrzeżu parku majaczyły w białej mgle. Zadymka była gwałtowna, a jednocześnie dziwnie łagodna. Nie kryła się przed nią, pozwalając, by oczyściła jej umysł z ciężkich myśli.

Zawsze marzyłam o spokojnym życiu, pomyślała z ironią Oliwia.

Nagle uświadomiła sobie, że ma przemoczone, zlodowaciałe nogi, i zaczęła drzeć z zimna. Mogłaby zrobić niespodziankę Markowi, przychodząc do niego. Mogła też wrócić do domu i pozwolić Rogerowi, żeby swoimi ciepłymi, wprawnymi dłońmi wymasował jej stopy. Mogłaby się kochać i z jednym, i z drugim, pomyślała z satysfakcją, upajając się swoją mocą. Nie mogła sobie jednak wyobrazić, że miałyby się kochać z nimi dwoma naraz.

Odwróciła się i kuląc ramiona pod naporem wiatru, zaczęła iść w stronę domu.

Kiedy weszła do salonu, ogień już płonął na kominku, a Roger parzył herbatę. W ten sam jak zawsze łagodny sposób zapytał ją, gdzie była.

- Bawiłam się w śniegu - odpowiedziała ze śmiechem.
- Jesteś zupełnie zwariowana - zachichotał. Kiedy ułożyła

się obok niego na kanapie i podrapała lekko palcem u nogi, bez pytania wziął się do masażu.

Oliwia uznała, że musi natychmiast ochłonąć i wrócić do normalnego życia, ale nie było to łatwe. Marc nie przestanie być piękny i pociągający tylko dlatego, że zapragnęła wyzwolić się od jego uroku. I choć mężczyźni, na których jej zależało, często znikali z jej życia bez najmniejszego wyjaśnienia, to czuła, że Markowi należy się coś więcej. Byli przecież przyjaciółmi, leczyła jego psa. Miała nadzieję, że tak zostanie.

Po dwóch dniach zadzwoniła do niego, nagłona narastającym przymusem wyjaśnienia tej niewygodnej sytuacji.

- Kiedy się spotkamy? - zapytał natychmiast. Jego żarliwy, intymny ton zasmucił ją i wprowadził w zakłopotanie. Nie, nie należę do niego, bez względu na to, jak blisko byliśmy ze sobą tamtego wieczoru, powiedziała sobie stanowczo.

- Jutro po południu - powiedziała

- U mnie?

- Nie. Myślę, że powinniśmy się umówić w barku na twojej ulicy.

- Okay. - Czyżby dosłyszała nutę rozczarowania w jego głosie?

Kiedy tylko wsunęła się do barowego boksu, Marc pochylił się, by ją pocałować. Powstrzymała go delikatnym gestem. Zrobił zaskoczoną minę, ale właśnie pochylił się nad nimi kelner i Marc widocznie pomyślał, że się spłoszyła. Zamówili to, co zawsze. Gdy kelner odszedł, Marc! ujął Oliwię za rękę.

- Brakowało mi cię- powiedział.

Popatrzyła na jego usta i wargi jej zadrżały. Natychmiast stłumiła rozpacz i zaczęła udawać, że dotyk ciepłych dłoni Marka

nic dla niej nie znaczy. O dziwo, po kilku chwilach dokładnie tak zaczęła odczuwać, traktując go jak braterski gest. Kiedy Marc znów usiłował ją pocałować, zdecydowanie odwróciła głowę.

- Musimy porozmawiać - stwierdziła.

- To zabrzmiało złowieszczo.

- Dużo myślałam o nas.

- I co wymyśliłaś?

- Jesteś przystojny, miły i bystry, a ja jestem tobą zachwycona i bardzo cię lubię, ale...

- Ale?

Oliwia westchnęła.

- Nie jestem w stanie tego dalej ciągnąć.

- Co się stało? - Marc spoważniał. - Czyżby on się czegoś domyślił?

Zawsze mówi o nim „on”, pomyślała z pretensją.

- Nie - powiedziała głośno.

- W takim razie powiedz, o co chodzi. Pomogę ci.

- O nas. Po prostu nie mogę dłużej okłamywać Rogera. Nigdy wcześniej go nie zdradzałam i teraz rozumiem, dlaczego tak było. Nie wychodzi mi to. Nie umiem. Źle się czuję.

- Przeciwnie, cudownie ci wychodzi - powiedział miękko.

- Niezupełnie. - Teraz ona bawiła się jego palcami, ale tak, jak gdyby był jej słodkim dzieckiem. Po chwili zabrała rękę. - Naprawdę wiele o tym myślałam, Marc. Myślę, że powinniśmy na jakiś czas przestać się widywać.

- Jak długo ma trwać ten czas?

- Aż nie staniemy się znów przyjaciółmi.

- Zawsze byliśmy przyjaciółmi. A przynajmniej tak uważałem.

- Tylko przyjaciółmi, Marc.

- Ach, tak - jego głos brzmiał normalnie, ale dostrzegła, jak bardzo stara się ukryć rozczarowanie. Z przykrością patrzyła mu w oczy. Jest młody, mówiła sobie, szybko się pocieszysz. Wcześniej, niż myślisz.

- Tego właśnie chcesz? - zapytał.

- Tak. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć.

Kelner przyniósł piwo dla Marca i wodę mineralną dla niej.

- No, cóż... - westchnął.

Popatrzyli sobie w oczy, popijając małymi łykami. Tym razem już nie sondował jej, co myśli „dokładnie w tym momencie”. Była pewna, że po prostu nie chce tego wiedzieć.

- Chyba wyjadę na miesiąc czy dwa, żeby podgonić książkę - powiedział wreszcie. - Gdzieś, gdzie jest ciepło. Rodzice kumpla mają dom w Anguilla, którego prawie nie używają. Od dawna mnie tam zapraszali, może tym razem skorzystam.

- Nie mówiłam, że od razu masz wyjechać z miasta!

- Nic mnie tu nie trzyma, a zima jest paskudna. Tęsknię za słońcem.

- Tak już lepiej - uśmiechnęła się.

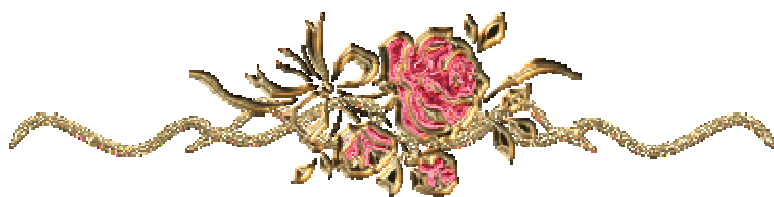
- Chcesz, żebym ci wysłał kartkę?

- Jasne. Jak zwykle nudną.

- Przecież zawsze były nudne - odpowiedział jej uśmiechem.

- Nie dla mnie. Nawet jeśli pisze je tylko przyjaciel.

Opuściła go wcześniej niż zazwyczaj, bo nie było już nic do powiedzenia. Poza tym nie była już w stanie po raz kolejny kłamać Rogerowi. Marc zawołał dla niej taksówkę i na pożegnanie leciutko pocałował ją w policzek, tak jak na początku. Ten słodko-gorzki gest spiął jak klamrą ich znajomość.



Rozdział 29

Nadeszła wiosna, a po niej rozprażone, gorące lato. Wiosną rodzina spotkała się dwa razy - na bar micwach syna Jenny, Maksa, i syna Melissy, Absaloma. Kuzynki miały okazję wymienić rodzinne plotki.

Córka Jenny, Didi, która miała już jedenaście lat, robiła znakomite postępy na lekcjach śpiewu i miała ambicję zostać gwiazdą na Broadwayu. Ponadto zwyciężyła w lokalnym dziecięcym konkursie piękności, na który zapisała się bez wiedzy rodziców. Aktualnie wertowała książkę telefoniczną, pragnąc znaleźć sobie agenta. Jenny i Paul postanowili na razie trzymać się z boku i pozwolić jej samej kształtować swoją karierę. Byli jednak zaskoczeni operatywnością Didi, zdumiewającą jak na jej wiek.

Taylor miała już ogromny brzuch i myślała tylko o tym, co się jej urodzi. Ona, która zawsze obawiała się macierzyństwa, teraz uważała, że urodzenie dziecka jest najważniejszym celem w jej życiu. Drażniła ją jedynie wizja Wielkiej Earl jako babci, ale już nie lękała się matki, - tak jak kiedyś. Dawne poczucie winy i obawy, które kazały jej zmuszać się do przyjmowania wizyt Earlene, ustąpiły. Teraz, kiedy sama była odpowiedzialna za kiełkujące w niej życie, Taylor poczuła się dorosła i samodzielna.

Agencja Nicka rozwinęła nową, szeroko zakrojoną kampanię reklamową, mającą odświeżyć i unowocześnić obraz „JULII” w oczach klientów. Koncepcję Nick opracował wspólnie z synem Charlie'ego Idealnego, Tonym. Zapowiadało się więc, że stara, szacowna „JULIA” przeżyje drugą młodość.

Tony, podobnie jak jego ojciec, bardzo rzadko zaszczycał swoją obecnością rodzinne zebrania. Poświęcił się całkowicie swoim interesom i rodzinie, choć w przeciwieństwie do ojca latał tylko samolotami rejsowymi. Niekoniecznie musiało to wynikać ze strachu przed wypadkiem. Raczej z tego, że kilku rodzinnych udziałowców zaczęło narzekać na niepotrzebne wydatki, związane z utrzymaniem prywatnego samolotu. Dawniej, za rządów wuja, taka krytyka byłaby absolutnie niemożliwa.

Widać nie tylko „JULIA” wkraczała w nowe czasy.

W sierpniu Roger i Oliwia spędzili - wbrew swoim zwyczajom - dziesięć dni w Nantucket. Wspomnienie ostatniego pobytu w Paryżu nie zachęcało do jego powtórzenia w te wakacje. Zamiast tego mieszkali w romantycznym małym hotelu- w środku lasu, czytali, spacerowali i kochali się niemal co wieczór. Było romantycznie, ale po powrocie zgodnie uznali, że następnym razem znów pojedą za granicę - może do Włoch.

Od tamtego czasu Oliwia nie widziała się z Markiem, dostała od niego jedynie kilka „nudnych” pocztówek. Pierwsza była z Anguilla, a pozostałe dwie z Nowego Jorku - pisane w barach, gdzie się spotykali. Wreszcie nadeszła ostatnia - z Paryża.

Z początku myślała o nim bardzo często; właściwie codziennie. Czasami był to tylko błysk wspomnienia, a czasami całe, nostalgiczne i czułe marzenie, jednak już bez podtekstu seksual-

nego. A potem przyszły dni, kiedy myślała coraz rzadziej, i takie, kiedy nie myślała wcale, choć wiedziała, że ta przygoda na zawsze pozostanie częścią jej życia.

W sierpniu, kiedy Oliwia i Roger byli w Nantucket, Taylor urodziła zdrowego chłopca, którego ona i Tim nazwali Cody. Oliwia posłała dziecku srebrną grzechotkę ze słoniem zrobionym z imitacji kości słoniowej. Wybrała ją z katalogu, który wspierał akcję na rzecz ocalenia dzikich zwierząt. W resztę niezbędnych rzeczy na pewno zaopatrzyła chłopca, JULIA".

Miesiąc później dotarła do niej ozdobna kartka z dołączonym do niej liścikiem od Taylor i fotografią dziecka. Oliwia ucieszyła się, że malec jest trochę podobny do Grady'ego.

„Kochana Oliwio - pisała Taylor - dziękuję ci w imieniu Cody'ego za piękną grzechotkę. Ciągłe się nią bawi. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczysz. Wygląda zupełnie jak Grady - ma ten sam uśmiech, ten sam wyraz buzi. Pamiętasz przyjaciółkę Grady'ego, Mirandę? Chyba poznałaś ją na pogrzebie. Przyszła zobaczyć dziecko i rozplakała się. Powiedziała tylko: „To jest Grady". Ja naprawdę wierzę, że Cody jest następnym wcieleniem Grady'ego. On wrócił.

Całuję, Taylor".

Och, Taylor, kochana Taylor, pomyślała ze wzruszeniem Oliwia. Przypomniała sobie ukrywanego kochanka Grady'ego - młodego człowieka, z którym rozmawiała na pogrzebie i który odziedziczył kryształowe kieliszki jej matki, a potem zaprzyjaźnił się z Taylor, zaszczepiając jej wiarę w reinkarnację. Tym razem jednak i ona, Oliwia, skłonna była przyznać, że coś

w tym jest. Sama myślała często o Gradym i nie miałyby nic przeciwko temu, by jego dusza wróciła między nich w postaci dziecka. Oby tylko Taylor nie traktowała go wyłącznie jako wcielenie brata. Na to się jednak chyba nie zapowiadało.

Nadeszła jesień wraz ze swoimi bajecznymi barwami i rześkim powietrzem. O tej porze roku Oliwia i Roger znów mówili o czasie, upływającym coraz szybciej. Pewnego ranka włączyli telewizor i zobaczyli w wiadomościach góry Santa Monica, zalane ogniem i zasnute kłębam dymu, buchającymi dokładnie z Topanga Canyon, gdzie mieszkali Taylor, Tim oraz Cody.

Niebo na ekranie jarzyło się różem i pomarańczową barwą płomieni na tle czarnej zasłony dymu. Zewsząd sypał się biały popiół. Helikoptery uwijały się, zrzucając pojemniki z wodą i proszek, tłumiący płomienie. Od paru już dni dochodziły do Nowego Jorku wiadomości o pożarach w Kalifornii, lecz Oliwia nie zdawała sobie sprawy, że zagrożona może być Taylor.

Natychmiast sięgnęła po telefon, ale linie zostały odcięte.

- Boże, co ona teraz robi? - pytała zdenerwowana. - Nie dość, że ma małe dziecko, to jeszcze nie słyszy!

- Jestem pewien, że zdążyli ich ewakuować - uspokajał ją Roger.

- Nie mają domu. Dokąd teraz pójda?

- Poczekajmy na jakąś wiadomość.

Oliwia spędziła nerwowy dzień. W przerwach pomiędzy przyjmowaniem pacjentów nastawiała przenośne radio, wysłuchując kolejnych dzienników. Okazało się, że to „jakiś szaleńiec”, jak określiła go sama policja, dokonał podpalenia, a później ogień rozprzestrzenił się na setki hektarów. Poza tym kolejne już lato było suche i zagrożenie pożarowe bardzo wzros-

ło. Wystarczyła dosłownie zapalka, by zajęła się sucha roślinność rozgrzanych kanionów. Sprawę pogarszał wiejący wciąż suchy wiatr.

Po południu zadzwoniła ciotka Myra.

- Widziałaś pożary w telewizji?
- Tak - odpowiedziała Oliwia.
- Próbowałam się dodzwonić, ale odcięto linie.
- Wiem, ja też.
- Trzeba czekać, aż Tim sam zadzwoni.

Długo jeszcze musiały czekać. Pożar trwał cały tydzień i dał się stłumić dopiero wtedy, gdy ucichł wiatr. Na obszarze Malibu i sąsiednich kanionów spaliło się kilka tysięcy hektarów ziemi, w tym dwieście domów. Gdy wreszcie zadzwonił Tim ze swojego telefonu komórkowego, Oliwia odetchnęła z ulgą.

- Jesteśmy bezpieczni - oznajmił na wstępie.

- Och, dzięki Bogu. Gdzie mieszkacie?

- U nas w domu. Byliśmy tam przez cały czas, polewaliśmy go wodą. Ogień dziwnie wybiera. Druga strona drogi jest kompletnie zniszczona, a my ocaleliśmy, pewnie dlatego, że wiatr zmienił kierunek. Poza tym wycięliśmy krzaki wokół domu, co zatrzymało płomienie. Oczywiście wszędzie jest popiół, nawet w talerzach mamy wielkie, białe płatki. Najważniejsze jednak, że Taylor i dziecko mają się dobrze.

- Tak się o was martwiłam - Oliwia westchnęła ciężko.

- Za to dom Grady'ego spłonął całkowicie - dodał Tim.
-Został tylko sterczący, osmalony kominek.

- Dobrze, że Grady tego nie dożył. Mam nadzieję, że dom był ubezpieczony?

- Tak, oczywiście - przytaknął spokojnie. - Muszę ci zresztą

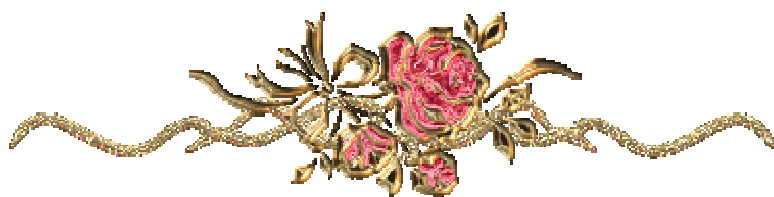
powiedzieć, że Taylor odczuła pewien rodzaj ulgi. Przynajmniej ten kłopot ma już z głowy. Przecież nie zdobyłaby się na sprzedaż tej chałupy.

- Można by rzec, że macie podwójne szczęście.

- Owszem. Czego nie można powiedzieć o wielu naszych znajomych. Ale cóż, to jest żywioł. No, będę kończył, bo muszę jeszcze zadzwonić w parę miejsc. Zawiadam rodzinę, że wszystko w porządku, dobrze?

- Jasne. A ty powiedz Taylor, że za nią tęsknię i ucałuj ode mnie małego.

Zbliżało się Święto Dziękczynienia. Teraz już, wiedząc, że Taylor jest bezpieczna, Oliwia mogła obchodzić je spokojnie. Jak zwykle zamierzała uszczęśliwić różnych życiowych rozbitków i pełne fantazji dusze. Miała tak dobry humor, że przygotowując listę gości, w nagłym odruchu sięgnęła po słuchawkę, by zadzwonić do Marka Delona.



Rozdział 30

- Halo? - odezwał się Marc.

Oliwia słyszała ten głos po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy. Czekala, czy serce i ciało zareagują mocniej na jego brzmienie, lecz zamiast znajomego podniecenia czuła jedynie pełne ciekawości wyczekiwanie na wieści od dawno nie widzianego przyjaciela. Czyżby więc wreszcie mogła być spokojna?

- Cześć, tu Oliwia.

- Oliwia! - wydawało się, że szczerze się ucieszył.

- Co u ciebie?

- Wszystko dobrze. A u ciebie?

- Też. Dostałam twoje kartki. Jak postępy z pisaniem?

- Już prawie skończone. Zaczynam wreszcie czuć, że naprawdę napisałem książkę.

- Nie mogę się jej doczekać.

- Nie zapomnę przesłać ci egzemplarza.

- Świetnie. Dzwonię, bo chciałam cię zaprosić na kolację z okazji Święta Dziękczynienia, którą tradycyjnie urządzam co roku u siebie.

- Bardzo miło. Z chęcią przyjdę.

- W takim razie bądź o piątej, a będziesz pił i jadł do białego rana.

- Cudownie. Ale... - chwila wahania - czy mógłbym przyjść z kimś?

- Z kimś?

- No właśnie, mam przyjaciółkę.

Oliwia nie była wcale zaskoczona. Cieszyła się, że Marc znów kogoś kocha i miała nadzieję, że jest szczęśliwy. A jednak gdzieś w głębi duszy czuła się odrzucona.

- Oczywiście, musisz wziąć ją ze sobą - powiedziała ciepło. - Jak ma na imię?

- Daisy. Na pewno ci się spodoba.

I znów wszyscy siedzieli w jej wielkiej kuchni, popijając, gadając i obserwując ostatnie przygotowania. Peggy pomagała Oliwii w pieczeniu dorodnego indyka, a Roger odkorkowywał szampana i rozlewał go gościom. Rozrabiające dziecko z zeszłego roku zamieniło się w poważną dziewczynkę, facet, który ostatnio męczył się po rozstaniu z żoną, przyszedł z nową, a Alys przyprowadziła miłego i przystojnego chłopaka, który był jeszcze młodszy niż Marc. Wyglądała po prostu kwitnąco.

Marc zjawił się późno, z butelką czerwonego wina i z Daisy. Miał piękny, długi płaszcz, a włosy jak zwykle starannie przycięte, lśniące i opadające lekko na czoło. Oliwia znów była ciekawa swojej reakcji, ale i tym razem ani ciało, ani serce jej nie zdradziły. Jej były kochanek był piękny i pociągający jak model, lecz ona mogła zwyczajnie cieszyć się jego urodą, tak jak cieszy się oko widokiem pięknych aktorów, rzeźb czy krajobrazów - z przyjemnością, lecz bez niezdrowych emocji. Pogratulowała

sobie w duchu, że miała go choć na krótko, a potem przeniosła wzrok na Daisy.

Daisy była śliczną, miłą dziewczyną o krótkich ciemnych włosach, wielkich oczach i aksamitnej cerze. Oboje ubrani byli w czernie od Armaniego. Czarne pokolenie, pomyślała Oliwia Zastanawiała się przez moment, czy spóźnili się, bo do ostatniej chwili przed wyjściem byli w łóżku. Teraz trzymali się czule za ręce.

Marc pocałował Oliwię w oba policzki, jak zawsze, tylko teraz już bardzo formalnie. Sama odwdzięczyła się przyjacielskim uściskiem.

- Oliwia mówiła mi, że jesteś pisarzem - odezwał się Roger, uprzejmym gestem zapraszając Marka do kuchni, by przedstawić ich innym gościom.

- Daisy też pisze, choć jeszcze jej nie wydali - powiedział Marc.

Oliwia uśmiechnęła się. Została na chwilę w przedpokoju, w samotności przypominając sobie dawne rodzinne przyjęcia z okazji Święta Dziękczynienia u wuja Seymoura i ciotki Iris, kiedy jeszcze wszyscy żyli. Tamte wystawne, wspaniałe kolacje były pełne dobrej woli, lecz i skrywanego napięcia - przynajmniej dla niej. Czy tylko ona tak czuła?

Pamiętała, jak Jenny pocieszała ją: „Obojętnie, co by się nie działo, oni zawsze będą cię kochać”. Nie wszyscy ją kochali, ale niektórzy - tak, bez wątpienia. Akurat ci nie byli winni temu, że wiele spraw z odległej przeszłości bolało do dziś.

Wróciła do kuchni. Marc pozdrowił ją z odległego kąta gestem dłoni trzymającej kieliszek.

- Wspaniale wyglądasz - powiedział, podchodząc do niej bliżej.

- Dzięki, ty też.
- Często o tobie myślałem.
- Ja też.
- Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi - powiedział. -I mam nadzieję, że będziemy nimi nadal.
- Dlatego właśnie tu jesteś.
- A pamiętasz, kiedy ostatni raz piliśmy szampana? - zapytał miękko, podstępnie.
- Nie powinieneś o tym mówić - powiedziała, naśladowując jego ton.
- Wiem. - Skinął na Daisy, która podeszła i wyciągnęła rękę do Oliwii. - Chcę przedstawić ci moją dziewczynę.
- To bardzo miło z twojej strony, że nas zaprosiłaś - powiedziała uprzejmie Daisy.
Jestem dla niej kolejną starą babą, pomyślała Oliwia. Och, gdyby tylko wiedziała...
- Cieszę się, że przyszliście. Czujcie się jak u siebie w domu.
- Dzięki.
- Indyk gotowy! - oznajmiła Peggy. - Potrzebuję kogoś silnego do pomocy.
- Przepraszam was - Oliwia przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni. Głodni goście hurmem ruszyli do stołu.
Indyk wyszedł wspaniale, wręcz wzorcowo, jak z magazynu kulinarnego. Zanim Oliwia i Roger zajęli miejsca po przeciwnych stronach długiego stołu, na moment czule przyłgnęli do siebie.
Przyjęcia Oliwii zawsze były udane. I jak zawsze - Roger wstał, uciszył wiwatujących gości, po czym wygłosił toast po-

chwalny na jej cześć. Jakie to staroświeckie i urocze, pomyślała, dziękując mu ze wzruszeniem.

- Ja też chcę wznieść toast - oznajmiła, wstając i wznosząc kieliszek. Odpowiedziały jej wyczekujące spojrzenia. - Tego roku - zaczęła - w Dniu Dziękczynienia, kiedy znów widzę, jak szczęśliwe jest nasze życie i jak sprzyja nam los, zsyłając wspólnych przyjaciół, obdarzając zdrowiem, pozwalając mieć przytulny dom, dobre jedzenie i pożyteczną pracę - wiem, że żyję tak, jak zawsze marzyłam. W takich chwilach naprawdę rozumiem sens słowa „dziękczynienie”, bo też naprawdę mam za co dziękować... - Niespodziewanie oczy Oliwii napełniły się łzami. Nie dokończyła toastu i szybko usiadła.

Rozległy się nieco niepewne oklaski.

- Oliwia zawsze płacze, kiedy jest szczęśliwa - wyjaśnił Roger, patrząc na nią z miłością. Goście roześmieli się, wiedząc, że znów mogą być swobodni.

Nad ranem, kiedy wszyscy już poszli, a pobożowisko po uczcie zostało z grubsza uprzątnięte, Oliwia i Roger poszli do łóżka. Psy już dawno chrapały na swoich posłaniach. Objęli się mocno i trwali tak w słodkim transie, który Oliwia zawsze tak uwielbiała i o którym myślała już, że nigdy go nie doświadczy.

- Przeżyliśmy kolejny rok - szepnęła.

- Tak - mruknął sennie Roger i po chwili zasnęli oboje.

W dwa dni po Święcie Dziękczynienia zadzwoniła z Cambridge Jenny. Stało się to chyba po raz pierwszy. Dotychczas to Oliwia dzwoniła do niej, nigdy odwrotnie.

- Jenny, co za miła niespodzianka! - ucieszyła się, słysząc jej głos i dziwiąc się jednocześnie. Miała nadzieję, że nie stało się nic

złego. - Spóźnione „wszystkiego najlepszego” z okazji Dziękczynienia!

- Wzajemnie - odparła Jenny dziwnie ponurym, napiętym głosem. - Dzwonię, żeby powiedzieć ci o Nicku.

- Co z Nickiem? - Oliwia poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

- Uprawiał te swoje zjazdy na nartach z helikoptera, pamiętasz... Porwała go lawina i zginął.

- Och, nie... jeszcze i Nick -jęknęła z rozpaczą Oliwia. Za dużo tych tragedii w rodzinie. Od początku niepokoił ją pociąg Nicka do niebezpieczeństwa i jego igranie z losem.

- To było w dzień po Dziękczynieniu. Poleciał na tę górę sam, jak zawsze. Lynne i Amber czekały na niego w hotelu, ale tym razem nie wrócił. Wtedy usłyszały o lawinie.

Oliwia wyobraziła sobie, jak żona Nicka czeka cierpliwie na męża, jak dręczy ją rosnące napięcie i lęk, a potem jak dowiaduje się, że stało się to, czego się tak strasznie bała i podświadomie oczekiwała. Wyobraziła sobie rozpacz i żal Lynne. Sama nie bardzo jeszcze mogła uwierzyć w tę przerażającą wiadomość.

- Melissa z Billem i dziećmi pojechali tam razem z nimi -ciągnęła Jenny. - Też jeździli na nartach, ale normalnie. Wszyscy byli w szoku. Dobrze, że chociaż Lynne miała przy sobie w takiej chwili Melisę, a nie tylko małą Amber.

- Nasza rodzina nie ma szczęścia do gór - powiedziała Oliwia. Pomyślała o Kennym, opuszczonym w Himalajach, Stanie, zjeżdżającym z Mulholland, samobójstwie Grady'ego, samolocie Charlie'ego, a teraz o Nicku.

- Tak, to prawda... - Ze słuchawki dobiegło ciężkie westchnienie. - Będą musieli czekać na wiosenną odwilż, żeby od-

szukać ciało, do maja. W następnym tygodniu będzie ceremonia żałobna w Metropolitan Club w Nowym Jorku, ale bez pogrzebu. Moja mama zadzwoni do ciebie i poda ci datę. - Jenny znów westchnęła. - Wiesz, ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

- Wiem, ja też. Powiedz, co jest z tą naszą rodziną, że spotyka ją tyle nieszczęść?

- Melissa i Kenny twierdzą, że jest przeklęta - stwierdziła Jenny. - Dawniej też tak uważałam, ale teraz myślę, że oni wszyscy sami szukali nieszczęścia.

- Ja też tak myślę - przyznała Oliwia. Odczuła ulgę, że ktoś uważa tak jak ona. Uwalniało ją to od poczucia winy.

- Nick miał wszystko - ciągnęła Jenny. - Wszystko. Może to właśnie był ten problem? Pieniądze robią z ludźmi niedobre rzeczy.

- Mówił mi, że góry go uspokajają - powiedziała Oliwia.

- Ryzykowanie własnym życiem również?

- Może jednak uważał, że nie ma wszystkiego?

- Już nigdy się nie dowiemy.

- On sam pewnie nie wiedział - dokończyła Oliwia.

Metropolitan Club był dużym, szacownym budynkiem o odpowiednio tradycyjnym wyglądzie. Od ulicy odgradzało go żelazne ogrodzenie. W głównym holu, wysokim na dwa piętra, królował gigantyczny żyrandol. Szerokie schody prowadziły do sal na górze.

Ceremonia miała się zacząć o piątej. Ku zdumieniu Oliwii, która przybyła nieco wcześniej w towarzystwie Rogera, gości kierowano do największej z sal.

- Nie wiedziałam, że Nick znał tylu ludzi.

I ludzie nadchodzili - poważni, ubrani z drogą, pogrzebową elegancją. Ludzie z agencji Nicka i ci, którzy wyglądali na jego przyjaciół; rówieśnicy i ludzie starsi. Oliwia nie знаła żadnego z nich. Rodzina, tak przecież liczna, była tym razem w mniejszości, choć doszli krewni ciotki Hedy. Tak wielkiej uroczystości pogrzebowej jeszcze nie widziała.

Oliwia i Roger usiedli w sekcji przeznaczonej dla najbliższej rodziny. Zobaczyła wuja Davida. Miał puste, rozpaczliwe spojrzenie, jakby nie mógł wciąż uwierzyć w tragiczną prawdę, iż przeżył własnego syna. Nowa żona ocierała mu łzy, płynące bezustannie po twarzy.

Obok usiedli Melissa i Bill z trójką dzieci oraz Lynne - w czerni, przeraźliwie blada, w stanie głębokiego szoku, kurczowo ściskająca rękę małej Amber. Wuj Seymour i ciotka Iris, już wcześniej doświadczeni utratą syna, posepnie patrzyli na kolejny tragiczny przykład odwrócenia naturalnego następstwa pokoleń.

Za nimi Oliwia dostrzegła Jenny i Paula, którzy zostawili dzieci w domu, a także ciotkę Myrę, Kenny'ego z Pam, syna Charlie'ego z żoną oraz Annę Idealną z mężem. Brakowało jedynie Taylor i Tima, ale też nikt nie spodziewał się, że Taylor zostawi trzymiesięczne niemowlę i tuż po strasznych przeżyciach z pożarem zdecyduje się na długą podróż do Nowego Jorku. Zresztą, o ile pamiętała Oliwia, Nick nie był na pogrzebie Grady'ego.

Wstał jakiś mężczyzna, którego nie znała, ale reszta gości musiała znać dość dobrze, i zaczął wygłaszać mowę pożegnalną o Nicku. Mówił o jego zamiłowaniu do filantropii, o dobrych uczynkach, o gotowości do pomocy poszkodowanym i upośledzonym, o działaniach na rzecz ochrony środowiska, o całych

godzinach przepracowanych społecznie, o niezliczonych radach nadzorczych, w jakich Nick zasiadał, i o pieniądzach, które hojnie rozdawał.

Oliwia była zdumiona. Zawsze widziała w Nicku bufona, który wprawdzie umie robić pieniądze, ale wydaje je wyłącznie na przyjemności. Ta jego szlachetna strona, która musiała przecież istnieć cały czas, skoro zdołał zgromadzić tyle zasług, była dla niej całkowitym zaskoczeniem. Kiedy wymieniali kilka słów na rodzinnych spotkaniach, nigdy się nie chwalił. Zresztą, ona też nie pytała. A właściwie dlaczego? Teraz żałowała i zrobiło się jej jeszcze smutniej.

Przypomniała sobie pogrzeb Grady'ego i jego przyjaciół, opowiadających o Grady, jakiego nie znała ani ona, ani rodzina - towarzyskim, wesołym, dowcipnym. Teraz z kolei, znów po niewczasie, poznała drugą stronę Nicka. Jak mało wiemy o naszych własnych krewnych, pomyślała.

Jeszcze wielu ludzi wygłaszało mowy, a potem tłum otoczył wdowę po Nicku i jego siostrę. Oliwia nawet nie próbowała się do nich przebić. Podeszła do Jenny i objąwszy ją, wyprowadziła do spokojnego kąta.

- Biedna Melissa - powiedziała Oliwia - tak się kochali z Nickiem.

- Mówiłam już jej, że teraz wie, jak to jest być jedynaczką. Pamiętasz, co ty mi kiedyś powiedziałaś? Że musimy trzymać się razem - przypomniała Jenny.

- Taki teraz wszystkie jesteśmy jedynaczkami - westchnęła Oliwia. - Martwię się o Lynne.

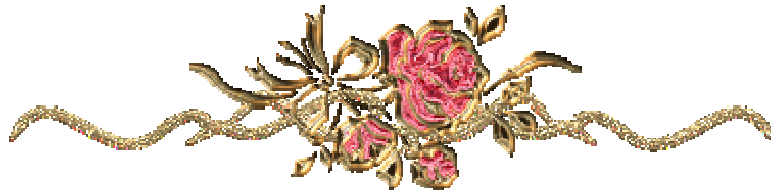
- Nie bój się, otrząśnie się i jeszcze znajdzie sobie kogoś. Jest piękna i bogata.

- W każdym razie my musimy trzymać się razem - powtórzyła Oliwia. - Ciągłe tylko wspominamy Mandelaj, ale nie robimy nic konkretnego.

- Może kiedyś... - powiedziała Jenny.

- Może - przytaknęła Oliwia, choć wiedziała, że to tylko piękne marzenie.

RS



Rozdział 31

Pogoda stała się tego roku zajadłym wrogiem kraju i ludzi. Pożary, powodzie, lawiny błotne, huragany i śnieżne zawieje szalały na zmianę, tworząc istic apokaliptyczną wizję. Ludzie, którzy pamiętali dawne czasy, twierdzili jednak, że pogoda powinna być zmienna, a ostatnio klimat rozpieszczał wszystkich. Ukoronowaniem złej passy była poranna wiadomość w telewizji, podana pewnego styczniowego dnia, a głosząca, że w Los Angeles zatrzęsa się ziemia z siłą nie notowaną od stu lat.

Oliwia znów tkwiła cały dzień, to oglądając dzienniki w telewizji, to słuchając radia. I podobnie jak wtedy, gdy wystraszył ją pożar w Santa Monica, nie mogła się dodzwonić do Tima i Taylor. Martwiła się o ich los, dopóki nie okazało się, że epicentrum wstrząsów było na tyle daleko, że ich dom z całą pewnością ocalał. Równie nieprawdopodobne było to, żeby ucierpieli Ken-ny i Pam.

Jakby potwierdzeniem tego przekonania był list od Taylor, który otrzymała niedługo potem wraz z dołączoną fotografią Co-dy'ego. Chłopczyk miał już pół roku i był słodki. Przynajmniej na zdjęciu. Taylor natomiast donosiła:

„Kochana Oliwio!

Jestem mamusią na pełny etat i świetnie się z tym czuję. Radzę sobie naprawdę dobrze. Zamontowaliśmy system sygnałów błyskowych, więc wiem, kiedy dziecko płacze. Tak się martwiłam o reakcję matki, ale wszystko dobrze się skończyło. Kiedy Cody się urodził, przyjechała z Santa Fe i została u nas na tydzień. Znudził się jej już pierwszego dnia. Nigdy nie lubiła dzieci. Potem zjawiała się tylko raz, na trzy dni przed Bożym Narodzeniem. A więc raczej mi już nie zagraża i nieprędko się tu pojawi!

Bardzo bym chciała, żebyś przyjechała go zobaczyć. Jest zupełnie jak Grady. Czy ty i Roger nie zdecydujecie się kiedyś na taki krok? Przyjedź, czekam.

Taylor".

- Ktoś powinien odwiedzić Taylor, bo znów poczuje się wyobcowana - powiedziała Oliwia do Rogera, gdy skończyła czytać. - I chyba będę to ja. Wybiorę się w najbliższy weekend.

- Bardzo ładnie z twojej strony - pochwalił. - Zawsze byłaś taka czuła i rodzinna.

- Zrobię to również dla siebie.

Tylko weekend, ale i to wystarczy, dodała w myślach. Zdawała sobie sprawę, że wizyta będzie równie ważna dla niej, jak i dla Taylor. Miało to coś wspólnego z podobieństwem niedoli ich dzieciństwa, buntem przeciw staremu życiu i próbą zaczęcia wszystkiego na nowo.

Nawet nie sugerowała Rogerowi, by z nią pojechał, a Roger zrozumiał i nie nalegał. A kiedy całowali się na pożegnanie, wiedziała, że tym razem może z całym zaufaniem zostawić go samego.

Z lotniska zabrali ją Taylor i Tim. Dziecka nie było z nimi, bo spało w domu, pilnowane przez niańkę. Kalifornijskie słońce piekło przez szybę samochodu tak mocno, że nowojorskie chłody i słoty szybko stały się jedynie wspomnieniem i Oliwia mogła cieszyć się, że jest w tak miłym, ciepłym i słonecznym miejscu.

Kiedy jechali przez kanion Topanga, Taylor co chwila pokazywała szkody, jakie wyrządził ogień.

- Patrz! Popatrz tylko na to! - pokrzykiwała.

Widok nie był przyjemny. Powykręcane, szerniałe drzewa na wypalonej, pokrytej popiołem ziemi tworzyły upiorny krajobraz, w niektórych tylko miejscach ożywiany ocalałymi połączkami zielonej trawy. Na stoku wzgórza, za drogą walały się worki z piaskiem, z których budowano zapory przeciwko błotnym lawinom.

Wreszcie dojechali do domu. Oliwia była tu tylko raz, po pogrzebie Grady'ego, kiedy dom był wypełniony żałobnikami. Teraz wrażenie było zupełnie inne - na podłodze w salonie leżały rozrzucone dziecięce zabawki, a w kuchni stało wysokie dziecięce krzeselko i chodzik. Meble były bardzo eklektyczne - częściowo tradycyjne, częściowo nowoczesne, trochę antyków. W jakiś osobliwy sposób wszystko to grało ze sobą.

Tim wniósł podróżną torbę Oliwii do pokoju gościnnego. Był urządzone w meksykańskim stylu z Santa Fe, bardzo starannie, jak gdyby Taylor marzyła, by przyjmować w nim gości innych niż tylko jej matka.

- Jak tu ładnie - pochwaliła szczerze Oliwia.

- Dzięki.

- A teraz chcę zobaczyć Cody'ego. Tim skinął głową.

- Chyba już się obudził.

Trzecia sypialnia została urządzona jako pokój dziecienny. Idąc korytarzem, Oliwia zastanawiała się w napięciu, czy rzeczywiście zobaczy drugie, maleńkie wcielenie Grady'ego. Drzwi były otwarte i weszła sama. Niańka, miła latynoska kobieta w średnim wieku, trzymała dziecko w pulchnych ramionach.

Cody był dużym dzieckiem o jasnej, niemal przezroczystej skórze i delikatnych, dziecięcych rysach. Okrągła główka pokryta była językiem prostych, ciemnych włosów. Kiedy Oliwia pojawiła się w pokoju, natychmiast zwrócił na nią uwagę i jego twarzą rozjaśnił słodki uśmiech. Zamachał rączkami i nóżkami, wydając radosne gruchania.

Przecież ja go znam, pomyślała Oliwia. I on mnie zna.

Poczuła, że przepelnia ją miłość, czułość i cudowna lekkość. Uśmiechnęła się promiennie do dziecka.

- Hej, jak miło znów cię widzieć - powiedziała.

Mały najwidoczniej miał podobne odczucia. Oliwia i Cody patrzyli sobie w oczy, uśmiechali się do siebie promiennie i wyglądało na to, że porozumienie między nimi jest absolutne.

- Jeszcze nie widziałam, żeby się tak zachowywał - powiedziała zaskoczona kobieta.

- Naprawdę?

- Tak. Zwykle jest bardzo nieśmiały.

Oliwia czule ucałowała dziecko w główkę. Miał włoski miękkie jak puch i ten cudowny, słodki dziecięcy zapach. A jaki był silny! Oliwia zastanawiała się, czy widzi przyszłego kaskadera, czy też może przeciwnie - lekarza lub adwokata. Później, kiedy dorośnie, nauczy się mówić i zapomni o jakiejś cioci Oliwii, która się do niego czule tuliła.

Ale ta ciocia zawsze będzie go kochać.

Taylor i Tim stali u wejścia, obserwując całą scenę.

- Prawda, że to mały Grady? - powiedziała wreszcie Taylor.

Oliwia przytaknęła.

- Ale tym razem będzie miał szczęśliwe dzieciństwo, prawda?

Ręce Tima po raz pierwszy pofrunęły do góry w szybkim geście tłumaczenia. Taylor uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi.

Na kolację upiekli rybę na grillu, Taylor zrobiła sałatkę. Cody raczkował obok nich, gulgocząc z radości.

- Cody będzie znał trzy języki: hiszpański, angielski oraz język migowy - powiedział Tim. - Będzie obywatelem świata.

Było zbyt zimno, żeby jeść na dworze, więc przenieśli się do jadalni.

- Tim zrobił ten stół - pochwaliła się Taylor.

Gładko wypolerowany blat miał ciekawą, nieregularną formę, a zrobiony był z drewna o ciepłym, złocistym kolorze, gdzie sęki wykorzystane były jako element dekoracyjny.

- Bardzo ładny - powiedziała Oliwia.

- Krzesła też zrobił sam.

Krzesła wykonano z tego samego drewna. Poszczególne elementy połączone zostały metalowymi nitami i całość wyglądała jak dzieło sztuki nowoczesnej.

- Masz wielki talent - powiedziała Oliwia do Tima.

Odpowiedział skromnym uśmiechem.

Po kolacji wypili kawę w salonie przed kominkiem. Przez chwilę, patrząc jak ogień pochłania polana, Oliwia myślała o niedawnych pożarach. Ale ten ogień był oswojony i sprawiał, że pokój wyglądał ciepło i przytulnie.

- Staram się, żeby mój syn był szczęśliwy - odezwała się Taylor. -I wiem, że jest sobą, Codym, a nie nikim innym.

- Bardzo mądrze - przytaknęła Oliwia.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde zatopione w swoich myślach. Wreszcie Taylor pogładziła główkę dziecka i powiedziała cicho:

- Jest coś, czego nigdy ci nie mówiłam... Kilka lat temu Grady przyznał się, że jest homoseksualistą. Próbował to odwrócić, wiążąc się z Mirandą, ale nie był w stanie. Zwierzył mi się, że miał romans z jednym ze swoich przyjaciół z kręgu kaskaderów i w tym układzie spełnił się jak nigdy w życiu. Wtedy właśnie nabrał pewności... Zdenerwowałam się i powiedziałam mu, że nie chcę wiedzieć, że jest pedałem, że w ogóle mnie to nie interesuje i że niepotrzebnie mi to wyznał. Tak właśnie powiedziałam... Zażądałam, żeby już więcej o tym nie wspominał. Mówiłam, że każdy ma swoje życie, więc niech żyje, jak chce, ale ja nie chcę nic o tym wiedzieć. Teraz czuję się winna, że tak zareagowałam.

Oliwia patrzyła na nią bez słowa. Wszystkie zaprzeczenia, nielogiczności i nagłe zaniki pamięci Taylor, a także ten jej osobliwy sentyment do byłego kochanka brata, stały się wreszcie jasne. Oczywiście, że Taylor wiedziała. Od początku musiała wiedzieć i Oliwia dobrze sobie zdawała z tego sprawę. Teraz wołała zamilczeć, by nie powiedzieć czegoś zgryźliwego i gorzkiego.

Taylor natychmiast wyczuła jej nastrój.

- Ty myślisz inaczej, Oliwio - powiedziała Taylor. - Jesteś intelektualistką z wielkiego miasta i nie szokują cię takie rzeczy. To dla ciebie być może normalka, ale prawdziwa, zwykła Ame-

ryka myśli inaczej. Prawdziwa Ameryka myśli, że to jest złe. Ja jestem właśnie taka i też uważam, że to jest złe. Nie potępiam ludzi, ale nie mogę się zgodzić, że to, co robią, jest dobre. Nie mogę myśleć inaczej, nawet gdybym chciała.

Teraz jest szczerza, nareszcie, pomyślała Oliwia. Taylor, córka wuja Stana, kaskadera i twardego starego kowboja, prawdziwego faceta, nie może się pogodzić, że jej brat, który powinien być nieodrodnym synem swego ojca, był homoseksualistą. Zapewne sama nie zaakceptowałaby syna - geja. Grady musiał o tym wiedzieć. Czasami zmarli są nam bliżsi niż żyjący.

- Teraz chciałabym móc to wszystko odwrócić - powiedziała Taylor. - Nie musiałam być taka ostra.

Tej nocy Oliwia, leżąc w pokoju gościnnym, nasłuchiwała, jak dom oddycha przez sen. Wyczuwało się tu atmosferę spokoju, szczęścia i bezpieczeństwa. Leżała, wpatrując się w ciemność, i myślała o Jenny, Paulu i ich piątce dzieci oraz o Melissie i Billu z ich trójką, a także o wszystkich szczęśliwych rodzinach, uspio-nych w tej chwili w swoich domach.

Potem pomyślała o Rogerze, Wozzle i Busterze i zasnęła spokojnie, mając ich obraz przed oczami.

Rano Taylor była już w dobrym nastroju. Zrobiła wspaniałe śniadanie, a potem wszyscy wybrali się na wycieczkę po okolicy - nie wyłączając małego Cody'ego, który gaworzył wesoło, przypięty pasami w swoim foteliku na tylnym siedzeniu.

- Podjedźmy do miejsca, gdzie był dom Grady'ego - poprosiła Taylor i Tim skierował wóz w stronę kanionu.

Domu oczywiście nie było; można się było jedynie domyślać układu pokoiów po zarysie fundamentów i resztkach osma-lonego kominka, który sterczał jak nagrobek z czarnych zglisz-czy.

Wystarczyło popatrzeć w dół zbocza, by zobaczyć upiorne resztki innych spalonych domów, ciągnące się przez całe mile. Wszystko pokrywał wszechobecny, siwy nalot popiołu.

- Szkoda, że nie widziałas tego domu wcześniej. - Taylor pokiwała smutno głową. - Był bardzo ładny.

Pojechali dalej, mijając kilka farm, wokół których cudem ocalała część pastwisk. Zresztą wszędzie spalone połacie ziemi zaczynała już porastać nowa trawa. Za linią drzew widać było pasące się stada koni. Mały Cody gruchał rozkosznie, zaczepiając siedzącą obok niego Oliwię.

- Tutaj jeżdżę konno. - Wskazała Taylor. - Mam swojego ulubionego konia. Jest strasznie wielki.

- Ale ona świetnie sobie radzi - dodał Tim.

- Hej, nie migaj, kiedy prowadzisz, bo robię się nerwowa - powiedziała Oliwia.

Tim uśmiechnął się tylko.

- Czy wiesz, że nigdy nie widziałas domu, w którym się wychowałam - powiedziała nagle Taylor, jakby było to dla niej szczególnie ważne.

- Rzeczywiście - Oliwia sama była zdziwiona, że tak się stało.

- W takim razie jedźmy tam. Tim, wiesz, którą drogą jechać...

- rzuciła do męża, a ten zawrócił na wąskiej drodze i pojechali w dół doliny.

Nawet nie trzeba było wysiadać. Rodzinny dom Grady'ego i Taylor po prostu przestał istnieć. Zostały tylko fundamenty i nawet komin nie udawał nagrobka, jak u Grady'ego.

Oliwia spojrzała tam, gdzie kiedyś musiały być drzwi, i wyobraziła sobie kilkuletniego Grady'ego, małego chłopca, który

bezskutecznie dobija się do domu, bo zamknęła go przed nim jego matka; i małą Taylor, bezsilnie nasłuchującą dobijania się do drzwi, małą Taylor, która płacze z żalu za bratem, zostawionym na zewnątrz w zimną noc...

- Ten dom już nie istnieje - powiedziała Taylor z nutą ulgi i satysfakcji w głosie.

I tak właśnie było. Przeszłość stała się zamkniętym rozdziałem, pomyślała Oliwia. Teraz czas na nowy początek. Dla Taylor, dla niej, dla Rogera, dla wszystkich...

Tim odwrócił się z uśmiechem do swojego synka.

- Jedźmy do domu - powiedziała Taylor.

W drodze powrotnej Oliwia przymknęła oczy i oddała się marzeniom. Myślała o rozlicznych niespodziankach, jakie przynosi życie kolejnym pokoleniom. Obok niej mały chłopczyk pracowicie ssał palec, popatrując na nią wesołymi oczkami. Pra-prawnuk Abe Millera, prawnuk Julii Miller Silverstone, wnuk Stana Kaskadera, syn Taylor i Tima, półroczy chłopiec o imieniu Cody Bay.